

JOHN GRISHAM BRACTWO



Bractwo

- 2 -

ROZDZIAŁ 1

Na cotygodniową sesję sądowy błazen jak zwykle przyszedł w znoszonej, bardzo wypłowiałej brązowej piżamie i jasnofioletowych klapkach z aksamitu na bosych stopach. Nie był jedynym osadzonym, który chodził po więzieniu w piżamie, lecz tylko on miał odwagę nosić jasnofioletowe klapki. Nazywał się T. Karl i był kiedyś właścicielem kilku banków w Bostonie.

Jednakże piżama i fioletowe klapki rzucały się w oczy znacznie mniej niż jego peruka. Dokładnie pośrodku miała równy przedziałek, a ułożone w kilka warstw pukle spływały ciasnymi zwojami w trzech kierunkach, by w końcu ciężko opaść na ramiona. Były jasnoszare, niemal białe, a T. Karl układał je według staroangielskiej mody sądowej sprzed paruset lat. Tę perukę skombinował mu kumpel z wolności: wypatrzył ją w sklepie z używanymi kostiumami teatralnymi w Village na Manhattanie.

T. Karl nosił ją z wielką dumą i choć była dość dziwaczna, z biegiem czasu stała się nieodłącznym atrybutem cotygodniowego przedstawienia. Zresztą bez względu na to, czy chodził w peruce czy nie, osadzeni i tak trzymali się od niego z daleka.

Wszedł, stanął za rozchwierutanym stolikiem w więziennej kantynie, zastukał plastikowym pobijakiem, który służył za sądowy młotek, piskliwie odchrząknął i z wielką powagą zawołał:

- Słuchajcie, słuchajcie! Niniejszym ogłaszam, że sąd niższej instancji północnej Florydy rozpoczyna posiedzenie.

Proszę wstać.

Nikt nawet nie drgnął, a już na pewno nie wstał. Trzydziestu osadzonych byczyło się na plastikowych krzeselkach; jedni patrzyli na sądowego błazna, inni gadali z fumflami spod celi, jakby w ogóle nie istniał.

- Niechaj wszyscy ci, którzy szukają sprawiedliwości - kontynuował niezrażony T. Karl - nigdy jej nie zaznawszy, narznięci zostaną.

Nikt się nie roześmiał. Kiedy przed kilkoma miesiącami T. Karl wygłosił tę formułkę po raz pierwszy, owszem, brzmiała dość zabawnie. Ale teraz była jedynie stałym elementem sądowego spektaklu, tak samo jak peruka. T. Karl dostojnie usiadł, upewniwszy się, że wszyscy dobrze widzą, jak gęste pukle spływają mu na ramiona, po czym otworzył grubą księgę oprawioną w czerwoną skórę, która służyła jako oficjalny rejestr prowadzonych przez trybunał spraw. Tak, sądowy błazen traktował swoją pracę bardzo poważnie.

Z kuchni weszło do sali trzech mężczyzn. Dwóch było w butach. Jeden jadł słonego krakersa. Ten bez

butów miał

gołe do kolan nogi. Były cienkie, koślawe, gładkie i mocno opalone, z dużym tatuażem na lewej łydce. Facet pochodził z Kalifornii.

Wszyscy trzej mieli na sobie identyczne togi. Jasnozielone, wykończone złotą lamówką, pochodziły z tego samego sklepu co peruka T. Karla; T. Karl podarował je Braciom pod choinkę i dlatego zachował posadę sekretarza.

Kiedy szli przez salę - dumny krok, ciężkie, powłóczyście szaty, słowem, pełna gala - okupująca kantinę publiczność nieco się ożywiła: ten i ów wznosił szyderczy okrzyk, ten i ów z niesmakiem zasyczał. Sędziowie zajęli miejsca za długim składanym stołem - niby tuż obok, a jednak z daleka od T. Karla - i spojrzeli na zgromadzonych. Pośrodku siedział gruby i niski. Nazywał się Joe Roy Spicer i siłą rzeczy przewodniczył wszystkim posiedzeniom wysokiego trybunału. W poprzednim

- 3 -

życiu był sędzią pokoju w stanie Missisipi; wybrany na ten urząd przez mieszkańców swojego małego okręgu, został przez nich osądzony i skazany, gdy federalni przyłapali go na podbieraniu pieniędzy z kasy miejscowego klubu bingo.

- Proszę usiąść - powiedział. W sali nie było nikogo, kto by stał.

Sędziowie usiedli wygodniej na składanych krzesłach i poprawili togi, żeby leżały ładnie i dostojnie. Z boku, całkowicie ignorowany przez osadzonych, przystanął zastępca naczelnika. Towarzyszył mu umundurowany klawisz.

Za zgodą władz więzienia Bracia spotykali się raz w tygodniu. Rozpoznawali sprawy, pośredniczyli w rozstrzygnięciu sporów, łagodzili drobne zatargi między współwięźniami i, ogólnie rzecz biorąc, od kilku lat przyczyniali się do stabilizowania panującej w zakładzie atmosfery.

Spicer spojrział na wokandę - kartkę papieru zapisaną starannym pismem T. Karla - i oznajmił:

- Otwieram posiedzenie.

Miejsce po jego prawicy zajmował opalony Kalifornijczyk, sędzia Finn Yarber, skazany za uchylanie się od płacenia podatków: sześćdziesiąt lat, dwa lata odsiedziane, pięć do odsiedzenia. Zemsta - tłumaczył każdemu, kto zechciał go wysłuchać. To była zemsta. Kruczjata zorganizowana przez republikańskiego gubernatora, który zdołał omamić wyborców i namówić ich do odwołania go z urzędu prezesa Kalifornijskiego Sądu Najwyższego. Gubernator skrzętnie wykorzystał fakt, że Yarber był zagorzałym przeciwnikiem kary śmierci i zawzięcie walczył o odroczenie każdej egzekucji. Ludzie łaknęli krwi, on krwi nie chciał: republikanie rozpętali wściekłą nagonkę i odnieśli spektakularny sukces. Wylądował na ulicy i próbował

brnąć przez życie, dopóki nie przyczepili się do niego ci z urzędu skarbowego. Wykształcony w Stanfordzie, oskarżony w Sacramento, skazany w San Francisco, odsiadywał wyrok w więzieniu federalnym na Florydzie.

Chociaż przymknęli go przed z górą dwoma laty, wciąż walczył z goryczą. Wciąż wierzył w swoją niewinność, wciąż marzył o pokonaniu wrogów. Lecz marzenia powoli blakły. Finn dużo czasu spędzał na bieżni. Biegał samotnie, smażąc się na słońcu i rozmyślając o lepszym życiu.

- Sprawa numer jeden: Schneider kontra Magruder - ogłosił Spicer, jakby za chwilę miał się rozpocząć wielki proces antytrustowy.

- Schneitera nie ma - powiedział Beech.

- A gdzie jest?

- W szpitalu. Znowu ma kamienie. Właśnie stamtąd wracam.

Hatlee Beech, trzeci członek Bractwa. Większość czasu spędzał w szpitalu, gdyż albo dokuczały mu hemoroidy, albo bolała go głowa, albo puchły mu migdałki. Był najmłodszy z nich - miał pięćdziesiąt sześć lat - a ponieważ pozostało mu do odsiedzenia jeszcze dziewięć kalendarzy, święcie wierzył w to, że umrze w więzieniu. Kiedyś był sędzią federalnym we wschodnim Teksasie, zatwardziałym konserwatystą, który doskonale znał Biblię i lubił cytować ją podczas rozpraw. Miał

ambicje polityczne, miłą rodzinę i pieniądze z rodzinnego trustu naftowego żony. Miał również problemy z alkoholem, o których nikt nie wiedział do chwili, gdy Beech przejechał dwoje wycieczkowiczów w Yellowstone. Oboje zmarli.

Prowadzony przez niego samochód należał do pewnej młodej damy, która bynajmniej nie była jego żoną. Znalaziono ją na przednim siedzeniu, nagą i tak pijaną, że nie mogła chodzić.

Beech dostał dwanaście lat.

Joe Roy Spicer, Finn Yarber, Hatlee Beech. Sąd niższej instancji północnej Florydy, lepiej znany jako Bractwo z Trumble, federalnego więzienia o złagodzonej rygorze, zakładu penitencjarnego bez murów, płotów, strażników na wieżyczkach i bez drutu kolczastego. Jeśli już musisz garować, garuj u federalnych, w miejscu takim jak to.

- 4 -

- Sądzimy go zaocznie? - spytał Spicer Beecha.

- Nie, przełożmy rozprawę na przyszły tydzień.

- Wnoszę sprzeciw - powiedział siedzący w pierwszym rzędzie Magruder.

- To se wnoś - odrzekł Spicer. - Rozprawa odroczone.

Magruder wstał.

- To już trzeci raz. Jestem powodem. To ja wniosłem oskarżenie. A on przed każdą rozprawą pryska

do szpitala.

- O ile wam poszło?

- O siedemnaście dolców i dwa pornole - wyjaśnił usłużnie T. Karl.

- No, no, no... - mruknął Spicer. Siedemnaście dolarów długu gwarantowało w Trumble natychmiastowy pozew.

Finn Yarber był już znudzony. Jedną ręką głaskał wystrzępioną siwą brodę, zaś długimi paznokciami drugiej wodził

po stole. Po chwili, żeby się trochę rozruszać, wbił palce stóp w podłogę, jakby chciał je sobie wyłamać, i w sali rozległ się głośny, działający na nerwy trzask. W poprzednim życiu, kiedy miał jeszcze tytuł prezesa Kalifornijskiego Sądu Najwyższego, często przewodniczył rozprawom w skórzanych chodakach - skarpetek nie nosił - żeby łatwiej mu było ćwiczyć podczas nudnych wywodów obrońców i oskarżycieli.

- Przełożmy to - burknął.

- Sprawiedliwość nierychliwa, to sprawiedliwość nieuczciwa - rzekł z powagą Magruder.

- Bardzo oryginalne - odparł Beech. - Zaczekamy jeszcze tydzień, a potem osądzimy go zaocznie.

- Rozprawa odroczone - oznajmił nieodwołałnie Spicer.

T. Karl odnotował to w rejestrze. Nabuzowany Magruder usiadł. Wniósł pozew, wręczając sekretarzowi krótkie streszczenie zarzutów. Zajęło dokładnie stronę. Tylko jedną stronę. Bractwo nie tolerowało papierkowej roboty. Jedna strona i miało się swój dzień w sądzie. Schneider odpowiedział sześcioma stronami inwektyw, które T. Karl skrzętnie powykreślał.

Zasady były proste. Krótkie pozwy. Żadnego przekładania dokumentów z kupki na kupkę. Szybkie procesy.

Natychmiastowe i prawomocne rozstrzygnięcia, pod warunkiem że obie strony zgłosiły gotowość podporządkowania się orzeczeniom sądu. Żadnych apelacji, bo niby do kogo mieliby się odwoływać? Świadków nie zaprzysięgano. Kłamstwo było jak najbardziej dopuszczalne. Ostatecznie i sędziowie, i pozwani, i skarżący siedzieli w więzieniu.

- Co mamy dalej? - spytał Spicer.

T. Karl zawahał się i odrzekł:

- Sprawę Czarodzieja.

Sala na chwilę zamarła, a potem rząd plastikowych krzeseł ruszył z hurkotem naprzód jak batalion szarżujących czołgów. Hurkot narastał, krzesła były coraz bliżej, wreszcie T. Karl nie wytrzymał i

krzyknął:

- Dość! Wystarczy!

Plastikowe czołgi znieruchomiały niecałe sześć metrów od sędziowskiego stołu.

- Zachowajmy dobre obyczaje, panowie! - dodał T. Karl.

Sprawa Czarodzieja psuła im krew od wielu miesięcy. Czarodziej, młody kanciarz z Wall Street, nabił w butelkę kilku bogatych klientów. Nie doliczono się - bagatela! - czterech milionów dolarów. Według krążącej po Trumble legendy, cwany oszust ukrył pieniądze na Bahamach i zarządzał nimi z więzienia. Do odsiadki pozostało mu jeszcze sześć lat - kiedy wyjdzie na warunkowe, będzie miał lat czterdzieści. Powszechnie uważano, że spokojnie zalicza rok za rokiem, żeby pewnego

- 5 -

pięknego dnia odzyskać wolność i jako wciąż młody człowiek odlecieć prywatnym odrzutowcem na wyspę, gdzie czekała fortuna.

Legenda była tym wiarygodniejsza, że Czarodziej trzymał się na uboczu, spędzając długie godziny na analizowaniu opasłych zestawień finansowych i lekturze zawiłych publikacji ekonomicznych. Nawet sam naczelnik próbował wyłudzić od niego kilka giełdowych cynków.

Bliższą znajomość zawarł z nim były adwokat znany jako Szuler. Zawarł znajomość i nie wiedzieć, jakim sposobem skłonił go do udzielenia fachowej porady małemu klubowi inwestycyjnemu, który zbierał się co tydzień w więziennej kaplicy.

W imieniu tegoż klubu Szuler oskarżał Czarodzieja o oszustwo.

Szuler usiadł na krześle dla świadków i zaczął zeznawać. Jak zwykle zrezygnowano z obowiązujących w sądach procedur, żeby jak najszybciej dojść do prawdy, bez względu na formę, jaką mogła przybrać.

- Któregoś dnia - mówił - idę do Czarodzieja i pytam go, co myśli o ValueNow, o tej nowej firmie internetowej, o której czytałem w „Forbes”. Miała wejść na giełdę i uznałem, że dobrze się zapowiada. Czarodziej obiecał sprawdzić, ile jest warta. Obiecał i przestał się do mnie odzywać. No więc wracam do niego i pytam: „Hej, Czarodziej, i co z tym ValueNow?”.

A on na to, że jego zdaniem to solidna firma i że akcje pójną w górę jak rakieta.

- Tego nie powiedziałem - wtrącił szybko Czarodziej; siedział samotnie na drugim końcu sali z rękami złożonymi na oparciu stojącego przed nim krzesła.

- Owszem, powiedziałeś.

- Nie, nie powiedziałem.

- Tak czy inaczej, idę na zebranie naszego klubu, powtarzam im to, co od niego usłyszałem i postanawiamy kupić trochę akcji ValueNow. Sęk w tym, że my, małe szaraczki, nie możemy ich nabyć, ponieważ cała oferta jest już dawno zaklepana. Wracam do Czarodzieja i mówię: „Posłuchaj, Czarodziej. Mógłbyś pociągnąć za sznurki na Wall Street i załatwić nam kilka akcji ValueNow?”. A on na to, że mógłby.

- To kłamstwo - powiedział Czarodziej.

- Spokój - warknął sędzia Spicer. - Zaraz oddam ci głos.

- Ale on kłamie - powtórzył Czarodziej, jakby kłamstwo było w Trumble zabronione.

Jeśli Czarodziej naprawdę miał te cztery miliony, nikt by tego po nim nie poznał, a przynajmniej nikt z osadzonych.

Jego cela - dwa czterdzieści na trzy sześćdziesiąt - była zupełnie naga, jeśli nie liczyć piętrzących się wszędzie stert czasopism i publikacji finansowych. Nie miał ani wieży stereo, ani książek, ani papierosów, ani żadnych innych dóbr powszechnie kupowanych przez współwięźniów, co wydajnie przyczyniało się do utrwalania jego legendy. Uważano go za sknerusa, za małego dziwaka, który na wszystkim oszczędza i każdego centa odkłada na zagraniczne konto.

- Tak czy inaczej - kontynuował Szuler - postanowiliśmy zaryzykować i pójść na całość. Nasza strategia polegała na likwidacji indywidualnych aktywów i całkowitej konsolidacji.

- Na konsolidacji? - spytał sędzia Beech. Szuler mówił jak zarządca portfela papierów wartościowych, który obraca milionami dolarów.

- Tak jest, na całkowitej konsolidacji. Zapożyczyliśmy się u kumpli i rodzin na blisko tysiąc dolców.

- Na tysiąc dolców... - powtórzył sędzia Spicer. Tysiąc dolarów to całkiem nieźle jak na taką operację. - No i co?

- Powiedziałem Czarodziejowi, że jesteśmy gotowi do działania, i spytałem, czy załatwi nam te akcje. To było we wtorek. Sprzedaż ruszała w piątek. Czarodziej na to, że nie widzi problemu. Że ma kumpla u Goldmana Suksa czy gdzieś

- 6 -

tam, i że ten kumpel to załatwi.

- On kłamie - wtrącił Czarodziej.

- Nie kłamię. We wtorek podszedłem do Czarodzieja na wschodnim podwórzu i spytałem go o nasze akcje.

Powiedział, że to żaden problem.

- To kłamstwo - rzucił Czarodziej z drugiego końca sali.

- Mam świadka.

- Kogo? - spytał sędzia Spicer.

- Picassa.

Picasso siedział za Szulerem wraz z pozostałymi sześcioma członkami kaplicznego klubu inwestycyjnego. Rad nierad, pomachał Wysokiemu Sądowi ręką.

- To prawda? - spytał Spicer.

- Tak jest - odrzekł Picasso. - Szuler spytał go o akcje, a Czarodziej powiedział, że je załatwi, że to dla niego betka.

Picasso zeznawał w wielu sprawach i przyłapywano go na kłamstwie częściej niż pozostałych osadzonych.

- Proszę dalej - rzekł Spicer.

- W czwartek nie mogłem go nigdzie znaleźć - kontynuował Szuler. - To znaczy Czarodzieja. Ukrywał się przede mną...

- Nieprawda.

- W piątek rozpoczęto sprzedaż. Akcje oferowano po dwadzieścia dolarów od sztuki i gdyby nasz rekin z Wall Street dotrzymał słowa, moglibyśmy je kupić. Sprzedaż ruszyła od sześćdziesięciu, przez większość dnia utrzymywała się na poziomie osiemdziesięciu, a zamknęła na siedemdziesięciu dolarach za akcję. Zamierzaliśmy natychmiast je sprzedać. Kupić pięćdziesiąt po dwadzieścia dolarów za sztukę, opchnąć je po osiemdziesiąt i wyjść z tego z trzema tysiącami dolarów czystego zysku.

Przemoc stosowano w Trumble bardzo rzadko. Za trzy tysiące dolarów nikt by pewnie nie zginął, ale mógłby wylądować w szpitalu z połamanymi kośćmi. Czarodziej miał jak dotąd szczęście, bo nie zastawiono na niego żadnej zas adzki.

- I uważacie, że Czarodziej powinien wam ten zysk zwrócić? - spytał były prezes sądu najwyższego Finn Yarber.

- No jasne - odparł Szuler. - Sprawa tym bardziej śmierdzi, że Czarodziej kupił akcje ValueNow dla siebie.

- Co ty, kurwa, pieprzysz? - rzucił Czarodziej.

- Tylko bez przekleństw proszę - warknął sędzia Beech. Jeśli chciało się przegrać sprawę, wystarczyło urazić Beecha wulgarnym słownictwem.

Plotkę, że Czarodziej kupił akcje dla siebie, rozpuścił Szuler i jego banda. Nie mieli na to żadnych dowodów, lecz opowieść była tak ekscytująca, osadzeni tak często ją powtarzali, że wkrótce uznano, że jest całkowicie i niepodważalnie prawdziwa. Tak dobrze do wszystkiego pasowała...

- Skończyłeś? - spytał sędzia Spicer.

Szuler chciał jeszcze coś dodać, rozwinąć kilka pobocznych wątków, lecz Bracia nie mieli cierpliwości do mętnych i przydługich wywodów. Zwłaszcza jeśli ich autorami byli adwokaci, którzy próbowali w ten sposób ożywić swoją wspaniałą, choć już dawno zapomnianą przeszłość. Osadzono ich w Trumble co najmniej pięciu i uczestniczyli niemal w każdej rozprawie.

- 7 -

- Chyba tak - odrzekł Szuler.

Spicer spojrział na Czarodzieja.

- Co masz do powiedzenia?

Czarodziej wstał i zrobił kilka kroków w stronę stołu. Spiorunował wzrokiem oskarżycieli, czyli Szulera i jego popleczników, po czym zwrócił się do Wysokiego Sądu z pytaniem:

- Jaki jest ciężar dowodu w tej sprawie?

Spicer spuścił głowę. Czekał na odsiecz. Jako sędzia pokoju nie miał żadnego wykształcenia prawniczego. Ba! Nie skończył nawet szkoły średniej i przez dwadzieścia lat pracował w wiejskim sklepiku ojca. To właśnie tam zdobył potrzebne do nominacji głosy. Zawsze polegał na zdrowym rozsądku, który często stał w sprzeczności z prawem, natomiast problemy związane z aspektami teoretycznymi prawa karnego rozwiązywali jego Bracia.

- Taki, jaki ustalimy. - Makler kontra prawnik: Beech rozkoszował się dyskusją na temat obowiązujących w sądzie procedur.

- Czy dowody są jasne i przekonujące? - spytał Czarodziej.

- Nie w tej sprawie.

- Czy nie pozostawiają uzasadnionych wątpliwości?

- Moim zdaniem pozostawiają.

- Czy mają większy ciężar gatunkowy niż dowody przedstawione przez pozwanego?

- Ciepło - odrzekł Beech. - Bardzo ciepło...

Czarodziej rozłożył ręce jak kiepski aktor w kiepskiej sztuce.

- Wnoszę z tego, że oskarżenie nie dysponuje żadnymi dowodami.

- Opowiedz nam lepiej, jak to wyglądało z twojej strony - zaproponował Beech.

- Bardzo chętnie. ValueNow przedstawiło typową ofertę sprzedaży: promocja, wielka akcja reklamowa i tak dalej.

Tak, Szuler prosił mnie o pomoc, ale zanim zdążyłem skontaktować się z kim trzeba, cała oferta została zarezerwowana.

Dzwoniłem do kumpla, który powiedział, że nie sposób nic od nich wycyckać. Dostępu do akcji nie mieli nawet ci najwięksi.

- Jak to? - spytał sędzieja Yarber.

W sali panowała martwa cisza. Czarodziej mówił o szmalu i wszyscy uważnie słuchali.

- W OW to normalka. OW, czyli oferta wyjściowa...

- Wiemy, co znaczy OW - przerwał mu Beech.

Beech może i wiedział, ale na pewno nie Spicer. W wiejskim sklepiku w Missisipi niewiele się na ten temat mówiło.

Czarodziej trochę się odprężył. Zamierzał oszołomić ich znajomością tematu, wygrać tę głupią sprawę, wrócić do swojej jaskini i natychmiast o nich zapomnieć.

- Ofertą wyjściową zarządzała mała firma inwestycyjna Bakin-Kline z San Francisco. Zaoferowali pięć milionów akcji, lecz prawie wszystkie rozproszili w przedsprzedaży wśród zaprzyjaźnionych klientów i przyjaciół, tak że wielkie firmy maklerskie nie miały do nich dostępu. Jak już mówiłem, to zupełnie normalne.

Sędziowie, osadzeni, nawet sądowy błazen - wszyscy dosłownie pili mu z ust.

- Czy możliwe jest - kontynuował Czarodziej - żeby usunięty z palestry i osadzony w zakładzie karnym adwokat, który dorwał gdzieś stary numer „Forbesa”, zdołał kupić pięćdziesiąt akcji ValueNow? Przecież to głupie.

I rzeczywiście, w chwili gdy to mówił, myśl ta wydała się głupia. Szuler kipiał wściekłością, a jego klubowi koledzy

- 8 -

zaczęli oskarżać go w duchu o naiwność.

- A ty? - spytał Beech. - Kupiłeś jakieś dla siebie?

- A skąd! Za wysokie progi. Poza tym większość firm takich jak ValueNow jest finansowana z podejrzanych źródeł.

Trzymam się od nich z daleka.

- A jakie wolisz? - spytał szybko Beech; górę wzięła w nim ciekawość.

- Takie, które przynoszą pewny zysk w długim czasie. Mnie się nigdzie nie spieszy. Posłuchajcie, panowie: to jest dęta sprawa. Ci chłopcy... - Machnął ręką w stronę Szulera, który coraz bardziej kurczył się na krześle. - Ci chłopcy szukają łatwego zarobku, i tyle. - Zabrzmiało to zupełnie wiarygodnie i bardzo obiektywnie.

Szuler oparł sprawę na plotkach, pomówieniach, domysłach i na współpracy z notorycznym kłamcą, za jakiego uchodził Picasso.

- Masz jakichś świadków? - spytał Spicer.

- Mnie świadkowie niepotrzebni - odparł Czarodziej i usiadł.

Każdy z sędziów zapisał coś na skrawku papieru. Narada była szybka, orzeczenie natychmiastowe. Yarber i Beech podsunęli karteczki Spicerowi, który zerknął na nie i oznajmił:

- Wynikiem dwa głosy przeciwko jednemu przyznajemy racje pozwanemu. Skarga zostaje oddalona. Następna sprawa.

Tak naprawdę werdykt zapadł jednogłośnie, lecz oficjalnie zawsze podawano, że któryś z sędziów głosował inaczej niż dwaj pozostali. Dzięki temu wszyscy trzej zyskiwali pole do manewru na wypadek, gdyby niezadowoleni z orzeczenia mieli do nich pretensje.

Jednak ogólnie rzecz biorąc, Bracia cieszyli się w Trumble powszechnym mirem. Decyzje podejmowali szybko, na tyle sprawiedliwie, na ile było ich stać, a uwzględniając mętne zeznania, których często musieli wysłuchiwać, trzeba przyznać, że były to decyzje niezwykle trafne. Spicer rozsądzał drobne sprawy przez wiele lat na zapleczu swego wiejskiego sklepiku i łgarza wyczuwał na kilometr. Beech i Yarber spędzili wiele lat w salach sądowych i nie tolerowali ani przydługich wywodów, ani taktyk opóźniających.

- Na dzisiaj to wszystko - zameldował T. Karl. - Wokanda wyczerpana.

- Bardzo dobrze. Sąd wznowi obrady w przyszłym tygodniu.

T. Karl zerwał się z miejsca i, odruchowo poprawiając opadające na ramiona loki, oznajmił:

- Koniec posiedzenia. Proszę wstać.

Nikt nie wstał, nikt się nawet nie poruszył. Bracia opuścili salę. Szuler naradzał się z członkami klubu inwestycyjnego.

Niewątpliwie zamierzali wnieść kolejny pozew. Czarodziej zniknął.

Zastępca naczelnika i strażnik niepostrzeżenie wyszli z sali. Cotygodniowe posiedzenie sądu było jedną z najciekawszych imprez w Trumble.

- 9 -

ROZDZIAŁ 2

Aaron Lake był kongresmanem od czternastu lat, mimo to wciąż jeździł po Waszyngtonie własnym samochodem. Nie potrzebował ani nie chciał szofera. Ani szofera, ani sekretarza, ani ochroniarza. Bywało, że zabierał ze sobą jakiegoś stażystę, który robił dla niego notatki, lecz z reguły wołał siadywać za kierownicą osobiście i, tkwiąc w ulicznych korkach, rozkoszować się spokojem przy dźwiękach klasycznej gitary ze stereo. Wielu jego przyjaciół, zwłaszcza tych, którzy dochrapali się statusu przewodniczącego czy wiceprzewodniczącego takiej czy innej komisji, miało o wiele większe samochody i szoferów na dokładkę. Niektórzy jeździli nawet limuzynami.

Niektórzy, ale nie Lake. Aaron Lake uważał, że to czysta strata czasu i pieniędzy. W kosza należało wliczyć również niemal całkowitą utratę prywatności. Gdyby kiedykolwiek przyszło mu zasiąść na wyższym urzędzie, nie chciałby mieć na karku wścibskiego szofera. Poza tym lubił samotność. A w biurze panowało istne piekło. Kłębiło się tam piętnastu ludzi -

piętnastu ludzi odbierało telefony, grzebało w komputerach i obsługiwało interesantów z Arizony, którzy wydelegowali go do Waszyngtonu. Dwóch dodatkowych urzędników zbierało fundusze. Po już i tak przyciasnych korytarzach kręciło się na dobitkę troje stażystów, którzy zabierali mu więcej czasu, niż na to zasługiwali.

Aaron Laker był wdowcem i mieszkał w starym, uroczym domku w Georgetown. Lubiał swój dom. Żył cicho i spokojnie, od czasu do czasu pojawiając się na co ciekawszych imprezach towarzyskich, które przed laty pochłaniały i jego, i jego zmarłą żonę.

Jechał obwodnicą. Jechał powoli, ponieważ był duży ruch, w dodatku niedawno spadł lekki śnieg. Langley.

Nareszcie. Ci ze służby bezpieczeństwa szybko go przepuścili. Wjechawszy na teren kwatery głównej CIA, z zadowoleniem stwierdził, że czeka na niego specjalnie zarezerwowane miejsce parkingowe. Miejsce i dwóch agentów w cywilnych ubraniach.

- Pan dyrektor prosi - oznajmił poważnie jeden z nich, otwierając drzwiczki samochodu. Drugi wziął od niego dyplomatkę. Tak, władza miała swoje plusy.

Lake nigdy dotąd nie spotykał się z Maynardem w Langley. Owszem, dwa razy rozmawiał z nim na Kapitolu, ale było to przed wieloma laty, kiedy biedak mógł jeszcze chodzić. Teddy Maynard, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, poruszał się teraz na wózku. Nieustannie doskwierał mu silny ból, tak że kiedy tylko tego zapragnął, przyjeżdżali do niego nawet senatorowie. W ciągu ostatnich czternastu lat wzywał Lake'a z sześć razy, lecz jako człowiek

niezwykle zajęty, załatwianie pomniejszych spraw zlecał swoim zastępcom i współpracownikom.

Kongresman i towarzyszący mu agenci szli przed siebie szerokim korytarzem siedziby CIA, mijając po drodze liczne punkty kontrolne. Nikt ich nie zatrzymywał. Zanim dotarli do gabinetu dyrektora, Lake jakby trochę urósł. Szedł dużo swobodniej niż na parkingu i leciutko zadzierał nosa. Nic nie mógł na to poradzić. Władza to najsilniejszy narkotyk.

Cóż, ostatecznie wzywał go sam Teddy Maynard.

W wielkim kwadratowym pomieszczeniu bez okien, nieoficjalnie zwanym bunkrem, siedział samotnie dyrektor Maynard, spoglądając apatycznie na duży ekran, na którym zastygła bez ruchu twarz kongresmana Aarona Lake'a. Zdjęcie zrobiono przed trzema miesiącami, podczas uroczystej imprezy charytatywnej. Lake wypił wtedy pół kieliszka wina, zjadł

- 10 -

porcję pieczonego kurczaka, zrezygnował z deseru, wrócił samotnie do domu i przed jedenastą położył się spać. Zdjęcie było sympatyczne, ponieważ Lake wyglądał na nim bardzo atrakcyjnie: miał gęste rudawe włosy niemal bez śladu siwizny - nie farbował ich ani nawet nie rozjaśniał - ciemnoniebieskie oczy, kwadratowy podbródek i ładne zęby. Skończył pięćdziesiąt trzy lata i starzał się doprawdy przepięknie. Dzień w dzień ćwiczył na maszynie do wiosłowania - dokładnie pół godziny - i miał idealny jak na swój wiek poziom cholesterolu we krwi, sto sześćdziesiąt. Nałogi? Złe nawyki? Nie znaleźli ani jednego.

Lubił towarzystwo kobiet, zwłaszcza gdy ważne było, żeby się z jakąś pokazać. Jego stałą kochanką była sześćdziesięcioletnia wdowa z Bethesdy, której mąż zbił majątek jako lobbysta.

Oboje rodzice nie żyli. Jego jedyna córka uczyła w szkole w Santa Fe. Żona - wytrwał z nią dwadzieścia dziewięć lat

- zmarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym na raka jajników. Rok później zdechł jego trzynastoletni spaniel i od tamtej pory kongresman Aaron Lake mieszkał zupełnie sam. Był katolikiem - nie to, żeby wyznanie miało ostatnio jakieś znaczenie - i co najmniej raz w tygodniu chodził do kościoła.

Teddy nacisnął guzik i twarz zniknęła.

Poza Kapitołem Lake'a prawie nie znano, głównie dlatego że potrafił zapanować nad swoimi ambicjami. Jeśli aspirował do wyższych urzędów, skrzętnie to ukrywał. Kiedyś uważano, że mógłby kandydować na gubernatora Arizony, lecz Aaron za bardzo lubił Waszyngton. Lubił też Georgetown - tłumy ludzi, pełną anonimowość, dobre restauracje, ciasne księgarenki i małe bary, gdzie serwowano kawę z ekspresu. Lubił też teatr i muzykę. Za życia żony bywali razem na każdej imprezie w Kennedy Center.

Na Kapitolu miał opinię bystrego, pracowitego kongresmana i krasomówcy, człowieka do szpiku kości uczciwego, lojalnego i sumiennego. Ponieważ w jego rejonie wyborczym zbudowano cztery

wielkie fabryki współpracujące z Pentagonem, bardzo szybko stał się ekspertem od sprzętu wojskowego. Przewodniczył Komisji do spraw Służb Wojskowych w Izbie Reprezentantów i właśnie jako przewodniczący poznał dyrektora CIA.

Pstryk, i na ekranie ponownie wykwitła znajoma twarz. Teddy Maynard był prawdziwym weteranem - pracował w wywiadzie od pięćdziesięciu lat - i jako weteran rzadko kiedy odczuwał niepokój powiązany z nieprzyjemnym uciskiem w brzuchu. Wiele razy cudem uniknął kuli, ukrywał się pod mostami, marzył w górach. Otruł dwóch czeskich szpiegów, zastrzelił

zdrajcę w Bonn, opanował siedem języków, walczył w zimnej wojnie, a obecnie próbował nie dopuścić do kolejnej. Przeżył

więcej przygód niż dziesięciu agentów razem wziętych, mimo to, patrząc na niewinną twarz kongresmana Aarona Lake'a, odczuwał dziwny lęk.

On - czyli CIA - miał za chwilę zrobić coś, czego nigdy dotąd nie robił.

Zaczynali od stu senatorów, pięćdziesięciu gubernatorów i czterystu trzydziestu pięciu kongresmanów - wszyscy uchodzili za niezłych kandydatów, ale teraz został im tylko jeden. Członek Izby Reprezentantów Aaron Lake z Arizony.

Teddy wcisnął guzik i twarz powoli zgasła. Nogi miał przykryte narzutą. Codziennie ubierał się tak samo: w ciemnogrnatowy sweter i w białą koszulę. Codziennie wiązał stonowany krawat. Podjechał wózkiem pod drzwi, szykując się na spotkanie z ostatnim kandydatem.

Lake czekał na spotkanie osiem minut. Podczas tych ośmiu minut podano mu kawę i zaproponowano kawałek ciasta.

Za ciasto stanowczo podziękował. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył siedemdziesiąt siedem kilo, dbał o swój wygląd i Teddy bardzo by się zdziwił, gdyby przyjął słodki poczęstunek. Według danych, jakimi dysponowali, Aaron Lake nigdy nie jadł cukru. Nigdy. Pod żadną postacią.

- 11 -

Kawa była mocna i gorąca. Lake sączył ją, jeszcze raz przeglądając wszystkie dokumenty. Celem spotkania miała być rozmowa na temat niepokojącego napływu sprzętu artyleryjskiego na Bałkany - sprzętu pochodzącego z czarnego rynku.

Lake przywiózł ze sobą dwa dokumenty, w sumie osiemdziesiąt stron danych, nad którymi ślęczał do drugiej nad ranem. Nie był pewien, dlaczego Maynard wezwał go w tak błahej sprawie, mimo to postanowił się przygotować.

Cichutko zabrzączał brzęczyk, otworzyły się drzwi i do sekretariatu wjechał dyrektor CIA z nogami owiniętymi narzutą. Skończył siedemdziesiąt cztery lata i dokładnie na tyle wyglądał. Lecz uścisk dłoni wciąż miał krzepki, pewnie dlatego że poruszał się na wózku. Lake wszedł za nim do bunkra. Dwóch wykształconych w college'u goryli przywarowało pod drzwiami.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole biegnącym przez całą długość pomieszczenia ograniczonego białą ścianą, służącą za olbrzymi ekran. Po krótkiej rozmowie wstępnej Teddy wcisnął guzik i na ekranie pojawiła się twarz - inna twarz.

Kolejny guzik i światła przygasły. Lake uwielbiał takie sztuczki: pstryk, i niewidzialna maszyna natychmiast wyświetlała to, co trzeba. Pstryk, i przestawała wyświetlać. Nie miał wątpliwości, że pomieszczenie jest naszpikowane skomplikowaną aparaturą i detektorami czuymi na tyle, że mogły zbadać mu puls z odległości dziesięciu metrów.

- Poznaje go pan? - spytał Teddy.

- Nie jestem pewien... Ale tak, już go gdzieś widziałem.

- To Natalij Czenkow. Były generał. Obecnie członek tego, co zostało z rosyjskiego parlamentu.

- Zwany również Szalonym Natem - dodał z dumą Lake.

- We własnej osobie. Zatwardziały komunista, blisko powiązany z wojskiem. Błyskotliwy umysł, wielkie mniemanie o sobie, rozbuchane ambicje, bezwzględność w działaniu. Najniebezpieczniejszy człowiek w świecie.

- Tego nie wiedziałem.

Pstryk, i na ekranie pojawiła się kamienna twarz w paradnej czapce od galowego munduru.

- A to jest Jurij Golcyn, zastępca dowódcy resztek rosyjskiej armii. Czenkow i Golcyn mają wielkie plany. - Pstryk, i na ścianie wykwitła mapa terenów położonych na północ od Moskwy. - Tutaj gromadzą broń - wyjaśnił Teddy. -

Praktycznie rzecz biorąc, nawzajem ją sobie podkradają, ogałacając wojsko, lecz istotniejsze jest to, że kupują ją również na czarnym rynku.

- Skąd mają pieniądze?

- Zewsząd. Za ropę naftową dostali od Izraela najnowszy model radaru. Szmuglują narkotyki i kupują chińskie czołgi za pośrednictwem Pakistanu. Czenkow ma ścisłe powiązania z rosyjskimi mafiosami, a jeden z nich wybudował ostatnio fabrykę w Malezji; produkują tam karabiny i ręczne pistolety maszynowe. Opracowali przebiegły plan. Czenkow to tęgi umysł, człowiek o bardzo wysokim ilorazie inteligencji. Może nawet geniusz.

Geniuszem był Teddy Maynard i jeśli przyznawał ten tytuł komuś innemu, kongresman Lake bez zastrzeżeń mu wierzył.

- Rozumiem - powiedział. - Kogo chcą zaatakować?

Maynard puścił to pytanie mimo uszu; na odpowiedź było jeszcze za wcześnie.

- Proszę spojrzeć na Wołogdę. Leży osiemset kilometrów na wschód od Moskwy. W zeszłym tygodniu w jednym z tamtejszych magazynów odkryliśmy sześćdziesiąt pocisków typu Wietrow. Jak pan wie, pocisk typu Wietrow...

- Jest odpowiednikiem naszego Tomahawka Cruise'a, tylko o sześćdziesiąt centymetrów dłuższym.

- Właśnie. W ciągu półtora miesiąca przetrucili tam w sumie trzysta sztuk. Widzi pan Rybińsk na południowy zachód

- 12 -

od Wołogdy?

- Pluton.

- Tony plutonu. Wystarczy na wyprodukowanie dziesięciu tysięcy głowic bojowych. Cały teren jest pod kontrolą Czenkowa, Golcyna i ich ludzi.

- Pod kontrolą?

- Tak. Służą im miejscowa mafia i wojsko. Czenkow jest przygotowany na wszystko.

- To znaczy na co?

Teddy wcisnął guzik i biała ściana zgasła. Jednakże światła pozostały przyciemnione, tak że kiedy odezwał się z drugiego końca stołu, jego głos popłynął niemal z kompletnego mroku.

- Na zamach stanu, panie Lake. Zamach stanu jest tuż tuż. Spełniają się nasze najgorsze obawy. Rosyjskie społeczeństwo i wszystkie aspekty jego kultury pękają i walą się w gruzy. Demokracja to tylko głupi żart. Kapitalizm to koszmar. Myśleliśmy, że uda nam się ich zmacdonaldyzować i ponieśliśmy klęskę. Robotnicy nie dostają pensji i mają szczęście, jeśli w ogóle pracują. Szaleje dwudziestoprocentowe bezrobocie. Dzieci umierają z braku leków. Wielu dorosłych też. Dziesięć procent ludzi nie ma gdzie mieszkać. Dwadzieścia nie ma co jeść. Sytuacja pogarsza się z każdym dniem. Mafia łupi cały kraj. Według naszych danych ukradziono i wywieziono z kraju co najmniej pięćset miliardów dolarów. Nic nie wskazuje na to, żeby miało się polepszyć. Nadeszła pora, żeby rządy objął człowiek silnej ręki, dyktator, który obieca ludziom powrót do stabilizacji. To najodpowiedniejsza chwila. Kraj błaga o silnego przywódcę i pan Czenkow uznał, że znakomicie się do tej roli nadaje.

- Poza tym stoi za nim wojsko.

- Właśnie, i niczego więcej mu nie potrzeba. Przewrót będzie bezkrwawy, ponieważ ludzie są na to przygotowani.

Przyjmą Czenkowa z otwartymi ramionami. Wkroczy na Plac Czerwony i rzuci Stanom Zjednoczonym wyzwanie: śmiało, stańcie mi tylko na drodze, panowie. Znowu będziemy wrogami.

- I ponownie rozpocznie się zimna wojna... - dodał cicho Lake.

- Nie będzie w niej nic zimnego. Czenkow chce ekspansji, pragnie odzyskać dawne sowieckie imperium.

Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, dlatego nie pogardzi ani gotówką, ani ziemią, ani fabrykami, ani naftą, ani zbożem. Będzie wzniewał małe regionalne wojny, które bez trudu wygra.

Na ścianie pojawiła się kolejna mapa. Lake miał przed sobą schemat pierwszej fazy nowego światowego ładu.

- Podejrzewam - kontynuował Teddy - że najpierw rozprawi się z państwami bałtyckimi, obalając rządy w Estonii, na Łotwie, Litwie i tak dalej. Potem uderzy na były blok państw wschodnich i pozawiera pakt z działającymi tam komunistami.

Lake zaniemówił, patrząc na błyskawiczną ekspansję Rosji. Prognozy Teddy'ego były takie kompetentne, takie dokładne...

- A Chiny? - spytał.

Ale Teddy nie skończył jeszcze z Europą Wschodnią. Na ekranie wykwitła kolejna mapa.

- A tutaj utnie - powiedział.

- Na Polsce?

- Tak. Jak zwykle. Nie wiedzieć czemu, Polska jest teraz członkiem NATO. Wyobraża pan sobie? Polacy, którzy bronią przed Rosjanami i nas, i całej Europy. Czenkow próbuje scalić byłe imperium i tęsknym okiem spogląda na zachód.

Tak samo jak Hitler, z tym że on spoglądał na wschód.

- 13 -

- Ale po co mu Polska?

- A po co była potrzebna Hitlerowi? Leżała między nim a Rosją. Hitler nienawidził Polaków i rozpoczął z nimi wojnę.

Czenkow ma Polskę gdzieś, chce ją tylko kontrolować. I zniszczyć NATO.

- Zaryzykuje trzecią wojnę światową?

Kolejny guzik. Ekran zgasł, zapaliły się światła. Pokaz środków audiowizualnych dobiegł końca i nadeszła pora na poważną rozmowę. Teddy zmarszczył czoło. Nie mógł się powstrzymać - nogi przeszył mu ostry ból.

- Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć - odrzekł. - Wiemy bardzo dużo, ale nie siedzimy w jego głowie.

Przeprowadza tę akcję cicho i spokojnie. Obsadza stanowiska swoimi ludźmi, przygotowuje grunt... Spodziewaliśmy się tego, i to od dawna.

- Oczywiście. Znamy ten scenariusz co najmniej od ośmiu lat, ale zawsze mieliśmy nadzieję, że się nie sprawdzi.

- Już się sprawdza, już. Teraz, w tej chwili. My tu sobie rozmawiamy, a Czenkow i Golcyn eliminują przeciwników.

- Kiedy uderzą?

Teddy poprawił się na wózku, próbując usiąść inaczej i złagodzić ból.

- Trudno powiedzieć. Jeśli jest inteligentny, a na pewno jest, zaczeka, aż ludzie wyjdą na ulicę. Myślę, że najdalej za rok Natalij Czenkow będzie najsłynniejszym człowiekiem w świecie.

- Za rok... - powtórzył Lake, jakby właśnie skazano go na śmierć.

Zapadła długa chwila ciszy. Kongresman Lake kontemplował koniec świata, a Teddy nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. Nieprzyjemny ucisk w brzuchu jakby nieco zelżał. Tak, Lake mu się podobał. Był naprawdę przystojny, wygadany i rozgarnięty. Postawili na dobrego konia.

Ludzie go wybiorą.

Wypili kawę, Teddy odebrał telefon - dzwonił wiceprezydent - po czym wznowili pogawędkę, by poruszyć kolejne wątki tematu. Lake czuł się wyróżniony: dyrektor CIA miał dla niego tyle czasu. Nadciągały hordy Rosjan, a on wydawał się taki spokojny.

- Chyba nie muszę panu mówić, jak bardzo nieprzygotowane jest nasze wojsko - zaczął posepnie.

- Nieprzygotowane do czego? Do wojny?

- Niewykluczone, że do wojny. Jeśli jesteśmy nieprzygotowani, może do niej dojść. Jeśli jesteśmy silni, zvarci i gotowi, zdołamy jej uniknąć. W tej chwili Pentagon nie byłby nawet w stanie przeprowadzić operacji na skalę wojny w Zatoce Perskiej w dziewięćdziesiątym pierwszym.

- Nasz stan gotowości bojowej sięga siedemdziesięciu procent - odparł autorytatywnie Lake; ostatecznie była to jego działka.

- Siedemdziesiąt procent oznacza wojnę. Wojnę, której żadnym sposobem nie wygramy. Czenkow wydaje na sprzęt każdego skradzionego centa. A my regularnie obcinamy nasz budżet na obronę. Chcąc uniknąć rozlewu amerykańskiej krwi, wolimy naciskać guziki i odpalać inteligentne pociski rakietowe. Tymczasem Czenkow rzuci do boju dwa miliony wygłodniałych żołnierzy gotowych walczyć i umrzeć za sprawę.

Przez krótką chwilę Lake był z siebie dumny. Miał odwagę zagłosować przeciwko ostatnim ustaleniom budżetowym, ponieważ ograniczały wydatki na cele zbrojeniowe. Jego wyborcy bardzo go za to ganili.

- A gdybyśmy tak obnażyli jego plany? - spytał.

- 14 -

- Teraz? Nie. Wykluczone. Mamy świetnie działający wywiad i doskonałe rozpoznanie sytuacji. Jeśli zareagujemy, Czenkow odkryje, że go rozgryźliśmy. To klasyczna szpiegowska gra. Jest za wcześnie, żeby zrobić z niego potwora.

- W takim razie jaki ma pan plan? - spytał odważnie Lake. Pytać o plany dyrektora CIA? To czysta arogancja, lecz spotkanie powoli dobiegało końca. Teddy wprowadził w temat kolejnego kongresmana i nie ulegało wątpliwości, że lada chwila podziękuję mu za rozmowę, by wezwać do bunkra przewodniczącego innej komisji czy podkomisji.

Jednak Teddy Maynard miał wielkie plany i bardzo chciał się nimi podzielić.

- Prawyborcy w New Hampshire odbędą się za dwa tygodnie. Startuje czterech republikanów i dwóch demokratów, a wszyscy mówią to samo. Żaden z kandydatów nie chce zwiększyć wydatków na zbrojenia. Państwo ma nadwyżkę budżetową - cud na cudy! - a każdy z nich sypie pomysłami, jak ją rozdysponować. Banda imbecyli. Kilka lat temu mieliśmy olbrzymi deficyt, a Kongres wydawał pieniądze szybciej, niż je drukowano. Teraz mamy nadwyżkę, a ci głupcy nie wiedzą, co z nią zrobić.

Lake uciekł wzrokiem w bok, puszczając tę uwagę mimo uszu.

Teddy ugryzł się w język.

- Przepraszam - mruknął. - Nieodpowiedzialny jest Kongres jako całość, co nie znaczy, że nie zasiada tam wielu znakomitych polityków.

- Nie musi mi pan tego mówić.

- Tak czy inaczej, w prawyborach wystartuje sześciu sklonowanych idiotów. Dwa tygodnie temu mieliśmy jeszcze innych. Obrzucali się błotem i dźgali wzajemnie nożami, a wszystko dla dobra czterdziestego czwartego pod względem wielkości stanu USA. Beznadziejne.

Teddy zamilkł, boleśnie wykrzywił twarz i po raz kolejny spróbował zmienić położenie bezwładnych nóg.

- Potrzebujemy kogoś nowego - dodał. - I uważamy, że tym kimś może być pan.

Lake zareagował zgodnie z przewidywaniami: najpierw stłumił śmiech - zrobił to, wykrzywiając usta i dyskretnie odkasłując - potem spróbował się opanować, wreszcie rzekł:

- Pan żartuje.

- Nie, i dobrze pan o tym wie - odparł poważnie Maynard. Nie ulegało już wątpliwości, że kongresman wpadł w umiejętnie zastawione sidła.

Lake odchrząknął i tym razem zdołał wziąć się w garść.

- Dobrze. A więc słucham.

- Sprawa jest bardzo prosta. Tak prosta, że aż piękna. Już za późno, żeby wystartował pan w prawyborach w New Hampshire, zresztą New Hampshire nie ma najmniejszego znaczenia. Zostawmy ten stan maluczkim, niechaj skaczą sobie do gardła. Zaczekamy, aż skończą, po czym zadziwimy wszystkich, zgłaszając pańską kandydaturę do walki o Biały Dom. Wielu spyta: „Aaron Lake? A któż to, do diabła, jest?”. I dobrze, niech sobie pytają. Właśnie tego chcemy. Wkrótce się dowiedzą.

Pańska platforma wyborcza będzie początkowo bardzo uboga. Skupi się pan wyłącznie na wydatkach zbrojeniowych. Będzie pan zwiastunem złych nowin, złowieszczym prorokiem, wytykającym naszą militarną słabość. Kiedy zażąda pan podwojenia nakładów na wojsko, gwarantuję, że wszyscy zwrócą na pana uwagę.

- Podwojenia nakładów na...

- Widzi pan? Nawet pana to zaskoczyło. Tak, podwojenia nakładów w trakcie czteroletniej kadencji.

- Ale po co? Zgoda, wojsku się nie przelewa, ale podwojenie nakładów to chyba przesada.

- 15 -

- W obliczu kolejnej wojny? Nie, to nie przesada. Dlaczego? Bo w tej wojnie za jednym naciśnięciem guzika będziemy wystrzeliwać tysiąc Tomahawków, a każdy pocisk tego typu kosztuje milion dolarów. Pamięta pan ten burdel na Bałkanach? Omal nam ich nie zabrakło. Dobrze pan wie, że wojsku brakuje również żołnierzy, pilotów i marynarzy. Pentagon potrzebuje worków pieniędzy na ludzi i sprzęt. Tak, brakuje nam wszystkiego: żołnierzy, rakiet, czołgów, samolotów i lotniskowców. Czenkow rośnie w siłę. A my nie. My wciąż redukujemy stan liczebny armii i jeśli podczas kolejnej prezydentury sytuacja nie ulegnie zmianie, będzie po nas.

Teddy Maynard mówił coraz głośniej, coraz gniewniej i kiedy powiedział „będzie po nas”, Lake miał wrażenie, że ziemia zadrżała od wybuchów bomb.

- Ale skąd wziąć na to pieniądze? - spytał.

- Na co?

- Na dozbrojenie wojska.

Teddy prychnął z niesmakiem i rzekł:

- Jak to skąd? Stamtąd co zawsze. Czy muszę panu przypominać, że mamy nadwyżkę?

- Właśnie ją wydajemy.

- Tak, oczywiście, naturalnie... Proszę posłuchać: niech pan nie martwi się o pieniądze. Wkrótce po tym, gdy zgłosi pan swoją kandydaturę, Amerykanie zaczną robić w portki ze strachu. Początkowo pomyślą, że pan zwariował, że jest pan nawiedzonym oszołomem z Arizony, który chce zbudować jeszcze więcej bomb. Wtedy nimi potrząśniemy. Stworzymy sytuację kryzysową na drugim końcu świata i Aaron Lake zostanie uznany za proroka. Najważniejsze to wycucie chwili.

Wygłoś pan żarliwe przemówienie na temat naszej słabości militarnej w Azji i mało kto pana wysłucha. Ale wystarczy, że wybuchnie tam jakaś awantura, i nagle wszyscy zechcą z panem gadać. Tak będzie przez całą kampanię. Nasza w tym głowa. Będziemy publikować odpowiednie meldunki, manipulować mediami, pogrążyć pańskich przeciwników. Wygra pan i, szczerze powiedziawszy, nie sądzę, żebyśmy napotkali poważniejsze trudności.

- Mówi pan tak, jakby miał pan w tym wprawę.

Teddy westchnął.

- Nie. Owszem, żeby chronić nasz kraj, robiliśmy różne dziwne rzeczy. Ale - dodał z lekkim żalem - nigdy dotąd nie wybieraliśmy prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Lake powoli odsunął się z krzesłem, wstał, rozprostował ręce, po czym ruszył wzdłuż stołu na drugi koniec sali.

Ciążyły mu nogi. Serce waliło jak młotem. Sidła się zatrzasnęły. Tkwił w pułapce.

Zawrócił.

- Nie mam pieniędzy na kampanię. - Dobrze wiedział, że ktoś już o tym pomyślał.

Teddy uśmiechnął się, kiwnął głową i udał, że się nad tym zastanawia. Dom Lake'a był warty czterysta tysięcy dolarów. Mniej więcej dwieście tysięcy pracowało na niego w różnych funduszach, a sto tysięcy w akcjach i obligacjach. Nie miał większych długów. Na jego koncie reelekcyjnym spoczywało czterdzieści tysięcy dolarów.

- Bogaty kandydat nie byłby atrakcyjny - rzekł Teddy. Wcisnął kolejny guzik i ściana rozbłysnęła jaskrawymi kolorami. - Pieniądze to żaden problem - dodał beztrąsko. - Zapłacą za pana dostawcy ze zbrojeniówki. Proszę spojrzeć. -

Machnął ręką w stronę ekranu, jakby Lake nie wiedział, gdzie patrzeć. - W zeszłym roku przemysł kosmiczno-zbrojeniowy zarobił prawie dwieście miliardów dolarów. Weźmiemy z tego tylko niewielką cząsteczkę.

- To znaczy ile?

- Tyle, ile będzie trzeba. Realistycznie rzecz biorąc, możemy uszczuplić ich o sto milionów dolarów.

- Trudno to będzie ukryć.

- Doprawdy? Nie sędzę. Proszę się nie martwić i sprawę pieniędzy zostawić nam. Pan będzie wygłaszał

przemówienia, występował w reklamach telewizyjnych i prowadził kampanię. Gwarantuję, że pieniądze napłyną. Tuż przed listopadowymi wyborami Amerykanie będą tak przerażeni zbliżającym się kataklizmem, że przestanie ich obchodzić, ile i na co pan wydał. Zaleje pana potop czeków, wygra pan w cuglach.

Teddy Maynard proponował mu potop pieniędzy i prezydenturę. Oszołomiony Lake milczał i z przyjemnym zawrotem głowy spoglądał na ekran. Przemysł kosmiczno-zbrojeniowy: sto dziewięćdziesiąt cztery miliardy dolarów. Przed rokiem Pentagon dostał dwieście siedemdziesiąt miliardów. Podwoić tę kwotę do pięciuset czterdziestu miliardów w ciągu czteroletniej kadencji prezydenckiej i dostawcy ponownie się wzbogacą. Robotnicy też! Pensje błyskawicznie pójdą w górę!

No i praca! Praca dla wszystkich!

Do kandydata Aarona Lake'a zbiegną się dyrektorzy z workami szmalu i przewodniczący związków zawodowych z głosami pracowników. Początkowy szok mijał i powoli docierała do niego prostota planu Teddy'ego Maynarda. Zebrać pieniądze od tych, którzy później na tym skorzystają. Postraszyć wyborców i zagnać ich do urn. Wygrać w cuglach. A przy okazji ocalić świat od zagłady.

Teddy odczekał chwilę i powiedział:

- Większość funduszków zdobędziemy za pośrednictwem grup wsparcia politycznego. Związki zawodowe, inżynierowie, dyrektorzy, kluby biznesmenów; już teraz ich nie brakuje. A my stworzymy kolejne.

Kongresman Lake tworzył je już teraz - w myśli. Setki grup wsparcia, setki komitetów, a wszystkie sypiące pieniędzmi, jakich nie widziano dotąd podczas żadnych wyborów. Szok całkowicie minął, ustępując miejsca podnieceniu. W

głowie Lake'a kłębiły się pytania, tysiące pytań: kto będzie wiceprezydentem? Kto poprowadzi kampanię? Kto zostanie szefem sztabu? Kiedy i gdzie ogłosić, że zamierzam kandydować?

- To może wypalić - rzekł, panując nad głosem.

- Ależ tak, oczywiście, że wypali. Proszę mi zaufać. Planujemy tę akcję od dłuższego czasu.

- Ilu ludzi o tym wie?

- Niewielu. Został pan bardzo starannie wyselekcjonowany. Rozmawialiśmy z setkami kandydatów, ale przebił pan absolutnie wszystkich. Dokładnie pana prześwieciliśmy...

- No i jak wypadłem? Pewnie nijak.

- Nie, nie, całkiem zadowolająco, chociaż martwi mnie pański związek z tą Valotti. Dwa razy się rozwodziła i bierze za dużo środków przeciwbólowych.

- Nie wiedziałem, że coś mnie z nią łączy.

- Często ją z panem widywano, przynajmniej ostatnio.

- Obserwujecie mnie?

- A czego się pan spodziewał?

- Chyba właśnie tego.

- Zabrał ją pan na ten wzruszający telemaraton poświęcony biednym, ciemnym Afgankom. Daj pan spokój -

mruknął szyderczo Teddy.

- Nie chciałem tam iść...

- 17 -

- To po co pan szedł? To bzdury dla tych z Hollywood. Proszę trzymać się od nich z daleka. A ta Valotti wpędzi pana w kłopoty.

- Macie na liście jeszcze kogoś? - spytał zaczepnie Lake. Odkąd został wdowcem, jego życie osobiste stało się dość nudne i monotonne. I nagle stwierdził, że jest z tego dumny.

- Nie - odrzekł Teddy. - Pani Benchly jest spokojną i uroczą towarzyszką.

- Och, bardzo panu dziękuję.

- Oberwie się panu za stosunek do aborcji, ale nie panu pierwszemu.

- To stara, wyświechtana sprawa - odparł Lake. I szczerze mówiąc, miał jej serdecznie dosyć. Był za aborcją i przeciwko aborcji, za kontrolą urodzin i przeciwko kontroli urodzin, za polityką prorodzinną i przeciwko polityce prorodzinnej, za ochroną życia poczętego i przeciwko ochronie życia poczętego, był antyfeministą i uwielbianym przez feministki feministą. W ciągu czternastu lat, jakie spędził na Kapitolu, ścigano go po wszystkich polach minowych aborcji, a z każdego z nich uchodził coraz bardziej poraniony i zakrwawiony.

Nie, aborcja już go nie przerażała, przynajmniej nie w tej chwili. O wiele bardziej niepokoiło go to, że weszli za nim agenci CIA.

- A GreenTree? - spytał.

Teddy lekceważąco machnął ręką.

- To było dwadzieścia dwa lata temu. Poza tym nikogo nie skazano. Pański wspólnik zbankrutował i stanął przed sądem, ale został oczyszczony z zarzutów. Tak, ma pan rację, ta sprawa na pewno wyjdzie. Wszystko inne też. Ale jak już wspomniałem, uwagę wyborców przykuje zupełnie co innego. Zgłoszenie kandydatury w ostatniej chwili ma wiele plusów.

Dziennikarze nie zdążą wygrzebać żadnych brudów.

- Nie mam żony. W historii Stanów Zjednoczonych był tylko jeden nieżonaty prezydent.

- Jest pan wdowcem, to wielka różnica. Był pan mężem uroczej damy, którą szanowano i w stolicy, i w Arizonie. To żaden problem. Proszę mi wierzyć.

- W takim razie co pana niepokoi?

- Nic. Absolutnie nic. Jest pan doskonałym kandydatem i ma pan bardzo duże szanse. Stworzymy problem, postraszymy wyborców i zbierzemy pieniądze. Wygra pan.

Lake wstał i zaczął krążyć po pokoju, głaszcząc się po głowie, drapiąc się w podbródek i próbując zebrać myśli.

- Mam mnóstwo pytań...

- Na niektóre będę mógł chyba odpowiedzieć. Porozmawiajmy jutro. Tutaj, o tej samej porze. Niech się pan z tym prześpi. Czas nagli, ale myślę, że przed podjęciem tak ważnej decyzji musi pan mieć dwadzieścia cztery godziny na zastanowienie. - Teddy Maynard pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Świetny pomysł. Tak, muszę się z tym przespać. Jutro dam panu odpowiedź.

- Oczywiście nikt nie wie, że trochę sobie pogawędziliśmy...

- Oczywiście.

- 18 -

ROZDZIAŁ 3

Jeśli chodzi o wielkość, biblioteka prawnicza zajmowała dokładnie jedną czwartą powierzchni całej więziennej biblioteki. Mieściła się w rogu sali, za gustownym przepierzeniem z czerwonej cegły i szkła, które wzniesiono na koszt podatników. Stały tam rzędy szczelnie wypełnionych książkami półek, między którymi trudno się było precyzyjnie przemieszczać, przy ścianach zaś ciągnął się rząd biur z maszynami do pisania, komputerami oraz innym wyposażeniem, jakie można spotkać w bibliotece każdej dużej instytucji.

Biblioteką prawniczą zarządzali członkowie Bractwa. Oczywiście mogli z niej korzystać wszyscy osadzeni, lecz niepisane prawo głosiło, że każda wizyta między półkami wymaga specjalnego

zezwolenia. No, może nie zezwolenia, ale przynajmniej zgłoszenia.

Sędzia Joe Roy Spicer zarabiał czterdzieści centów za godzinę: zamiatał podłogę, ustawiał półki, książki i biurka.

Opróżniał też kosze na śmieci i miał opinię ostatniego niechłuja. Sędzia Hatlee Beech z Teksasu był bibliotekarzem i zarabiał

najwięcej z Braci, pięćdziesiąt centów za godzinę. Bardzo dbał o swoje „woluminy” i często kłócił się ze Spicerem, który wcale o nie nie dbał. Sędzia Finn Yarber, niegdyś prezes Kalifornijskiego Sądu Najwyższego, zarabiał dwadzieścia centów za godzinę jako technik komputerowy. Otrzymywał najniższą pensję, ponieważ zupełnie nie znał się na komputerach.

Normalnego dnia Bracia spędzali w bibliotece od sześciu do ośmiu godzin. Jeśli któryś z osadzonych miał jakiś problem natury prawnej, umawiał się na spotkanie z którymś z nich i składał mu wizytę. Hatlee Beech był specjalistą od procedur sądowych i apelacji. Finn Yarber zajmował się bankructwami, rozwodami i alimentami. Roy Spicer, który nie miał

wykształcenia prawniczego, nie specjalizował się w niczym. Nie musiał. Spicer zawiadywał działem szwindli.

Surowe zakazy uniemożliwiały Braciom pobieranie honorariów za usługi, lecz w Trumble zakazy znaczyły bardzo niewiele. Ostatecznie skazano ich i osadzono, i jeśli tylko robili to dyskretnie, wszyscy byli zadowoleni. Największy szmal tłukli na uchybieniach proceduralnych. Mniej więcej jedną czwartą przybywających do Trumble penitencjariuszy osądzono niepoprawnie. W ciągu jednej nocy Beech mógł przejrzeć akta i znaleźć w nich jakiś haczyk. Ot, nie dalej jak przed miesiącem udało mu się zbić cztery lata z piętnastoletniego wyroku, którym uziemiono pewnego młodzieńca. Jego rodzina zgodziła się zapłacić i majątek Bractwa wzrósł o pięć tysięcy dolarów. Było to jak dotąd ich najwyższe honorarium - Spicer zdeponował je cichcem na koncie za pośrednictwem prawnika z Neptune Beach.

Na zapleczu biblioteki mieściła się ciasna salka konferencyjna, prawie niewidoczna zza rzędów półek i biurka. W

wiodących do niej drzwiach ziało wielkie okno, mimo to nikt do sali nie zaglądał. Bracia zbierali się tam, ilekroć potrzebowali ciszy i spokoju. Nazywali to miejsce gabinetem sędziowskim.

Spicer spotkał się właśnie z prawnikiem i przyniósł pocztę, kilka naprawdę ciekawych listów. Zamknął drzwi, wyjął z teczek kopertę i pomachał nią przed nosami kolegów.

- Żółciutka - powiedział. - Czyż to nie słodkie? Do Ricky'ego.

- Od kogo? - spytał Yarber.

- Od Curtisa z Dallas.

- Od tego bankiera? - spytał podekscytowany Beech.

- Nie, Curtis jest właścicielem kilku sklepów jubilerskich. Posłuchajcie. - Spicer otworzył żółtą kopertę i wyjął z niej

- 19 -

list na żółtym papierze. Uśmiechnął się, odchrząknął i zaczął czytać: *Drogi Ricky,*

Twój list z ósmego stycznia wycisnął mi łzy z oczu. Przeczytałem go trzy razy. Mój Ty biedaku, dlaczego oni Cię tam trzymają?

- A gdzie on jest? - spytał Yarber.

- Na odwyku w ekskluzywnej klinice rehabilitacyjnej, za którą płaci jego bogaty wujek. Siedzi tam od roku. Przestał

ćpać, jest już w pełni wyleczony, lecz potwory, które prowadzą klinikę, chcą go wypuścić dopiero na początku kwietnia, bo co miesiąc zgarniają dwadzieścia tysięcy dolarów od bogatego wujka, który woli, żeby Ricky siedział pod kluczem i nie wydawał pieniędzy. No? Przypomniałeś sobie?

- Tak.

- Wymyśliłem tę bajeczkę z twoją pomocą. Mogę kontynuować?

- Oczywiście.

Kusi mnie, żeby do Ciebie przylecieć i stawić czoło tym podłym ludziom. A ten wujek - toż to ostatni szubrawiec! Bogacze tacy jak on nie chcą się do niczego mieszać i uważają, że wystarczy tylko wysłać pieniądze. Jak wiesz, mój ojciec też był bogaty i należał do najgorszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem.

Tak, kupował mi różne rzeczy, lecz były to tylko martwe przedmioty: szybko się zużywały i gdy wyrzucałem je na śmietnik, natychmiast o nich zapominałem. Tak więc kupował mi różne rzeczy, ale nigdy nie miał dla mnie czasu. Był chory, tak samo jak Twój wujek. Załączam czek na tysiąc dolarów, bo może będziesz potrzebował

czegoś z kantyny.

Ricky, nie mogę się już doczekać kwietnia i naszego spotkania. Powiedziałem żonie, że w Orlando odbędzie się w tym czasie międzynarodowa wystawa brylantów, i zgodnie z przewidywaniami nie wykazała tym najmniejszego zainteresowania...

- W kwietniu? - przerwał mu Beech.

- Tak. Ricky jest pewien, że w kwietniu wyjdzie.

- Cudownie - wtrącił z uśmiechem Yarber. - A więc ten Curtis ma żonę... Dzieci też?

- Curtis ma pięćdziesiąt osiem lat, troje dorosłych dzieci i dwoje wnuków.

- Gdzie ten czek? - spytał Beech.

Spicer odwrócił kartkę.

Konieczniesz musisz tam przyjechać - czytał. - Jesteś pewien, że w kwietniu Cię wypuszczą? Proszę, powiedz, że tak. Myślę o Tobie w każdej chwili dnia. W szufladzie biurka trzymam Twoje zdjęcie i kiedy tylko spojrzę Ci w oczy, wiem, że jesteście sobie pisani.

- Obrzydliwość. Ohyda - mruknął Beech, nie przestając się uśmiechać. - I pomyśleć, że facet pochodzi z Teksasu...

- 20 -

- Jestem przekonany, że w Teksasie mieszka wielu słodkich chłopców - odrzekł Yarber.

- A w Kalifornii ich nie ma?

- Reszta to duperele - powiedział Spicer, pobieżnie przeglądając list. Zdążą przeczytać go później. Pokazał kolegom czek. Tysiąc dolarów. W odpowiednim czasie przekażą go ukradkiem Trevorowi, by zdeponował pieniądze na ich tajnym koncie.

- Kiedy go udupimy? - spytał Yarber.

- Napiszmy jeszcze kilka listów. Ricky musi przeżyć jakieś nieszczęście...

- Może pobije go strażnik? - zaproponował Beech. - Strażnik albo...

- Tam nie ma strażników - przerwał mu Spicer. - Zapomniałeś, że to ekskluzywna klinika rehabilitacyjna? W takich klinikach pracują usłudźni psychiatrzy i psychologowie.

- Ale to zakład zamknięty, tak? Jeśli tak, są tam mury i bramy, a jeśli są mury i bramy, musi być i kilku strażników.

Powiedzmy, że Ricky poszedł wziąć prysznic i w kabinie zaatakował go jakiś klawisz, podniecony widokiem jego wspaniałego ciała...

- Odpada - zaprotestował Yarber. - Gwałt czy nawet próba gwałtu nie wchodzi w rachubę. Curtis może się przestraszyć. Pomyśli, że Ricky złapał jakąś chorobę i nie odpisze.

Dyskutowali tak przez kilka minut, każąc Ricky'emu przeżywać coraz to nowe nieszczęścia. Jego zdjęcie zwinął z tablicy informacyjnej jeden z osadzonych: skserowane przez Trevora, zostało następnie rozesłane do kilkunastu mężczyzn, z którymi Bracia prowadzili korespondencję. Przedstawiało uśmiechniętego absolwenta college'u w czapce i granatowej todze, który z dumą demonstrował swój dyplom. Tak, Ricky był naprawdę przystojnym młodzieńcem.

Postanowili, że przez kilka dni Beech popracuje nad nową historyjką i przedstawi im roboczą wersję kolejnego listu do Curtisa. Dlaczego akurat Beech? Ponieważ sędzia Beech był Rickym i jako młody, udręczony chłopak zwierzał się ze swoich zmyślonych nieszczęść ośmiu zatroskanym duszom mieszkającym w różnych częściach Ameryki. Natomiast sędzia Yarber był Percym, młodym mężczyzną, który również leczył się z narkotykowego nałogu w prywatnej klinice. Wkrótce miał odzyskać wolność i szukał starszego opiekuna, z którym mógłby spędzić miłe chwile. Percy złapał na wędkę pięciu frajerów i powoli holował ich do brzegu.

Joe Spicer nie umiał dobrze pisać. Dlatego powierzono mu funkcję koordynatora działu szwindli: pomagał kolegom w układaniu historyjek, dbał o ich spójność, i spotykał się z Trevorem, adwokatem, który przemyślał pocztę. No i zarządzał

pieniędzmi Bractwa.

Wyjął z koperty kolejny list i oznajmił:

- A to, Wysoki Sądzie, jest liścik od Quince'a.

W sali konferencyjnej zapadła martwa cisza. Beech i Yarber znieruchomieli. Pięćdziesięciojednoletni Quince był

dzianym bankierem. Mieszkał w małym mieście w Iowie i jak dotąd napisał do Ricky'ego sześć listów. Tak samo jak pozostałych, znaleźli go dzięki ogłoszeniu w czasopiśmie gejowskim, które leżało teraz ukryte w bibliotece prawniczej. Był ich drugą ofiarą; pierwsza musiała coś zwierzyć, bo przestała odpisywać. Przesłał im swoje zdjęcie zrobione nad brzegiem jeziora: nagi tors, wystający brzuch, kościste ramiona, szerokie zakola, a wokół niego - rodzina. Zdjęcie było kiepskie, bardzo niewyraźne. Quince musiał wybrać je celowo na wypadek, gdyby ktoś próbował go zidentyfikować.

- Chcesz przeczytać, Ricky? - spytał Spicer, podając list Beechowi.

Ten spojrział na kopertę. Była biała i bez adresu zwrotnego. Imię i nazwisko Ricky'ego wystukano na maszynie.

- 21 -

- A ty? - spytał. - Już czytałeś?

- Nie. No, zaczynaj.

Beech powoli wyjął list. Zwykły biały papier, stara maszyna do pisania, pojedynczy odstęp między liniami. Sędzia odchrząknął.

Drogi Ricky,

Zrobiłem to. Nie mogę w to uwierzyć, ale tak, nareszcie to zrobiłem. Dzwoniłem z budki, pieniądze wysłałem przekazem bez adresu zwrotnego, dlatego myślę, że nie zostawiłem za sobą żadnych

śladów.

Pracownicy nowojorskiej firmy, którą mi poleciłeś, są doprawdy znakomici, bardzo dyskretni i pomocni. Będę z Tobą szczerzy: zanim tam zadzwoniłem, przez wiele dni byłem chory z przerażenia. Zarezerwować dwa miejsca na gejowski rejs statkiem? Nigdy w życiu nie myślałem, że coś takiego zrobię, i wiesz co? Poczulem się wspaniale. Jestem z siebie taki dumny. Mamy luksusową kabinę - tysiąc dolców za dobę - i nie mogę się już doczekać....

Beech przestał czytać i zerknął spod okularów na Braci. Obaj uśmiechali się, chłonąc jego słowa.

Wyżywamy dziesiątego marca i mam cudowny pomysł. Przyjadę do Miami dopiero dziewiątego, a więc tuż przed wyprawą. Dlatego spotkajmy się od razu na jachcie. Przyjdę pierwszy i będę czekał z mrożonym szampanem. Czyż to nie wspaniale? Cale trzy dni sam na sam z Tobą. Proponuję, żebyśmy w ogóle nie wychodzili z kajuty....

Beech nie wytrzymał i uśmiechnął się, z obrzydzeniem kręcąc głową. Trudne to, lecz jak widać możliwe.

Jestem taki podniecony - kontynuował. - Nareszcie postanowiłem odkryć prawdziwego siebie. Zrobiłem pierwszy krok, a Ty dodałeś mi odwagi. Chociaż prawie się nie znamy, doprawdy nie wiem, jak Ci za to dziękować. Odpisz, nie zwlekaj. Trzymaj się i uważaj na siebie.

Całuję

Quince

- Zaraz się wyrzygam - mruknął Spicer, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Mieli za dużo pracy.

- Udupmy go - rzucił Beech.

Bracia szybko na to przystali.

- Ile? - spytał Yarber.

- Co najmniej sto tysięcy - odrzekł Spicer. - Mają ten bank od dwóch pokoleń. Wiemy, że jego ojciec wciąż pracuje. Dostanie szалу, jeśli okaże się, że synalek jest pedalem. Quince nie porzuci rodziny. Nie stać go na to, dlatego zapłaci tyle, ile zażądamy. Idealna sytuacja.

Beech już robił notatki. Yarber też. Spicer krążył po sali niczym niedźwiedź podchodzący ofiarę. Pomysły rodziły się powoli, ale się rodziły. Język, warianty, strategia - narada trwała dość długo, lecz w końcu spłodzili roboczą wersję listu.

- 22 -

Odczytał ją Beech.

Drogi Quince,

Z prawdziwą radością przeczytałem Twój list z czternastego stycznia. Tak się cieszę, że zarezerwowałaś dwa miejsca na ten gejowski rejs. To cudownie. Jest tylko jeden maty problem. Nie będę mógł z Tobą popłynąć. Dlaczego? Z dwóch powodów. Po pierwsze, wyjdę stąd dopiero za kilka lat. Siedzę w więzieniu, a nie w klinice rehabilitacyjnej. Po drugie, nie jestem gejem, wprost przeciwnie. Mam żonę i dwoje dzieci, którym jest teraz bardzo ciężko, gdyż nie mogę wesprzeć ich finansowo. W tym momencie na arenę wydarzeń wkraczasz Ty, mój drogi Quince. Potrzebuję pieniędzy. Chcę sto tysięcy dolarów. Powiedzmy, że jest to forsa za milczenie. Prześlesz mi sto tysięcy, a ja natychmiast zapomnę o Rickym i nikt z Bakers w stanie Iowa o niczym się dowie. Nie usłyszysz o mnie ani Twoja żona, ani Twoje dzieci, ani Twój ojciec, ani reszta rodziny.

Jeśli jednak odmówisz, zasypię całe miasto kopiami Twoich listów.

To się nazywa wymuszenie: wpadłeś w pułapkę, Quince. Wiem, że jestem okrutny, nikczemny i że popełniam przestępstwo, ale mam to gdzieś. Potrzebuję pieniędzy, a Ty je masz.

Beech skończył czytać i popatrzył po twarzach kolegów, szukając u nich aprobaty.

- Pięknie - powiedział Spicer, który już planował, jak wyda swoją dolę.

- Czysta ohyda - mruknął Yarber. - A jeśli on się zabije?

- Przesadzasz - odrzekł Beech.

Przeczytali list raz jeszcze, omówili szczegóły operacji, chwilę rozważali, czy to odpowiedni moment. O szwindlu jako takim, o jego nielegalności ani o karze, jaka ich czekała, gdyby zostali przyłapani, nie rozmawiali. Przedyskutowali to już przed wieloma miesiącami, kiedy sędzia Joe Roy Spicer namówił ich do współpracy. W porównaniu z potencjalnymi zyskami ryzyko, na jakie się narażali, było minimalne. Nie, typy pokroju Quince'a nie pobiegną na policję i nie oskarżą ich o szantaż.

Jak dotąd nie udupili jeszcze nikogo. Korespondowali z kilkunastoma potencjalnymi ofiarami, mężczyznami w średnim wieku, którzy popełnili błąd, odpowiadając na króciutkie ogłoszenie: *Biały dwudziestolatek nawiąże korespondencję*

z miłym, dyskretnym panem w wieku czterdziestu,

pięćdziesięciu lat.

Zamieścili jedno malutkie ogłoszenie na ostatniej stronie gejowskiego czasopisma i otrzymali sześćdziesiąt odpowiedzi. Zadaniem Spicera było segregowanie listów, odrzucanie bezwartościowych śmieci i selekcjonowanie bogatych ofiar. Początkowo go to brzydziło, lecz wkrótce zaczęło bawić. Teraz sprawa przybrała poważny obrót, ponieważ zamierzali wyciągnąć sto tysięcy dolarów od zupełnie niewinnego człowieka.

Jedną trzecią tej kwoty miał zgarnąć adwokat; trzydzieści procent to zwykła, aczkolwiek nader

frustrująca stawka.

Niestety, nie mieli wyboru. Facet odgrywał kluczową rolę w ich szwindlu.

Przez godzinę pracowali nad listem do Quince'a, wreszcie postanowili się z tym przespać i dokończyć nazajutrz.

Dostali też list od mężczyzny ukrywającego się pod pseudonimem Hoover. Hoover - korespondował z Percym - spółdził

- 23 -

cztery nudne akapity na temat obserwacji ptaków. Biedny Yarber: będzie musiał poczytać coś na temat srok czy wróbli i udać, że bardzo się nimi interesuje. Hoover bał się swego cienia, to oczywiste. Nie pisał nic o sobie i nie wspominał o pieniądzach.

Bracia doszli do wniosku, że trzeba dać mu trochę czasu i konsekwentnie zarzucać przynętę. Pisać o ptakach, a potem delikatnie wspomnieć o potrzebie fizycznego towarzystwa. Jeśli Hoover nie połknie haczyka i nie ujawni swojej sytuacji finansowej, dadzą sobie spokój.

W Głównym Zarządzie Więziennictwa Trumble oficjalnie nazywano „obozem wypoczynkowym”. Określenie to oznaczało, że w zakładzie nie było ani murów czy ogrodzeń, ani drutów kolczastych, ani wieżyczek, ani strażników, którzy strzelali do uciekających więźniów. Innymi słowy, że jest to więzienie o złagodzonego rygorze, z którego każdy osadzony może swobodnie wyjść - jeśli oczywiście zechce. W Trumble przebywało tysiąc więźniów, lecz uciekało stamtąd bardzo niewiele.

W Trumble było przyjemniej niż w niejednej amerykańskiej szkole. Klimatyzowane pomieszczenia, czysta kantyna wydająca trzy posiłki dziennie, siłownia, sala bilardowa, stoliki do gry w karty, boisko do koszykówki i siatkówki, bieżnia, biblioteka, kaplica, księża na dyżurach, psychologowie, pracownicy socjalni, nieograniczone godziny odwiedzin. Czegoż chcieć więcej?

Trumble było najlepszym z możliwych zakładów karnych dla więźniów niskiego ryzyka, czyli takich, którzy według sądu nie stanowili dużego zagrożenia publicznego. Osiemdziesiąt procent z nich siedziało za handel narkotykami. Około czterdziestu obrabowało bank, nikogo przy tym nie krzywdząc i nie napędzając nikomu strachu. Pozostali byli wszelkiego rodzaju urzędnikami, zwykle drobnymi malwersantami, chociaż nie brakowało tam również oszustów w rodzaju doktora Floyda, chirurga, który w ciągu dwudziestu lat pracy narznął zakład ubezpieczeniowy na blisko sześć milionów dolarów.

Przemocy w Trumble nie tolerowano. Pogróżki należały do rzadkości. Obowiązywało tu wiele przepisów porządkowych, lecz kierownictwo więzienia nie miało kłopotów z ich egzekwowaniem. Jeśli któryś z osadzonych narozrabiał, odsyłano go do więzienia o zastrzonym rygorze, takim z drutami kolczastymi i surowymi strażnikami.

Dlatego, jak przystało na więźniów federalnego zakładu karnego, tutejsi penitencjariusze zachowywali się bardzo grzecznie i liczyli dni dzielące ich od wyjścia na wolność.

Nigdy nie słyszano, żeby ktokolwiek zorganizował tu i rozwinął poważniejszą działalność przestępczą - do chwili gdy do Trumble przybył Joe Roy Spicer. Przed swoim upadkiem sędzia Spicer dużo słyszał o „Angoli”, sprytnym szwindlu nazwanym tak od cieszącego się ponurą sławą zakładu karnego w Luizjanie. Kilku osadzonych tam więźniów nawiązało korespondencję z gejami na wolności, po czym ich szantażowało - zanim wpadli, zdołali wyciągnąć od pedałów ponad siedemset tysięcy dolarów.

Z Missisipi do Luizjany niedaleko, dlatego o „Angoli” było głośno nawet w rodzinnych stronach Spicera. Sędzia nigdy w życiu nie przypuszczał, że kiedyś ten szwindel zmałpuje, ale któregoś dnia obudził się na więziennej pryczy i postanowił

narznąć każdego, kto mu się tylko nawinie.

Codziennie o pierwszej w południe spacerował po bieżni. Zwykle samotnie i zwykle z paczką papierosów w kieszeni.

Palenie rzucił dziesięć lat przed wpadką i osadzeniem, ale teraz wypalał do dwóch paczek dziennie. Dlatego dużo chodził -

chciał w ten sposób zmniejszyć szkodliwy wpływ dymu na płuca. W ciągu niecałych trzech lat, a dokładniej w ciągu trzydziestu czterech miesięcy, przeszedł tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem kilometrów i dwieście metrów. Zrzucił ponad

- 24 -

dziewięć kilogramów wagi, choć nie dzięki spacerom, jak utrzymywał: najważniejszą rolę odegrał w tej kwestii brak piwa, czyli ścisła prohibicja.

Miał za sobą prawie trzy lata spacerowania i nałogowego palenia, a przed sobą dwadzieścia jeden miesięcy odsiadki.

Dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów - część pieniędzy, które podprowadził z kasy klubu bingo - zakopał w ogródku.

Dosłownie: zakopał je w ziemi. Kilkaset metrów za domem, przy szopie z narzędziami - spoczywały w betonowym sejfie własnej roboty, o którym żona nic nie wiedziała. Resztę, to znaczy około stu osiemdziesięciu tysięcy, przepuścili wspólnie, chociaż federalni zdołali odzyskać z tego połowę. Kupowali luksusowe samochody, latali pierwszą klasą do Las Vegas i Nowego Orleanu, mieszkali w luksusowych apartamentach i wynajmowali limuzyny, które obwoziły ich po kasynach.

Sędzia Spicer wyzbył się wszystkich marzeń oprócz jednego - pragnął zostać zawodowym hazardzistą, zamieszkać w Las Vegas i bywać w kasynach, gdzie by się go bano. Uwielbiał blackjacka i chociaż przegrał w tę grę górę pieniędzy, wciąż głęboko wierzył, że któregoś dnia rozbije bank. Nie był jeszcze w kasynach na Wyspach Karaibskich. Coraz więcej kasyn powstawało w Azji. Pragnął podróżować po świecie pierwszą klasą - z żoną lub bez żony - mieszkać w ekskluzywnych hotelach, zamawiać posiłki do pokoju i siać przerażenie wśród karciarzy głupich na

tylę, żeby zasiąść z nim do zielonego stolika.

Zamierzał wrócić do domu, wykopać łopatą dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, dodać je do zysków z „Angoli” i przeprowadzić się do Vegas. Z żoną czy bez żony. Ostatni raz odwiedziła go przed czterema miesiącami, chociaż przedtem bywała w Trumble co trzy tygodnie. Często miewał nocne koszmary - przekopywała w nich ogródek, szukając ukrytego skarbu. Był niemal całkowicie przekonany, że żona nic o tych pieniądzech nie wie, mimo to dręczyły go wątpliwości.

Wątpliwości całkiem uzasadnione, ponieważ na dwa dni przed wyjazdem do więzienia schlał się na umór i chyba coś o nich wspomniał. Nie pamiętał co. Próbował sobie przypomnieć, ale nie mógł. Za nic.

Zaliczywszy dwa kilometry, zapalił kolejnego papierosa. Cholera ją wie, może podłapała sobie jakiegoś gacha. Rita Spicer była kobietą dość atrakcyjną, tu i ówdzie trochę za pulchną, ale za dziewięćdziesiąt tysięcy dolców każdy facet przymknąłby na to oko. A jeśli naprawdę kogoś miała? Jeśli wykopali sejf i właśnie przepuszczali jego pieniądze? Najgorszy i najczęściej powracający koszmar przypominał scenę z kiepskiego horroru - ciemno, leje deszcz, a Rita i jej gach kopią jak wariaci w ogródku. Dlaczego leje deszcz? Tego Spicer nie wiedział, ale tamci zawsze kopali nocą, podczas strasznej burzy.

Błyskały błyskawice, a on widział, jak zawzięcie machają szpadlami, coraz bardziej zbliżając się do szopy.

Którejś nocy śniło mu się, że gach wjechał do ogródka wielkim buldożerem. Jeździł po całej farmie, rozgarniając ziemię, a Rita stała z boku, wskazując szpadlem, gdzie ma skręcić.

Joe Roy pragnął pieniędzy. Pożądał ich, czuł ich dotyk. Już dawno postanowił, że będzie kradł i wymuszał ile wlezie, licząc dni do wyjścia na wolność. Tak, wolność, łopata, skarb i wyjazd do Las Vegas. Nikt z mieszkańców rodzinnego miasteczka nie będzie wytykał go palcami i szeptał: „To stary Spicer. Pewnie już go wypuścili”. Nie. Co to, to nie.

Będzie żył jak król. Z Ritą czy bez Rity.

- 25 -

ROZDZIAŁ 4

Teddy Maynard spojrział na wypełnione pigułkami buteleczki na krawędzi stołu - wyglądały jak rząd małych katów gotowych uwolnić go od bólu na wieki.

- Dzwonił do trzeciej nad ranem - zameldował York; siedział naprzeciwko niego z notatnikiem w ręku. - Do przyjaciół w Arizonie.

- To znaczy?

- Do Bobby'ego Landera, Jima Gallisona, Richarda Hassela. Do tych samych, co zwykle: do swoich kasjerów.

- A do Dale'a Wintera?

- Do niego też. - Pamięć Teddy'ego zawsze go zdumiewała.

Maynard miał zamknięte oczy i masował sobie skronie. Gdzieś tam, w głębi mózgu między skroniami, tkwiły nazwiska wszystkich przyjaciół Lake'a, jego współpracowników, powierników, speców od badania opinii publicznej i starych nauczycieli ze szkoły średniej. Wszystkie spoczywały na odpowiednich półkach i półeczkach, gotowe do natychmiastowego wykorzystania.

- Rozmawiali o czymś... niezwykłym?

- Nie, raczej nie. Lake zadawał pytania typowe dla każdego, kto chce zrobić tak nieoczekiwany krok. Przyjaciele byli zaskoczeni, nawet zaszokowani i trochę niechętni, ale na pewno go wesprą.

- Pytali o pieniądze?

- Oczywiście. Lake odpowiadał bardzo mętnie, lecz twierdził, że nie będzie z nimi problemu. Reagowali dość sceptycznie.

- Nie wygadał się?

- Nie, absolutnie.

- Wie, że go podsłuchujemy. Myślisz, że uważał na słowa?

- Nie sądzę. Z biura telefonował jedenaście razy, z domu osiem. Komórki nie używał.

- A faksy? E-maile?

- Też nie. Dwie godziny spędził z Schiarą, swoim...

- ...szefem sztabu.

- Właśnie. Zaplanowali prawie całą kampanię. Schiarą chciałby ją poprowadzić. Na wiceprezydenta upatrzili sobie Nance'a z Michigan.

- Niezły wybór.

- Tak, Nance jest chyba w porządku. Już go prześwietlamy. Jako dwudziestodwulatek wziął rozwód, ale od tamtej chwili upłynęło trzydzieści lat.

- To nie problem. Lake się zgodzi?

- O tak. Ostatecznie jest politykiem, prawda? Obiecano mu klucze do królestwa. Już pisze przemówienia.

Teddy wyjął z buteleczki pigułkę i przełknął ją, nie popijając wodą. Skrzywił się, jakby była gorzka,

i zmarszczył

czoło.

- 26 -

- York, powiedz, że niczego nie przegapiliśmy. Że on niczego nie ukrywa. Że nie ma żadnych trupów w szafie.

- Niczego. Grzebiemy w jego brudach od pół roku. Nie ma tam nic, co mogłoby nam zaszkodzić.

- Nie ożeni się nagle z jakąś głupią babą?

- Nie. Spotyka się z kilkoma kobietami, ale to nic poważnego.

- Nie sypia ze stażystkami?

- Nie. Jest czysty.

Powtarzali ten dialog wielokrotnie. Wiedzieli, że jeszcze jedna powtórka nie zaszkodzi.

- Żadnych szemranych interesów czy podwójnego życia?

- On ma tylko jedno życie. I nie, nie prowadzi żadnych podejrzanych interesów.

- Alkohol, narkotyki, barbiturany na receptę, hazard w Internecie?

- Nie, nic z tych rzeczy. Lake jest czystym, trzeźwym, inteligentnym heteroseksualistą. To naprawdę niezwykle.

- W takim razie porozmawiajmy z nim.

Aarona Lake'a ponownie zaprowadzono do tego samego pomieszczenia, choć tym razem strzegło go aż trzech przystojnych młodzieńców, jakby za każdym rogiem kwatery głównej CIA czyhało jakieś niebezpieczeństwo. Szedł szybciej niż poprzedniego dnia, głowę trzymał wyżej, a plecy miał idealnie proste. Jego pozycja rosła z godziny na godzinę.

Ponownie przywitał się z Teddym, ściskając mu dłoń, ponownie wszedł za nim do bunkra i ponownie usiadł po drugiej stronie stołu. Wymienili uprzejmości. York obserwował ich z pokoju w głębi korytarza, gdzie stały trzy monitory podłączone do ukrytych kamer rejestrujących każdy ruch i każde słowo wypowiedziane w bunkrze. Obok niego siedziało trzech mężczyzn, których głównym zajęciem było przyglądanie się ludziom, analizowanie sposobu, w jaki oddychali, poruszali rękami, oczami, głową tudzież stopami, i ustalanie, co taki czy inny gest oznacza.

- Spał pan? - spytał Teddy ze sztucznym uśmiechem.

- Tak - zełgał Lake. - Spałem.

- To dobrze. Rozumiem, że akceptuje pan warunki naszej umowy.

- Umowy? Nie wiedziałem, że to umowa.

- Ależ tak, łaskawy panie, umowa. My wybierzemy pana na prezydenta, a pan podwoi budżet Pentagonu i przygotuje kraj do walki z Rosjanami.

- W takim razie zgoda.

- Świetnie, bardzo się cieszę. Będzie pan znakomitym kandydatem i dobrym prezydentem.

Słowa te pobrzmiwały Lake'owi w uszach, a on nie mógł w nie uwierzyć. Prezydent Lake.
Prezydent Aaron Lake.

Do piątej nad ranem krążył nerwowo po domu, próbując sam siebie przekonać, że naprawdę ofiarują mu Biały Dom. Nie, to było za proste. Stanowczo za proste.

Nie mógł też ignorować związanych z tym pułapek, choć bardzo by chciał. Gabinet Ovalny. Te wszystkie odrzutowce i helikoptery. Cały świat do przemierzenia. Setki gotowych na każde wezwanie doradców. Uroczyste kolacje z najpotężniejszymi władcami planety.

A przede wszystkim miejsce w historii.

O tak, za taką cenę poszedłby na każdą umowę, tym bardziej na umowę z Maynardem.

- Porozmawiajmy o samej kampanii - zaproponował Teddy. - Myślę, że powinien pan wystartować dwa dni po prawyborach w New Hampshire. Dwa dni. To wystarczy. Pył zdąży osiąść, zwycięzcy zaliczą swój kwadrans sławy,

- 27 -

pokonani obrzucą ich błotem, a wówczas na arenę wydarzeń wkroczy kongresman Aaron Lake.

- To dość szybko.

- Nie mamy za dużo czasu. Opuścimy sobie New Hampshire i przygotowujemy się na dwudziestego drugiego lutego, na wybory w Arizonie i Michigan. W tych stanach musi pan wygrać. Koniecznie. Jeśli pan wygra, zyska pan status poważnego kandydata i dobrą pozycję wyjściową na marzec.

- Zamierzałem ogłosić swoją kandydaturę gdzieś w Arizonie, na przykład w Phoenix...

- W Michigan będzie lepiej. To większy stan. Ma pięćdziesięciu ośmiu delegatów, Arizona zaś tylko dwudziestu czterech. U siebie w domu i tak pan wygra, ale jeśli tego samego dnia wygra pan w Michigan, będzie pan kandydatem, z którym trzeba się liczyć. Niech pan zacznie od Michigan, a kilka godzin później powtórzy to samo w Arizonie.

- Świetny pomysł.

- We Flint jest fabryka śmigłowców, D-L Trilling. Mają tam duży hangar i cztery tysiące robotników. Znam dyrektora, mógłbym z nim pogadać...
 - Dobra, niech będzie hangar - powiedział Lake, pewien, że Teddy już z dyrektorem gadał.
 - Czy pojutrze może pan zacząć kręcić reklamy?
 - Mogę wszystko - odrzekł Lake, sadowiając się w fotelu pasażera. Było coraz bardziej oczywiste, kto siedzi za kierownicą.
 - Za pańską zgodą wynajmiemy firmę konsultingową, która zajmie się reklamami i stworzeniem pańskiego wizerunku publicznego. Ale tu, na miejscu, mamy lepszych ludzi, w dodatku za darmo. Nie to, żeby pieniądze były problemem, lecz...
 - Sto milionów powinno wystarczyć.
 - Powinno. Tak czy inaczej, dzisiaj zaczniemy pracować nad spotami. Na pewno się panu spodobają. Będą posępne i złowieszcze: tragiczny stan amerykańskiej armii, padające pod naszym adresem groźby i tak dalej. Słowem, Sodomą i Gomorą. Ludzie wpadną w przerażenie. Wmontujemy w to pańską twarz, powie pan kilka słów i wkrótce będzie pan najsłynniejszym politykiem w kraju.
 - Samą sławą nie wygram.
 - Samą sławą nie, ale pieniędzmi tak. Za pieniądze kupi pan i telewizję, i głosy wyborców, i całą resztę.
 - Chciałbym wierzyć, że ważne jest również to, co mam im do przekazania.
 - Ależ oczywiście! Jest o wiele ważniejsze niż obniżenie podatków, polityka prorodzinna, wartości rodzinne, aborcja i wszystkie te głupoty, których musimy codziennie wysłuchiwać. Nam chodzi o życie i śmierć. My zmienimy świat i staniemy w obronie dobra narodowego. Tylko na tym nam zależy.
- Lake w zadumie kiwał głową. Wysoki poziom gospodarki, utrzymanie pokoju - Amerykanie wybiorą każdego, kto będzie przy tym obstawał.
- Mam odpowiedniego człowieka na szefa kampanii - powiedział.
 - Kogo?
 - Mike'a Schiarę. Jest moim szefem sztabu i najbliższym doradcą. Ufam mu całkowicie.
 - Ma jakieś doświadczenie na szczeblu krajowym? - spytał Teddy, dobrze wiedząc, że pod tym względem Schiara jest zielony.
 - Nie, ale szybko się uczy.

- Świetnie. To pańska kampania.

- 28 -

Lake rozciągnął usta w uśmiechu, jednocześnie kiwając głową. Szło mu coraz lepiej. Ciekawe.

- A kogo widzi pan jako wiceprezydenta? - spytał Maynard.

- Mam paru kandydatów. Choćby senatora Nance'a z Michigan. To mój stary przyjaciel. Jest też gubernator Guyce z Teksasu...

Teddy uważnie słuchał i myślał. Niezły wybór. Tak, niezły wybór, chociaż Guyce zdecydowanie odpadał. Pochodził z bogatej rodziny, prześlizgnął się przez college, potem zabijał czas grą w golfa, wreszcie sięgnął do kasy ojca i kupił sobie urząd gubernatora stanu. Poza tym o Teksas i tak nie musieli się martwić.

- Wolałbym Nance'a.

W takim razie wiceprezydentem będzie Nance - Lake tego nie powiedział, ale mało brakowało.

Przez godzinę rozmawiali o pieniądzach, o pierwszej fali czeków z komitetów wsparcia politycznego i o tym, jak je przyjąć bez wzbudzania zbyt dużych podejrzeń. Zwłaszcza że za pierwszą falą miała nadejść fala druga, czyli pieniądze od dostawców sprzętu wojskowego. A po niej trzecia, czyli gotówka z różnych - i trudnych do ustalenia - źródeł.

Miała również nadejść fala czwarta, choć Lake o tym nie wiedział. W zależności od wyników badania opinii publicznej, Teddy Maynard i jego agencja byli gotowi przydzwigać skrzynie z pieniędzmi do siedzib związków zawodowych, murzyńskich kościołów i stowarzyszeń weteranów wojennych w Chicago, Detroit, Memphis i w miastach na dalekim południu Stanów. Współpracując z miejscowymi, których już werbowali, szykowali się do kupna każdego głosu, jaki tylko będzie do kupienia.

Im dłużej Teddy analizował swój plan, tym większą zyskiwał pewność, że Aaron Lake wygra prezydenckie wybory.

Trevor urzędował przy Neptune Beach, czyli przy plaży Neptuna, kilka ulic od Atlantic Beach, czyli od plaży Atlantyckiej, chociaż nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie kończyła się jedna, a zaczynała druga. Tak czy inaczej, kilkanaście kilometrów na zachód od Neptune Beach leżało Jacksonville, które z każdą godziną podchodziło bliżej morza. Jego maleńka kancelaria mieściła się w domku letniskowym, tak że siedząc na rozpadającym się ganku, Trevor widział pobliską plażę i słyszał krzyk mew. Trudno w to uwierzyć, ale wynajmował ten domek od dwunastu lat. Kiedy się tu wprowadził, lubił

uciekać na ganek - byle dalej od telefonów i klientów - i patrzeć na bezkres Atlantyku, który falował ledwie dwie ulice dalej.

Pochodził ze Scranton i, jak wszystkich wielbicieli wakacji w ciepłym klimacie, wkrótce znużyło go

gapienie się na morze, łażenie na bosaka po plaży i rzucanie okruszków ptakom. Teraz wołał zabijać czas, siedząc w kancelarii.

Sędziowie i sale sądowe zawsze go przerażały. To, czym zajmował się obecnie, było dość niezwykle i w pewnym sensie zaszczytne, lecz zmuszało go do zupełnie innego stylu życia i pracy, a konkretnie mówiąc, do papierkowej roboty, czyli do załatwiania spraw związanych z nieruchomościami, testamentami, dzierżawami i ustaleniem zakresu działalności gospodarczej. Ogólnie rzecz biorąc, były to kwestie koszmarnie nudne, takie, o których w szkole prawniczej w ogóle nie uczono. Od czasu do czasu prowadził sprawy o handel narkotykami, ale nigdy - przenigdy! - nie stawał w sądzie i to właśnie jeden z jego pechowych klientów z Trumble skontaktował go z niejakim Joe Royem Spicerem. Wkrótce potem Trevor został

oficjalnym przedstawicielem całej trójki: Spicera, Beecha i Yarbera. Nazywał ich Braćmi lub Bractwem.

Był ich kurierem, nikim więcej. Szmuglował do więzienia listy pod przykrywką oficjalnych dokumentów prawniczych, które chronił przywilej poufności kontaktów między adwokatem i klientem. Wynosił z Trumble ich listy. Nie udzielał im żadnych rad, zresztą o żadne nie prosili. Deponował pieniądze na ich koncie w banku na Bahamach i odbierał telefony od klientów, czyli rodzin osadzonych. Krótko mówiąc, krył ich, dzięki czemu mógł uniknąć widoku sal sądowych, sędziów i

- 29 -

adwokatów, co bardzo mu odpowiadało.

Świadomie uczestnicząc w ich małym spisku, popełniał przestępstwo i gdyby Bracia kiedykolwiek wpadli, najpewniej skazano by go wraz z nimi. Lecz tym się nie przejmował. Szwindel „Angola” był prawdziwym arcydziełem, ponieważ oszukane i szantażowane ofiary nie mogły pójść na policję. Pieniądze były łatwe, a potencjalne zyski duże. Postanowił

zaryzykować.

Wyszedł z gabinetu, unikając spotkania z sekretarką i wszedł do swego wyremontowanego, nie klimatyzowanego garbusa rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt. Jechał First Street w kierunku Atlantic Boulevard, zerkając na ocean prześwitujący między willami, domami i domkami do wynajęcia. Był w starych, wygniecionych spodniach koloru khaki, białej, wygniezionej bawełnianej koszuli, żółtej muszce i w niebieskiej, również wygniezionej, marynarce w paski. Minął bar U Pete’

a, najstarszą knajpę w okolicy. Należała do jego ulubionych, chociaż ostatnio odkryli ją ci gówniarze z college’u. Brał u Pete’

a na krechę - głównie tani browar i koktajle z rumem - wisiał mu trzysta szesnaście dolarów i bardzo chciał ten dług spłacić.

Skręcił w Atlantic Boulevard i, co chwilę grzęznąc w korkach, powoli pełznął w kierunku

Jacksonville. Jechał i kłął.

Na duży ruch, na niekontrolowany rozrost miasta i na samochody z kanadyjskimi tablicami rejestracyjnymi. Za lotniskiem skręcił na obwodnicę i wkrótce znalazł się na równinach Florydy.

Pięćdziesiąt minut później był już w Trumble. Nie ma to jak u federalnych, pomyślał. Prawie pusty parking tuż przed głównym wejściem, piękne trawniki, codziennie pielęgnowane przez więźniów, nowoczesne, dobrze utrzymane budynki.

„Jak się masz, Mackey” - to do strażnika przy drzwiach. „Cześć, Vince” - to do czarnego strażnika za drzwiami.

Siedzący w recepcji Rufus prześwietlił mu teczkę, a Nadine wypisała przepustkę.

- Jak tam okonki? - spytał.

- Nie biorą - odparł Rufus.

W krótkiej historii Trumble żaden prawnik nie odwiedzał tego miejsca częściej niż Trevor. Ponownie zrobili mu zdjęcie, ponownie ostemplowali wnętrze dłoni niewidzialnym stemplem, otworzyli dwoje drzwi i wprowadzili do krótkiego korytarza, gdzie czekał kolejny strażnik.

- Jak się masz, Link.

- Sie masz, Trevor.

Link pełnił służbę w sali widzeń, w wielkim, przestronnym pomieszczeniu z mnóstwem miękkich krzeseł, automatów z napojami, kanapkami i papierosami, z wydzielonym kącikiem dla dzieci i małym patio, gdzie dwoje ludzi mogło usiąść przy drewnianym stole i побыć chwilę sam na sam. Sala błyszczała czystością i była zupełnie pusta. Jak to w dzień powszedni.

Odwiedzający przyjeżdżali najczęściej w soboty i niedziele, a przez resztę tygodnia Link nie miał kogo pilnować.

Zaprowadził Trevora do „gabinetu adwokackiego”, jednego z kilkunastu małych boksów z drzwiami i oknem, przez które - jeśli tylko chciał - mógł obserwować i więźnia, i adwokata. Czekał tam na nich Joe Roy Spicer; żeby zabić czas, przeglądał dział sportowy miejscowej gazety i obstawiał wyniki rozgrywek uniwersyteckiej ligi koszykarskiej. Gdy tylko weszli, Trevor szybko wyjął z kieszeni dwie dwudziestki i podał je Linkowi. Zawsze robili to w progu, poza zasięgiem kamer wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. Do zwyczaju należało, że w tej samej chwili Spicer odwracał wzrok i udawał, że tego nie widzi.

Potem udawał Link: otwierał teczkę i niczego nie dotykając, przeglądał jej zawartość. Trevor wyjął dużą żółtą kopertę z napisem „Dokumenty”. Link wziął ją i obmacał, żeby sprawdzić, czy oprócz papierów nie ma tam przypadkiem rewolweru albo fiolki z prochami. Robili to już dziesiątki razy.

Obowiązujący w Trumble regulamin wymagał, żeby podczas wyjmowania i otwierania kopert z dokumentami w gabinecie adwokackim przebywał strażnik. Ale za czterdzieści dolarów Link wychodził za drzwi i stał tam beczynnie, ponieważ nie miał kogo pilnować. Wiedział, że Spicer i Trevor przekazują sobie jakieś listy, ale guzik go to obchodziło. Jeśli tylko nie przemycali do więzienia broni czy narkotyków, nikt nie będzie go o nic podejrzewał. Zresztą w Trumble obowiązywało wiele głupich przepisów. Odwrócił się tyłem do drzwi, oparł się o nie, usztywnił lewą nogę, prawą ugiął w kolanie i wkrótce zapadł w „końską drzemkę”.

Tymczasem w pokoju adwokackim nie załatwiano bynajmniej spraw prawnych. Spicera wciąż pochłaniały tabele z wynikami meczów. Większość osadzonych cieszyła się na widok gości. Sędzia ledwie ich tolerował.

- Wczoraj wieczorem telefonował do mnie brat Jeffa Daggetta - powiedział Trevor. - Tego chłopaka z Coral Gables.

- Wiem. - Spicer zwęszył pieniądze i odłożył gazetę. - Dostał dwanaście lat za przemyt narkotyków.

- Właśnie. Jego brat mówi, że w Trumble przebywa były sędzia federalny, który przejrzał akta sprawy i twierdzi, że uda mu się zmniejszyć wyrok co najmniej o kilka lat. Ponieważ sędzia zażądał honorarium, Daggett zadzwonił do brata, a brat do mnie. - Trevor zdjął wygniecioną marynarkę i zarzucił ją na oparcie krzesła. Spicer nie znosił jego muszki.

- Ile może zapłacić?

- Jeszcze tego nie ustaliliście?

- Ja nic nie wiem, ale może Beech z nim gadał. Tak czy siak, za zmniejszenie wyroku od dwóch do pięciu lat bierzemy pięć tysięcy dolarów. - Spicer powiedział to tak, jakby od lat przewodniczył rozprawom w sądzie federalnym, tymczasem widział taki sąd tylko raz: kiedy go oskarżono i skazano.

- Wiem - odrzekł Trevor. - Ale nie jestem pewny, czy ich na to stać. Miał obrońcę z urzędu.

- Wyciśnij, ile się da i niech zapłacą co najmniej tysiąc dolarów z góry. To dobry chłopak, ma duże szanse.

- Miękniesz?

- Nie. Robię się coraz bardziej skąpy.

I w rzeczy samej. Joe Roy nagrywał i prowadził wszystkie sprawy Bractwa. Yarber i Beech mieli talent i wykształcenie, lecz byli zbyt poniżeni i przybici swym upadkiem, by snuć ambitne plany na przyszłość. Spicer wykształcenia nie miał, jego talent też pozostawiał wiele do życzenia, potrafił za to nimi manipulować i zmusić ich do wysiłku. Podczas gdy oni pogrążali się w smętnej zadumie, on podbijał w marzeniach świat.

Otworzył teczkę i wyjął z niej czek.

- Tysiąc dolarów do depozytu - powiedział. - Od naszego teksańskiego przyjaciela Curtisa.

- Rokuje jakieś nadzieje?

- Owszem, i to wielkie. Najważniejsze: postanowiliśmy udupić Quince'a. - Joe Roy wyjął z teczki piękną zieloną kopertę, szczelnie zaklejoną i zaadresowaną do Quince'a Garbe'a z Bakers w stanie Iowa.

- Na ile? - spytał Trevor, chowając list do żółtej koperty.

- Na sto tysięcy.

- Rany boskie!

- Jest bogaty. Dałem mu szczegółowe wskazówki. Uprzedź bank.

Trevor praktykował prawo od dwudziestu trzech lat i jeszcze nigdy dotąd nie pobrał honorarium w wysokości trzydziestu trzech tysięcy dolarów - ba, nigdy się do tej kwoty nie zbliżył! I nagle ujrzał przed sobą górę pieniędzy, nagle poczuł ich dotyk i chociaż bardzo się starał, żeby tego nie robić, zaczął je w duchu wydawać. Trzydzieści trzy tysiące dolarów

- 31 -

za przewożenie poczty. Chryste.

- Naprawdę myślisz, że to wypali? - spytał, spłacając w myśli dług Pete'owi i każąc wypchać się tym z towarzystwa kredytowego. Ukochanego garbusa na pewno zatrzyma, ale kto wie, może zafunduje sobie klimatyzację.

- Oczywiście. - Spicer nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Przekazał Trevorowi jeszcze dwa listy, oba napisane przez Yarbera, czyli młodego Percy'ego z kliniki rehabilitacyjnej.

- Arkansas gra dzisiaj w Kentucky - powiedział, podnosząc gazetę. - Obstawiają czternaście do jednego. Co ty na to?

- Boja wiem... Ci z Kentucky są niezli i grają u siebie...

- Zaryzykujesz?

- A ty?

U Pete'a pracował pewien bukmacher i chociaż Trevor rzadko kiedy uprawiał hazard, zdążył się już nauczyć, że sędzia Spicer ma dobrego nosa.

- Postawię stówę na Arkansas - zdecydował Joe Roy.

- Ja chyba też.

Przez pół godziny grali w blackjacka. Link zaglądał do nich od czasu do czasu i z dezaprobatą marszczył brwi.

Podczas widzeń karty były zabronione, ale kogo to obchodziło? Sędzia grał ostro, bo przygotowywał się już do rozpoczęcia nowej kariery. W Trumble najpopularniejszy był poker i remik, dlatego często miewał kłopoty ze znalezieniem przeciwnika.

Trevor nie grał najlepiej, ale przynajmniej próbował. Spicer uważał, że tylko to go ratuje.

- 32 -

ROZDZIAŁ 5

Uroczystość odbywała się w radosnej atmosferze zwycięstwa, z czerwonymi, białymi i niebieskimi proporcami, zwisającymi z sufitu flagami i muzyką marszową grzmiącą z głośników na cały hangar. Na wiec przybyć musieli wszyscy pracownicy D-L Trilling - cztery tysiące ludzi - a żeby ich do tego zachęcić, obiecano im dodatkowy dzień płatnego urlopu.

Mieli dostać wynagrodzenie za osiem godzin pracy - średnio po dwadzieścia dwa dolary i czterdzieści centów za godzinę -

ale właściciele nie przejmowali się kosztami, ponieważ wreszcie znaleźli swojego człowieka. Pospiesznie zbudowaną scenę też obwieszono proporcami i szczelnie wypełniono członkami najwyższego kierownictwa, którzy uśmiechali się szeroko i entuzjastycznie klaskali, podczas gdy muzyka wprawiała tłum w dzikie uniesienie. Nie dalej jak przed trzema dniami o Aaronie Lake'u nie słyszał prawie nikt. Teraz był ich zbawcą.

Trzeba przyznać, że wyglądał całkiem nieźle, jak na poważnego kandydata przystało, zwłaszcza w ciemnobrązowym garniturze zasugerowanym przez jednego wizażystę i w nowej, nieco krótszej fryzurze zaprojektowanej przez innego. Tylko Reagan nosił brązowe garnitury, i co? I dwa razy wygrał w cuglach.

Kiedy na scenę wyszedł w końcu Lake, kiedy przemierzył ją zdecydowanym krokiem, energicznie ściskając ręce grubym rybom, których widział pierwszy raz w życiu, cztery tysiące robotników dosłownie oszalało. Muzyka zagrała odrobinę głośniej; dźwiękowiec, a właściwie konsultant do spraw nagłośnienia sali, którego ekipa Lake'a wynajęła za dwadzieścia cztery tysiące dolarów, wiedział, co robi. A że dwadzieścia cztery tysiące dolarów? Pieniędźmi nikt się nie przejmował.

Balony spadały z sufitu niczym manna z nieba. Niektóre z nich zostały przekłute przez robotników - tych, których o to poproszono - tak że przez kilka minut w hangarze grzmiało i strzelało jak podczas pierwszego zmasowanego ataku wojsk lądowych. Tak jest, szykujcie się. Szykujcie się do wojny. Wybierzcie Lake'a, zanim będzie za późno!

Dyrektor naczelny zakładów objął go i wyściskał, jakby byli starymi kumplami z uniwerku, chociaż

poznali się dopiero przed dwiema godzinami. Potem wstąpił na mównicę i zaczął, aż robotnicy przestaną wiwatować. Korzystając z notatek - przefaksowano mu je poprzedniego dnia - rozpoczął długie, naszpikowane komplementami przemówienie, w którym przedstawił zebranym Aarona Lake'a, przysłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pięć razy przerywały mu starannie wyreżyserowane oklaski.

Stojący przed mikrofonem Lake pomachał ręką niczym bohaterski zdobywca, po czym zrobił krok do przodu i z doskonałym wyczuciem chwili powiedział:

- Nazywam się Aaron Lake i ubiegam się o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Tłum ryknął. Ponownie zagrzmiała muzyka. Z sufitu spłynęło jeszcze więcej balonów.

Dość, wystarczy - Lake rozpoczął przemówienie. Platforma wyborcza i powód, dla którego zdecydował się na ten krok? Bezpieczeństwo narodowe, cóż by innego! W tym miejscu przedstawił zatrważające statystyki: wynikało z nich, że obecna administracja niemal całkowicie pozbawiła kraj wojska. Żadna inna kwestia nie jest równie paląca jak ta - nie owijał

w bawełnę, walił prosto z mostu. Wplączemy się w wojnę, której nie będziemy w stanie wygrać, i natychmiast zapomnimy o starych, wyświechtanych problemach, takich jak aborcja, dyskryminacja rasowa, prawo do posiadania broni palnej czy podatki. Wartości rodzinne? Kiedy w boju padną nasi synowie i córki, dopiero wtedy zrozumiemy, co wartości rodzinne

- 33 -

oznaczają naprawdę.

Wypadł bardzo dobrze. Przemówienie napisał sam. Kiedy zostało zredagowane przez konsultantów i wypolerowane przez innych specjalistów, dostarczył je osobiście do Langley, gdzie czekał na niego Teddy Maynard. Teddy je zatwierdził, wnosząc jedynie drobne poprawki.

Dyrektor CIA oglądał wystąpienie z wielką dumą. Był z nim jak zwykle milczący York. Siedzieli sami, patrząc na ekrany, obserwując, jak świat robi się coraz bardziej niebezpieczny.

- Dobry jest - skonstatował York.

Teddy kiwnął głową i nawet się lekko uśmiechnął.

W połowie przemówienia Lake cudownie rozgniewał się na Chińczyków.

- W ciągu dwudziestu lat pozwoliliśmy im wykraść czterdzieści procent naszych tajemnic atomowych! - zawołał.

Robotnicy niespokojnie zaszemrali.

- Czterdzieści procent! - krzyknął.

Chińczycy wykradli nie czterdzieści, tylko prawie pięćdziesiąt procent amerykańskich tajemnic atomowych, lecz Teddy postanowił ten wynik zaniżyć.

Przez pięć minut Lake beszał Chińczyków za ich podstępność i bezprzykładną rozbudowę potencjału militarnego. Tę strategię podsunął mu Maynard. Jego zdaniem do nastraszenia wyborców należało wykorzystać Chińczyków, a nie Rosjan.

Rosja nie mogła niczego zwietrzyć. Prawdziwe zagrożenie zamierzali ujawnić później, kiedy kampania nabierze rumieńców.

Lake miał doskonałe wyczucie chwili. Hasło przewodnie wystąpienia dosłownie rzuciło tłum na kolana. Kiedy obiecał, że w trakcie czteroletniej kadencji w Białym Domu podwoi budżet na obronę narodową, cztery tysiące robotników D-L Trilling, którzy budowali śmigłowce bojowe, zgotowało mu burzliwą owację.

Teddy obserwował to w milczeniu, dumny ze swego tworu. Znaczenie prawyborów w New Hampshire zminimalizować, po prostu je lekceważąc. Lake w nich nie startował i był pierwszym kandydatem od dziesięcioleci, który nie ukrywał, że jest z tego powodu dumny. Często go cytowano.

- Komu potrzebne prawybory w New Hampshire? - mówił. - Wygram we wszystkich pozostałych stanach.

Skończył pośród grzmiących oklasków i jeszcze raz uściśnął ręce wszystkim grubym rybom na scenie. Reporterzy CNN wrócili do studia, gdzie gadające głowy przez kwadrans komentowały to, czego były świadkami.

Teddy nacisnął guzik i powiedział:

- A oto produkt końcowy. Pierwszy z wielu.

Ekran rozbłysnął kolorami. Pierwsza reklama telewizyjna Lake'a. Zaczynała się od krótkiej migawki: rząd ponurych chińskich generałów stoi sztywno na wojskowej paradzie, obserwując przejazd kolumny czołgów. „Myślisz, że jesteś bezpieczny?” - spytał zza kamery głęboki, złowieszczy głos. Potem seria króciutkich ujęć największych szaleńców współczesnego świata, przyjmujących defiladę: Saddam Husajn, Kadafi, Milošević, Kim z Korei Północnej. Na ułamek sekundy pokazał się nawet biedny Castro z resztkami swojej leciwej armii maszerującej przez Hawanę. „Dzisiaj nasza armia nie byłaby w stanie dokonać tego, czego dokonała w Zatoce Perskiej w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym” - dodał głos z taką powagą, jakby przed chwilą wypowiedziano Stanom Zjednoczonym kolejną wojnę. Potem rozległ się huk, wykwitł atomowy grzyb i na ulicach zatańczyło tysiące Hindusów. Kolejny wybuch i na ulicach zatańczyli sąsiadujący z Hindusami Pakistańczycy.

- 34 -

„Chiny chcą zająć Tajwan - kontynuował głos i kamera pokazała miliony chińskich żołnierzy

maszerujących idealnie równym krokiem. - Korea Północna chce zająć Koreę Południową. - Przez strefę zdemilitaryzowaną przetoczyły się komunistyczne czołgi. - A Stany Zjednoczone zawsze są łatwym celem.”

Głęboki głos ustąpił miejsca głosowi wysokiemu i na ekranie ukazał się obwieszony medalami generał pouczający członków jakiejś podkomisji, którzy go przesłuchiwali.

„Wy, czyli amerykański Kongres - mówił - z każdym rokiem wydajecie coraz mniej na zbrojenia. Tegoroczny budżet na obronę narodową jest mniejszy niż budżet sprzed piętnastu lat. Oczekujecie, żebyśmy byli gotowi do wojny w Korei, na Środkowym Wschodzie i w Europie Wschodniej, a wojsko nie ma na to pieniędzy. Sytuacja jest krytyczna”. Ekran szerniał, a wówczas ten pierwszy głos, ten głęboki i soczysty, powiedział: „Dwanaście lat temu na świecie były dwa supermocarstwa.

Teraz nie ma żadnego”. Z czerni wychynęła przystojna twarz Aarona Lake’a i głos zakończył: „Wybierzcie Lake’a, zanim będzie za późno”.

- Nie wiem, czy mi się to podoba - rzucił York po chwili milczenia.

- Dlaczego?

- Tyle w tym... czarnowidztwa.

- To dobrze. Czujesz się niewyraźnie, co?

- Bardzo.

- Świetnie. Będziemy to puszczać non stop, powiedzmy przez tydzień. A potem wymyślimy coś drastyczniejszego.

Ludzi skręci z niepokoju i odrazy.

York wiedział, co Teddy szykuje. Tak, w istocie, wyborców skręci z niepokoju i odrazy. Reklamy nie będą się im podobały, lecz z czasem zatrwożą ich i zaszokują. A wówczas Lake stanie się wizjonerem.

Teddy chciał ludzi przerazić.

*

W każdym skrzydle zakładu mieściły się dwie salki telewizyjne: małe, nagie pokoje, w których więźniowie mogli palić i oglądać to, co kazali im oglądać klawisze. Pilotów nie było. Początkowo były, ale szybko je zabrano. Chłopcy nie mogli się zdecydować, który program wybrać, i wybuchały o to najgorsze kłótnie. Dlatego teraz programy wybierali strażnicy.

Regulamin zabraniał więźniom posiadania własnych telewizorów.

Tak się przypadkiem zdarzyło, że strażnik, który miał służbę, lubił koszykówkę. Na ESPN leciał mecz

drużyn uniwersyteckich i sala była nabitą. Hatlee Beech nie znosił sportu, dlatego siedział samotnie w sąsiedniej sali i oglądał jeden głupi serial komediowy za drugim. Kiedy jako sędzia pracował dwanaście godzin na dobę, nigdy nie oglądał telewizji. Kto miał na to czas? Siedział w swoim gabinecie i do późna dyktował opinie i orzeczenia, podczas gdy inni wślepiali się w ekran.

Teraz, oglądając tę otępiającą umysł sieczkę, zrozumiał, jakie miał szczęście. Pod wieloma względami.

Zapalił papierosa. Nie palił, odkąd skończył college, i przez pierwsze dwa miesiące w Trumble dzielnie walczył z pokusą. Ale cóż, papierosy pomagały zabić nudę, choć wypalał tylko paczkę dziennie. Ciągle skakało mu ciśnienie. Cała rodzina chorowała na serce. Miał pięćdziesiąt sześć lat i dziewięć lat do odsiedzenia, więc był pewien, że wyniosą go z Trumble nogami do przodu.

Odkąd go skazali, minęły trzy lata, jeden miesiąc i jeden tydzień, a on wciąż skreślał dni, które już zaliczył, zamiast liczyć te, które pozostały mu jeszcze do skreślenia. Nie dalej jak przed czterema laty wytrwale pracował na reputację młodego, twardego sędziego. Cztery lata. Cztery nieszczęsne lata. Po sądach wschodniego Teksasu jeździł z szoferem,

- 35 -

sekretarzem, kancelistą i szeryfem. Kiedy wkraczał do sali, ludzie z szacunkiem wstawali z miejsc. Adwokaci cenili go za sprawiedliwe orzeczenia i pracowitość. Żonę miał niemiłą, ale ponieważ odziedziczyła rodzinną fortunę naftową, zdołał się jakoś przemóc i żyli na pokojowej stopie. Ich małżeństwo było stabilne - może nie darzyli się serdecznym uczuciem, lecz wysławszy do college'u troje udanych dzieci, mieli powody do dumy. Dzielnie przetrwali kilka ciężkich chwil i postanowili się razem zestarzeć. Ona miała pieniądze, on status. Stworzyli rodzinę. Czego jeszcze chciał?

Na pewno nie tego, żeby trafić do więzienia.

Cztery nieszczęsne lata...

Pić zaczął nagle i bez konkretnego powodu. Może za bardzo stresowała go praca, może chciał uciec od gderliwej żony. Po studiach przez wiele lat pił niewiele, tylko w towarzystwie, a już na pewno nie nałogowo. Pewnego razu, kiedy dzieci były jeszcze małe, żona zabrała je na wakacje do Włoch. Beech został sam i bardzo mu to odpowiadało. Z jakiegoś powodu, którego jak dotąd nie udało mu się ustalić, rozsmakował się w bourbonie. Zaczął pić, pił dużo i co gorsza, nie mógł

przestać. Bourbon zajął ważne miejsce w jego życiu. Butelkę trzymał w gabinecie. Przemykał się tam nocą, a ponieważ mieli osobne sypialnie, żona rzadko go na tym przyłapywała.

Do Yellowstone pojechał na trzydniową konferencję sędziowską. W barze w Jackson Hole poznał młodą kobietę.

Po wielogodzinnej libacji podjęli smutną decyzję: wybiorą się na przejażdżkę. Hatlee prowadził, a ona się rozbrała. Aż rozebrała się do naga. Ot, tak, tylko po to, żeby się rozebrać. O seksie nie rozmawiali, zresztą sędzia był już wtedy nie do użytku.

Wycieczkowicze - dwoje studentów college'u wracających ze szlaku - pochodzili z Waszyngtonu. Oboje zginęli na miejscu, zabici przez pijanego kierowcę, który nawet ich nie zauważył. Samochód znaleziono w rowie. On wciąż siedział za kierownicą, nie mogąc uwolnić się z pułapki. Ona była naga i nieprzytomna.

Nie pamiętał absolutnie nic. Kiedy ocknął się wiele godzin później, pierwszy raz w życiu ujrzał więzienną celę od środka.

- Lepiej do tego przywyknij - rzekł szeryf z szyderczym uśmiechem.

Beech pociągał za wszystkie możliwe sznurki i prosił o pomoc wszystkich przyjaciół. Na próżno. Zginęło dwoje ludzi.

Przylapano go z nagą kobietą. Żona miała pieniądze i wpływy, więc znajomi uciekli od niego jak sfora przerażonych psów.

Nie wstawił się za nim nikt. Został sam.

Miał szczęście, że wlepili mu tylko dwanaście lat. Podczas pierwszej rozprawy przed sądem protestowały członkinie Stowarzyszenia Matek Ofiar Pijanych Kierowców i walczący z pijanymi kierowcami studenci. Żądali dożywocia. Dożywocia!

Oskarżono go o dwa nieumyślne zabójstwa i nie miał nic na swoją obronę. W jego krwi wykryto tyle alkoholu, że wystarczyłoby go na uśmiercenie trzeciej ofiary. Świadek zeznał, że Hatlee jechał lewą stroną jezdni.

Patrząc wstecz, trzeba przyznać, że miał dużo szczęścia, iż do wypadku doszło na terenie podlegającym jurysdykcji federalnej. Gdyby nie to, wysłano by go do więzienia stanowego, gdzie żyłoby mu się dużo gorzej. Mówcie, co chcecie, ale federalni umieją prowadzić więzienia.

Palił samotnie w półmroku, oglądając komedię w reżyserii jakiegoś dwunastoletniego debila, gdy wtem przerwała ją reklama polityczna, jedna z wielu w okresie przedwyborczym, który ostatnio przeżywali. Lecząc Beech widział po raz pierwszy. Złowieszcze obrazy, poważny, złowieszczy głos, zapowiadający koniec świata, jeśli Amerykanie nie zbudują więcej rakiet. Trwała półtorej minuty, była bardzo dobrze zrobiona, kosztowała kupę forsy i niosła przesłanie, którego nikt nie chciał

słyszeć. Wybierzcie Lake'a, zanim będzie za późno.

- 36 -

Aaron Lake? Któż to, do diabła, jest?

Beech znał się na polityce. Pasjonował się nią od lat i w Trumble uchodził za wybitnego eksperta. Należał do nielicznych, których obchodziło to, co dzieje się w Waszyngtonie.

Aaron Lake? Beech musiał go przeoczyć. Rozpocząć kampanię po prawyborach w New Hampshire? Dziwna strategia. W Ameryce nigdy nie brakowało błaznów, którzy chcieli zostać

prezydentem.

Żona wyrzuciła go z domu, zanim zdążył przyznać się do podwójnego nieumyślnego zabójstwa. Naturalnie, bardziej rozwścieczyła ją naga kobieta niż martwi wycieczkowicze. Dzieci wzięły jej stronę, ponieważ ona miała pieniądze, a on dał

dupy. Decyzję podjęły łatwo. Tydzień po tym, gdy osadzono go w Trumble, był już rozwiedziony.

W ciągu trzech lat, jednego miesiąca i jednego tygodnia najmłodszy syn odwiedził go dwukrotnie. Za każdym razem robił to potajemnie, okłamując matkę, która zakazała dzieciom odwiedzać ojca.

A potem rodziny zabitych w wypadku wycieczkowiczów oskarżyły go z powództwa cywilnego. Jakież to niesprawiedliwe. Ponieważ na wolności nie miał już żadnych przyjaciół, próbował bronić się z więzienia. Lecz cóż miał na swoją obronę? Nic. Sąd przyznał rodzinom odszkodowanie w wysokości pięciu milionów dolarów. Hatlee odwoływał się z Trumble, przegrał w Trumble i ponownie się z Trumble odwołał.

Na krześle, obok paczki papierosów, leżała koperta, którą przyniósł mu Trevor. Apelacja została odrzucona. Wyrok był prawomocny.

Co i tak nie miało większego znaczenia, ponieważ Hatlee złożył wniosek o otwarcie postępowania upadłościowego.

Usiadł w bibliotece prawniczej, własnoręcznie wystukał na maszynie wszystkie niezbędne podania, opatrzył je przysięgą strony korzystającej z prawa ubogich i wysłał do tego samego sądu w Teksasie, w którym niegdyś był Bogiem.

Niegdyś Bogiem, teraz bankrutem. Skazanym, rozwiedzionym, wykluczonym z palestry, osadzonym i oskarżonym z powództwa cywilnego bankrutem.

Większość więźniów potrafiła znieść pobyt w Trumble, ponieważ spadali krótko i z niewielkiej wysokości.

Większość należała do recydywistów, którzy zmarnowali trzecią lub czwartą szansę. Większość lubiła tu przebywać, ponieważ w Trumble było im lepiej niż w jakimkolwiek innym więzieniu.

Jednakże Beech spadł z wysoka i stracił bardzo dużo. Ledwie przed czterema laty miał bogatą żonę, troje kochających dzieci i wielki dom w małym mieście. Był sędzią federalnym, mianowanym dożywotnio przez prezydenta Stanów Zjednoczonych i zarabiał sto czterdzieści tysięcy dolarów rocznie - zupełnie nieźle, choć dochody te były niczym w porównaniu z naftowymi dochodami żony. Dwa razy do roku wzywano go do Waszyngtonu na spotkania w Sądzie Najwyższym. Beech się liczył.

Dwa razy wpadł do niego stary przyjaciel, prawnik, który jechał odwiedzić dzieci w Miami. Gadali dość długo i Hatlee wyciągnął od niego kilka plotek. Były zupełnie bezwartościowe. Wszystkie oprócz jednej: otóż krążyły pogłoski, że jego ekszona z kimś się ostatnio widuje. Miała parę milionów dolarów i szczupłe biodra, więc reszta była tylko kwestią czasu.

Kolejna reklama. Wybierzcie Lake'a, zanim będzie za późno. Tę rozpoczynał krótki, trochę niewyraźny film wideo pokazujący mężczyzn z karabinami, którzy biegli chyłkiem przez pustynię, strzelając i padając, pewnie podczas jakichś ćwiczeń. Potem na ekranie ukazała się złowroga twarz terrorysty, sądząc po czarnych oczach, czarnych włosach i drapieżnych rysach, członka jakiegoś ekstremistycznego ugrupowania islamskiego. Mówił po arabsku, a pod spodem wyświetlano angielskie tłumaczenie. „Zabijemy Amerykanów, gdziekolwiek ich znajdziemy. Jesteśmy gotowi umrzeć w świętej wojnie przeciwko Wielkiemu Szatanowi”. A potem seria krótkich migawek: płonące budynki, zamach na ambasadę,

- 37 -

uprowadzenie autobusu z turystami, szczątki odrzutowca pasażerskiego, rozrzucone na łące.

I przystojna twarz Aarona Lake'a. Spojrzał prosto na Beecha i powiedział: „Nazywam się Aaron Lake i pewnie mnie nie znacie. Ubiegam się o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, ponieważ się boję. Boję się Chin, Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Boję się niebezpiecznego świata. Boję się słabości naszej armii. W zeszłym roku mieliśmy olbrzymią nadwyżkę budżetową, mimo to na obronę kraju wydaliśmy mniej niż przed piętnastoma laty. Jesteśmy spokojni i zadowoleni, ponieważ mamy silną gospodarkę, ale dzisiejszy świat jest o wiele niebezpieczniejszy, niż się nam wydaje. Czyha na nas mnóstwo wrogów, a my nie jesteśmy w stanie stawić im czoła. Jeśli mnie wybieriecie, w ciągu czterech lat podwoję budżet na obronę”.

Powiedział to zimno, poważnie, bez cienia uśmiechu. Jak człowiek, który wie, czego chce. A głos zza kadru zakończył: „Wybierzcie Lake'a, zanim będzie za późno”.

Nieźle - pomyślał Beech.

Zapalił kolejnego papierosa, ostatniego tego wieczoru, i spojrzął na kopertę na sąsiednim krześle. Pięć milionów dolarów na dwie rodziny. Zapłaciłby, gdyby mógł. Nigdy przedtem tych studentów nie widział. Nazajutrz po wypadku gazety zamieściły ich zdjęcia. Chłopak i dziewczyna. Uśmiechnięci, szczęśliwi. Ot, młodzi ludzie na wakacjach.

Brakowało mu bourbonu.

Bankructwo mogło objąć tylko połowę zasądzonej kwoty. Drugiej połowy, przeznaczonej na odszkodowanie za straty moralne, postępowanie upadłościowe nie obejmowało. Wiedział, że będzie włókła się za nim, dokądkolwiek pójdzie, lecz on nigdzie się nie wybierał. Miał skończyć odsiadkę w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, lecz czuł, że przedtem umrze. Że wyniosą go z Trumble w trumnie, odeślą do Teksasu i pochowają za małym wiejskim kościółkiem, gdzie go ochrzczono.

Może któreś z dzieci zafunduje mu kamienny nagrobek.

Wyszedł z sali, nie wyłączając telewizora. Dochodziła dziesiąta, pora na capstrzyk. Dzielił celę z Robbiem, chłopakiem z Kentucky, który włamał się do dwustu czterdziestu domów, zanim go schwytano. Skradzioną broń, mikrofalówki i wieże stereo sprzedawał, żeby zdobyć pieniądze na

kokainę. W Trumble osadzono go przed czterema laty i jako weteran miał prawo do wyboru pryczy. Wybrał dolną. Beech wdrapał się na górną.

- Dobranoc, Robbie - powiedział i zgasił światło.

- Dobranoc, Hatlee - odrzekł Robbie.

Czasami gawędzili w ciemności. Ściany były z bloków żuźlowych, drzwi ze stali, tak że mogli rozmawiać bez obawy, że ktoś ich usłyszy. Robbie miał dwadzieścia pięć lat - kiedy wyjdzie na wolność, będzie miał czterdzieści pięć. Dostał

dwadzieścia cztery lata; rok za każde dziesięć obrobionych domów.

Czas między pójściem do łóżka i zaśnięciem był najgorszą porą dnia. Natrętnie wracała przeszłość, wszystkie błędy, nieszczęścia, wyrzuty sumienia, wszystkie żale. Nie mógł, po prostu nie mógł zamknąć oczu i zasnąć. Najpierw musiał

pocierpieć, wymierzyć sobie karę. Miał wnuczkę, której nigdy nie widział, i zawsze zaczynał od niej. Miał troje dzieci. Żonę sobie odpuszczał, ale często myślał o jej pieniądzach. I o przyjaciółach. Ach, przyjaciele. Gdzież teraz byli?

Odsiedział trzy lata i nie czekała go żadna przyszłość. Miał tylko przeszłość. Nawet biedny Robbie śnił o nowym życiu, o nowym początku w wieku czterdziestu pięciu lat. Ale nie Beech. Bywało, że niemal tęsknił za dotykiem ciepłej teksańskiej ziemi, która otuliłaby go i pogrzebała za małym wiejskim kościółkiem.

Ktoś zafunduje mu nagrobek. Tak, na pewno.

- 38 -

ROZDZIAŁ 6

Trzeci lutego miał być dla Quince'a najgorszym dniem w życiu. Gdyby nie wyjazd lekarza, byłby również ostatnim.

Nie mógł zdobyć recepty na środki nasenne, a nie miał odwagi palnąć sobie w łeb.

Dzień zaczął się przyjemnie, od późnego śniadania, miseczki płatków owsianych, które zjadł samotnie w swoim pokoju. Jego żona - byli razem od dwudziestu sześciu lat – pojechała już na cykl herbatek dobroczynnych oraz małomiasteczkowych imprez woluntariacko-charytatywnych, dzięki którym ona miała jakieś zajęcie, a on święty spokój.

Kiedy wychodził z wielkiego, pretensjonalnego domu na skraju miasta, padał śnieg. Wsiadł do swojego wielkiego, czarnego mercedesa - wóz miał jedenaście lat - i pojechał do pracy. Był w Bakers osobistością. Należał do Garbe'ów, a rodzina Garbe'ów była rodziną bankierów, i to od wielu pokoleń. Dziesięć minut później zaparkował na zarezerwowanym miejscu przed bankiem na Main Street i zrobił krótki wypad na pocztę. Chodził tam dwa razy tygodniowo. Przed laty, w

tajemnicy przed żoną, a zwłaszcza przed wścibską sekretarką, wynajął prywatną skrytkę.

Ponieważ w przeciwieństwie do pozostałych mieszkańców Bakers był bogaty, rzadko kiedy rozmawiał z kimś na ulicy. Nie obchodziło go, co o nim myślą. Czuli jego ojca, to wystarczyło.

Ale co będzie, kiedy stary umrze? Czy po jego śmierci będzie musiał się zmienić? Czy będzie musiał uśmiechać się do przechodniów i wstąpić do Klubu Rotariańskiego, który założył dziadek Garbe?

Jego bezpieczeństwo zależało od rozkapryszonych mieszkańców miasta i Quince miał tego dość. Miał dość zależności od ojca, który zmuszał go do uszczęśliwiania namolnych klientów. Miał dość banku, miał dość Iowy, dość śniegu i żony, i tego lutowego poranka pragnął tylko jednego: otrzymać list od ukochanego Ricky'ego. Krótki, miły list potwierdzający datę ich pierwszej randki.

Tak, oddałby wszystko, żeby spędzić z nim trzy ciepłe dni na łodzi zakochanych. Kto wie, może by już nigdy tu nie wrócił?

Bakers miało osiemnaście tysięcy mieszkańców, dlatego w głównym urzędzie pocztowym przy Main Street jak zwykle panował tłok. I jak zwykle za kontuarem siedział nieznajomy urzędnik. Właśnie dzięki temu Quince'owi udało się wynająć skrytkę - zaczekał, aż w okienku usiądzie urzędnik, który go nie zna; oficjalnym najemcą skrytki była nie istniejąca firma CMT Investments. Skręcił za róg i ruszył prosto do ściany upstrzonej setkami małych drzwiczek.

Czekały na niego trzy przesyłki. Serce w nim zamarło - był wśród nich list od Ricky'ego. Chwycił je, schował do kieszeni, spiesznie wyszedł na ulicę i kilka minut później, dokładnie o dziesiątej, wkroczył do banku. Ojciec przychodził tam o szóstej rano, lecz już dawno temu przestał wyklócać się z synem o jego godziny pracy. Quince przystanął przed biurkiem sekretarki i niecierpliwie ściągnął rękawiczki, jakby czekały na niego niezwykle ważne sprawy. Sekretarka wręczyła mu pocztę, dwie zapisane na karteczce wiadomości i przypomniała, że za dwie godziny czeka go lunch z miejscowym pośrednikiem od nieruchomości.

Zamknął za sobą drzwi, rzucił rękawiczki w jedną stronę, palto w drugą i otworzył list od Ricky'ego. Usiadł na sofie i ciężko dysząc - bynajmniej nie od szybkiego spaceru - włożył okulary. Zaczynając czytać, był bliski wzvodu.

Słowa przeszły go niczym kule. Po drugim akapicie boleśnie jęknął. Dwa razy wyszeptał: „O mój Boże”. Raz szpetnie zaklął i syknął: „A to sukinsyn”.

- 39 -

Cicho! - skarcił się w myślach. Sekretarka ma dobry słuch. Przeczytał list raz i doznał szoku. Przeczytał drugi raz i ogarnęło go niedowierzanie. Dopiero po trzecim razie uświadomił sobie, że nie śni, i zadrżała mu dolna warga. Nie płacz. Nie płacz, do ciężkiej cholery!

Cisnął list na podłogę i zaczął krążyć wokół biurka, próbując nie widzieć wesołych twarzy żony i dzieci na fotografiach. Najwcześniejsze zdjęcia pochodziły sprzed dwudziestu lat. Dwadzieścia lat życia... Popatrzył w okno. Śnieg zgęstniał, zasypał już chodnik. Boże, jak on nienawidził tego miasta.

Myślał, że wyjedzie, ucieknie na jakąś plażę, gdzie będzie figlował z młodym, przystojnym chłopcem. Że już nigdy nie wróci do domu. Teraz będzie musiał odejść w zupełnie innych okolicznościach.

Próbował wmawiać sobie, że to żart, głupi kawał, choć dobrze wiedział, że tak nie jest. List zawierał za dużo zdradliwych szczegółów. Pointa była zbyt celna, zbyt doskonała. Wrobił go zawodowiec.

Całe życie walczył z tłumionymi żądzami. W końcu zdołał się przełamać: lekko uchylił drzwi, a wówczas ten podły oszust strzelił mu między oczy. Głupiec, głupiec, co z niego za głupiec! Dlaczego to takie trudne?

Patrzył na śnieg i myślał o dziesięciu rzeczach naraz. Najprostszym wyjściem byłoby samobójstwo, lecz jak na złość lekarz dokądś wyjechał, poza tym Quince wcale nie chciał umierać. Przynajmniej na razie. Nie wiedział, jak zdobędzie sto tysięcy dolarów bez wzbudzania podejrzeń. Ojciec, ten stary sknera, płacił mu tyle co nic i pilnował każdego centa. Mieli z żoną wspólne konto, ale nie mógł go naruszyć bez jej wiedzy. Życie bogatego bankiera w Bakers to tytuł, mercedes, wielki spleacony dom i aktywna społecznie połowica, nic więcej. Boże, jak bardzo pragnął uciec!

Pojedzie na Florydę. Tak. Pojedzie, wytropi tego parszywca, stawia mu czoło, oskarży o szantaż i poszuka sprawiedliwości. On, Quince Garbe, nie zrobił nic złego. A napisanie takiego listu jest bez wątpienia przestępstwem.

Wynajmie prywatnego detektywa, może nawet adwokata. Oni go obronią, oni odkryją, kto za tym stoi.

Nawet gdyby jakimś cudem zdobył pieniądze i przelał je na wskazane konto, nic by to nie dało. Tak jak wcześniej uchylił drzwi, teraz otworzyłby bramę i Ricky - bez względu na to, kim ten łotr był - w każdej chwili mógłby zażądać więcej.

Oczywiście, bo cóż by go powstrzymało?

Gdyby miał odwagę, uciekłby na Key West czy do innego ciepłego miejsca, gdzie nigdy nie pada śnieg, i żyłby pełną piersią, nie zważając na szaraczków z Bakers, którzy plotkowaliby na jego temat przez następne pół wieku. Tak, ale Quince odwagi nie miał i dlatego był taki smutny.

Patrzyły na niego dzieci, uśmiechnięte, piegowate buzie, zęby w drucianych aparatach. Omal nie pękło mu serce i wiedział już, że znajdzie te przeklęte pieniądze i wyśle szantażyście. Tak, musiał chronić dzieci. Nie zrobiły nikomu nic złego.

Aktywa banku były warte dziesięć milionów dolarów. Zarządzał nimi ojciec, który właśnie warczał na kogoś w korytarzu. Miał osiemdziesiąt jeden lat, wciąż był bardzo rześki, ale osiemdziesiąt jeden lat to osiemdziesiąt jeden lat. Kiedy umrze, Quince będzie musiał zawalczyć z siostrą z Chicago, lecz bank na pewno przejdzie na niego. A wtedy czym prędzej go sprzeda i wyjedzie z Bakers z kilkoma milionami w kieszeni. Jednakże zanim to nastąpi... Cóż, nie miał wyboru, musiał

robić to, co zawsze, czyli uszczęśliwiać starego.

Gdyby ten podły oszust wyjawiał prawdę, zdruzgotany ojciec natychmiast zmieniłby testament. I bank,

i całą resztę odziedziczyłaby siostra.

Kiedy stary przestał warczeć, Quince wyszedł z gabinetu i, nawet nie spojrzawszy na sekretarkę, nalał sobie kubek kawy z ekspresu. Zignorowawszy tę wstrętną babę w drodze powrotnej, zamknął drzwi na klucz, przeczytał list po raz czwarty i spróbował zebrać myśli. Zdobędzie pieniądze, wyśle je szantażyście i będzie się żarliwie modlił, żeby Ricky zniknął z

- 40 -

jego życia. Jeśli nie zniknie i zażąda więcej, Quince pójdzie do lekarza po środki nasenne.

Pośrednik handlu nieruchomościami, z którym miał zjeść lunch, był chodzącym na skróty ryzykantem, niewykluczone, że oszustem. W głowie Quince'a zaświtał pewien plan. Wejdzie z nim w spółkę. Wezmą kilka szemranych kredytów, zawyżą cenę kilku działek, pożyczą komuś na wysoki procent, opchną ziemię jakiemuś figurantowi. Quince się na tym znał, wiedział, co robić. Tak, zdobędzie te pieniądze.

Ludzie uważali, że złowieszcze reklamy polityczne Lake'a wywierają potężne wrażenie. Po pierwszym tygodniu intensywnej kampanii przeprowadzono rozległe sondaże, które wykazały szokujący wzrost rozpoznawalności jego nazwiska -

skoczyła z dwóch do dwudziestu procent - choć reklamy jako takie nie podobały się prawie nikomu. Były przerażające, zatrważające, a ludzie nie chcieli myśleć ani o terrorystach, ani o pociskach raketowych szmuglowanych przez pogrążone w mroku góry. Owszem, reklamy oglądali (trudno je było przeoczyć) i rozumieli zawarty w nich przekaz, jednak większość przyszłych wyborców po prostu wolała mieć święty spokój, gdyż za bardzo pochłaniało ich robienie i wydawanie pieniędzy.

Gospodarka przeżywała wielki boom, dlatego wszelkie dyskusje ograniczały się do stałych tematów dyżurnych, takich jak wartości rodzinne i obniżenie podatków.

Dziennikarze traktowali Lake'a jak kolejnego ekscentryka do chwili, gdy w jednym z przeprowadzonych na żywo wywiadów publicznie ogłosił, że w niecały tydzień na jego konto wyborcze wpłynęło ponad jedenaście milionów dolarów.

„Spodziewamy się - dodał skromnie - że za dwa tygodnie będziemy mieli dwadzieścia milionów”. (Miał zadbać o to sam Teddy Maynard.) No i wtedy się zaczęło.

Dwadzieścia milionów w dwa tygodnie? To prawdziwy rekord, prawdziwa sensacja - w Waszyngtonie zrobiło się gorąco. Szaleństwo osiągnęło szczyt, gdy Aaron Lake wystąpił wieczorem w kolejnym wywiadzie na żywo - w wywiadzie transmitowanym przez dwie z trzech działających w stolicy stacji telewizyjnych. Wyglądał wspaniale: szeroki uśmiech, gładkie słówka, dobrze skrojony garnitur, ładna fryzura. Takiego faceta można by wybrać.

Ostatecznym potwierdzeniem faktu, że jest poważnym kandydatem do prezydenckiego urzędu, był atak ze strony senatora Britta. Senator Britt z Marylandu prowadził kampanię już od roku i w prawyborach w New Hampshire ugruntował

swoją pozycję, zdobywając drugie miejsce. Zgromadził na koncie dziewięć milionów dolarów, znacznie więcej wydał i zamiast walczyć o fotel w Białym Domu, połowę czasu musiał tracić na zbieranie pieniędzy. Miał dość tej zebraniny, dość ciągłych redukcji personelu i zamartwiania się o reklamy, dlatego kiedy jeden z reporterów spytał go o Lake'a i jego dwadzieścia milionów dolarów, Britt warknął: „To brudne pieniądze. Żaden uczciwy kandydat nie zgromadziłby w tym czasie tak dużej kwoty”. Powiedział to przed wejściem do fabryki chemicznej w Michigan, gdzie ścisnął ręce moknącym na deszczu robotnikom.

„Brudne pieniądze” - prasa błyskawicznie to podchwyciła i rozpropagowała.

Aaron Lake wkroczył na arenę wydarzeń.

Senator Britt miał tymczasem inne problemy, o których wolałby zapomnieć.

Przed dziewięcioma laty wraz z kilkoma kolegami z Kongresu podróżował po Azji Południowo-Wschodniej. Jak zwykle latali pierwszą klasą, zatrzymywali się w najlepszych hotelach i jedli homary, a wszystko po to, żeby dogłębnie poznać panujące w tej części świata ubóstwo i zbadać źródła kontrowersyjnego problemu taniej siły roboczej wykorzystywanej przez firmę Nike. Na początku wyprawy Britt poznał w Bangkoku pewną dziewczynę i symulując chorobę, postanowił

- 41 -

zostać tam kilka dni dłużej, podczas gdy jego koledzy kontynuowali podróż do Laosu i Wietnamu.

Payka miała dwadzieścia lat i bynajmniej nie była prostytutką. Pracowała jako sekretarka w ambasadzie USA, a ponieważ płaciła jej Ameryka, senator obdarzył ją niejako profesjonalnym zainteresowaniem. Był daleko od domu, od żony, od pięciorga dzieci i od swoich wyborców, a oszałamiająco piękna i kształtna Payka chciała studiować w Stanach.

Niewinny flirt szybko przerodził się w namiętny romans, dlatego senator niechętnie wrócił do Waszyngtonu. Dwa miesiące później poleciał do Bangkoku ponownie z - jak wyjawiał żonie - bardzo pilną, acz tajną misją.

W ciągu dziewięciu miesięcy odwiedził Tajlandię czterokrotnie. Zawsze podróżował pierwszą klasą, zawsze na koszt podatników, dlatego szeptać o tym zaczęli nawet najwięksi globtroterzy w Kongresie. Tymczasem Britt pociągnął za odpowiednie sznurki w Departamencie Stanu i wszystko wskazywało na to, że Payka wkrótce wyląduje na amerykańskiej ziemi.

Nie wylądowała. Podczas czwartego i ostatniego spotkania wyznała mu, że jest w ciąży. Była katoliczką i aborcja nie wchodziła w rachubę. Senator potraktował ją bardzo oschle, powiedział, że musi to sobie przemyśleć, i w środku nocy uciekł

z Bangkoku. Zbieranie faktów o ubóstwie Azji Południowo-Wschodniej dobiegło końca.

Na początku kariery politycznej Britt, zatwardziały zwolennik twardej polityki fiskalnej, zdobył krótkotrwały rozgłos, krytykując CIA za rozrzutność i marnotrawstwo pieniędzy podatników. Teddy Maynard nie zareagował, lecz słowa senatora nie przypadły mu do gustu. Kazał odnaleźć w

archiwum jego cienką, bardzo zakurzoną teczkę i kiedy Britt poleciał do Bangkoku po raz drugi, towarzyszyli mu agenci CIA. Oczywiście senator nic o tym nie wiedział, choć kilku siedziało z nim w pierwszej klasie, podczas gdy inni czekali na lotnisku. Obserwowali hotel, w którym zakochani spędzili trzy upojne dni. Robili im zdjęcia w drogich restauracjach. Widzieli dosłownie wszystko. Britt był nieostrożny i głupi.

Później, kiedy urodziło się dziecko, CIA zdobyła dokumenty ze szpitala, a potem wyniki badań DNA. Payka wróciła do pracy w ambasadzie, tak że agenci bez trudu ją odnaleźli.

Kiedy jej synek miał rok, zrobili mu zdjęcie, gdy siedział na kolanach mamy w śródmiejskim parku. Od tamtej pory fotografowali go regularnie, a kiedy skończył cztery lata, w jego małej twarzączce można już było odnaleźć odległe podobieństwo do twarzy senatora Dana Britta z Marylandu.

Tymczasem tatuś chłopczyka przepadł bez wieści już dawno temu. Jego zamiłowanie do zbierania faktów na temat Azji Południowo-Wschodniej dramatycznie osłabło, gdyż skupił uwagę na innych, równie ważnych regionach świata. Po pewnym czasie ogarnęło go chorobliwe pragnienie zostania prezydentem Stanów Zjednoczonych; wcześniej czy później przypadłość ta dopada wszystkich zasiadających w Kongresie senatorów. Ponieważ Payka się z nim nie kontaktowała, szybko o tym koszmarze zapomniał.

Miał pięcioro dzieci z prawego łóża i wyszczekaną żonę. Tworzyli zgrany zespół i swego czasu oboje prowadzili żarliwą kampanię w obronie wartości rodzinnych i życia poczętego („Brońmy naszych dzieci!”). Razem napisali książkę i choć ich najstarszy syn miał wówczas dopiero trzynaście lat, tłumaczyli w niej czytelnikom, jak wychowywać dzieci, by nie uległy wpływom obrzydliwej kultury, w jakiej przyszło im żyć. Kiedy urzędujący prezydent zażenował kraj swoimi seksualnymi wybrykami, senator Britt zyskał miano najbardziej zatwardziałej dziewicy w Waszyngtonie.

Potrącili z żoną czułą strunę i konserwatyści zasypali ich pieniędzmi. Na spotkaniach przedwyborczych w Iowie poszło mu całkiem dobrze, był drugi w New Hampshire, lecz zasobów finansowych ubywało, a jego popularność szybko spadała.

Wkrótce miała spaść do zera. Po kolejnym dniu brutalnej kampanii Britt i jego ekipa stanęli na krótki wypoczynek w

- 42 -

motelu w Dearborn w Michigan. I właśnie tam senator poznał swoje szóste dziecko - choć nie osobiście.

Agent nazywał się McCord i z fałszywą legitymacją prasową w kieszeni jeździł za nim od tygodnia. Twierdził, że jest dziennikarzem jednej z gazet w Tallahassee, tymczasem od jedenastu lat pracował w CIA. Wokół Britta kręciło się tylu reporterów, że nikt tego nie sprawdził.

McCord zaprzyjaźnił się z jednym z jego doradców i późnym wieczorem, przy lampce wina w Holliday Inn, powiedział mu, że ma coś, co może zniszczyć kandydata Britta: notes, który przekazali mu jego rywale z ekipy gubernatora Tarry’ego. Notes z prawdziwą bombą na każdej stronie. Było

tam zaprzysiężone zeznanie Payki ze szczegółami ich romansu, dwa zdjęcia ich siedmioletniego syna (ostatnie zrobiono przed miesiącem - widniejący na nim chłopak robił się coraz bardziej podobny do tatusia), wyniki badań DNA, jednoznacznie wskazujące na to, kto jest jego ojcem, wykaz kosztów podróży oraz ich podsumowanie, z którego wynikało, że za trzydzieści osiem tysięcy sześćset dolarów podatnicy sfinansowali senatorowi romans na drugim końcu świata.

Sprawa była prosta: Britt ma niezwłocznie zaprzestać kampanii i wycofać się z wyścigu, a wówczas nie dojdzie do żadnego przecieku. McCord należał do dziennikarzy bardzo etycznych i nie znosił publicznego prania brudów. A gubernator Tarry? Jeśli senator zniknie ze sceny, Tarry nie pisnie ani słowa. Nie dowie się o tym nawet pani Britt.

Krótko po północy w gabinecie Teddy'ego Maynarda w Waszyngtonie zadzwonił telefon. McCord donosił, że przesyłka została doręczona. Senator Britt zwołał już konferencję prasową.

Teddy miał w archiwum teczek z hakami na setki polityków, zarówno aktywnych zawodowo, jak i tych na emeryturze. Jakże łatwo ich było podejść. Wystarczyło nasłać na nich piękną młodą kobietę i materiał gotowy. Jeśli nie poskutkowała kobieta, zawsze skutkowały pieniądze. Maynard musiał tylko uważnie obserwować, jak zachowują się w podróży, jak włączają do łóżka lobbystom, jak sprzedają się obcym rządóm bystrym na tyle, żeby zalać Waszyngton potopem pieniędzy, jak prowadzą kampanię wyborczą i jak zbierają fundusze. Tak, wystarczyło ich obserwować, a tecki same puchły. Szkoda, że nie szło mu tak łatwo z Rosjanami.

Chociaż nie lubił polityków w ogólności, kilku bardzo szanował. Na przykład Aarona Lake'a. Lake nie uganiał się za kobietami, nie nadużywał alkoholu, nie miał żadnych nałogów, nie kusiły go ani pieniądze, ani sława. Im dłużej obserwował

Lake'a, tym bardziej mu się podobał.

Wziął ostatnią tej nocy pigułkę i wjechał do sypialni. A więc Britt odpadł. Dobrze, że się go pozbył. Szkoda tylko, że nie mógł sprzedać tej historii prasie. Ten bogobojny hipokryta zasługiwał na porządne lanie. Cierpliwości - pomyślał.

Poczekaj i wykorzystaj go ponownie. Pewnego dnia prezydent Lake może go potrzebować. A wówczas ten mały Taj bardzo nam się przyda.

- 43 -

ROZDZIAŁ 7

Picasso oskarżał Sherlocka oraz innych nieznanymi sprawców o rozmyślne oddawanie moczu na róże. Oddany w nieodpowiednim miejscu mocz nie zakłóciłby panującej w Trumble równowagi, rzecz w tym, że Picasso żądał

odszkodowania w wysokości pięciuset dolarów. A pięćset dolarów to już poważna sprawa.

Psuła im krew od lata minionego roku, kiedy to Picasso przyłapał Sherlocka na gorącym uczynku, co

w końcu zmusiło naczelnika do interwencji: poprosił Bractwo o rozwiązanie tej kwestii we własnym zakresie. Wpłynął pozew i Sherlock wynajął obrońcę, byłego prawnika nazwiskiem Ratliff, skazanego za uchylanie się od płacenia podatków, który próbował rozprawę opóźnić, odroczyć, odwlec i przełożyć na inny termin, czyli stosował wszystkie sztuczki, jakie adwokaci stosują na wolności. Jednak jego taktyka nie przypadła do gustu Braciom, poza tym ani Sherlock, ani Ratliff nie cieszyli się ich szacunkiem.

Picasso założył swój ogródek na kawałku starannie spulchnionej i wygracowanej ziemi przy sali gimnastycznej.

Upłynęły trzy lata, zanim zdołał przekonać jakiegoś głupiego urzędasza z Waszyngtonu, że cierpi na liczne zaburzenia psychiczne i uprawianie ogródka, a więc hobby, które ma i zawsze miało właściwości terapeutyczne, pomogłoby mu je zwalczyć. Kiedy wreszcie uzyskał zgodę z Waszyngtonu, zgodę wyraził również naczelnik i Picasso wgrzył się w ziemię zębami, rękami i nogami. Załatwił też róże od dostawcy z Jacksonville, co samo w sobie pochłonęło kilogramy papieru na korespondencję i podania.

Pracował jako pomywacz w więziennej kuchni i zarabiał trzydzieści centów za godzinę. Chciał zostać ogrodnikiem, ale ponieważ naczelnik odrzucił jego prośbę, musiał traktować róże jako hobby. Latem widywano go przy sali wczesnym rankiem i późnym wieczorem: łąził po grządce na czworakach, kopał w ziemi i podlewał kwiaty. Ba, nawet do nich gadał!

Przedmiotem sporu były róże odmiany Marzenie Belindy, blad różowe i niezbyt piękne, mimo to uwielbiane przez Picassa. Kiedy przyjechały z Jacksonville, wszyscy natychmiast się o tym dowiedzieli, gdyż ten zasadził je czule z przodu i pośrodku ogródka.

Sherlock zaczął na nie sikać ot, tak sobie, dla zabawy. Poza tym nie przepadał za Picassem. Uważał, że jest notorycznym kłamcą, i z jakiegoś powodu uznał, że sikanie na jego kwiaty jest czymś jak najbardziej stosownym. Wkrótce dołączyli do niego inni. Sherlock zachęcał ich do tego, twierdząc, że róże będą lepiej rosły, ponieważ mocz jest dobrym nawozem.

Marzenie Belindy straciły kolor, zaczęły więdnąć i Picasso wpadł w przerażenie. Jakiś informator wsunął mu karteczkę pod drzwi i tajemnica się wydała. Jego ukochany ogródek stał się ulubionym wychodkiem całego Trumble! Dwa dni później urządził na Sherlocka zasadzkę, przyłapał go na gorącym uczynku i dwóch pulchnych panów w średnim wieku wdało się w paskudną bójkę na chodniku.

Marzenie Belindy kompletnie zżółkły i Picasso wniósł oskarżenie.

Kiedy w końcu doszło do procesu - po wielu miesiącach odroczeń i opóźnień, o które z uporem wnioskował Ratliff -

Bracia byli już tą sprawą zmęczeni. Zlecili ją cichaczem Finnowi Yarberowi - jego matka hodowała kiedyś róże - który po kilkugodzinnych studiach poinformował kolegów, że mocz nie mógł wpłynąć na zmianę koloru kwiatów. Dlatego na dwa dni przed rozprawą Bractwo podjęło decyzję: zakażą Sherlockowi oraz innym świniom sikania na róże, lecz odszkodowania nie

przyznają.

Przez trzy godziny wysłuchiwali stron kłócących się o to, kto sikał, gdzie, kiedy i jak często. Bliski płaczu Picasso, który chwilami występował w charakterze własnego obrońcy, błagał świadków, żeby donieśli na kumpli. Ratliff, jego oficjalny obrońca, był okrutny, szorstki i zupełnie zbyteczny, tak że już po pierwszej godzinie stało się oczywiste, iż w pełni zasługiwał

na usunięcie z palestry, bez względu na przestępstwa, jakich się dopuścił.

Sędzia Spicer zabijał czas, analizując tabele rozgrywek uniwersyteckiej ligi koszykarskiej. Kiedy nie mógł

skontaktować się z Trevorem, obstawiał wyniki na niby i w ciągu dwóch miesięcy zbierał trzy tysiące sześćset dolarów -

tylko na papierze, oczywiście. Szło mu jak nigdy dotąd; wygrywał w karty, wygrywał zakłady piłkarskie i miał kłopoty z zaśnięciem, gdyż nawet we śnie marzył o karierze zawodowego hazardzisty w Las Vegas i na Bahamach. Z żoną, a nawet bez żony.

Sędzia Beech marszczył w zamyśleniu czoło, jakby deliberował nad skomplikowanym zagadnieniem prawniczym, i cały czas coś sobie notował. Tymczasem tak naprawdę przygotowywał roboczą wersję listu do Curtisa z Dallas. Bracia postanowili zarzucić na niego kolejną przynętę. Pisząc jako Ricky, Beech wyjaśniał, że jeden z okrutnych strażników z kliniki rehabilitacyjnej groził mu ciężkim pobiciem i żądał pieniędzy „za ochronę”. Ricky potrzebował pięciu tysięcy dolarów, żeby uwolnić się od tej bestii - czy Curtis mu tę kwotę pożyczy?

- Moglibyśmy przejść do rzeczy? - spytał głośno Beech, po raz kolejny przerywając Ratliffowi. Kiedy był jeszcze prawdziwym sędzią, do mistrzostwa opanował sztukę czytania czasopism i przysłuchiwania się monotonnym wywodom adwokatów. Nagłe, wypowiedziane grzmiącym głosem i wtrącone w odpowiednim momencie ponaglenie zmuszało ich do zachowywania nieustannej czujności.

Beech pisał:

To okrutna gra. Przyjeżdżamy tu załamani i rozbici na tysiące kawałków. Powoli nas prostują, składają, pomagają zebrać myśli, uczą dyscypliny, wiary w siebie i przygotowują do powrotu do społeczeństwa.

Odwalają kawał dobrej roboty, lecz jednocześnie pozwalają tym ciemnym niedoukom, strasznym zbirom, którzy pilnują kliniki, dręczyć nas i gnębić. Jesteśmy krusi jak szkło, a oni nam grożą, niszcząc wszystko to, nad czym tak ciężko pracowaliśmy. Boję się tego człowieka. Mam ćwiczyć na siłowni i zażywać kąpeli słonecznych, tymczasem ukrywam się przed nim w pokoju. Nie mogę spać. Zaczynam tęsknić za narkotykami i alkoholem. Proszę Cię, Curtis, pożycz mi pięć tysięcy dolarów, żebym mógł się od niego uwolnić, dokończyć leczenie i wyjść stąd w jednym kawałku.

Kiedy się spotkamy, chciałbym być zdrowy i w dobrej formie.

Co by pomyśleli jego przyjaciele? On, sędzia federalny Hatlee Beech, pisał niczym zdeklarowany pedał, próbując wyciągać forsy od niewinnych ludzi.

Nie, Hatlee nie miał przyjaciół. Ani przyjaciół, ani zasad. Prawo, które niegdyś cenił, wpakowało go tu, do więzienia.

Kazało mu włożyć wypłowiałą togę z murzyńskiego kościoła i wysłuchiwać bandy rozsierzdzonych idiotów kłócących się o czyjeś siuski.

- Zadajesz to pytanie ósmy raz - warknął na Ratliffa, który musiał naoglądać się kiepskich seriali sądowych w telewizji.

Ponieważ sprawę oficjalnie prowadził Yarber, mógł przynajmniej udawać, że słucha. Lecz Yarber ani nie słuchał, ani

- 45 -

nawet nie udawał, bo miał to gdzieś. Jak zwykle był bez spodni. Założył nogę na nogę i czyścił paznokcie zębem plastikowego widelca.

- A gdybym na nie nasrał?! - wrzasnął Sherlock na Picassa. - Myślisz, że zrobiłyby się brązowe?

Publiczność ryknęła śmiechem.

- Bez wulgaryzmów, proszę - wtrącił groźnie sędzia Beech.

- Proszę o spokój! - zawołał T. Karl, poprawiając perukę. Przywoływanie osadzonych do porządku nie należało do jego obowiązków, ale ponieważ potrafił na nich huknąć, Bracia przymykali na to oko. T. Karl zastukał młotkiem. - Spokój, panowie!

Beech pisał dalej: „Błagam, pomóż mi, Curtis. Nie mam się do kogo zwrócić. Czuję, że nie wytrzymam, że znowu się załamie. Bardzo się boję, bo jeśli do tego dojdzie, nigdy stąd nie wyjdę. Pospiesz się, nie zwlekaj”.

Spicer postawił sto dolarów na zwycięstwo Indiany nad Purdue, drużyny Duke'ów nad drużyną Clemson, Alabamy nad Vendy i na tych z Wisconsin, którzy grali z Illinois. Wisconsin? Co on wiedział o koszykarzach z Wisconsin? Nic, ale co za różnica. Był zawodowym hazardzistą, i to piekielnie dobrym hazardzistą. Jeśli tylko dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, które podprowadził z salonu gry w bingo, wciąż spoczywało w betonowym sejfie za szopą z narzędziami, w ciągu roku pomnoży je do miliona.

- Dość, wystarczy - powiedział Beech, podnosząc ręce.

- Dla mnie też - przyklasnął mu Yarber, zapominając o paznokciach i opierając się o stół.

Bracia nachyliili się ku sobie i pograżyli w rozważaniach tak poważnych, jakby zamierzaali ustanowić nowy precedens prawniczy albo wydać orzeczenie, które będzie miało głęboki wpływ na przyszłość amerykańskiej praktyki sądowej.

Marszczyli czoło, drapali się w głowę, a nawet doszło między nimi do czegoś w rodzaju sprzeczki na temat meritum sprawy.

Tymczasem biedny, bliski płaczu Picasso siedział samotnie, kompletnie wyczerpany taktyką Ratliffa.

Sędzia Yarber odchrząknął i oświadczył:

- Dwoma głosami przeciwko jednemu podjęliśmy decyzję. Niniejszym zabraniamy oddawania moczu na te przeklęte róże. Każdego, kto zostanie na tym przyłapany, ukarzymy grzywną w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Tym razem powód nie otrzyma żadnego odszkodowania.

W tym samym momencie T. Karl grzmotnął młotkiem w stół i wrzasnął:

- Koniec posiedzenia. Proszę wstać.

Oczywiście nikt nie wstał.

- Chcę się odwołać! - krzyknął Picasso.

- Ja też - mruknął Sherlock.

- Wydaliśmy dobry werdykt - skostatował Yarber, zbierając poły togi i wstając. - Obie strony są niezadowolone.

Beech i Spicer też wstali i Bracia wymaszerowali z kantyny.

Między publiczność, świadków i zwaśnione strony wkroczył strażnik.

- Koniec rozprawy, chłopcy. Wracajcie do pracy.

Dyrektor Hummunda w Seattle, fabryki produkującej pociski raketowe i aparaturę elektroniczną do zagłuszania radarów, był kiedyś kongresmanem blisko związanym z CIA; Teddy Maynard dobrze go znał. Kiedy zwołał konferencję prasową i oświadczył, że jego zakład zebrał pięć milionów dolarów na kampanię wyborczą Lake'a, CNN przerwało

- 46 -

program o odsysaniu nadmiaru tłuszczu z bioder, by transmitować to wydarzenie na żywo. Każdy z pięciu tysięcy pracowników Hummunda wypisał czek na tysiąc dolarów, czyli na maksymalną kwotę dozwoloną przez prawo federalne.

Dyrektor zebrał je do wielkiego pudła, które zademonstrował przed kamerami, by następnie wsiąść do firmowego odrzutowca, polecieć do Waszyngtonu i przekazać je ludziom z głównej kwatery

wyborczej Lake'a.

Idź za pieniędzmi, a znajdziesz zwycięzcę. Odkąd Lake zgłosił swoją kandydaturę, ponad jedenaście tysięcy pracowników przemysłu kosmiczno-zbrojeniowego zatrudnionych w trzydziestu stanach Ameryki przekazało mu ponad osiem milionów dolarów; poczta musiała dostarczać czeki w pudłach. Ich związki zawodowe przesłały drugie tyle i obiecały kolejne dwa miliony. Ludzie Lake'a wynajęli jedno ze stołecznych biur rachunkowych, którego jedynym zadaniem było liczenie i księgowanie pieniędzy.

Dyrektor Hummada przybył do Waszyngtonu pośród tyłu fanfar i fajerwerków, ile tylko można było zorganizować.

W tym czasie kandydat Lake podróżował; nowiutkim, wynajętym za czterysta tysięcy dolarów miesięcznie challengerem leciał

do Detroit. Gdy wylądował, czekały na niego dwie długie, czarne limuzyny, też nowiutkie i wynajęte za tysiąc dolarów miesięcznie każda. Lake miał teraz eskortę, zgraną grupę nie odstępujących go na krok pomocników, i chociaż wiedział, że wkrótce do nich przywyknie, początkowo działali mu na nerwy. Poza tym cały czas otaczali go jacyś nieznajomi. Młodzi, posępni mężczyźni w ciemnych garniturach z małymi mikrofonami w uchu i rewolwerami za pazuchą. Dwóch tajnych agentów towarzyszyło mu na pokładzie samolotu, dwóch innych czekało przy limuzynach.

No i miał jeszcze Floyda, tego z biura. Floyd był tępym młodym chłopakiem ze starej, znanej arizońskiej rodziny, który nadawał się wyłącznie do jednego: do biegania na posyłki. Teraz był jego kierowcą. Usiadł za kółkiem limuzyny, Lake zajął miejsce z przodu, a dwaj agenci z tyłu. Dwóch doradców oraz trzech innych agentów stłoczyło się w drugiej limuzynie, po czym wszyscy szybko odjechali, zmierzając do centrum Detroit, gdzie czekało na nich dwóch ważnych dziennikarzy z miejscowej telewizji.

Lake nie miał czasu ani na wygłaszanie przemówień, ani na zwiedzanie okolicy, ani na zjedzenie pysznego zębacza, ani na wystawanie w deszczu przed bramami wielkich fabryk. Nie mógł spacerować ulicami pod kamerę, nie mógł organizować spotkań z wyborcami ani stać pośród ruin w murzyńskim getcie, krytykując błędne decyzje polityków u władzy - nie starczało mu czasu na to, czego oczekiwano od wszystkich kandydatów ubiegających się o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Przyłączył się do wyścigu późno, bez wstępnego urabiania wyborców. Był człowiekiem znikąd i nie miał żadnego wsparcia wśród miejscowych. Miał za to miłą twarz, przyjemny głos, kilka dobrze skrojonych garniturów, pilne wieści do przekazania i mnóstwo pieniędzy.

Jeśli kupując telewizję, można kupić zwycięstwo w wyborach, Aaron Lake miał niebawem załatwić sobie nową posadę.

Zadzwoił do Waszyngtonu, porozmawiał z ludźmi odpowiedzialnymi za gromadzenie funduszy i dowiedział się o pięciu milionach dolarów od pracowników Hummada. Hummand? Nigdy dotąd o nich nie słyszał.

- To państwowa firma? - spytał.

Nie, ściśle prywatna. Niecały miliard zysku ze sprzedaży rocznie. To innowatorzy, spece od aparatury zakłócającej pracę radarów. Mogliby zarabiać sto razy tyle, gdyby zbrojeniówką zajął się odpowiedni facet - facet, który zasypałby ich zamówieniami.

Tak więc Lake miał do dyspozycji dziewiętnaście milionów. Nowy rekord. Tymczasem ludzie z jego sztabu pracowali już nad zmianą założeń wstępnych i podczas pierwszych dwóch tygodni kampanii chcieli zebrać trzydzieści

- 47 -

milionów dolarów.

Nie, w tak wolnym tempie nigdy tych pieniędzy nie wydadzą.

Zamknął klapkę telefonu komórkowego i oddał go Floydowi, który robił wrażenie nieco zagubionego; na ulicy panował duży ruch.

- Od tej pory będziemy korzystali ze śmigłowców - rzucił przez ramię Lake.

Jego sekretarz niezwłocznie zapisał nową dyrektywę: znaleźć śmigłowce.

Trzydzieści milionów dolarów. Lake ukrył twarz za ciemnymi okularami i spróbował tę kwotę ogarnąć. Z fiskalnego konserwatysty w szastającego forszą kandydata - przemiana dość dziwna i może trochę niezręczna, lecz musiał te pieniądze wydać. Ostatecznie nie wydusił ich od płatników, tylko je dostał. Szybko znalazł racjonalne rozwiązanie: kiedy zostanie prezydentem, będzie kontynuował walkę o dobro robotników.

I znowu pomyślał o Maynardzie siedzącym samotnie w ciemnym bunkrze w Langley. Nogi owinięte narzutą, wykrzywiona bólem twarz - wystarczyło, że pociągał za sznurki, za które tylko on mógł pociągnąć, i pieniądze spadały z drzew. Lake nie wiedział, w jaki sposób Teddy mu pomaga, ani też wcale nie chciał tego wiedzieć.

Dyrektorem wydziału do spraw operacji bliskowschodnich był niejaki Lufkin, pracownik z dwudziestoletnim stażem, któremu Teddy bezgranicznie ufał. Czternaście godzin temu był w Tel Awiwie. Teraz siedział w bunkrze, świeży i wypoczęty.

Wiadomość miał przekazać osobiście, ustnie i w cztery oczy, bez żadnych telegramów, sygnałów czy satelitów. Obaj wiedzieli, że to, co sobie powiedzą, pozostanie między nimi. Było tak od wielu lat.

- Do zamachu na naszą ambasadę w Kairze może dojść lada chwila - zaczął Lufkin.

Teddy nie zareagował. Ani nie zmarszczył czoła, ani nawet na niego nie spojrział. Taka wiadomość nie była dla niego pierwszą.

- Yidal? - spytał.

- Tak. W zeszłym tygodniu widziano w Kairze jego zastępcę.

- Kto go widział?

- Izraelici. Wytropili również dwie ciężarówki z materiałem wybuchowym z Trypolisu. Wszystko przygotowane.

- Kiedy?

- Lada chwila.

- To znaczy?

- Jeszcze w tym tygodniu.

Maynard pociągnął za koniuszek ucha i zamknął oczy. Lufkin próbował na niego nie patrzeć - wiedział, że nie wolno teraz o nic pytać. Zaraz stąd wyjdzie. Wróci na Bliski Wschód i będzie czekał. Niewykluczone, że Teddy nikogo nie ostrzeże. Że mnóstwo ludzi straci życie, że jeszcze więcej zostanie kalekami. Że przez wiele dni z krateru w środku miasta będzie kopał dym, a z Waszyngtonu popłyną oskarżenia. Firmie znowu się oberwie. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Na Maynardzie nie robiło to najmniejszego wrażenia. Lufkin zdążył się już nauczyć, że dla osiągnięcia swych celów Teddy często stosuje terror.

Zresztą równie dobrze mogło być tak, że ambasada ocaleje, a zamachowcy zostaną zlikwidowani przez egipskich komandosów współpracujących z ONZ. Wówczas CIA zbierze pochwały za dobre rozpoznanie i sprawny wywiad. To też nie zrobiłoby na Maynardzie najmniejszego wrażenia.

- 48 -

- Jesteś pewien?

- Tak, jeśli w tej sytuacji to w ogóle możliwe.

Oczywiście Lufkin nie miał zielonego pojęcia, że szef zorganizował spisek, którego celem jest wybór nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Aaron Lake? Lufkin chyba nawet o nim nie słyszał. Szczerze powiedziawszy, wynik wyborów zupełnie go nie interesował. Przebywał na Bliskim Wschodzie na tyle długo, by wiedzieć, że nowe założenia amerykańskiej polityki w tym rejonie świata nie mają żadnego znaczenia.

Za trzy godziny polecą concordem do Paryża, gdzie spędzi dzień przed podróżą do Jerozolimy, a potem...

- Jedź do Kairu - powiedział Teddy, nie otwierając oczu.

- I...?

- Czekaj.

- Na co?

- Na silny wstrząs. I trzymaj się z daleka od ambasady.

Pierwszą reakcją Yorka było przerażenie.

- Nie możesz tego puścić - powiedział. - To koszmarnie, niecenzuralne. Nigdy w życiu nie widziałem tyle krwi.

- A mnie się podoba - odrzekł Teddy, wciskając guzik pilota. - Niecenzuralna kampania wyborcza. Świetnie.

Będziemy pierwsi.

Obejrzeni reklamę jeszcze raz. Rozpoczął ją gwizd spadającej bomby i widok koszar piechoty morskiej w Bejrucie: dym, gruzy, chaos. Wyciągane z ruin zwłoki, rozszarpane ciała, rząd martwych żołnierzy na ziemi. Prezydent Reagan przemawiający do dziennikarzy i poprzysięgający zemstę, jego puste groźby. Potem zdjęcie amerykańskiego żołnierza stojącego między dwoma zamaskowanymi zabójcami. I ten głęboki, złowieszczy głos: „Od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego terroryści zamordowali setki Amerykanów”. Kolejny zamach - jeszcze więcej krwi, jeszcze więcej dymu, jeszcze większy chaos i twarze zaszokowanych szczęśliwców, którzy uszli z życiem. „Zawsze poprzysięgamy zemstę. Zawsze grozimy i obiecujemy ukarać odpowiedzialnych za to ludzi.” Dwie migawki przedstawiające rozsierzonego prezydenta Busha obiecującego szybki odwet - kolejny zamach i dziesiątki zwłok. Potem krótki fragment filmu pokazującego zamaskowanego terrorystę, który staje w drzwiach pasażerskiego samolotu, wlokąc za sobą ciało amerykańskiego żołnierza. I bliski płaczu prezydent Clinton. „Nie spoczniemy - mówi łamiącym się głosem, dopóki nie ukarzymy sprawców.” Na zakończenie miły, acz poważny Aaron Lake. Patrzy prosto w obiektyw kamery, zagląda do amerykańskich domów i mówi: „Ale do żadnego odwetu nie dochodzi. Reagujemy słowami, junakierią i pustymi groźbami, grzebiemy naszych zmarłych i szybko o nich zapominamy. Terroryści wygrywają, ponieważ brakuje nam odwagi, by stawić im czoło. Kiedy zostanę prezydentem, wykorzystam nasze odrodzone siły zbrojne do walki ze wszelkimi przejawami terroryzmu. Będziemy zwalczać go wszędzie, na całym świecie. Pomścimy każdego zamordowanego Amerykanina. Obiecuję. Nie damy się poniżyć tym obszarpanym zbirom ukrywającym się w górach. Zniszczymy ich raz na zawsze”.

Reklama trwała dokładnie sześćdziesiąt sekund i za czterdzieści osiem godzin miała wejść na antenę w czasie największej oglądalności. Kosztowała niedużo, ponieważ prawie wszystkie materiały przygotował Maynard.

- Sam nie wiem - powiedział York. - Jest makabryczna...

- Jak ten świat - odrzekł Teddy.

Reklama mu się podobała i nic innego nie miało znaczenia. Lake początkowo protestował, lecz

szybko zmienił zdanie.

- 49 -

Jego nazwisko rozpoznawało już prawie trzydzieści procent ludzi, choć w dalszym ciągu powszechnie uważano, że jego reklamy są odrażające.

Poczekajcie, powtarzał sobie Teddy. Poczekajcie, aż przybędzie nam zwłok.

- 50 -

ROZDZIAŁ 8

Kiedy zadzwonił telefon, Trevor sączył podwójną kawę na wynos, zastanawiając się, czy nie przyprawić jej solidnym łykiem, a może nawet dwoma łykami amaretto na rozpędzenie porannej mgiełki w głowie. W kancelarii nie było interkomu, bo i po cholere. Jan mogła po prostu krzyknąć do niego z sekretariatu, a on odkrzyknąć, jeśli tylko chciał. Wrzeszczeli tak na siebie od ośmiu lat.

- Dzwonią z jakiegoś banku na Bahamach!

Omal nie rozlewając kawy, rzucił się do telefonu.

Dzwonił jakiś Angol mówiący z akcentem zmiękczonej długim pobytem na wyspach. Z banku w Iowie nadszedł

przekaz na znaczną kwotę.

Trevor zasłonił ręką usta, żeby Jan go nie podsłuchiwała, i spytał na ile.

Na sto tysięcy dolarów.

Trevor odłożył słuchawkę, dolał do kawy potrójną porcję amaretto i sączył ten upojny koktajl, uśmiechając się głupio do ściany. Trzydzieści trzy tysiące dolarów - nigdy dotąd nie zgarnął tyle forsy, a już na pewno nie za jednym podejściem.

Kiedyś podłapał jakiegoś frajera z wypadku. Firma ubezpieczeniowa wybuliła mu dwadzieścia pięć kawałków, z czego on dostał siedem i pół. Dwa miesiące później już ich nie miał.

Jan nie wiedziała o tajnym koncie na Bahamach ani o pieniądzach ze szwindlu, które na to konto wpływały, dlatego musiał odczekać godzinę, wykonać kilka bezsensownych telefonów i udawać zajętego, zanim oznajmił, że wzywają go w pilnej sprawie do Jacksonville, a potem do Trumble. Miała to gdzieś. Trevor ciągle gdzieś wybywał, a kiedy wybywał, mogła sobie spokojnie poczytać.

Popędził na lotnisko, omal nie spóźnił się na samolot, w trakcie półgodzinnego lotu do Fort Lauderdale wypił dwa piwa i jeszcze dwa w drodze do Nassau. Potem opadł na tylne siedzenie taksówki, złotego cadillaca rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt cztery - bez klimatyzacji - którego kierowca też był lekko wstawiony. Z nieba lał się wilgotny żar, na ulicach panował tłok, tak

że zanim dojechali do gmachu Geneva Trust Bank, koszula przykleiła mu się do pleców.

Musiał trochę poczekać, wreszcie niejaki Brayshears zaprosił go do małego gabinetu. Tam pokazał mu kartkę papieru z kilkoma suchymi informacjami: sto tysięcy dolarów z First Iowa Bank w Des Moines od instytucji o nic nie mówiącej nazwie CMT Investments. Odbiorcą była równie bezosobowa organizacja o nazwie Boomer Realty, Ltd. Boomer, inaczej aporter, to rasa psa używanego do polowania na dzikie ptactwo - ulubiona rasa sędziego Spicera.

Trevor podpisał zlecenie przelewu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na swoje osobiste konto w Geneva Trust Bank, które założył w tajemnicy przed sekretarką i przed urzędem skarbowym. Pozostałe osiem tysięcy wręczono mu w gotówce, w dużej, wypchanej kopercie. Schował kopertę do kieszeni, uścisnął Brayshearsowi małą, miękką rękę i szybko wyszedł.

Kusiło go, żeby zostać na Bahamach choć kilka dni, wynająć pokój w hoteliku na plaży, usiąść w leżaku nad basenem i chlać rum, dopóki zechcą mu go podawać. Pokusa była tak silna, że niewiele brakowało, a zawróciłby z lotniska, popędził na postój i złapał taksówkę do miasta. Ale nie. Postanowił, że tym razem nie przepuści ani centa.

Dwie godziny później był już na lotnisku w Jacksonville: pił mocną kawę bez alkoholu i snuł plany. O wpół do piątej dotarł do Trumble i musiał czekać na Spicera prawie pół godziny.

- 51 -

- Cóż za niespodzianka - rzucił oschle sędzia, wchodząc do rozmównicy.

Trevor przyszedł bez walizeczki, dlatego strażnik obmacał mu tylko kieszenie i zamknął za sobą drzwi. Pieniądze leżały ukryte pod dywanikiem w „garbusie”.

- Dostaliśmy sto tysięcy dolarów z Iowy - powiedział, zerkając na drzwi.

Spicer nagle się rozpromienił, nagle ucieszył się z wizyty prawnika. Raziło go co prawda słowo „dostaliśmy”, liczba mnoga, którą się Trevor posłużył, nie mógł też znieść myśli, że będą musieli odpalić mu aż trzydzieści trzy tysiące dolarów.

Jednakże bez pomocy z zewnątrz szwindel by nie wypalił - adwokat był jak zwykle złem koniecznym. Jak dotąd nie zawiódł

ich zaufania.

- Gdzie są? - spytał. - Na Bahamach?

- Tak, właśnie stamtąd wracam. Są na koncie. Sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów.

Spicer głęboko odetchnął, rozkoszując się zwycięstwem. Jedna trzecia z sześćdziesięciu siedmiu tysięcy to dwadzieścia dwa tysiące z małym hakiem. Pora wziąć się do roboty i napisać więcej listów!

Sięgnął do kieszeni więziennej koszuli i wyjął złożony na pół wycinek z gazety. Wyprostował ręce, popatrzył na niego chwilę i powiedział:

- Dziś wieczorem Duke gra z Georgia Tech. Postaw pięć tysięcy na Tech.

- Pięć tysięcy?

- Tak.

- Nigdy dotąd tyle nie stawiałem.

- Jakiego masz bukmachera?

- Kiepskiego, marną płotkę.

- Posłuchaj, jeśli jest bukmacherem, na pewno to załatwi. Skontaktuj się z nim jak najszybciej. Może będzie musiał

wykonać kilka telefonów, ale jakoś sobie poradzi.

- Dobrze, już dobrze.

- Możesz przyjechać jutro?

- Boja wiem...

- Ilu klientów zapłaciło ci kiedykolwiek trzydzieści trzy tysiące dolarów?

- Ani jeden.

- No właśnie. Bądź jutro o czwartej. Dam ci kilka listów.

Spicer wyszedł szybko z budynku administracyjnego. Bez słowa kiwnął głową strażnikowi w okienku i stanowczym krokiem przemierzył starannie utrzymany trawnik, który nawet w lutym zalewały promienie gorącego słońca. Jego koledzy jak zwykle ślęczeli w bibliotece, oddając się znużonym, niespiesznym obowiązkom, a ponieważ byli sami, Spicer wypalił:

- Nasz przyjaciel Quince z Iowy przysłał nam sto tysięcy dolarów!

Ręce Beecha zamarły nad klawiaturą komputera. Spojrzał na niego znad okularów i wychrypiął:

- Żartujesz.

- Nie. Właśnie rozmawiałem z Trevorem. Pieniądze przelano dokładnie według wskazówek. Dziś rano dotarły na Bahamy. Kochany Quince spełnił nasze żądania.

- Zaryzykujmy jeszcze raz - zaproponował Yarber, zanim pozostali zdążyli o tym pomyśleć.

- Z Quince'em?

- 52 -

- A z kim? Zapłacił bez szemrania stówę, zapłaci więcej. Zresztą co mamy do stracenia?

- Nic, absolutnie nic - odrzekł z uśmiechem Spicer. Żałował, że nie wpadł na to pierwszy.

- Ile? - spytał Beech.

- Powiedzmy... pięćdziesiąt tysięcy - rzucił Yarber, biorąc tę kwotę z sufitu.

Bracia pokiwali głowami, podumali chwilę o pięćdziesięciu tysiącach dolarów, a potem pałeczkę przejął Spicer.

- Panowie, rozpatrzmy naszą sytuację - zaproponował. - Moim zdaniem Curtis, ten z Dallas, już dojrzał. Niebawem udupimy Quince'a na pięćdziesiąt kawałków. Jak sami widzicie, nasz plan działa, dlatego uważam, że trzeba wrzucić wyższy bieg, zaatakować trochę agresywniej. Rozumiecie, o co mi chodzi? Zajrzyjmy do kartoteki, przeanalizujmy po kolei wszystkich kandydatów i przyprzyjmy ich do muru.

Beech wyłączył komputer i wyjął teczkę. Yarber zrobił miejsce na biurku. Właśnie dostali zastrzyk gotówki i zapach brudnych pieniędzy uderzył im do głowy.

Zaczęli czytać wszystkie stare listy i pisać nowe. Szybko doszli do wniosku, że potrzebują więcej ofiar. Tak, musieli dać więcej ogłoszeń.

Trevor dotarł do baru U Pete'a na samym początku „radosnej godziny”, kiedy to ceny napitków nieco spadały - u Pete'a godzina ta zaczynała się o piątej i trwała do pierwszej bójki. Natychmiast odszukał Prepa, trzydziestodwuletniego studenta drugiego roku Uniwersytetu Północnej Florydy, który ogrywał w bilard klientów, rżnąc ich na dwadzieścia dolców od partii. Zgodnie z warunkami funduszu powierniczego adwokat jego rodziny musiał wypłacać mu dwa kawałki miesięcznie, dopóki Prep będzie pełnoprawnym studentem. Studiował już od jedenastu lat, ciągle na drugim roku.

Był również najbardziej rzutkim bukmacherem w knajpie, więc kiedy Trevor szepnął mu do ucha, że chciałby postawić duże pieniądze na wynik meczu Duke-Tech, oderwał się od gry i spytał:

- Ile?

- Piętnaście tysięcy - odrzekł Trevor i pociągnął łyk piwa z flaszki.

- Mówisz poważnie? - spytał Prep, nacierając kredą koniuszek kija i rozglądając się dyskretnie po zadymionej sali.

Jak dotąd Trevor stawiał najwyżej stówę.

- Poważnie. - Kolejny łyk piwa. Trevor czuł, że mu się pofarci. Skoro Spicer miał odwagę postawić

pięć patyków, on tę stawkę podwoi. W jeden dzień zarobił trzydzieści trzy tysiące dolarów - trzydzieści trzy tysiące wolne od podatku.

Najwyżej straci dychę. I co z tego? Tyle samo musiałby zapłacić tym z urzędu skarbowego.

- Muszę zadzwonić - powiedział Prep, wyjmując telefon.

- Tylko szybko. Mecz zaczyna się za pół godziny.

Barman był miejscowy i chociaż nigdy w życiu nie wyjeżdżał z Florydy, nie wiedzieć czemu rozwinął w sobie żarliwą pasję do australijskiego futbolu. W telewizji akurat leciał mecz i Trevor musiał wcisnąć mu do łapy dwie dychy, żeby raczył

zmienić kanał na ACC.

Ponieważ postawił piętnaście kawałków na Georgię Tech, nie było mowy, żeby ci z Duke choć raz spudłowali, przynajmniej w pierwszej połowie. Trevor jadł frytki, pił browar i próbował nie zwracać uwagi na Prepa, który stał przy stole bilardowym w ciemnym kącie sali i uważnie go obserwował.

W drugiej połowie omal nie przekupił barmana, żeby pstryknął pilotem i przełączył to przekłete pudło z powrotem na kangurzy futbol. Był coraz bardziej pijany i na dziesięć minut przed końcem meczu zaczął głośno przeklinać Spicera. Co ten

- 53 -

palant wiedział o koszykówce? Ci z Duke mieli dwadzieścia punktów przewagi, lecz nagle, gdy do ostatniego gwizdka zostało tylko dziewięć minut, jeden z obrońców Tech wziął się w garść i oddał cztery piękne rzuty za trzy punkty każdy.

Na minutę przed końcem był remis. Kto wygra? Trevor miał to gdzieś. Postawił i na Tech, i na różnicę punktową, czyli na zwycięstwo jednej lub drugiej drużyny różnicą mniejszą niż jedenaście punktów. Uregulował rachunek, dał stówę napiwku barmanowi i ruszając w stronę drzwi zsalutował Prepowi. Ten pokazał mu palec.

Na dworze było chłodno. Trevor szedł Atlantic Boulevard, oddalając się od ulicznych świateł. Minął ciasny rząd tanich letnich domków do wynajęcia, kilka małych domów pogodnej starości ze świeżo odmalowanymi ścianami i starannie przystrzyżonymi trawnikami, po czym starymi drewnianymi schodami zszedł na plażę, zdjął buty i poszedł przed siebie brzegiem morza. Było najwyżej siedem, osiem stopni Celsjusza - tu, w Jacksonville, o tej porze roku to normalka - dlatego szybko zmarzły mu nogi.

Ale prawie tego nie czuł. W jeden dzień zgarnął czterdzieści trzy tysiące dolarów i nie musiał płacić od tego podatku.

W ciągu całego minionego roku zarobił tylko dwadzieścia osiem tysięcy i musiał się przy tym niezłe napocić: wyklócał się z klientami zbyt ubogimi lub zbyt skąpymi, unikał sądów, użerał się z drobnymi

pośrednikami od nieruchomości i z bankierami, darł koty z sekretarką, kombinował z podatkami.

Ach, cóż za radość. Nie ma to jak szybkie pieniądze. Do szwindlu Bractwa z Trumble podchodził dość nieufnie, lecz teraz uznał, że jest wprost genialny. Szantażować tych, którzy nie mogą pójść ze skargą na policję. Absolutnie fantastyczne.

Ponieważ tak dobrze im szło, Spicer na pewno zapędzi tamtych do roboty. Będzie więcej listów do wysłania, więcej wezwań do Trumble. Do diabła, mógłby bywać tam nawet codziennie, codziennie przewozić pocztę i przekupywać strażników.

Szedł, rozchlapując wodę. Wzmógł się wiatr, ku brzegowi sunęły z rykiem fale.

Jeszcze sprytniejszym pociągnięciem byłoby oskubanie szantażystów, tych oszustów z sędziowskimi licencjami - oni też nie mogliby się nikomu poskarżyć. Myśl była perfidna, niecna i Trevor prawie się zawstydził. Niecna, lecz cenna. Musiał

brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Od kiedy to złodzieje byli lojalni?

Potrzebował miliona dolarów, ani mniej, ani więcej. Dokładnie miliona. Rachunki robił wielokrotnie, jadąc do Trumble, pijąc u Pete'a, siedząc w kancelarii za zamkniętymi na klucz drzwiami. Wystarczyłby jeden nędzny milion i mógłby zwinąć swój smutny interes, wyrzucić przez okno dyplom, kupić mały jacht i aż po wieczność dryfować z wiatrem po Karaibach.

A milion dolarów był tuż, tuż. W zasięgu ręki.

Sędzia Spicer przetoczył się na bok na dolnej pryczy. Tu, w tym maleńkim pomieszczeniu, na tym maleńkim łóżku, z cuchnącym Alvinem chrapiącym na górze, sen był niezwykle rzadkim darem. Alvin włóczył się po Ameryce Północnej od dziesięcioleci, lecz z wiekiem robił się coraz bardziej zmęczony i głodny. Któregoś dnia obrabował wiejskiego listonosza w Oklahomie. Do jego zatrzymania walnie przyczynił się fakt, że zaraz po dokonaniu przestępstwa Alvin wkroczył do biura FBI w Tulsa i oświadczył: „Ja to zrobiłem”. Upłynęło sześć godzin, zanim dzielni funkcjonariusze wykryli, o co mu chodzi. Nawet sędzia wiedział, że Alvin to wszystko ukartował. Chciał trafić do więzienia federalnego, gdzie miał dobry wikt i opierunek, czego więzienie stanowe nie zapewniało.

Sen przychodził tym trudniej, że Spicera niepokoił Trevor. Szwindel ruszył wreszcie pełną parą i dostali duże pieniądze. Wkrótce mieli dostać jeszcze więcej. A im więcej zgarną, im więcej pieniędzy znajdzie się na koncie Boomer

- 54 -

Realty na Bahamach, tym bardziej będą kusiły Trevora. On i tylko on mógł je ukraść, zwinąć i nie ponieść za to żadnej kary.

Jednakże bez kogoś z zewnątrz plan by nie wypalił. Ktoś musiał przemycać pocztę. Ktoś musiał odbierać pieniądze.

Musiał istnieć jakiś sposób na wykluczenie Trevora z gry i sędzia Joe Roy Spicer postanowił ten

sposób wymyślić. I wymyśli. Nawet gdyby przez miesiąc nie dane mu było zmrużyć oka. Żaden parszywy adwokat nie będzie zgarniał trzydziestu procent prowizji, żeby potem ukraść całą resztę.

- 55 -

ROZDZIAŁ 9

Wkraczając przebojem na ponure grzęzawisko finansów politycznych, Komitet Wsparcia Politycznego Odrodzonych Sił Zbrojnych, czyli tak zwany KOSZ, szybko zdobył sławę. Za żadnym innym komitetem w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych nie stały tak potężne siły.

Pierwsze pieniądze napłynęły od chicagowskiego finansisty nazwiskiem Mitzger, Amerykanina z izraelskim paszportem. Wyłożył milion dolarów, których po tygodniu już nie było. Do współpracy szybko zaproszono innych żydowskich milionerów, ukrywających swoją tożsamość za fasadami wielkich korporacji przemysłowych i zagranicznych banków. Grupa żydowskich bogaczy, którzy otwarcie - i w dobrze zorganizowany sposób - wspierają kampanię wyborczą kandydata Lake'a? Teddy Maynard wiedział, że to niebezpieczne. Polegał na starych przyjaciółach, którzy nie ruszając się z Tel Awiwu, organizowali pieniądze w Nowym Jorku.

Jeśli chodzi o politykę, Mitzger był liberałem, lecz żadna kwestia nie leżała mu na sercu tak bardzo jak kwestia bezpieczeństwa jego ojczyzny - Izraela. Aaron Lake był jego zdaniem zbyt umiarkowany w sprawach socjalnych, za to ze śmiertelną powagą traktował sprawę odrodzonych sił zbrojnych. A stabilna sytuacja na Bliskim Wschodzie zależała od potęgi militarnej Stanów Zjednoczonych, przynajmniej zdaniem Mitzgera.

Któregoś dnia wprowadził się do waszyngtońskiego „Willarda”, a nazajutrz w południe wynajął całe piętro biurowca niedaleko lotniska Dullesa. Jego ludzie harowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, rozpracowując miliony szczegółów związanych z błyskawicznym zagospodarowaniem trzech tysięcy siedmiuset szesnastu metrów kwadratowych powierzchni i wyposażeniem jej w sprzęt biurowy najnowszej generacji. O szóstej rano zjadł śniadanie z Elaine Tyner, prawniczką z wielkiej waszyngtońskiej kancelarii adwokackiej, którą stworzyła dzięki żelaznej woli i dolarom bogatych klientów. Tyner miała sześćdziesiąt lat i uważano ją za najpotężniejszą lobbystkę w stolicy. Przy bajglach i soku zgodziła się reprezentować KOSZ za wstępne honorarium w wysokości pół miliona dolarów. Obiecała, że jej kancelaria niezwłocznie wyśle dwudziestu współpracowników i tyluż urzędników do nowej kwatery KOSZ-u, i że kierować nimi będzie jeden z jej zastępców. Jedna sekcja zajmie się tylko zbieraniem pieniędzy. Druga będzie śledziła wzrost poparcia, jakim Lake cieszył się wśród kongresmanów, by następnie rozpocząć delikatny proces pozyskiwania przychylności senatorów, członków Izby Reprezentantów, a nawet gubernatorów. Rzeczą nie była łatwa, ponieważ większość z nich zaangażowała się już po stronie innych kandydatów. Trzecia sekcja zajmie się wyłącznie zbieraniem danych na temat sprzętu wojskowego, jego cen, nowych gadżetów, broni dwudziestego pierwszego wieku oraz chińskich i rosyjskich wynalazków, słowem informacji, których Lake mógł potrzebować w trakcie kampanii.

Działką Tyner miało być pozyskiwanie funduszy od rządów zaprzyjaźnionych państw, w czym się specjalizowała.

Bardzo blisko współpracowała z Koreą Południową i od dziesięciu lat nieoficjalnie reprezentowała ją w Waszyngtonie. Znała koreańskich dyplomatów, biznesmenów i ludzi u władzy. Gdy Ameryka wzmocni swoją potęgę militarną, niewiele krajów będzie spało spokojniej niż Korea Południowa.

- Myślę, że wyłożą co najmniej pięć milionów dolarów - powiedziała z niewzruszoną pewnością siebie. - Oczywiście na początek.

Z pamięci podała mu listę dwudziestu francuskich i brytyjskich przedsiębiorstw, które jedną czwartą swoich

- 56 -

dochodów czerpały ze współpracy z Pentagonem. Obiecała niezwłocznie się nimi zająć.

Elaine Tyner była typową waszyngtońską prawniczką. Sali sądowej nie oglądała od piętnastu lat, jednak znała kulisy wszystkich światowych wydarzeń, które brały swój początek w stolicy Stanów Zjednoczonych.

Jak dotąd nie miała do czynienia z równie bezprzykładnym wyzwaniem: doprowadzić do Białego Domu kandydata, który przystąpił do wyścigu w ostatniej chwili, którego nazwisko rozpoznawało tylko trzydzieści procent obywateli, i który cieszył się ledwie dwunastoprocentowym poparciem. Jednakże kandydat ten miał coś, czego nie mieli inni, mniej lub bardziej udani kandydaci, którzy to przyłączali się, to wypadali z gry o prezydencki fotel: nieograniczone zasoby pieniężne. W swej karierze wyniosła na wyżyny i pognębiła dziesiątki polityków. Dobrze jej za to płacono i głęboko wierzyła, że pieniądze mogą wszystko. Jeśli tylko będzie je miała, każdego pokona.

W pierwszym tygodniu istnienia kwatera główna KOSZ-u kipiała nieokiełznaną energią. Od chwili gdy ludzie Elaine Tyner przystąpili do pracy, biura były otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Komputery w sekcji funduszków sporządziły długą listę trzystu dziesięciu tysięcy robotników zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym i w przemysłach pokrewnych, a obsługujący je specjaliści wystosowali do każdego z nich grzeczne listy z prośbą o datek. Na innej liście zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym znalazły się nazwiska dwudziestu ośmiu tysięcy urzędników zarabiających ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Ci otrzymali listy innego rodzaju.

Konsultanci odpowiedzialni za Kapitol znaleźli pięćdziesięciu kongresmanów z obwodów o dużej liczbie pracowników zatrudnionych w zbrojeniówce. Trzydziestu siedmiu z nich ubiegało się o reelekcję, co znacznie ułatwiało zadanie. Ludzie Elaine Tyner chcieli dotrzeć do zwykłych obywateli, do robotników i do ich szefów, by w zmasowanej kampanii namówić ich do wsparcia Aarona Lake'a oraz jego planu zwiększenia wydatków na obronę narodową. Sześciu senatorów czekała ostra walka wyborcza w listopadzie i Tyner zamierzała umówić się z każdym z nich na lunch.

Nieograniczonego napływu pieniędzy nie da się długo ukryć, przynajmniej nie w Waszyngtonie. Pewien nieopierzony kongresman z Kentucky, polityk niskich lotów mieszczący się w ostatniej piątce z czterystu trzydziestu pięciu zasiadających na Kapitolu kolegów, rozpaczliwie potrzebował gotówki, gdyż przegrywał kampanię wyborczą w swym rodzinnym stanie.

Nikt o nim nie słyszał. Przez pierwsze dwa lata kadencji nie wypowiedział publicznie ani słowa i jego przeciwnicy znaleźli groźnego rywala, który chętnie by się z nim zmierzył. Biedak usłyszał plotki i dotarł do Elaine Tyner. Ich rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

- Ile pan potrzebuje? - spytała Tyner.
- Sto tysięcy - odparł kongresman.
- Poprze pan Aarona Lake'a?
- Za odpowiednią cenę poprę każdego.
- Dobrze. Damy panu dwieście tysięcy i poprowadzimy pańską kampanię.
- Zgoda.

Z innymi szło znacznie trudniej, jednak w ciągu pierwszych dziesięciu dni działalności ludzie z sekcji odpowiedzialnej za Kapitol zdołali zyskać poparcie ośmiu kongresmanów. Byli to politycy małego kalibru, którzy lubili Lake'a i kiedyś z nim współpracowali. Na dwa tygodnie przed superwtorkiem siódmego marca Elaine Tyner zamierzała zebrać ich i ustawić rządkiem przed kamerami. Im ich więcej, tym weselej.

Niestety, większość pozostałych kongresmanów opowiedziało się już po stronie innych kandydatów.

- 57 -

Tyner zwijała się jak w ukropie i bywało, że jednego dnia jadła trzy obfite lunche na koszt KOSZ-u. Tym sposobem chciała puścić w miasto wiadomość, że ma nowego, bardzo bogatego klienta, że stawia na czarnego konia, który wkrótce wysforuje się na pierwszą pozycję. Waszyngton to najbardziej plotkarskie miasto w Stanach, dlatego nie miała z tym żadnych trudności.

Żona Finna Yarbera złożyła mu niezapowiedzianą wizytę, pierwszą od dziesięciu miesięcy. Przyszła w rozlatujących się skórzanych sandałach, brudnej dżinsowej spódnicy, w luźnej bluzce upstrzonej paciorkami i piórkami, a na jej szyi, głowie i na rękach pobrzękiwał hippisowski chłam sprzed kilkadziesiąt lat. Miała krótką fryzurę, włosy pod pachami i wyglądała jak znużona uciekiniarka z lat sześćdziesiątych, którą w sumie była. Dowiedziawszy się, że na niego czeka, Finn głucho jęknął.

Nazywała się Carmen Topolski-Yocoby i ponieważ trudno to było wymówić, przez całe dorosłe życie używała swego nazwiska jako wyrafinowanego oręża. Była adwokatką tudzież radykalną feministką z Oakland i specjalizowała się w reprezentowaniu lesbijek skarżących swych pracodawców o molestowanie seksualne. Rozsierdzone klientki walczące z rozsierzdzonymi szefami - paskudna robota.

Wyszła za Finna przed trzydziestoma laty, lecz nie zawsze mieszkali razem. Bywało, że on żył z inną, a ona z innym.

Zaraz po ślubie zostali członkami pewnej komuny i co tydzień zmieniali partnerów. Odchodzili od

siebie i wracali. Przez sześć lat udało im się wytrzymać w chaotycznej monogamii i właśnie wtedy spłodzili dwoje niezbyt udanych dzieci.

Poznali się na polach bitewnych Berkeley w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym, protestując przeciwko wojnie i wszelkiemu złu. Oboje studiowali prawo, oboje pochłaniała walka o nową moralność społeczną. Pracowicie zbierali podpisy wyborców. Żarliwie walczyli o godność napływowych robotników. Podczas ofensywy Tet oboje zostali aresztowani. Oboje przykuwali się łańcuchami do starych sekwoi. Wnosili do sądu pozwy w imieniu wielorybów. Brali udział w każdej demonstracji na ulicach San Francisco, bez względu na jej cel.

No i pili. Pili, bawili się do upadłego, rozkoszowali się narkotyczną kulturą, sypiali z kim popadło. I wszystko było OK, ponieważ to oni ustalali, co jest moralne, a co nie. Przecież walczyli o prawa Meksykanów, do ciężkiej cholery! O

sekwoje i wieloryby! Byli porządnymi ludźmi, musieli takimi być!

Teraz byli już tylko zmęczeni.

Jej mąż, błyskotliwy facet, który nie wiedzieć jakim cudem trafił do Kalifornijskiego Sądu Najwyższego, siedział w federalnym więzieniu i bardzo ją to żenowało. Natomiast on cieszył się, że nie trafił do więzienia stanowego w Kalifornii, bo wówczas częściej by go odwiedzała; początkowo wpakowali go do Bakersfield, ale załatwił sobie przeniesienie.

Nie napisali do siebie ani jednego listu, ani razu nie zadzwonili. Miała siostrę w Miami i było jej po drodze.

- Ładnie się opaliłeś - powiedziała. - Dobrze wyglądasz.

A ty wyglądasz jak zaszuszone śliwka, pomyślał. Jak stara, zmęczona śliwka.

- Co słychać? - spytał, mając to gdzieś.

- Jestem bardzo zajęta. Za dużo pracuję.

- To świetnie. - Dobrze, że pracowała i zarabiała na życie. Miał przed sobą pięć lat odsiadki. Pięć lat, zanim będzie mógł strząsnąć więzienny pył z nagich, sękatych stóp. Nie zamierzał wracać ani do niej, ani do Kalifornii. Gdyby udało mu się przeżyć, w co bardzo wątpił, wyszedłby z Trumble, mając sześćdziesiąt pięć lat. Marzył o wyjeździe do kraju, gdzie nie dopadłby go ani urząd skarbowy, ani FBI, ani żaden inny kretyn u władzy. Nienawidził rządu do tego stopnia, że zamierzał

zrzec się obywatelstwa i przyjąć inne.

- 58 -

- Wciąż pijesz? - spytał. On oczywiście nie pił, chociaż od czasu do czasu kupował kokę od jednego ze strażników.

- Nie. Dzięki za troskę.

Każde pytanie było zaczepką, każda odpowiedź ciętą ripostą. Zastanawiał się, po cholere tu przylazła. Szybko się dowiedział.

- Chcę rozwodu.

Wzruszył ramionami, jakby chciał spytać: po diabła zawracać sobie tym głowę?

- To chyba dobry pomysł - odrzekł.

- Mam kogoś.

- Mężczyznę czy kobietę? - Pytał z czystej ciekawości, bo nic by go nie zdziwiło.

- Mężczyznę. Jest młodszy ode mnie.

Ponownie wzruszył ramionami. Śmiało, staruszek, korzystaj, póki możesz. Nie, nie powiedział tego, chociaż niewiele brakowało.

- To dla ciebie nie pierwszozna - mruknął.

- Możemy do tego nie wracać?

Proszę bardzo, zresztą po diabła. Zawsze podziwiał jej rozbuchaną seksualność i niespożyte siły witalne, lecz trudno mu było wyobrazić sobie, żeby mogła to robić codziennie. W tym wieku?

- Przygotuj papiery - powiedział. - Podpiszę.

- Powinny przyjść w tym tygodniu. Sprawa jest czysta, bo niewiele mamy do podziału.

Będąc u szczytu kariery, sędzia Yarber i pani Topolski-Yocoby wniesli wspólnie o wpis hipoteczny domu w portowej dzielnicy San Francisco. Podanie - skrupulatnie wysterylizowane, bez śladu szowinizmu, seksizmu, rasizmu czy dyskryminacji ludzi starszych, i starannie sformułowane przez kalifornijskich prawników, przerażonych ewentualnym pozwem którejś z urażonych stron - wykazywało rozbieżność między aktywami i pasywami na kwotę prawie miliona dolarów.

Nie to, żeby milion dolarów miało dla nich jakieś znaczenie. I jego, i ją zbyt pochłaniała walka z przedstawicielami przemysłu drzewnego, z bezwzględными farmerami, i tak dalej. Byli nawet dumni, że mają tak niewiele.

W Kalifornii obowiązuje wspólność majątkowa małżonków, która pociąga za sobą równy podział wszelkich zgromadzonych wspólnie dóbr. Zgoda na rozwód przyszła Finnowi łatwo. Z wielu powodów.

O jednym z nich nie zamierzał wspominać. Otóż dzięki Bractwu miał coraz więcej pieniędzy. Pieniądzy brudnych, lecz dobrze ukrytych przed zachłannym wzrokiem władz. Dlatego Carmen nie

mogła się o nich dowiedzieć.

Nie był pewien, czy i w jaki sposób macki wspólnoty majątkowej mogłyby sięgnąć ich tajnego konta na Bahamach, lecz ani myślał tego sprawdzać. Niech Carmen przyśle mu papiery, a on z radością wszystkie podpisze.

Kilka minut gawędzili o starych przyjaciółach. Rozmowa nie trwała długo, bo niewielu już ich zostało. Pożegnali się bez smutku i wyrzutów sumienia. Ich małżeństwo umarło już dawno temu. Ulżyło im, że wreszcie je pogrzebali.

Życzył Carmen wszystkiego dobrego i nawet jej nie objawszy, wrócił na bieżnię. Tam rozebrał się do szortów i przez godzinę spacerował w słońcu.

- 59 -

ROZDZIAŁ 10

Drugi dzień wizyty w Kairze Lufkin zakończył kolacją w ulicznej knajpce przy Shari' el-Corniche w dzielnicy Garden City. Sączył mocną czarną kawę i obserwował handlarzy zamykających kramy z dywanami, z mosiężnymi dzbankami, ze skórzanymi torbami i lnianymi obrusami z Pakistanu - wszystko dla turystów. Niecałe sześć metrów dalej leciwy handlarz starannie zwijał namiot. Zwinął go i zniknął bez śladu.

Lufkin przypominał wyglądem współczesnego Araba: luźne białe spodnie, lekka marynarka koloru khaki, biały, nasunięty na oczy kapelusz z dziurkowanego filcu, ciemne okulary - typowy Arab. Miał czarne, krótko przycięte włosy, mocno opaloną twarz i ręce, mówił płynnie po arabsku i ze swobodą tubylca podróżował między Bejrutem, Damaszkiem a Kairem.

Mieszkał w hotelu El-Nil nad brzegiem Nilu, sześć tłocznych ulic dalej, i gdy szedł niespiesznie przez miasto, dołączył

do niego wysoki, szczupły obcokrajowiec mówiący łamaną, acz zrozumiałą angielszczyzną. Znali się na tyle dobrze, by sobie ufać, więc kontynuowali spacer, idąc ramię w ramię.

- To już dzisiaj - rzekł obcokrajowiec, poprawiając ciemne okulary.

- Mów.

- W ambasadzie jest przyjęcie.

- Wiem.

- To dobra miejsce. Duża ruch. Bomba być w półciężarówce.

- W jakiej?

- Nie wiadomo.

- Coś jeszcze?

- Nie - odrzekł tamten i zniknął w kłębiącym się tłumie.

Lufkin wypił pepsa w hotelowym barze, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Teddy'ego. Od ich rozmowy w Langley upłynęły cztery dni, a Teddy wciąż nie nawiązywał kontaktu. Już to przerabiali, i to nieraz. Dla Amerykanów i Europejczyków Kair był miastem niebezpiecznym, dlatego nikt im nie udowodni, że wiedząc o zamachu, nie zrobili nic, żeby mu zapobiec. Tak, naturalnie, jak zwykle będą gardłować i wytykać ich palcami, lecz całe wydarzenie zostanie szybko wepchnięte do zakamarków narodowej pamięci i jeszcze szybciej zapomniane. Trwała kampania wyborcza, na świecie działo się dużo innych rzeczy. Mając do czynienia z taką ilością zamachów, napadów i bezsensownej przemocy w kraju i za granicą, Amerykanie już dawno zdążyli się zahartować. To tak jakby oglądać dwudziestoczęterogodzinny dziennik telewizyjny; wszędzie punkty zapalne i kryzysy. Wiadomości z ostatniej chwili, szok tu, szok tam - trudno nadążyć za wydarzeniami.

Wyszedł z baru i wrócił do swego pokoju na trzecim piętrze. Za oknem tętniło życiem prastare, chaotycznie rozbudowane miasto. Dokładnie naprzeciwko, niecałe dwa kilometry dalej, widniał dach amerykańskiej ambasady.

Lufkin otworzył książkę. Czekał na fajerwerki.

Półciężarówka marki Volvo miała udźwig dwóch ton i wypełniały ją pod dach kostki wyprodukowanego w Rumunii plastiku, ważące w sumie tysiąc trzysta sześćdziesiąt dwa kilogramy. Na jej drzwiach widniało wesołe logo znanej firmy

- 60 -

aprowizacyjnej, obsługującej większość zachodnich ambasad w Kairze. Parkowała w podziemiach, przy rampie zaopatrzenia wej.

Jej kierowcą był rostry, jowialny Egipcjanin, którego żołnierze piechoty morskiej pilnujący ambasady nazywali Szejkiem. Szejk odwiedzał ich bardzo często, przywożąc jedzenie i napitki na różne imprezy towarzyskie. Teraz leżał na podłodze szoferki z kulą w głowie.

Dwadzieścia po dziesiątej wieczorem bomba została zdetonowana drogą radiową. Terrorysta, który nacisnął guzik, przykucnął za samochodem, ponieważ bał się spojrzeć w tamtą stronę.

Eksplozja wyrwała podtrzymujące strop wsporniki i budynek runął na bok. Fragmenty szkła i betonu zasypały wiele okolicznych ulic. Większość sąsiadujących z ambasadą domów odniosła poważne uszkodzenia strukturalne. W promieniu czterystu metrów od centrum wybuchu w oknach popękały szyby.

Gdy zadrżała ziemia, Lufkin drzemał na krześle. Natychmiast zerwał się na równe nogi, wyszedł na wąski balkon i spojrzał na chmurę pyłu. Dachy ambasady nie było już widać. Po chwili ze zgliszcz buchnęły płomienie, a w oddali zawyły pierwsze syreny. Lufkin oparł krzesło o poręcz balkonu i usiadł. Wiedział, że już nie zaśnie. Sześć minut później w Garden City zgasło światło i miasto

pogrążyło się w ciemności, rozświetlanej jedynie pomarańczowym ogniem buchającym z rumowiska.

Lufkin zadzwonił do Langley.

Osobisty technik Maynarda zapewnił go, że linia jest czysta, i w słuchawce zabrzmiał głos Teddy'ego. Słysząc go było tak wyraźnie, jakby Lufkin dzwonił z Nowego Jorku do Bostonu.

- Maynard. Mów.

- Jestem w Kairze. Widzę, jak płonie nasza ambasada.

- Kiedy?

- Niecałe dziesięć minut temu.

- Czy...

- Trudno powiedzieć. To prawie dwa kilometry stąd. Ale tak, wybuch był potężny.

- Zadzwoń do mnie za godzinę. Będę tu nocował.

- Jasne.

Teddy podjechał do komputera, wcisnął parę klawiszy i w ciągu kilku sekund odnalazł Aarona Lake'a. Kandydat leciał z Filadelfii do Atlanty swoim nowym lśniącym samolotem. Miał w kieszeni telefon, małe elektroniczne cacko wielkości zapalniczki.

Teddy wystukał numer, nachylił się do monitora i powiedział:

- Dzień dobry. Mówi Maynard.

A któż by inny, pomyślał Lake. Tylko on mógł korzystać z tego telefonu.

- Jest pan sam?

- Chwileczkę.

Teddy czekał. Po chwili Lake odezwał się ponownie.

- Jestem w kuchni.

- Pański samolot ma kuchnię?

- 61 -

- Małą, ale ma. To piękna maszyna, panie dyrektorze.

- Świetnie. Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale mam pilną wiadomość. Przed kwadransem

był zamach na naszą ambasadę w Kairze.

- Kto...

- Proszę o to nie pytać.

- Przepraszam.

- Napadną na pana ci z prasy. Niech pan przygotuje krótki komentarz. To odpowiednia chwila, żeby wyrazić troskę o los ofiar oraz ich rodzin. Jak najmniej polityki, ale niech pan nie zmienia stanowiska i obstaje przy swoim. Pańskie przepowiednie się sprawdziły, uznają pana za proroka. Proszę pamiętać, że będą pana często cytowali.

- Zaraz się tym zajmę.

- Proszę zadzwonić do mnie z Atlanty.

- Oczywiście.

Czterdzieści minut później Lake i jego ekipa wylądowali w Atlancie. Zawczasu uprzedzono prasę i w chwili, gdy na zgliszcza amerykańskiej ambasady w Kairze opadał pył, na lotnisku kłębił się tłum dziennikarzy i reporterów. Choć z Egiptu nie nadeszły jeszcze żadne zdjęcia ani przekazy na żywo, niektóre agencje donosiły o setkach ofiar.

W małej sali przylotów dla pasażerów przybywających prywatnymi samolotami Lake stanął przed rozedrganym murem najeżonym kamerami, aparatami fotograficznymi, mikrofonami, magnetofonami, a nawet starymi, tradycyjnymi notesami i ołówkami. Mówił, nie zaglądając do notatek, głosem smutnym i poważnym.

- W tej tragicznej chwili łączymy się w modlitwie za tych, którzy zginęli lub zostali ranni w tym bezprzykładnym akcie wojny. Nasze myśli i modlitwy są z nimi, z ich rodzinami, a także z pracującymi w Kairze ratownikami. Nie zamierzam tego zdarzenia upolitycznić, lecz powiem, że kompletnym absurdem jest, by nasz kraj po raz kolejny musiał cierpieć z rąk terrorystów. Kiedy zostanę prezydentem Stanów Zjednoczonych, żaden Amerykanin nie odda życia na próżno. Nasza odrodzona armia wytropi i zmiążdży każde ugrupowanie terrorystyczne nastające na życie niewinnych obywateli. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Odszedł, nie zwracając uwagi na krzyki i pytania sypiące się z tłumu.

Genialne! - pomyślał Teddy, obserwując to ze swego bunkra. Krótkie, pełne współczucia, jednocześnie twarde i nieustępliwe. Wspaniałe! Po raz kolejny pogratulował sobie wyboru cudownego kandydata.

Kiedy Lufkin zadzwonił ponownie, w Kairze minęła już północ. Pożar ugaszono i zwijający się jak w ukropie ratownicy wydobywali teraz zwłoki z rumowiska. A zwłok było dużo. Bardzo dużo. Lufkin stał ulicę dalej, za wojskową blokadą, obserwując to wszystko wraz z tysiącami gapiów. Chaos, dym, gęsty pył - w swej karierze widział kilka takich miejsc i doniósł Teddy'emu, że według niego

zamach będzie fatalny w skutkach.

Teddy nalał sobie kolejną filiżankę bezkofeinówki. Wieczorem, w godzinach największej oglądalności, miała ruszyć kolejna seria ogólnokrajowych reklam Lake'a. Tylko w ciągu jednej nocy jego sztab wyborczy wyda trzy miliony dolarów na sianie strachu i głoszenie nadchodzącej zguby. Najpierw zapowiedź, potem reklamy. Z szacunku dla ofiar zamachu oraz ich rodzin Lake powstrzyma się chwilowo od swoich przepowiedni. A już w południe następnego dnia przeprowadzą zmasowane badanie opinii publicznej. Koniecznie.

Najwyższa pora, żeby liczba jego zwolenników zaczęła zwyżkować. Za niecały tydzień rozpoczynały się prawyборы

- 62 -

w Arizonie i w Michigan.

Pierwsze zdjęcia z Kairu przedstawiały reportera stojącego tyłem do wojskowej blokady - czuwający za blokadą żołnierze mieli takie miny, jakby byli gotowi go zastrzelić, gdyby spróbował zrobić choć jeden krok dalej. Niestety, reporter wiedział niewiele. Dwadzieścia po dziesiątej wieczorem, kiedy w ambasadzie kończyło się przyjęcie, w podziemiach gmachu eksplodowała potężna bomba. Nie wiadomo, ile jest ofiar, ale na pewno bardzo dużo. Okolicę ambasady otoczyło wojsko, a ponieważ - niech to szlag! - na wszelki wypadek zamknięto również przestrzeń powietrzną nad miastem, nie będzie żadnych zdjęć ze śmigłowca. Jak dotąd nikt nie przyznał się do zamachu, lecz jak zwykle podejrzewano trzy najbardziej radykalne grupy terrorystyczne.

- Możliwe, że to oni, niewykluczone, że ktoś inny - dodał usłużnie.

Ponieważ kamerzysta nie mógł sfilmować rozszarpanych wybuchem zwłok, musiał filmować reportera, a ponieważ reporter nie miał nic konkretnego do powiedzenia, przez kilka minut bzdurzył o niebezpieczeństwach czyhających na Bliskim Wschodzie, jakby była to wiadomość dnia i jakby przyjechał do Kairu, żeby to udowodnić.

O dwudziestej czasu waszyngtońskiego Lufkin zadzwonił do Teddy'ego ponownie, by poinformować, że jak dotąd nie udało się ustalić miejsca pobytu amerykańskiego ambasadora. Istniały coraz większe obawy, że jego zwłoki spoczywają pod zwałami gruzu, a przynajmniej takie krążyły plotki. Przyciskając słuchawkę do ucha, Teddy spoglądał na wielki ekran, na którym bezdźwięcznie poruszał ustami reporter z Kairu. Na sąsiednim ekranie leciała reklama wyborcza Lake'a. Zgliszcza, zmasakrowane ciała, terroryści z jakiegoś innego ugrupowania, a potem łagodny, lecz poważny głos Aarona obiecującego zemstę.

Cóż za doskonała zbieżność w czasie... - pomyślał Maynard.

Doradca obudził go o północy, przynosząc cytrynową herbatę i kanapkę z jarzynami. Teddy jak zwykle przysnął w wózku przed wyciszonymi ekranami i po wyjściu doradcy włączył dźwięk.

W Kairze świeciło już słońce. Ambasadora nie odnaleziono i przypuszczano, że zginął w zamachu.

Maynard go nie znał. Nie znali go ani politycy, ani rozgadani reporterzy, którzy wynosili go teraz na ołtarze jako Wielkiego Amerykanina. Jego śmierć Teddy'ego nie obeszła, choć zdawał sobie sprawę, że ten tragiczny zgon spowoduje kolejny atak na CIA. Nagłośni również sprawę zamachu, z czego w konsekwencji skorzysta Aaron Lake.

Wydobyto już sześćdziesiąt jeden ciał. Egipskie władze obwiniły Yidala, podejrzanego numer jeden, ponieważ w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy jego ugrupowanie dokonało trzech innych zamachów na zachodnie ambasady, i ponieważ otwarcie nawoływał do świętej wojny przeciwko Stanom Zjednoczonym. Według danych CIA, miał tylko trzydziestu żołnierzy i roczny budżet w wysokości pięciu milionów dolarów, pochodzący niemal w całości z Libii oraz Arabii Saudyjskiej.

Jednakże do prasy przemycono wiadomość o tysiącu bojowników i nieograniczonych funduszach, dzięki którym mógł

terroryzować niewinnych Amerykanów.

Izraelici wiedzieli, co jadł na śniadanie i gdzie je jadł. Mogli go zgarnąć kilkanaście razy, ale jak dotąd Yidal nie mieszał ich do swojej małej wojny. Dopóki zabijał Amerykanów i Europejczyków, mieli to gdzieś. Nienawidzący islamskich radykałów Zachód był im na rękę.

Teddy powoli zjadł i uciął sobie kolejną drzemkę. W południe czasu kairskiego Lufkin zadzwonił z wiadomością, że odnaleziono zwłoki ambasadora i jego żony. Liczba ofiar wzrosła do osiemdziesięciu czterech. Wszystkie oprócz jedenastu były narodowości amerykańskiej.

- 63 -

Kamera pokazywała Aarona Lake'a ściskającego po ciemku ręce wychodzącym po pierwszej zmianie robotnikom przed fabryką w Marietta w Georgii. Spytany o wydarzenia w Kairze, odparł:

- Szesnaście miesięcy temu ci sami kryminaliści wysadzili w powietrze dwie inne ambasady. Zamordowali trzydziestu Amerykanów, a my nie zrobiliśmy nic, żeby ich powstrzymać. Są bezkarni, ponieważ nasz rząd nie chce z nimi walczyć.

Kiedy zostanę prezydentem, wypowiem wojnę terrorystom i dopilnuję, żeby już nikogo nie zabili.

Buńczuczność jest zaraźliwa i kiedy Ameryka obudziła się rano, by usłyszeć straszne wieści z Kairu, siedmiu pozostałych kandydatów do prezydenckiego fotela przyłączyło się chórem do Lake'a, grożąc bandytom i stawiając im ultimatum. Nawet ci najłagodniejsi i najbardziej stonowani odgrazali się jak rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu.

- 64 -

ROZDZIAŁ 11

W Bakers znowu szalała śnieżycą. Ulicami hulał wiatr, a gęsty śnieg topniał na jezdniach i chodnikach, pokrywając je warstwą grząskiej brei. Quince Garbe znowu tęsknił za ciepłą plażą. Szedł Main Street, osłaniając sobie twarz niby to przed zawieruchą, ale tak naprawdę nie chciał z nikim rozmawiać. Nie chciał też, żeby widziano, jak wślizguje się ukradkiem na pocztę.

W skrytce był list. Jeden z tych listów. Gdy zobaczył, jak leży sobie niewinnie pośród reklamówek i katalogów niczym przesyłka od starego przyjaciela, opadła mu szczeka i zeszywniały ręce. Zerknął przez ramię - jak miotany poczuciem winy złodziej - po czym szybko go wyjął i schował do kieszeni.

Żona przygotowywała bal dla kalekich dzieci z miejskiego szpitala, dlatego w domu nie było nikogo, nie licząc służącej, która cały dzień drzemała w pralni; nie dał jej podwyżki od ośmiu lat. Wracał długo, walcząc ze śniegiem i zaspami, i przeklinając podstępного kryminalistę, który wtargnął w jego życie miłosnym podstępem. Spoczywający na sercu list ciążył

mu coraz bardziej. Tak, spodziewał się, że nadejdzie.

Wszedł do domu, robiąc jak najwięcej hałasu. Ani śladu służącej. Ruszył prosto do sypialni i zamknął drzwi na klucz.

Pod materacem leżał pistolet. Palto, rękawiczki i marynarka pofrunęły na krzesło - Quince usiadł na łóżku i przyjrzał się kopercie. Taki sam papier, ten sam charakter pisma. I znaczek ze stemplem poczty w Jacksonville. List nadano przed dwoma dniami. Quince rozerwał kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru.

Drogi Quince,

Bardzo Ci dziękuję za pieniądze. Nie jestem zepsutym do cna szubrawcem, za jakiego pewnie mnie masz, i żeby Cię o tym przekonać, wysłałem je żonie i dzieciom. Oni tak bardzo cierpią. Nie mają za co żyć, ponieważ siedzę w więzieniu. Żona jest w ciągłej depresji i nie może pracować. Czworo dzieci jada w stołówkach opieki społecznej i zbiera talony na żywność.

(Przeżrą sto tysięcy dolarów i na pewno przytyją, pomyślał Quince.) Mieszkają w państwowym przytułku i nie stać ich na podróże. Dlatego jeszcze raz dziękuję Ci za pomoc.

Jeśli przyślesz mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wyciągnę ich z długów i założę fundusz powierniczy, żeby mogły pójść do college'u.

Te same zasady, co przedtem. Ten sam sposób przekazania pieniędzy i ten sam warunek: jeśli nie otrzymam pięćdziesięciu tysięcy dolarów, Twoja mała tajemnica wyjdzie na jaw. Zrób to szybko, Quince, a ja przyrzekam, że już nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.

Jeszcze raz dziękuję.

Z pozdrowieniami

Ricky

- 65 -

Poszedł do łazienki i otworzył apteczkę, gdzie żona trzymała valium. Wziął dwie tabletki, choć początkowo chciał

wziąć wszystkie. Musiał się położyć, ale nie mógł położyć się na łóżku, bo wygniótłby narzutę i ktoś mógłby coś zwietrzyć.

Dlatego wyciągnął się na podłodze, na wytartym, lecz czystym dywanie, i czekał, aż tabletki zaczną działać.

Żeby zdobyć sto tysięcy dla Ricky'ego, musiał błagać, ciułać, a nawet kłamać. Nie było mowy, żeby podjął z banku kolejne pięćdziesiąt - konto miał mocno obciążone, stał na skraju bankructwa. Jego piękny, wielki dom dusił się pod hipoteką, którą spłacał ojcu. Ojciec, jego pracodawca, wypłacał mu

pensję. Tak, mieli duże zagraniczne samochody, ale każdy z nich przejechał milion kilometrów i był niewiele wart. Który z mieszkańców Bakers zechce kupić jedenastoletniego mercedesa?

A gdyby tak te pieniądze... ukradł? Kryminalista występujący pod imieniem Ricky podziękowałby mu i natychmiast zażądał więcej.

Nie, to już koniec.

Pora na pigułki. Pora na pistolet.

Terkot telefonu go przeraził. Nie myśląc, wstał, podniósł słuchawkę i wychrypiął:

- Halo?

- Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? - Dobrze znany ton głosu ojca.

- Źle... źle się czuję. - Zerknął na zegarek i przypomniał sobie, że o wpół do jedenastej miał spotkanie z bardzo ważnym inspektorem z FDIC, depozytów federalnych.

- Nie obchodzi mnie, jak się czujesz. Pan Colthurst z FDIC czeka w moim gabinecie od piętnastu minut.

- Ja wymiotuję, tato - odparł i aż się skrzywił. Miał pięćdziesiąt jeden lat i wciąż nazywał go „tata”.

- Łziesz. Jeśli jesteś chory, to dlaczego nie zadzwoniłeś? Gladys widziała cię przed dziesiątą, jak szedłeś na pocztę.

Co się z tobą dzieje, do ciężkiej cholery?

- Przepraszam, muszę do toalety. Zadzwonię później. - Odłożył słuchawkę.

Pigułki wreszcie zadziałały. Quince zanurzył się w przytulnej, narkotycznej mgiełce i usiadł na brzegu łóżka, patrząc na fioletowe kwadraty rozrzucone na podłodze. Myśli rodziły się powoli, z dużym trudem.

Mógłby ukryć dowody znajomości z tym szubrawcem i się zabić. Zostawiłby pożegnalny list, w którym zrzuciłby całą winę na ojca. Śmierć? To całkiem miła perspektywa: już nigdy więcej nie zobaczyłby ani żony, ani starego, ani Bakers. I nie musiałby już ukrywać swoich skłonności.

Ale brakowałyby mu dzieci i wnuków.

Poza tym, co będzie, jeśli ten potwór Ricky dowie się o samobójstwie i wyśle kolejny list? Jeśli ten list znajdą, odkryją prawdę i obsmarują go długo po pogrzebie?

Pomysł numer dwa, równie fatalny jak poprzedni: wciągnie do spisku sekretarkę, babę, której prawie nie ufał. Powie jej prawdę, poprosi, żeby napisała do Ricky'ego list i zawiadomiła go o samobójstwie swego szefa. Wymyślą coś, ułożą razem jakiś plan i spróbują zemścić się na podłym

kryminaliście.

Zwierzyć się sekretarce? Wolałby już palnąć sobie w łeb.

Trzeci pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy mgiełka jeszcze bardziej zgęstniała. Rozciągnął usta w uśmiechu.

Dlaczego nie miałby pograć uczciwie? Napisze do Ricky'ego i wyzna, że jest kompletnie splukany. Zaproponuje mu dziesięć tysięcy dolarów, zaznaczając, że na więcej go nie stać. Jeśli mimo to Ricky zechce go zniszczyć, Quince'owi nie pozostanie nic innego, jak zawiadomić FBI. Agenci pójną tropem listów i przekazów, odnajdą szantażystę, wszystko się wyda i będzie

- 66 -

po nich: po nim i po tym przeklętym szubrawcu.

Przespał na podłodze pół godziny, potem wstał, włożył marynarkę, palto i rękawiczki. Wyszedł z domu, nie widząc służącej. Pragnął jak najszybciej stawić czoło prawdzie i w drodze do miasta powtarzał sobie na głos, że tylko pieniądze się liczą. Ojciec miał osiemdziesiąt jeden lat. Bank był wart dziesięć milionów dolarów. Pewnego dnia przejdzie na jego własność. Zaczekaj, nie wygadaj się. Kiedy położysz łapę na szmalu, będziesz mógł żyć, jak ci się żywnie spodoba.

Nie nawal. Pamiętaj, najważniejsze są pieniądze.

Czterdziestoosmioletni Coleman Lee był właścicielem małej knajpki w pasażu handlowym na przedmieściach Gary w stanie Indiana, w dzielnicy, którą opanowali Meksykanie. Nie miał ani żony - przed wieloma laty przeżył dwa kosztowne rozwody - ani dzieci. I chwała Bogu. Miał za to wielki brzuch i wielkie mięsiste policzki, bo ciągle obżerał się meksykańskim jedzeniem. Coleman nie należał do mężczyzn przystojnych i był samotny. Gruby, powolny i bardzo samotny.

Zatrudniał głównie młodych meksykańskich chłopców, nielegalnych imigrantów, których prędzej czy później próbował molestować, niezdarnie uwodzić czy jakkolwiek to nazwać. Ponieważ rzadko odnosił sukcesy, miał bardzo dużą płynność kadr. Interes szedł kiepsko również dlatego, że ludzie szybko się o tym zwiedzieli i Coleman popadł w niełaskę. Kto by chciał jadać u zboczeńca?

Na poczcie na drugim końcu pasażu wynajmował dwie skrytki: jedną dla celów służbowych, drugą dla przyjemności.

Kolekcjonował pornografię i odbierał ją stamtąd niemal codziennie. Listonosz roznoszący pocztę na jego ulicy był cholernie ciekawskim typem, dlatego Coleman wolał pewne sprawy ukrywać.

Szedł niespiesznie brudnym chodnikiem wzdłuż parkingu, mijając po drodze sklepy z obuwiami i kosmetykami z przeceny, wypożyczalnię kaset pornograficznych, z której go wyrzucono, i urząd spraw socjalnych założony tu przez jakiegoś zdesperowanego polityka szukającego głosów. Na poczcie kłębił się tłum Meksykanów, ponieważ na dworze było zimno.

W skrytce czekały dwa pornograficzne czasopisma w zwykłych brązowych kopertach i list z Atlantic

Beach na Florydzie. List wydał mu się dziwnie znajomy. Żółta, kwadratowa koperta, brak adresu zwrotnego - tak, oczywiście. Napisał

do niego młody Percy z kliniki rehabilitacyjnej.

Coleman wrócił do knajpy, zamknął się w ciasnym biurze między kuchnią i kotłownią, szybko przejrzał czasopisma i nie znalazłszy w nich nic nowego, położył je na stercie stu innych. Otworzył list od Percy'ego. Tak samo jak dwa pierwsze, był napisany ręcznie i zaadresowany do Walta, bo właśnie tym imieniem posługiwał się w korespondencji. Walt Lee.

Drogi Walt,

Twój list bardzo mnie ucieszył. Czytałem go wiele razy. Umiesz dobierać słowa. Gdzie nauczyłeś się tak pisać? Jak Ci wspominałem, siedzę, tu od półtora roku i jestem bardzo samotny. Twoje listy trzymam pod materacem i czytam je, ilekroć nachodzi mnie smutek. Z wytęsknieniem oczekuję kolejnego.

Przy odrobinie szczęścia wypuszczą mnie w kwietniu. Nie wiem, dokąd pójdę i co będę robił. To przerażające, ale myślę, że kiedy wyjdę stąd niemal po dwóch latach leczenia, nikt nie będzie na mnie czekał.

Mam nadzieję, że przynajmniej Ty mi pozostaniesz.

To okropne i strasznie się tego wstydzę, ale ponieważ nie mam nikogo innego, postanowiłem zwrócić się Ciebie. Oczywiście możesz odmówić - zapewniam Cię, że nie wpłynie to na naszą przyjaźń - ale czy mógłbyś mi pożyczyć tysiąc dolarów? Mają tu małą księgarnię i sklep muzyczny. Pozwalają nam kupować na kredyt

- 67 -

czasopisma i płyty, i przez ten czas bardzo się u nich zadłużyłem.

Jeśli mi pożyczysz, będę Ci wdzięczny. Jeśli nie, zrozumiem.

Dzięki, że jesteś, Walt. Proszę, napisz. Twoje listy to dla mnie prawdziwy skarb.

Z uściskami

Percy

Tysiąc dolców? Co to za palant? Coleman zwietrzył podstęp. Podarł list i wrzucił go do kosza na śmieci.

- Tysiąc dolarów... - prychnął, ponownie sięgając po czasopisma.

Jubiler z Dallas nie miał na imię Curtis. Przedstawiał się tak tylko w listach do Ricky'ego z kliniki rehabilitacyjnej, a w rzeczywistości nazywał się Vann Gates.

Miał pięćdziesiąt osiem lat. Był ojcem trojga dzieci, dziadkiem dwojga wnuków i właścicielem sześciu sklepów jubilerskich usytuowanych w pasażach handlowych w Dallas. Na papierze mieli z żoną ponad dwa miliony dolarów i sami je zarobili. Mieli również bardzo ładny dom w Highland Park z oddzielnymi sypialniami w jego przeciwległych skrzydłach.

Spotykali się w kuchni na kawie i w salonie, gdzie oglądali telewizję i bawili się z wnukami.

Od czasu do czasu Gates ulegał pokusie, lecz zawsze robił to z wprost niezwykłą ostrożnością. Nikt o niczym nie wiedział. Absolutnie nikt. Listy do Ricky'ego były pierwszą próbą znalezienia miłości za pośrednictwem ogłoszeń towarzyskich i rezultaty przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Wynajął małą skrytkę na poczcie niedaleko jednego z pasaży i od tamtej pory występował jako Curtis V. Cates.

To samo nazwisko widniało na niebieskiej kopercie, dlatego otwierając ją ostrożnie w samochodzie, początkowo nie podejrzewał, że coś może być nie tak. Nie, przecież to tylko kolejny list od ukochanego Ricky'ego. Jednakże już pierwsze słowa poraziły go niczym grom z jasnego nieba.

Szanowny Panie Vann Gates,

Zabawa się skończyła, stary. Ja nie jestem Ricky, a ty nie jesteś Curtis. Nie jestem szukającym miłości gejem, za to Ty masz pewien sekrecik i bardzo pragniesz go zataić. Chcę Ci w tym pomóc.

Zrobisz tak: prześlesz telegraficznie sto tysięcy dolarów na moje konto w Geneva Trust Bank w Nassau na Bahamach. Numer konta: 144-DXN-9593. Nazwa: Boomer Realty, Ltd. Numer kierunkowy: 392844-22.

Zrób to natychmiast! To nie żarty. To szantaż, a Ty padłeś jego ofiarą. Jeśli nie dostanę pieniędzy w ciągu dziesięciu dni, prześlę pani Gladys Gates kopie wszystkich listów i zdjęć, które od Ciebie otrzymałem.

Wyślij sto tysięcy dolarów i dam Ci święty spokój.

Z uściskami

Ricky

Jakiś czas później skręcił na obwodnicę, potem na autostradę, potem na obwodnicę wokół Fort Worth, a potem zawrócił do Dallas. Cały czas jechał z prędkością dokładnie osiemdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę i cały czas trzymał

się prawego pasa jezdni, nie zważając na rząd sunących za nim samochodów. Gdyby płacz mu pomógł, na pewno by się rozplakał. Nie miał przed tym żadnych oporów, zwłaszcza w zaciszu swego jaguara.

- 68 -

Ale nie, był zbyt zły, żeby płakać, zbyt rozgoryczony, żeby odczuwać urazę. I zbyt wystraszony, by

tracić czas na tęsknotę za kimś, kto nie istniał. Musiał coś zrobić. Szybko, zdecydowanie i potajemnie.

Jednakże smutek w końcu zwyciężył. Gates zjechał na pobocze i nie wyłączając silnika, zaparkował w zatoczce. Te wszystkie cudowne marzenia o Rickym, te niezliczone godziny wpatrywania się w jego piękną, ozdobioną krzywym uśmiechem twarz, czytania jego smutnych, zabawnych, rozpaczliwych i pełnych nadziei listów - czy to możliwe, żeby słowa mogły przekazać aż tyle uczuć? Znał te listy na pamięć.

On był tylko chłopcem. Młodym, bardzo męskim, lecz bardzo samotnym i szukającym dojrzałego towarzystwa. Tak, Ricky, którego pokochał, pragnął paść w czułe objęcia starszego mężczyzny, dlatego on, Curtis-Vann, już od wielu miesięcy snuł upojne plany. Żona miała wyjechać do siostry w El Paso, a on na wystawę brylantów w Orlando - starannie dopracował

wszystkie szczegóły, nie zostawił za sobą żadnych śladów.

W końcu się rozpląkał. Biedny Vann ronił łzy bez wstydu czy choćby zażenowania. Nikt go nie widział -

przejeżdżające obok samochody pędziły sto trzydzieści na godzinę.

Niczym zraniony kochanek poprzysiągł zemstę. Tak, wytropi tę bestię, tego potwora, który podając się za Ricky'

ego, złamał mu serce.

Szlochając, pomyślał o żonie i o rodzinie, co wydajnie pomogło osuszyć łzy. Żona dostanie sześć sklepów, dwa miliony dolarów i nowy dom z oddzielnymi sypialniami, a on? On nie dostanie nic, on będzie przedmiotem szyderczych żartów i plotek w mieście, które plotki uwielbiało. Dzieci pójdą za pieniędzmi, a wnuki do końca życia będą wysłuchiwały opowieści o swoim dziadku.

Z powrotem na prawy pas. Ponownie osiemdziesiąt osiem kilometrów na godzinę i ponownie Mesquite. Tu przystanął i jeszcze raz przeczytał list, nie widząc pędzących tuż obok osiemnastokółowców.

Nie miał do kogo zadzwonić, nie miał się do kogo zwrócić. Żadnemu bankierowi nie ufał na tyle, żeby prosić go o sprawdzenie tego konta na Bahamach, żadnemu adwokatowi na tyle, żeby spytać o radę. Nie miał też przyjaciela, który zechciałby wysłuchać tej żałosnej historii.

Wiódł podwójne życie, starannie je kamuflując i sto tysięcy dolarów nie było dla niego kwotą nieosiągalną. Żona liczyła każdego centa, zarówno w domu, jak i w sklepach, dlatego już dawno temu dopracował do perfekcji sposób ukrywania pieniędzy. Chomikował drogie kamienie, perły, rubiny, czasami małe brylanty, a potem cichcem je sprzedawał. W

jego branży była to praktyka dość powszechna. Gotówkę przechowywał w pudełkach - w pudełkach po butach, starannie poustawianych w ogniotrwałym sejfie w Piano. Porozwodowe pieniądze. Pieniądze na życie z Rickym. Mieli je wydać, żeglując po świecie.

- Sukinsyn! - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Sukinsyn! - Powtórzył to jeszcze kilkakrotnie.

Dlaczego nie miałby do niego napisać? Napisać i powiedzieć, że zbankrutował. Albo zagrozić ujawnieniem tego obrzydliwego oszustwa. Dlaczego nie miałby odpowiedzieć ciosem na cios?

Dlatego że ten szubrawiec dobrze wiedział, co robi. Wytropił go, poznał jego prawdziwe nazwisko oraz imię żony.

Wiedział, że Vann jest bogaty.

Podjazd przed domem. I Gladys z miotłą na chodniku.

- Gdzie byłeś, kochanie?

- Musiałem odwiedzić paru klientów - odrzekł z uśmiechem.

- Długo ich odwiedzałeś - zauważyła, nie przerywając zmiatania.

- 69 -

Rzygał tym. Tym wszystkim. Bez jej wiedzy nie mógł zrobić ani kroku. Od trzydziestu lat siedział u niej pod pantoflem, a ona wyliczała mu czas ze stoperem w rękę.

Odruchowo poklepał ją po policzku, zszedł do sutereny, zatrzasnął za sobą drzwi i ponownie się rozplakał. Dom był

jego więzieniem (nie dziwnego, skoro wciąż spłacał hipotekę w wysokości siedmiu tysięcy ośmiuset dolarów miesięcznie). A żona była jego strażnikiem i klucznikiem. Przed chwilą runął w gruzy jedyny plan, dzięki któremu mógł stąd uciec. Wszystko przez tego okrutnego, wyrachowanego szantażystę.

- 70 -

ROZDZIAŁ 12

Osiemdziesiąt trumien wymagało dużo miejsca. Wszystkie były tej samej szerokości i długości, wszystkie przykryto narodowymi flagami. Przed półgodziną przyleciały na pokładzie transportowca Amerykańskich Sił Powietrznych, po czym uroczystie i z wielką pompą zostały ustawione w równiutkich rzędach na betonowej podłodze hangaru. Na składanych krzesłach siedziało niemal tysiąc przyjaciół i krewnych - zaszokowani patrzyli na morze czerwono-biało-niebieskich flag.

Liczebnością przewyższali ich tylko dziennikarze i reporterzy tłoczący się za pilnowanymi przez żandarmerię szlabanami.

Nawet jak dla kraju nawykłego do nieudolnej polityki zagranicznej, liczba ofiar była doprawdy imponująca.

Osiemdziesięciu Amerykanów, ośmiu Brytyjczyków, ośmiu Niemców i ani jednego Francuza, ponieważ Francja bojkotowała działalność dyplomatyczną w Kairze. Dlaczego po dziesiątej wieczorem w gmachu ambasady przebywało aż osiemdziesięciu Amerykanów? Było to pytanie dnia i jak dotąd nie udzielono na nie wiarygodnej odpowiedzi. Wielu z tych, którzy zdecydowali o zaproszeniu tylu gości, leżało teraz w trumnie. Jedna z krążących po Waszyngtonie plotek głosiła, że spóźnił się zaopatrzeniowiec z jedzeniem, a jeszcze bardziej spóźniła się orkiestra.

Jednakże terroryści udowodnili aż za dobrze, że są w stanie uderzyć w każdej chwili, więc co to za różnica, jak długo ambasador, jego żona, przyjaciele, pracownicy i goście chcieli się bawić?

Drugie pytanie dnia brzmiało następująco: jak to możliwe, że mieliśmy w tamtejszej ambasadzie aż osiemdziesięciu pracowników? Rzecznik Departamentu Stanu jeszcze się na ten temat nie wypowiedział.

Gdy umilkła posępna muzyka, łamiącym się głosem przemówił prezydent Stanów Zjednoczonych. Przemawiając, uronił kilka łez, lecz po ośmiu latach tych teatralnych sztuczek nie zrobiło to na zebranych większego wrażenia. Zemstę poprzysięgał już wielokrotnie, dlatego teraz ograniczył się jedynie do pocieszenia rodzin, do kwestii poświęcenia dla dobra sprawy i obietnicy lepszego życia na tamtym świecie.

Sekretarz stanu zaczął wyczytywać nazwiska poległych - brzmiało to jak posępna melorecytacja i miało podkreślić powagę chwili. Szloch przybrał na sile. Ponownie zabrzmiała muzyka. Najdłuższe przemówienie wygłosił wiceprezydent, który przybył na lotnisko prosto z trasy wyborczej, pałając nowo odkrytą żądzą krwi i pragnieniem zmiecienia terrorystów z powierzchni ziemi. Chociaż nigdy w życiu nie nosił żołnierskiego munduru, miało się wrażenie, że zaraz zaczniesz ciskać granatami.

Tak, Lake zmusił ich wszystkich do tęgiego wysiłku.

*

Sam Lake oglądał tę ponurą ceremonię, lecąc z Tucson do Detroit na kolejny cykl wywiadów. Zabrał w tę podróż swojego nowego czarownika, specja od badania opinii publicznej. Podczas gdy on i członkowie jego ekipy siedzieli przed telewizorami, spec gorączkowo pracował przy małym stole konferencyjnym, na którym stały dwa laptopy i trzy telefony, i na którym leżało tyle wydruków, że nie uporałoby się z nimi dziesięciu ludzi.

Już za trzy dni czekały ich prawyборы w Arizonie i w Michigan. Popularność Lake'a ciągle rosła, zwłaszcza w Arizonie, gdzie szedł łeb w łeb z kandydatem numer jeden, gubernatorem Tarrym z Indiany. W Michigan przegrywał z nim o dziesięć punktów, lecz najważniejsze, że wyborcy uważnie go słuchali. A tragedia w Kairze była mu bardzo na rękę.

Poza tym gubernatorowi Tarry'emu zaczynało brakować pieniędzy, podczas gdy on miał ich pod dostatkiem.

Napływały szybciej, niż je wydawał.

Kiedy wiceprezydent skończył, Lake wrócił do swego wygodnego skórzanego fotela i wziął gazetę. Jeden z jego ludzi przyniósł mu filiżankę kawy i Lake pił, spoglądając na równiny Kansas rozciągające się trzysta kilometrów pod nim.

Ktoś inny podał mu karteczkę z pilną wiadomością - musiał do kogoś zadzwonić. Lake rozejrzał się. W samolocie było trzysta osób, nie licząc pilotów.

Jako człowiek zamknięty w sobie i wciąż tęskniący za żoną, niezbyt dobrze przystosowywał się do zupełnego braku prywatności. Krok w krok chodziła za nim grupa ludzi, średnio co pół godziny chciał z nim rozmawiać ktoś ważny. Każde pociągnięcie musiał konsultować z członkami swego komitetu, przed każdym wywiadem otrzymywał pytania, których mógł

się spodziewać, i propozycje odpowiedzi. W ciągu doby spędzał samotnie ledwie sześć godzin - przesyłał je w hotelowym pokoju i dawał głowę, że gdyby tylko na to pozwolił, agenci z ochrony czuwaliby pod jego łóżkiem. Ponieważ był zmęczony, spał jak dziecko. Prawdziwie spokojnej refleksji mógł oddać się jedynie w łazience, pod prysznicem albo w toalecie.

Lecz nie oszukiwał się i wiedział swoje. On, Aaron Lake, spokojny kongresman z Arizony, z dnia na dzień stał się prawdziwą sensacją. Parł naprzód, podczas gdy tamci z trudem za nim kuśtykali. Dysponował olbrzymimi pieniędzmi.

Reporterzy ganiłi za nim jak sfora ogarów. Coraz częściej go cytowano. Miał potężnych przyjaciół - układanka zaczynała przybierać coraz konkretniejsze kształty i perspektywa nominacji była coraz bliżej. Nie dalej jak przed miesiącem nie śmiałyby nawet o tym marzyć.

Rozkoszował się chwilą. Teraz żył jak w domu wariatów, lecz później będzie mógł to zmienić. Reagan przychodził do pracy o dziewiątej, wychodził o piątej i odnosił większe sukcesy niż pracoholik Carter. Nieustannie powtarzał sobie jedno: wygraj. Ścierp towarzystwo tych głupków, załatw konkurencję na prawyborach, wytrzymaj to wszystko z uśmiechem na twarzy, nie strać poczucia humoru, a wkrótce zasiądziesz w Gabinetcie Ovalnym, mając u stóp cały świat.

I nareszcie będziesz sam.

Transmisję z ponurej uroczystości w bazie lotniczej Andrews Teddy oglądał z Yorkiem. Lubił z nim być, kiedy sprawy przybierały zły obrót. Stawiano im brutalne zarzuty. Poszukiwano kozłów ofiarnych i wielu uganiających się za kamerami idiotów jak zawsze oskarżało CIA.

Gdyby tylko znali prawdę...

Powiedział Yorkowi o ostrzeżeniach Luftkina i ten go zrozumiał. Niestety, nieraz to przerabiali. Kiedy kieruje się policją pilnującą porządku na całym świecie, traci się mnóstwo policjantów, dlatego przeżyli wiele smutnych chwil, obserwując, jak pokryte flagami trumny, świadectwo kolejnego fiaska polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, wyjeżdżają z olbrzymiego transportowca C-130. Kampania wyborcza Lake'a miała być dla Teddy'ego ostatnią próbą

uratowania życia milionom Amerykanów.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem odniesie sukces. W ciągu ledwie dwóch tygodni KOSZ zgromadził na koncie ponad dwadzieścia milionów dolarów, a jego członkowie zbierali teraz pieniądze w Waszyngtonie i okolicy. Kosztem sześciu milionów kupiono przychyłność dwudziestu jeden kongresmanów, lecz największą zdobycz stanowił jak dotąd senator Britt, ekskandydat, ojciec małego Taja z Bangkoku. Wycofując się z wyścigu o prezydencki fotel, był zadłużony na blisko cztery miliony dolarów i nie miał zielonego pojęcia, jak ten dług uregulować. Spotkała się z nim Elaine Tyner i w niecałą godzinę zawarli układ: w ciągu trzech lat KOSZ spłaci cały dług, w zamian za co senator Britt szumnie poprze kandydaturę Aarona Lake'a.

- 72 -

- Mogliśmy przewidzieć ilość ofiar? - spytał York.

- Nie. - Teddy odrzekł dopiero po chwili; nie lubili pospiesznych rozmów.

- Dlaczego jest ich aż tyle?

- Za dużo alkoholu. W krajach arabskich to normalne. Inna kultura, nudne życie, więc kiedy nasi dyplomaci wydają przyjęcie, płynie morze wódki. Wielu z tych nieszczęśników było pijanych.

Mijały minuty.

- Gdzie jest teraz Yidal? - spytał York.

- W Iraku. Wczoraj był w Tunezji.

- Powinniśmy go powstrzymać.

- I powstrzymamy, w przyszłym roku. To będzie wielka chwila dla prezydenta Aarona Lake'a.

Dwunastu z szesnastu kongresmanów popierających Lake'a miało na sobie niebieską koszulę, czego Elaine Tyner nie omieszkła zauważyć. Zawsze takie rzeczy liczyła. Kiedy waszyngtoński polityk stawał przed kamerami telewizji, istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że wystąpi w niebieskiej bawełnianej koszuli. Pozostali czterej mieli na sobie białe.

Ustawiła ich przed reporterami w sali balowej hotelu Willard. Spotkanie otworzył najstarszy z szesnastki, członek Izby Reprezentantów, Thurman z Florydy, który uroczystie powitał przedstawicieli mediów. Następnie, co i raz zaglądając do notatek, przedstawił swoją opinię na temat ostatnich międzynarodowych doniesień, skomentował sytuację w Kairze, w Chinach i w Rosji, stwierdził, że świat jest dużo bardziej niebezpieczny, niż na to wygląda, i wyrecytował znane wszystkim statystyki, by zilustrować fakt, że Ameryka regularnie zmniejsza budżet na obronę narodową. Potem rozpoczął długi monolog pochwalny na cześć swego bliskiego przyjaciela Aarona Lake'a, człowieka, z którym pracował na Kapitolu od dziesięciu lat i którego znał lepiej niż inni kongresmani. Lake miał do przekazania przesłanie - naród wolałby go nie słyszeć, niemniej było to przesłanie bardzo ważne.

Thurman oficjalnie wycofał swoje poparcie dla gubernatora Tarry'ego, co uczynił niechętnie i nie bez poczucia zdrady, jednak przeprowadziwszy dogłębną i bolesną analizę swojej polityki, doszedł do wniosku, że bezpieczeństwo narodowe, czyli Aaron Lake, jest dla niego ważniejsze. Naturalnie nie wspominał, że ostatnie wyniki badań opinii publicznej jednoznacznie wskazywały, że Lake zdobywa coraz większą popularność w Tampa-St. Pete.

Mikrofon przekazano kongresmanowi z Kalifornii. Ten nie miał do powiedzenia nic nowego, mimo to gadał przez dziesięć minut. W jego okręgu wyborczym na północ od San Diego mieszkało czterdzieści pięć tysięcy pracowników przemysłu zbrojeniowego i z tego, co mówił, wynikało, że wszyscy do niego pisali lub dzwonili. Łatwo go było przekupić -

nacisk wyborców, dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów od Elaine Tyner i tańczył, jak mu zagrali.

Kiedy dziennikarze zaczęli zadawać pytania, cała szesnastka zbiła się w ciasną gromadkę, gdyż wszyscy chcieli coś powiedzieć i wszyscy się bali, że nie obejmie ich kamera.

Chociaż nie było wśród nich przewodniczących komisji, zrobili na reporterach spore wrażenie. Najważniejsze, że zdołali przekazać im to, co chcieli: że Aaron Lake jest prawowitym kandydatem, człowiekiem, którego znają, i któremu ufają.

Człowiekiem, którego potrzebuje naród. Którego naród powinien wybrać na prezydenta.

Spotkanie miało dobrą oprawę, było świetnie wyreżyserowane i natychmiast stało się wydarzeniem dnia. Nazajutrz Elaine Tyner zamierzała przedstawić prasie pięciu kolejnych kongresmanów. Senatora Britta zachowała na poniedziałek, ten przed wielkim superwtorkiem.

- 73 -

W schowku na mapy leżał list od Percy'ego. Od młodego Percy'ego z kliniki rehabilitacyjnej, do którego Ned pisał

na następujący adres: Laurel Ridge, skrytka pocztowa 4585, Atlantic Beach, Floryda 32233.

Ned był w Atlantic Beach. Przed dwoma dniami przywiódł go tam ów list i mocne postanowienie - chciał wytropić Percy'ego, ponieważ zwietrył podstęp. Zresztą nie miał nic lepszego do roboty. Był bogatym emerytem, nie miał rodziny, o której warto by wspominać, poza tym w Cincinnati padał śnieg. Mieszkał w Żółtym Morskim, w gospodzie na plaży, i wieczorami zwiedzał bary przy Atlantic Boulevard. Znalazł dwie znakomite restauracje, małe, zatłoczone knajpki pełne młodych, pięknych dziewcząt i chłopców. Ulicę dalej odkrył bar U Pete'a i ostatniego wieczoru wyszedł stamtąd, zataczając się od nadmiaru zimnego piwa. Żółt Morski był tuż za rogiem.

Za dnia obserwował pocztę, nowoczesny budynek z cegły i szkła przy First Street biegnącej równoległe do plaży.

Skrytka numer 4585 znajdowała się mniej więcej w połowie ściany upstrzonej osiemdziesięcioma innymi skrytkami. Ned obejrzał ją sobie - w tym skrzydle poczty panował stosunkowo niewielki ruch - próbował otworzyć zamek kluczykiem i kawałkiem drutu, a nawet spytał o nią urzędnika za ladą w

sali głównej. Niestety, urzędnik był bardzo nieuczynny. Przed wyjściem Ned wsunął pod drzwiczki kawałek czarnej cienkiej nici. Miała ledwie pięć centymetrów długości i nie rzucała się w oczy, lecz jej zniknięcie byłoby dowodem, że ktoś sprawdzał pocztę.

Wiedział, że w skrytce jest jego list. List w jaskrawoczerwonej kopercie, który przed trzema dniami nadał w Cincinnati, by następnie wsiąść do samochodu i pojechać na południe. W kopercie tkwił również czek na tysiąc dolarów -

młody Percy potrzebował tych pieniędzy na zakup przyborów malarskich. W jednym z wcześniejszych listów Ned wyznał

mu, że miał kiedyś galerię sztuki współczesnej w Greenwich Village. Było to kłamstwo, bo nigdy żadnej galerii nie miał -

napisał to jedynie dlatego, że mu nie wierzył.

Od samego początku podejrzewał, że coś jest nie tak. Przed wysłaniem pieniędzy próbował odnaleźć Laurel Ridge, ekskluzywną klinikę dla narkomanów, w której Percy miał jakoby przebywać. Był tam telefon, lecz w informacji powiedzieli mu, że jest to numer prywatny i zastrzeżony. Natomiast adresu nie było. W pierwszym liście Percy wyjaśnił mu, że jest to miejsce supertajne, ponieważ leczy się tam wielu potężnych dyrektorów i wysokich urzędników rządowych, którzy uzależnili się od narkotyków. Brzmiało to całkiem nieźle. Chłopak umiał dobrze dobierać słowa.

I miał piękną twarz. Właśnie dlatego Ned nie przerwał korespondencji. Codziennie podziwiał jego zdjęcie.

Prośba o pieniądze trochę go zaskoczyła, ale ponieważ się nudził, postanowił wyruszyć w podróż do Jacksonville.

Zza kierownicy samochodu parkującego tyłem do First Street dokładnie widział pocztę, ścianę ze skrytkami oraz klientów wchodzących i wychodzących frontowymi drzwiami. Szanse były niewielkie, ale co tam. Obserwował okolicę przez małą lornetkę teatralną i od czasu do czasu czuł na sobie wzrok mijających go przechodniów. Po dwóch dniach monotonne czuwanie zaczęło go nużyć, jednak im dłużej tam siedział, tym większą miał pewność, że wcześniej czy później po list ktoś przyjdzie. Przecież musieli zaglądać do skrytki chociaż raz na trzy dni. Pacjenci tajnej kliniki rehabilitacyjnej musieli otrzymywać sporo korespondencji, prawda? Chyba że była to tylko przykrywka dla oszusta, który wpadał na pocztę raz na tydzień, żeby sprawdzić, czy i kto wpadł w zastawioną przez niego pułapkę.

Oszust pojawił się późnym popołudniem trzeciego dnia. Przyjechał garbusem. Zaparkował obok Neda i niespiesznie ruszył w kierunku poczty. Był w zmiętych spodniach koloru khaki, w białej koszuli, słomkowym kapeluszu i w muszce.

Wyglądał na niespełnionego przedstawiciela plażowej cyganerii.

W środku dnia Trevor zrobił sobie długą przerwę, którą spędził w barze U Pete'a. Potem

przedrzemał godzinę przy

- 74 -

biurku, żeby odespać piwny lunch, i dopiero co się ocknął. Otworzył skrytkę numer 4585, wyjął z niej korespondencję i szybko przejrzał. Niemal same śmieci - wyrzucił je do kosza, wychodząc z budynku.

Ned uważnie go obserwował. Po trzech dniach nudy nareszcie coś się działo - był podniecony i ucieszony, że cierpliwość się opłaciła. Pojechał za garbusem, a kiedy kierowca zaparkował przed małą, zapuszczoną kancelarią adwokacką, Ned podrapał się w głowę i mruknął:

- Prawnik?

Ruszył wzdłuż plaży, oddalając się od zabudowań Jacksonville. Minął Vilano Beach, Crescent Beach, Beverly Beach, Flagler Beach i w końcu dotarł do swego hotelu na przedmieściach Port Orange. Przed pójściem do pokoju wpadł do baru.

Nie było to pierwsze oszustwo, z którym miał do czynienia. Jedno zdążył już rozpracować. Wtedy też wyczuł, że coś jest nie tak, zanim było za późno. Przy trzecim martini poprzysiągł sobie, że ten szwindel będzie definitywnie ostatnim.

- 75 -

ROZDZIAŁ 13

W przededniu prawyborów w Arizonie i Michigan ludzie z ekipy Lake'a szturmem wzięli wszystkie media, a zwłaszcza telewizję. Zrobili to na skalę niespotykaną w dotychczasowej historii prezydenckich kampanii. Przez osiemnaście godzin na dobę bombardowali oba stany dziesiątkami reklam. Niektóre, te trwające piętnaście sekund, były bardzo łagodne: przedstawiały miłą twarz Lake'a, obiecywały silną, zdecydowaną władzę i bezpieczniejszy świat. Inne były minutowymi filmami dokumentalnymi na temat gróźb czyhających na świat po okresie zimnej wojny. Jeszcze inne były ostrymi, buńczucznymi ostrzeżeniami pod adresem terrorystów: zabijajcie ludzi tylko dlatego, że są Amerykanami, a zapłacicie za to bardzo wysoką cenę. Wciąż pamiętano Kair i słowa te trafiały do celu.

Reklamy były odważne i świetnie wyreżyserowane przez najlepszych konsultantów, dlatego ich jedynym skutkiem ubocznym mógł być przesyt. Jednakże Lake wkroczył na arenę polityczną zbyt późno, żeby kogoś znudzić, a przynajmniej nie w tym momencie. Na telewizyjny szturm w dwóch stanach wydał oszałamiającą kwotę dziesięciu milionów dolarów.

Podczas głosowania we wtorek dwudziestego drugiego lutego puszczały reklamy nieco rzadziej i kiedy zamknięto lokale wyborcze, większość analityków przewidywała, że Lake wygra w Arizonie i zdobędzie drugie miejsce w Michigan.

Cóż, gubernator Tarry pochodził z Indiany, z bratniego stanu zachodniego, i od wielu tygodni

prowadził tam intensywną kampanię.

Najwyraźniej za mało się starał. Wyborcy z Arizony postawili na swojego ziomka, a tym z Michigan Lake też przypadł do gustu. Zdobył sześćdziesiąt sześć procent głosów w swoim rodzinnym stanie i aż pięćdziesiąt pięć w Michigan, podczas gdy gubernator Tarry ledwie trzydzieści jeden. Resztą podzielili się kandydaci bez szans na zwycięstwo w finale.

Na dwa tygodnie przed wielkim superwtorkiem gubernator Tarry poniósł bardzo dotkliwą porażkę.

Lake oglądał zliczanie głosów na pokładzie samolotu, w drodze powrotnej z Phoenix, gdzie oddał głos na samego siebie. Na godzinę przed lądowaniem w Waszyngtonie komentator CNN ogłosił go niespodziewanym zwycięzcą prawyborów w Michigan i członkowie jego ekipy otworzyli butelkę szampana. Rozkoszując się chwilą, Lake pozwolił sobie na dwa kieliszki.

Znał historię. Wiedział, że żaden z poprzednich kandydatów nie wystartował tak późno i nie zaszedł tak wysoko. W

zaciemnionej kabinie ekrany czterech telewizorów pokazywały setki liczb i cyferek, podczas gdy analitycy i różni specjaliści zachwycali się i nim, i tym, czego dokonał. Gubernator Tarry zachował się godnie, choć wyraził zaniepokojenie, że jego nieznany dotychczas przeciwnik wydaje na kampanię tak olbrzymie sumy pieniędzy.

Lake pogawędził grzecznie z grupką reporterów na lotnisku imienia Reagana, po czym udał się limuzyną do kwatery głównej. Tam podziękował swoim wysoko opłacanym specjalistom, kazał im wrócić do domu i trochę się przespać.

Dochodziła północ, gdy dotarł do Georgetown, do swojego czarującego domku przy Trzydziestej Czwartej za Wisconsin. Z towarzyszącego mu samochodu wysiadło dwóch agentów ochrony, dwóch innych czekało na schodach.

Wielokrotnie - i oficjalnie - proszono go, żeby mogli czuwać i w domu, lecz Lake za każdym razem stanowczo odmawiał.

- Nie chcę was tu widzieć - warknął. Nie znosił ich, nie znał ich imion, miał gdzieś, czy go lubią, czy nie. Uważał, że tacy ludzie nie mają nazwisk. Darzył ich pogardą i traktował jak powietrze.

- 76 -

Zamknawszy za sobą drzwi, wbiegł do sypialni i się przebrał. Zgasił światło, jakby zamierzał pójść spać, odczekał

kwadrans, cichutko zbiegł na dół i sprawdził, czy nikt nie zagląda przez okno. Teraz do piwnicy. Piwnica i małe okienko -

podciągnął się i otoczyła go zimna noc. Stał na dworze za maleńkim tarasem. Zastygł bez ruchu, nadśluchował chwilę i nie usłyszawszy niczego podejrzanego, cicho otworzył drewnianą furtkę, śmignął przejściem między dwoma domami i wybiegł na Trzydziestą Piątą. Był sam. Otaczała go

ciemność. Miał na sobie dresy do biegania i naciągniętą na oczy czapkę. Trzy minuty później wmieszał się w tłum na M Street. Złapał taksówkę i zniknął w mroku.

Teddy Maynard poszedł spać względnie zadowolony z pierwszych dwóch zwycięstw swego kandydata, lecz szybko go obudzono. Wiedział, że stało się coś niedobrego. Wjeżdżając do bunkra dziesięć po szóstej rano, był bardziej przestraszony niż rozeźlony, chociaż w ciągu ostatniej godziny zdążył zaliczyć całą gamę emocji. Czekał na niego York w towarzystwie starszego agenta Devilla, drobnego, nerwowego człowieka - po jego twarzy widać było, że od wielu godzin nie zmrużył oka.

- No to mówcie - warknął Teddy, rozglądając się za kawą.

Mówił Deville.

- Dwie minuty po północy - zaczął - obserwowany pożegnał się z agentami ochrony i wszedł do domu. Dokładnie piętnaście minut później wyszedł przez okno w piwnicy. Na wszystkich drzwiach i oknach domu zainstalowaliśmy czujniki.

Wynajmujemy szeregowiec po drugiej stronie ulicy, a ponieważ wiedzieliśmy, że obserwowany ma wrócić po sześciu dniach nieobecności, wzmogliśmy czujność. - Deville pokazał Maynardowi obłą kapsułkę wielkości tabletki aspiryny. - To jest tak zwany T-Dec. Identyczne urządzenia tkwią w podeszwach jego wszystkich butów, w tym butów do biegania, więc jeśli tylko nie jest na bosaka, zawsze wiemy, gdzie aktualnie przebywa. Pod naciskiem stopy T-Dec emituje sygnał o zasięgu dwustu metrów. Po ustaniu nacisku sygnał wygasa dopiero po piętnastu minutach. Ogłosiliśmy alarm i znaleźliśmy go na M Street. Był

w czapce i w dresach. Złapał taksówkę. Pojechaliśmy za nim dwoma samochodami. Taksówka przystanąła w pasażu handlowym w Chevy Chase. Obserwowany wysiadł i wbiegł do gmachu Mailbox America. To jedno z tych nowych biur pocztowych niezależnych od poczty państwowej; niektóre z nich są otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Obserwowany przebywał tam niecałą minutę: otworzył skrytkę kluczykiem, wyjął kilka listów i wracając do taksówki, wyrzucił wszystkie do kosza na śmieci. Jeden wóz pojechał za nim na M Street, gdzie obserwowany wysiadł i wślizgnął się do domu. Drugi wóz został przed Mailbox America. Przejrzeliśmy zawartość kosza i znaleźliśmy sześć przesyłek, reklamówek i katalogów. Przyszły na adres niejakiego Ala Konyersa, Mailbox America, trzydzieści dziewięć trzysta osiemdziesiąt Western Avenue, Chevy Chase skrytka pocztowa numer czterysta pięćdziesiąt pięć.

- A więc nie znalazł tego, czego szukał? - spytał Teddy.

- Chyba nie - odparł Deville. - Wrzucił do kosza dokładnie wszystko. Mamy to na kasecie.

Z sufitu opadł ekran, przygasły światła. Usytuowana w samochodzie kamera filmowała z drugiego końca parkingu.

Zbliżenie. Ubrany w obszerny dres Lake skręca za róg i wbiega do gmachu Mailbox America. Wychodzi kilkanaście sekund później, szybko przeglądając listy, które trzyma w prawej ręce.

Przystaje w drzwiach i wrzuca wszystkie do wysokiego kosza na śmieci.

- Czego on, do diabła, szuka? - wymamrotał do siebie Teddy.

Lake wsiada do taksówki. Koniec nagrania. Rozbłysły światła.

Deville odchrząknął.

- 77 -

- Jesteśmy absolutnie pewni, że są to jego listy. Sprawdziliśmy kosz kilka sekund po odjeździe taksówki, a w tym czasie nikt inny stamtąd nie wychodził. Było to dokładnie za dwie pierwsza. Godzinę później weszliśmy tam ponownie i dorobiliśmy klucz do skrytki. W każdej chwili możemy do niej zajrzeć.

- Zagłądajcie codziennie - rozkazał Teddy. - Chcę mieć pełny spis jego korespondencji. Reklamówek i katalogów nie uwzględniajcie, ale jeśli przyjdzie coś innego, niezwłocznie chcę o tym wiedzieć.

- Tak jest - odparł Deville. - Obserwowany wszedł do domu przez okno w piwnicy o pierwszej dwadzieścia dwie.

Potem już nie wychodził. Teraz pewnie śpi.

- To wszystko - mruknął Maynard i Devill wyszedł.

Mijały sekundy. Teddy mieszał kawę.

- Ile on ma adresów?

York spodziewał się tego pytania. Zajrzał do notatek.

- Większość korespondencji przychodzi do jego domu w Georgetown. Ma co najmniej dwa adresy na Kapitolu: jeden to biuro, drugi to Komitet do spraw Służb Wojskowych. W Arizonie ma trzy biura. W sumie sześć. Sześć, o których wiemy.

- Po co mu siódmy?

- Nie wiem, ale coś tu śmierdzi. Człowiek nie mający nic do ukrycia nie potrzebuje tajnego adresu czy fałszywego nazwiska.

- Kiedy tę skrytkę wynajął?

- Wciąż nad tym pracujemy.

- Może po rozpoczęciu kampanii? Myślimy za niego, więc podejrzewa, że cały czas go śledzimy. Chciał prywatności i wynajął skrytkę. Może ma przyjaciółkę, którą jakimś cudem przeoczyliśmy. Może lubi świerszczyki, pornosy, coś, co da się przesłać pocztą...

York długo milczał.

- Możliwe - odrzekł w końcu. - A jeśli wynajął tę skrytkę na wiele miesięcy przed rozpoczęciem kampanii?

- Jeśli tak, to nie przed nami się ukrywa. Ma jakąś straszną tajemnicę i ukrywa się przed światem.

Strasza tajemnica - kontemplowali to w milczeniu, nie mając odwagi snuć żadnych domysłów. Postanowili wzmocnić obserwację i zaglądać do skrytki dwa razy dziennie. Za kilkanaście godzin Lake miał wyjechać z miasta na podbój kolejnych stanów i nikt im nie będzie przeszkadzał.

Chyba że ktoś odbiera pocztę w jego imieniu.

Aaron Lake był człowiekiem dnia. W swoim biurze na Kapitolu hojnie udzielił wywiadu na żywo reporterom porannego dziennika telewizyjnego. Potem przyjął kilku senatorów, członków Izby Reprezentantów, przyjaciół i dawnych przeciwników, którzy przyszli mu pogratulować. Zjadł lunch z pracownikami kwatery wyborczej i odbył z nimi szereg długich narad. Po szybkiej kolacji z Elaine Tyner, która przyniosła mu cudowne wiadomości o tonach pieniędzy napływających do KOSZ-u, poleciał do Syracuse, żeby opracować strategię prawyborów w Nowym Jorku.

Na lotnisku witał go wielki tłum. Cóż, ostatecznie był teraz kandydatem numer jeden.

- 78 -

ROZDZIAŁ 14

Kac zdarzał mu się coraz częściej, dlatego kiedy Trevor otworzył rankiem oczy, postanowił wziąć się w garść.

Przecież nie mógł przesiadywać u Pete'a wieczór w wieczór, chlejąc tanie piwsko, gadając ze studentami i oglądając beznadziejne mecze tylko dlatego, że postawił tysiąc dolców na jakąś drużynę. Wczoraj grali ci z Logan State. Logan State przeciwko bandzie palantów w zielonych koszulkach. Chryste, kogo to obchodziło?

Kogo? Na przykład Spicera. Postawił na nich pięćset dolarów, Trevor dorzucił jeszcze tysiąc i Logan State dała im zarobić. W ciągu ostatniego tygodnia sędzia wytypował dziesięciu zwycięzców. Dziesięciu zwycięzców na dwanaście biorących w rozgrywkach drużyn. On zgarnął trzy tysiące, a Trevor pięć i pół. Wyszło na to, że hazard opłaca mu się bardziej niż praca adwokata. W dodatku nie musiał nawet typować!

Wszedł do łazienki i nie patrząc do lustra, spryskał twarz zimną wodą. Kibel był wciąż zatkany i kiedy snuł się po swoim małym, zapuszczonym domku, szukając przetykacza, zaterkotał telefon. Dzwoniła jego ekszona, baba, której nienawidził i która nienawidziła jego, więc kiedy tylko usłyszał jej głos, od razu wyczuł, że chce pieniędzy. Warknął, że jest spłukany, i poszedł wziąć prysznic.

W kancelarii było jeszcze gorzej. Osobnymi samochodami przyjechało do niego rozwodzące się małżeństwo; mieli dokończyć negocjacje w sprawie podziału majątku. Żarli się o duperele, o garnki,

patelnie i toster, ale ponieważ nic nie mieli, musieli się o coś zjeść. Najgorsze awantury wybuchały wtedy, gdy szło o niską stawkę.

Ponieważ ich adwokat spóźnił się prawie godzinę, mieli czas, żeby się na sobie wyżyć i gdyby nie Jan - musiała ich rozdzielić - pewnie by się pozabijali. Kiedy Trevor wszedł chwiejnie tylnymi drzwiami, żona czekała w gabinecie.

- Gdzie się pan, do diabła, podziewał? - spytała na tyle głośno, że usłyszał ją mąż kipiący wściekłością w sekretariacie. Natychmiast wybiegł na korytarz, minął Jan - ta zrezygnowała z pościgu - i wpadł jak bomba do gabinetu.

- Czekamy na pana od godziny! - dodał.

- Zamknijcie się! - ryknął Trevor. - Oboje!

Jan wyszła z kancelarii. Zaszokowani krzykiem klienci zaniemówili.

- Siadać! - wrzasnął Trevor.

Mąż i żona opadli na krzesła.

- Płacicie pięćset dolarów za jeden parszywy rozwód i myślicie, że co? Że możecie się tu rządzić?

Tamci popatrzyli na jego przekrwione oczy i zaczerwienioną twarz, i doszli do wniosku, że nie warto z nim zadzierać.

Zadzwoił telefon, ale nikt nie podniósł słuchawki. Trevora naszły silne mdłości. Wybiegł z gabinetu, popędził na drugi koniec korytarza, otworzył drzwi do łazienki i zwymiotował, na tyle cicho, na ile mógł. Zabrzęczał metalowy łańcuszek w zbiorniku -

spluczka odmówiła posłuszeństwa.

Telefon wciąż dzwonił. Gdzie ta przeklęta Jan? Trevor wytoczył się na korytarz, żeby wyrzucić ją z pracy, ale ponieważ nigdzie jej nie było, wyszedł z kancelarii. Poczłapał na plażę, zdjął buty, skarpetki i zanurzył stopy w chłodnej, słonej wodzie.

Dwie godziny później siedział bez ruchu przy biurku. Zamknięte na klucz drzwi - precz z klientami! - piasek między

- 79 -

palcami bosych stóp. Musiał się zdrzemnąć i napić, dlatego gapił się w sufit, dumając, co zrobić najpierw. Znowu telefon.

Tym razem Jan odebrała; chociaż Trevor jej nie wyrzucił, ukradkiem przeglądała oferty pracy w gazecie.

Dzwonił Brayshears z Wysp Bahama.

- Przyszedł kolejny przekaz, panie mecenasie - powiedział.

Trevor zerwał się na równe nogi.

- Na ile? - spytał.

- Na sto tysięcy dolarów.

Trevor zerknął na zegarek. Najbliższy samolot odlatywał za godzinę.

- Miałby pan dla mnie czas o wpół do czwartej?

- Oczywiście.

Trevor odłożył słuchawkę i wrzasnął:

- Odwołaj wszystkie spotkania! Dzisiejsze i jutrzejsze! Wyjeżdżam!

- Nie masz żadnych spotkań! - odwrzasnęła Jan. - Tracisz tylko pieniądze!

Nie zamierzał się z nią kłócić. Trzasnął drzwiami, wsiadł do samochodu i odjechał.

Samolot do Nassau miał międzylądowanie w Fort Lauderdale, chociaż Trevor tego nie zauważył. Po dwóch szybkich piwach momentalnie zasnął i spał jak zabity. Nad Atlantykiem wypił kolejne dwa, a kiedy wylądowali, stewardesa z trudem go dobudziła.

Zgodnie z przewidywaniami, nadawcą przekazu był Curtis z Dallas, a pieniądze przelano z konta w jednym z tekszańskich banków. Sto tysięcy dolarów. Trevor jak zwykle potracił sobie jedną trzecią: dwadzieścia pięć tysięcy przelał na swój tajny rachunek, a osiem przekazano mu w kopercie. Podziękował Brayshearsowi, wyraził nadzieję, że wkrótce zobaczą się ponownie, po czym wyszedł z banku.

Ani myślał wracać do domu. Ruszył prosto do centrum handlowego, gdzie chodnikami łążyły stada grubych amerykańskich turystów. Musiał kupić szorty, słomkowy kapelusz i olejek do opalania.

W końcu dotarł do plaży i wynajął pokój w jednym z nadmorskich hoteli. Że musiał wybulić dwie stowy za noc? I co z tego? Nasmarował się olejkiem i zaległ nad basenem tuż przy barze. Napitki podawała mu kelnerka w wąskiej przepasce na biodrach.

Obudził się po zmroku, lekko podsmażony, ale nie spieczony. Hotelowy strażnik odprowadził go do pokoju. Trevor padł na łóżko i momentalnie zasnął. Poruszył się dopiero po wschodzie słońca.

Ponieważ solidnie odpoczął, wstał dziwnie trzeźwy i bardzo głodny. Zjadł trochę owoców i poszedł popatrzeć na jachty - nie to, żeby chciał któryś kupić, niemniej dużą uwagę zwracał na osprzęt i wyposażenie. Wystarczyłby mu dziewięciometrowy, bo mógłby na nim wygodnie mieszkać i nie

potrzebowałby załoganta. Nie, nie zabierze na pokład żadnego pasażera. Jako kapitan będzie pływał od wyspy do wyspy zupełnie sam. Najtańszy, jaki znalazł, kosztował

dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i wymagał małego remontu.

Południe zastało go nad basenem. Z telefonem komórkowym w ręku, próbował skontaktować się z paroma klientami, jednak robił to bez większego przekonania. Ta sama kelnerka przyniosła mu kolejnego drinka. Trevor wyłączył

telefon, osłonił twarz ciemnymi okularami i mimo przyjemnego szumku w uszach, spróbował trochę porachować.

W ciągu ostatniego miesiąca zarobił około osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Na czysto, bez podatku. Czy nadal będzie tyle zarabiał? Jeśli tak, za rok zgromadzi na koncie milion dolarów, a wówczas będzie mógł rzucić pracę i to, co

- 80 -

zostało z jego kariery zawodowej, kupić mały jacht i wypłynąć w morze.

Pierwszy raz w życiu od spełnienia marzeń dzielił go tylko krok. Ujrzał siebie za kołem sterowym - bez koszuli, bez butów, z butelką zimnego piwa w zasięgu ręki - ujrzał swój jacht żeglujący od St. Barts do St. Kitts, od Nevis do St. Lucia, od jednej wyspy do tysiąca innych. Jacht, łopoczący na wietrze żagiel i żadnych kłopotów, którymi musiałby się martwić.

Trevor zamknął oczy i jeszcze bardziej zapragnął uciec od świata.

Obudziło go własne chrapanie. Tuż obok przechodziła znajoma przepaska. Zamówił kieliszek rumu i spojrzał na zegarek.

Dwa dni później dotarł w końcu do Trumble. Jechał tam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony z niecierpliwością oczekiwał nowych listów: kolejny list to kolejny szantaż, a kolejny szantaż to kolejny zastrzyk gotówki. Jednakże z drugiej strony był bardzo spóźniony i wiedział, że sędzia na pewno go za to nie pochwali.

- Gdzieś ty, do diabła, był? - warknął Spicer, gdy strażnik zniknął za drzwiami; Trevor miał wrażenie, że ostatnio wszyscy go o to pytają. - Przez ciebie opuściłem trzy rundy rozgrywek i straciłem kupę forsy.

- Na Bahamach - odrzekł Trevor. - Dostaliśmy sto tysięcy dolarów od Curtisa z Dallas.

Spicerowi momentalnie poprawił się humor.

- I co? - spytał. - Trzy dni sprawdzałeś, czy przekaz dotarł na Bahamy?

- Musiałem trochę odpocząć. Nie wiedziałem, że mam tu bywać codziennie.

Sędzia miękł z sekundy na sekundę. Właśnie wpadło mu do kieszeni kolejne dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

Pieniądze leżały w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie, i wręczając prawnikowi plik pięknych kopert, myślał już, jak je wyda.

- Sporo tego - zauważył Trevor.

- Czyżbyś narzekał? Zarabiasz więcej od nas.

- Bo mam więcej do stracenia.

Spicer podał mu kartkę papieru.

- Obstawilem dziesięć - mruknął. - Pięćset dolarów na każdy.

Bomba! - pomyślał Trevor. Kolejny nudny weekend U Pete'a, kolejna seria nudnych meczów do obejrzenia. E tam, mogło być gorzej.

Potem grali w blackjacka po dolarze od partii, dopóki nie przerwał im strażnik.

Coraz częstsze wizyty Trevora w Trumble były przedmiotem dyskusji naczelnika i grubych ryb z Głównego Zarządu Więziennictwa w Waszyngtonie. Trevorowi założono teczkę. Rozważano, czy aby tych praktyk nie ukrócić, lecz szybko tę myśl porzucono. Wizyty prawnika nie stanowiły żadnego zagrożenia, poza tym naczelnik nie chciał zrazić do siebie Braci. Po co wszczynać awanturę?

Nie, Trevor był zupełnie nieszkodliwy. Wykonawszy kilka telefonów do Jacksonville, stwierdzili, że prawie nikt go nie zna. Najwyraźniej przesiadywał w Trumble tylko dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty.

Pieniądze tchnęły w Beecha nowe życie - w Beecha i Yarbera. Żeby je wydać, musieli się oczywiście do nich dostać, lecz pewnego dnia na pewno się dostaną; wyjdą z Trumble jako wolni ludzie, odbiorą z banku fortunę i zrobią z nią, co tylko zechcą.

- 81 -

Yarber miał około pięćdziesięciu tysięcy dolarów i zamierzał je zainwestować. Nie było sensu trzymać ich na koncie, ponieważ przynosiły tylko pięć procent zysku w skali rocznej, a to stanowczo za mało nawet jak na pieniądze wolne od podatku. Tak, pewnego dnia powierzy całą kwotę funduszowi agresywnego inwestowania ze wskazaniem na lokaty bliskowschodnie. Prędzej czy później Azja ponownie stanie na nogi i jego brudne pieniądze szybko się rozmnożą. Czekają go jeszcze pięć lat odsiadki; zakładając dwunasto-, piętnastoprocentowy zysk, kiedy wyjdzie z Trumble, będzie miał na koncie około stu tysięcy dolarów. Sto tysięcy dolarów i sześćdziesiąt pięć lat - całkiem nieźle, oby tylko dopisało mu zdrowie.

No tak, pomyślał. Ale jeśli szwindel z Percym i Rickym się rozkręci, mógłbym stąd wyjść jako prawdziwy bogacz.

Pięć lat - sześćdziesiąt miesięcy, dwieście czterdzieści tygodni. Perspektywa tak długiej odsiadki napawała go kiedyś przerażeniem, a teraz zaczynał się niepokoić, czy zdąży zbierać tyle, ile potrzebuje. Jako Percy korespondował z dwudziestoma naiwniakami rozrzuconymi po całej Ameryce Północnej. Surowo przestrzegali podstawowej zasady: jedno miasto, jeden klient. Pilnował tego Spicer. Korzystali nawet z bibliotecznych map, by mieć stuprocentową pewność, że szantażowane ofiary nie mieszkają blisko siebie.

Większość czasu Yarber spędzał na pisaniu listów. Kiedy nie pisał, myślał o pieniądzach. Na szczęście otrzymał już papiery rozwodowe. Otrzymał je i szybko odesłał. Za kilka miesięcy będzie rozwodnikiem, a za pięć lat żona zdąży już o nim zapomnieć. Podział majątku? Jaki podział? Wyjdzie z więzienia wolny jak ptak, bez żadnych zobowiązań.

Pięć lat i tyle rzeczy do zrobienia... Zrezygnuje z cukru i będzie chodził na długie spacery.

Hatlee Beech leżał na górnej pryczy i nie mogąc zasnąć, prowadził w ciemności podobne rachunki. Miał pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeśli dobrze je zainwestuje, i jeśli nadal będą wyciskać pieniądze z tyłu ofiar, z ilu tylko się da, pewnego dnia zdobędzie olbrzymi majątek. Czekają go dziewięć lat odsiadki, prawdziwy maraton, który kiedyś zdawał się nie mieć końca.

Teraz w jego sercu tliła się iskierka nadziei. Coraz rzadziej myślał o śmierci, coraz częściej o życiu. I o bardzo obfitych zniwach. Skromnie licząc, jeśli przez dziewięć lat będzie zgarniał sto tysięcy dolarów rocznie i jeśli doda do tego odsetki, kiedy wyjdzie z Trumble w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, będzie multimilionerem.

Liczył na dwa, trzy, może nawet cztery miliony dolarów.

Dobrze wiedział, co zrobi. Ponieważ kochał Teksas, zamierzał pojechać do Galveston i kupić jeden z tych wiktoriańskich domów nad brzegiem morza. Tak, kupi dom i zaprosi starych przyjaciół, żeby zobaczyli, jaki jest bogaty.

Prawo? Prawo sobie odpuści. Będzie myślał wyłącznie o pieniądzach, będzie harował dwanaście godzin na dobę, planując, jak je najlepiej ulokować, tak żeby skończywszy siedemdziesiątkę, mieć więcej niż jego była żona.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat sędzia Hatlee Beech pomyślał, że być może dożyje sześćdziesięciu pięciu lat.

Niewykluczone nawet, że siedemdziesięciu.

On też zrezygnował z cukru i masła, poza tym palił teraz o połowę mniej, żeby za wcześnie nie umrzeć. Poprzysiął

sobie, że będzie trzymał się z daleka od więziennego szpitala i przestanie łykać te głupie proszki. Zaczął chodzić na słoneczne spacery, zaliczał co najmniej półtora kilometra dziennie, tak samo jak jego kolega z Kalifornii. No i pisał listy. On i Ricky.

Mimo wystarczającej motywacji do działania, sędzia Spicer też miał kłopoty z zaśnięciem. Nie

dręczyła go ani samotność, ani wyrzuty sumienia. Że siedział w więzieniu? Że powinno go to poniżać? Też coś. Spicer po prostu liczył

pieniądze i analizował stawki oprocentowania. Miał przed sobą dwadzieścia jeden miesięcy odsiadki i jedną nogą był już na wolności.

Nie dalej jak przed tygodniem odwiedziła go uroczą żonę Rita. W ciągu dwóch dni spędzili razem cztery godziny.

Obcięła włosy, przestała pić, zrzuciła ponad osiem kilo i obiecała, że kiedy za niecałe dwa lata Spicer wyjdzie z więzienia,

- 82 -

będzie czekała przed bramą jeszcze szczuplejsza. Już po pierwszych dwóch godzinach rozmowy sędzia wiedział, że dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów spoczywa bezpiecznie w sejfie za szopą.

Wyjadą do Las Vegas, kupią nowe mieszkanie i wszyscy będą mogli pocałować ich gdzieś.

Ponieważ szwindel przynosił coraz więcej pieniędzy, Spicer znalazł sobie nowe zmartwienie. Wyjdzie z Trumble jako pierwszy. Wyjdzie bardzo chętnie, z radością, bez oglądania się wstecz. Tak, tylko co z pieniędzmi, które tamci zgarną, gdy już go nie będzie? Co się stanie z jego przyszłą działką, z działką, do której miał wszelkie prawo? Ostatecznie to on wpadł na pomysł szwindlu - co z tego, że zmałpował go od tych z Angoli w Luizjanie? Beech i Yarber przyłączyli się do niego bardzo niechętnie.

Musiał opracować jakiś plan, tak samo jak musiał opracować plan pozbycia się Trevora. Miał czas, choć wiedział, że będzie go to kosztowało wiele bezsennych nocy.

List od Quince'a Garbe'a z Iowy odczytał Beech.

Drogi Ricky (czy kimkolwiek, do diabła, jesteś),

Nie mam więcej pieniędzy. Sto tysięcy pożyczyłem pod zastaw fałszywego oświadczenia finansowego. Nie wiem, jak je zwrócę. Właścicielem banku i wszystkich pieniędzy jest mój ojciec. Może byś tak napisał do niego, nie do mnie! Dam radę uzbierać najwyżej dziesięć tysięcy, pod warunkiem że przestaniesz mnie szantażować. Jestem na skraju załamania nerwowego, coraz częściej rozmyślam o samobójstwie, dlatego nie przeginaj pały. Ostatnia kanalia z Ciebie, wiesz? Mam nadzieję, że Cię złapią.

Z poważaniem

Quince Garbe

- Jest zdesperowany - zauważył Yarber, podnosząc wzrok znad pliku listów.

- Każ mu przysłać dwadzieścia pięć tysięcy - mruknął Spicer z wykałaczką w kąciку ust.

- Zaraz do niego napiszę - rzekł Beech, otwierając inny list do Ricky'ego.

- 83 -

ROZDZIAŁ 15

Podczas przerwy na lunch - doświadczenie pokazało, że ruch w Mailbox America był wtedy nieco większy - jeden z agentów wszedł nonszalancko do budynku za dwoma innymi klientami i po raz drugi tego dnia włożył kluczyk do zamka skrytki pocztowej numer 455. Między reklamówkami - z pizzerii, z myjni samochodowej i z Państwowego Urzędu Pocztowego - zauważył coś nowego: jasnopomarańczową kopertę. Chwycił ją pęsetą, którą nosił na kółku z kluczami, szybko wyjął ze skrytki i wrzucił do małej skórzanej walizeczki. Reklamówki zostawił.

W Langley ostrożnie otworzyli ją fachowcy. Wyjęli z koperty dwie zapisane kartki, które następnie skserowali.

Godzinę później do bunkra Teddy'ego wszedł Deville z kartonową teczką. Deville został mianowany szefem zespołu prowadzącego sprawę Lake'a albo, jak mówili o tym najbardziej wtajemniczeni, sprawę „tego pieprzonego burdelu”.

Wręczył kopie listu Maynardowi i Yorkowi, po czym włączył rzutnik. Przez długą chwilę Teddy i York bez słowa gapili się w ekran. Litery były wyraźne, pismo drukowane i bardzo czytelne, jakby autor kaligrafował każdy wyraz.

Drogi Al,

Gdzie się podziewasz? Czy dostałeś mój ostatni list? Napisałem do Ciebie trzy tygodnie temu i do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi. Pewnie jesteś zajęty, ale proszę, nie zapominaj o mnie. Jestem bardzo samotny, a Twoje listy podtrzymują mnie na duchu. Dodają mi siły i nadziei, ponieważ wiem, że komuś na mnie zależy.

Nie zostawiaj mnie.

Lekarze mówią, że jeśli wszystko będzie dobrze, wyjdę stąd już za dwa miesiące. W Baltimore, niedaleko miejsca, gdzie się urodziłem i wychowałem, jest tak zwana przejściówka, specjalny dom dla tych, którzy zakończyli leczenie, i chcą mnie tam umieścić. Co prawda tylko na trzy miesiące, ale to wystarczy, żebym znalazł pracę, nowych przyjaciół i przywykł do życia w społeczeństwie. Na noc dom zamykają, ale za dnia będę wolny.

Nie mam do kogo tęsknić. Ci, którzy mnie kiedyś kochali, już nie żyją, a mój wujek, który płaci za leczenie, jest bogaty, lecz okrutny.

Rozpaczliwie potrzebuję przyjaciół, Al.

Tak przy okazji, zrzuciłem prawie dwa i pół kilograma i mam teraz osiemdziesiąt centymetrów w pasie, tak że zdjęcie, które Ci wysłałem, jest już trochę przestarzałe. Zresztą nigdy mi się nie podobało - mam na nim nalaną twarz.

Teraz jestem dużo szczuplejszy i bardziej opalony. Zależnie od pogody, pozwalają nam opalać się dwie godziny dziennie. To Floryda, ale czasami bywa tu dość chłodno. Przyślę Ci inne zdjęcie, takie z nagim tarsem. Dźwigam ciężary jak oszalały. Myślę, że Ci się spodoba.

A propos zdjęć, obiecałeś mi swoje. Wciąż czekam. Proszę, nie zapominaj o mnie. Tęsknię za Twoimi listami.

Z uściskami

Ricky

- 84 -

Ponieważ to York odpowiadał za szczegółową analizę wszystkich aspektów życia Aarona Lake'a, czuł się zmuszony zabrać głos jako pierwszy, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W milczeniu przeczytali list po raz drugi. Potem po raz trzeci i czwarty.

W końcu odezwał się Deville:

- Oto koperta.

Wyświetlił ją na ekranie. Adres: Al Konyers, Mailbox America. Adres zwrotny: Ricky, Aladdin North. Skrytka pocztowa 44683, Neptune Beach, Floryda 32233.

- To przykrywka - wyjaśnił. - Aladdin North nie istnieje. Telefony odbierają ci z serwisu usług pocztowych.

Dzwoniliśmy do wszystkich klinik rehabilitacyjnych i lecznic w północnej Florydzie i nikt tam o Aladdin North nie słyszał.

Teddy bez słowa patrzył na ekran.

- Gdzie jest Neptune Beach? - wychrypiał York.

- W Jacksonville.

Kazali Deville'owi zaczekać za drzwiami. Teddy sięgnął po notatnik.

- Kilka listów i co najmniej jedno zdjęcie - zreasumował, jakby mieli do czynienia ze zwykłą, rutynową sprawą; panika była dla Maynarda pojęciem nieznanym. - Musimy je znaleźć.

- Dom przeszukaliśmy dwa razy - odparł York.

- Przeszukajcie jeszcze raz. Wątpię, czy trzyma to w biurze.

- Kiedy...?

- Teraz. Lake jest w Kalifornii. Może mieć kilka innych skrytek i znać kilku innych facetów przechwalających się swoimi szczupłymi, opalonymi torsami. Czas ucieka.

- Powiesz mu?

- Nie. Jeszcze nie.

Ponieważ nie mieli próbki pisma Ala Konyersa, Deville zaproponował coś, co Maynard w końcu kupił: napiszą list na komputerze, na laptopie z wbudowaną drukarką. Pierwszą wersję ułożyli Deville i York, a już godzinę później była gotowa wersja numer cztery.

Drogi Ricky,

Dzięki za list z dwudziestego drugiego. Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem. Ostatnio dużo podróżuję i z niczym nie mogę nadążyć. Piszę do Ciebie z wysokości jedenastu kilometrów, w drodze do Tamy. Mam nowy laptop, tak maty, że jeszcze trochę i zmieściłby się w kieszeni - zadziwiająca technologia.

Drukarka pozostawia trochę do życzenia, lecz mam nadzieję, że to odczytasz.

To cudownie, że Cię zwalniają i zamieszkas w Baltimore. Prowadzę tam interesy i na pewno pomogę znaleźć Ci pracę.

Trzymaj się, to już tylko dwa miesiące. Jesteś teraz dużo silniejszy i wkrótce będziesz mógł korzystać ze wszystkich uroków życia. Odwagi.

Pomogę Ci, jak tylko będę mógł. Kiedy przyjedziesz do Baltimore, z wielką chęcią się z Tobą spotkam i

- 85 -

pokażę Ci miasto.

Obiecuję pisać częściej i bez zwłoki. Czekam na list.

Z uściskami

Al

Ustalili, że w pośpiechu Al zapomniał się podpisać. List poprawiono, zredagowano, przeredagowano, wystylizowano i wypielęgnowano staranniej niż niejeden międzynarodowy traktat. Ostateczną wersję wydrukowano na papeterii z hotelu Royal Sonesta w Nowym Orleanie. Kartkę włożono do zwykłej brązowej koperty ze światłowodem ukrytym pod zakładką.

W jej prawym dolnym rogu, w miejscu, które robiło wrażenie lekko uszkodzonego podczas transportu, zainstalowano mikroskopijny nadajnik. Uruchomiony, przez trzy dni mógł nadawać sygnał o zasięgu stu metrów.

Ponieważ Al leciał do Tamy, na znaczku pocztowym widniał stempel tamtejszego urzędu pocztowego z aktualną datą. W niecałe pół godziny załatwił to zespół bardzo dziwnych ludzi pracujących w dziale dokumentów na pierwszym piętrze.

O czwartej po południu przed domem Aarona Lake'a przy wysadzanym cieniastymi drzewami Trzydziestej Czwartej w uroczej dzielnicy Georgetown zaparkowała zdezelowana furgonetka miejskiego przedsiębiorstwa kanalizacyjnego. Czterech hydraulików zaczęło wyładowywać z niej narzędzia i sprzęt.

Zauważyła ich tylko jedna sąsiadka, która już po kilku minutach znudziła się wyglądaniem przez okno i wróciła przed telewizor. Agenci Secret Service towarzyszyli Lake'owi w Kalifornii, a jego dom nie podlegał jeszcze dwudziestoczworgodzinnej ochronie. Niemniej należało się spodziewać, że wkrótce będzie.

Przykrywką dla akcji była zatkana rura w małym trawniku od ulicy, którą hydraulicy mogli przetkać bez konieczności wchodzenia do domu. Robota na podwórzu, zwykła fucha -gdyby ochroniarze mimo wszystko się pojawili, nie podejrzewaliby niczego złego.

Jednakże dwóch hydraulików weszło do domu, otwierając drzwi podrobionym kluczem. Tymczasem nadjechała druga furgonetka; szef chciał sprawdzić przebieg prac i podrzucić chłopakom jakieś narzędzia. Wsiadło z niej dwóch kolejnych hydraulików, którzy dołączyli do tych na trawniku, tak że w sumie było ich tam całkiem sporo.

Tymczasem do dwóch agentów pracujących w domu doszło dwóch następnych. Rozpoczęło się znużające poszukiwanie listów i zdjęć. Chodzili od pokoju do pokoju, zaglądając w miejsca oczywiste, wypatrując miejsc ukrytych.

Druga furgonetka wkrótce odjechała, a z przeciwnej strony nadjechała trzecia. Kiedy zaparkowała bocznymi kołami na chodniku - wzorem wszystkich samochodów służb miejskich - wysiadło z niej jeszcze czterech hydraulików. Dołączyli do kolegów, lecz już po chwili dwóch z nich nagle zniknęło. Gdy zapadł zmrok, nad otwartą studzienką ustawiono reflektor skierowany w okna domu, dzięki czemu nikt z zewnątrz nie mógł widzieć świateł błyskających w jego wnętrzu. Robotnicy, którzy zostali na trawniku, opowiadali sobie kawały i popijali gorącą kawę, żeby nie zmarznąć. Chodnikiem spieszenie przechodzili sąsiedzi.

Sześć godzin później rura została przetkana, a dom dokładnie przeczesany. Nie znaleziono absolutnie niczego podejrzanego, a już na pewno ani listów, ani zdjęć od Ricky'ego z kliniki rehabilitacyjnej. Hydraulicy zgasili reflektor, spakowali narzędzia i odjechali.

O wpół do dziewiątej nazajutrz rano, gdy urząd pocztowy w Neptune Beach otworzył swoje podwoje, do sali

- 86 -

główniej wszedł szybko agent Barr. Robił wrażenie człowieka, któremu się spieszy, który jest już spóźniony. Barr był

ekspertem od zamków i kluczy i poprzedniego dnia przez pięć godzin analizował w Langley konstrukcję skrytek pocztowych poczty państwowej. Miał przy sobie cztery klucze uniwersalne i był pewien, że jednym z nich otworzy skrytkę numer 44683.

Jeśli nie, zamierzał użyć wytrycha, co mogło potrwać sześćdziesiąt sekund i zwrócić czyjąś uwagę. Pierwszy klucz, drugi...

Zamek ustąpił dopiero przy trzecim. Barr włożył do skrytki brązową kopertę zaadresowaną do Ricky'ego z Aladdin North.

Były tam już dwa inne listy. Dla zachowania pozorów agent wyjął ze skrytki plik reklamówek, przejrzał je i wrzucił do kosza.

Już po chwili wraz z dwoma kolegami siedział w furgonetce po drugiej stronie ulicy, popijając kawę i filmując wszystkich wchodzących i wychodzących z poczty. Od skrytki dzieliła ich odległość siedemdziesięciu metrów i mały, mieszczący się w dłoni odbiornik popiskiwał cichym sygnałem z nadajnika w kopercie. Nadeszło wsparcie, grupa pozorantów, którzy wmieszali się w tłum: Murzynka w krótkiej brązowej sukience, biały brodacze w skórzanej marynarce, biała kobieta w dresach do biegania i Murzyn w dżinsach - wszyscy byli pracownikami CIA, wszyscy obserwowali skrytkę, nie mając zielonego pojęcia, kto jest autorem listu ani do kogo list jest adresowany. Otrzymali tylko jedno zadanie: znaleźć właściciela skrytki.

Znaleźli go wczesnym popołudniem.

Trevor wypił lunch u Pete'a, lecz ograniczył się jedynie do dwóch piw. Do dwóch zimnych piw z beczki i słonych orzeszków ze wspólnego talerzyka, które podjadał, przegrywając pięćdziesiąt dolarów podczas transmisji z wyścigu psich zaprzęgów w Calgary. Wróciwszy do biura, zapadł w godzinną drzemkę i chrapał tak głośno, że Jan, jego udręczona sekretarka, musiała w końcu zamknąć drzwi do gabinetu. Właściwie to nimi trzasnęła, lecz zrobiła to za cicho, bo Trevor ani drgnął.

Marząc o jachtach, ruszył na pocztę. Tym razem postanowił pójść tam piechotą, ponieważ pogoda była piękna, nigdzie mu się nie spieszyło i ponieważ musiał trochę otrzeźwieć. Otworzył skrytkę Aladdin North i z radością ujrzał cztery równiutko ułożone listy, które spoczywały w niej niczym cztery małe skarby. Starannie schował je do kieszeni znoszonej marynarki, poprawił muszkę i dziarskim krokiem skierował się do drzwi, pewien, że dzień kolejnej wypłaty jest tuż, tuż.

Nigdy go nie kusiło, żeby je przeczytać. Brudną robotę odwalali Bracia. On miał czyste ręce. Przeszmuglować pocztę i zgarnąć jedną trzecią łupu - to mu wystarczyło. Poza tym gdyby otworzył któryś list, Spicer by go zabił.

W drodze do kancelarii obserwowało go siedmiu agentów CIA.

Kiedy Deville wszedł do bunkra, Teddy drzemał w wózku. York pojechał już do domu. Minęła dziesiąta wieczorem -

on miał żonę, a Maynard nie. Deville złożył meldunek, zaglądając do szczegółowych notatek.

- List wyjął ze skrytki miejscowy adwokat nazwiskiem Trevor Carson. Była godzina trzynasta pięćdziesiąt.

Pojechaliśmy za nim do jego kancelarii w Neptune Beach. Obserwowany przebywał tam godzinę i dwadzieścia minut.

Kancelaria jest bardzo mała. Carson zatrudnia tylko jedną sekretarkę i ma bardzo niewielu klientów. To drobna płotka.

Zajmuje się rozwodami, nieruchomościami i tak dalej. Ma czterdzieści osiem lat. Rozwodził się co najmniej dwa razy.

Skończył college w Furman i prawo na naszym uniwersytecie. Jedenaście lat temu zawieszono mu licencję za zdefraudowanie pieniędzy klienta, ale po jakimś czasie ją odzyskał.

- Do rzeczy - przerwał mu Teddy - do rzeczy.

- O wpół do czwartej Carson wyszedł z kancelarii i pojechał do więzienia federalnego w Trumble. Zabrał ze sobą

- 87 -

listy. Śledziliśmy go, ale kiedy wszedł do gmachu, straciliśmy sygnał. Zebraliśmy garść informacji o Trumble. To więzienie o złagodzonej rygorze, powszechnie znane jako „obóz wypoczynkowy”. Nie ma tam ani murów, ani żadnych ogrodzeń.

Osadzeni to więźniowie niskiego ryzyka. Jest ich około tysiąca. Nasz informator z Głównego Zarządu Więziennictwa w Waszyngtonie twierdzi, że Carson siedzi tam cały czas. Żaden inny adwokat nie bywa w Trumble tak często jak on. Miesiąc temu jeździł tam raz w tygodniu, teraz jeździ co najmniej trzy razy. Czasami nawet cztery. Wszystkie odwiedziny to oficjalne wizyty adwokackie...

- U kogo?

- Nie u Ricky'ego. Carson jest adwokatem i pełnomocnikiem trzech sędziów.

- Trzech sędziów?

- Tak.

- W Trumble siedzi trzech sędziów?

- Tak jest. Bractwo. Tak się nazwali.

Teddy zamknął oczy i rozmasował sobie skronie.

Deville odczekał chwilę i kontynuował:

- Carson był tam pięćdziesiąt cztery minuty, a kiedy wyszedł, nie mogliśmy namierzyć sygnału z koperty.

Parkowaliśmy tuż koło jego samochodu. Przeszedł półtora metra od odbiornika, dlatego jesteśmy pewni, że nie miał przy sobie listu. Pojechaliśmy za nim do Jacksonville. Zaparkował przed barem U Pete'a, wszedł do środka i siedział tam trzy godziny. Przeszukaliśmy jego samochód, znaleźliśmy teczkę, a w niej osiem listów do mężczyzn zamieszkałych w różnych częściach Stanów. Były nieostemplowane, zamierzał je dopiero wysłać. Widać z tego, że Carson jest listonoszem, przewozi listy z więzienia i do więzienia. Ostatnia wiadomość pochodzi sprzed półgodziny. Carson wciąż siedzi w barze. Jest bardzo pijany i obstawia mecze uniwersyteckiej ligi koszykarskiej.

- Nieudacznik.

- I to wielki.

*

Wielki nieudacznik wytoczył się z baru U Pete'a po drugiej dogrywce meczu na zachodnim wybrzeżu. Spicer trafnie wytypował trzech spośród czterech zwycięzców. Trevor obstawił tak samo jak on i wygrał tysiąc dolarów.

Choć pijany, był na tyle rozsądny, żeby nie wsiadać do samochodu. Przed trzema laty zatrzymano go podczas jazdy w stanie wskazującym i wciąż boleśnie to wspominał. Poza tym wszędzie roiło się od tych przeklętych gliniarzy. Restauracje i bary wokół Żółwia Morskiego przyciągały młodych i niespokojnych, przyciągając tym samym policjantów.

Chodzenie stanowiło nie lada problem. Ruszył na południe, w kierunku kancelarii, wzdłuż rzędu małych, zacisznych domków do wynajęcia i uśpionych domów spokojnej starości. Niósł walizeczkę z listami z Trumble.

Minąwszy kancelarię, uparcie parł naprzód, poszukując swego domu. Bez powodu przeszedł na drugą stronę ulicy, by już kilkadziesiąt metrów dalej wrócić na stronę, którą szedł poprzednio. Jezdnia była pusta. Gdy nagle zawrócił i zatoczył

krąg, znalazł się dwadzieścia metrów od agenta, który szybko przykucnął za samochodem. Milcząca grupa czujnie go obserwowała, bojąc się, że głupi pijaczyna może na któregoś z nich wpaść.

W pewnej chwili zrezygnował z poszukiwań domu i powlókł się z powrotem do kancelarii. Zabrzęczał na schodach kluczami, upuścił walizeczkę, natychmiast o niej zapomniał i już niecałą minutę później chrapał donośnie w obrotowym fotelu za biurkiem. Frontowe drzwi zostawił uchylone.

- 88 -

Drzwi od podwórza były otwarte przez cały wieczór. Wypełniając rozkazy z Langley, Barr i jego ludzie weszli do kancelarii i założyli w niej podsłuch. W pomieszczeniu nie zainstalowano żadnego systemu alarmowego, nie zamontowano też zamków w oknach, ponieważ nie było tam niczego, co

mogliby skusić złodzieja. Założenie pluskiew w telefonach i w ścianach nie nastęczyło im najmniejszych kłopotów z tej prostej przyczyny, że kancelarii mecenasa L. Trevora Carsona nie obserwował nikt obcy.

Walizeczka została opróżniona, a jej zawartość skatalogowana zgodnie z instrukcjami od przełożonych. Szef chciał

mieć dokładny spis listów, które adwokat wyniósł z Trumble. Kiedy wszystkie obejrzano i sfotografowano, walizeczka wylądowała w korytarzu przed gabinetem. Carson wciąż chrapał, monumentalnie i miarowo.

Kilka minut po drugiej Barr uruchomił garbusa stojącego przed barem U Pete'a. Przejechał pustą ulicą i zaparkował

niewinnie przed kancelarią. Za kilka godzin pijaczyna ocknie się, przetrze oczy i pogratuluje sobie dobrej jazdy. A może skuli się z przerażenia na myśl, że znowu prowadził po pijanemu. Tak czy inaczej, agenci na pewno usłyszą, jak zareaguje.

- 89 -

ROZDZIAŁ 16

Trzydzieści siedem godzin przed otwarciem lokali wyborczych w Wirginii i Waszyngtonie prezydent Stanów Zjednoczonych wystąpił na żywo przed kamerami telewizji, by obwieścić, że wydał rozkaz ataku lotniczego na tunezyjskie miasteczko Talah. W pilnie strzeżonej warowni na jego skraju mieli się ponoć ukrywać terroryści Yidala.

I tak cały naród ponownie przykleił się do telewizorów, śledząc przebieg kolejnej miniwojny. Naciśnięto odpowiednie guziki, z nieba spadły inteligentne bomby, a w CNN wystąpiło kilku emerytowanych generałów, którzy przez kilka godzin strzępili języki, rozważając przeróżne strategie działania. Ponieważ w Tunezji wciąż było ciemno, reporterzy nie mogli przekazać żadnych zdjęć. Dlatego emerytowani generałowie oraz ich zdezorientowani gospodarze musieli bawić się w zgadywanek. I czekać. Czekać na wschód słońca, by zniecierpliwiony naród mógł wreszcie ujrzyć dym i zgliszczą.

Jednakże Yidal miał swoje wtyczki, najprawdopodobniej wśród Izraelitów. Kiedy z nieba spadły bomby, warownia była pusta. Bomby trafiły w cel, zatrzęsły pustynią i zniszczyły co trzeba, lecz nie zabiły ani jednego terrorysty. Co więcej, dwie z nich zbłądziły; jedna zburzyła szpital w centrum Talahu, a druga mały dom, w którym spała siedmioosobowa rodzina.

Biedacy, nie wiedzieli nawet, co się stało. Na szczęście.

Tunezyjska telewizja natychmiast pokazała płonący szpital i kiedy na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych wstał świt, Amerykanie dowiedzieli się, że inteligentne bomby nie są wcale takie inteligentne. Z ruin wydobyto zwłoki co najmniej pięćdziesięciu niewinnych cywili.

Wczesnym rankiem prezydent Stanów Zjednoczonych nabawił się nagle dziwnej awersji do dziennikarzy, tak że naród nie usłyszał jego komentarza na ten temat. Wiceprezydent, który tuż po rozpoczęciu ataku mówił dużo i chętnie, zaszył

się ze swoim sztabem gdzieś w Waszyngtonie.

Zwłok przybywało, przybywało i kamer, dlatego świat zareagował szybko, brutalnie i jednogłośnie. Chińczycy zagrozili wojną. Francuzi mieli chęć do nich dołączyć. Nawet Anglicy stwierdzili, że jankesi tęgo przesadzili.

Ponieważ ofiarami mądrych bomb byli tylko tunezyjscy chłopci, waszyngtońscy politycy szybko to wydarzenie upolitycznili. Już w południe zaczęli rzucać oskarżenia, bić pianę i wzywać do natychmiastowego wyciągnięcia konsekwencji wobec winnych. Kandydaci uczestniczący w wyścigu wyborczym poświęcili tragedii kilka cennych chwil, by zauważyć, jak fatalna w skutkach była to akcja. Żaden z nich nie podjąłby tak rozpaczliwego i drastycznego kroku bez dokładnego rozpoznania wywiadowczego. Żaden oprócz wiceprezydenta, który wciąż się ukrywał. Ani jeden otwarcie nie przyznał, że warto było ryzykować. Wszyscy potępili prezydenta.

Największą uwagę przyciągał Aaron Lake. Gdziekolwiek się ruszył, wszędzie napotykał reporterów i kamery telewizyjne. W starannie sformułowanym oświadczeniu, nie zaglądając do notatek, powiedział:

- Jesteśmy nieudolni. Jesteśmy bezradni. Jesteśmy słabi. Powinniśmy się wstydzić, że nie potrafimy zmieść z powierzchni ziemi bandy pięćdziesięciu tchórzliwych oberwańców. Umiemy tylko naciskać guziki i uciekać. Trzeba odwagi, żeby walczyć na lądzie, twarzą w twarz z wrogiem. Kiedy zostanę prezydentem, żaden terrorysta z rękami splamionymi krwią niewinnych Amerykanów nie będzie czuł się bezpieczny. Solennie wam to obiecuję.

W gniewnym chaosie owego tragicznego poranka jego słowa znalazły wielki oddźwięk. Oto człowiek z konkretną wizją, człowiek, który wie, czego chce. Gdyby to on podejmował decyzje, nie szlachtowalibyśmy niewinnych chłopów. Tak,

- 90 -

nikt inny nie nadawał się na prezydenta bardziej niż on.

Teddy Maynard przeczekiwał w bunkrze kolejną burzę. Obarczano go winą za wszystkie klęski. Kiedy misja kończyła się sukcesem, laury zbierali piloci, dzielni chłopcy z piechoty morskiej, dowódcy oraz politycy, którzy wysłali ich w bój. Ale kiedy misja robiła klapę - a zwykle robiła - ciągi zbierała CIA.

Teddy był przeciwny atakowi. Izraelczycy zawarli z Yidalem kruchą i ściśle tajną umowę: nie zabijajcie nas, a my nie będziemy zabijać was. Dopóki celem ataku byli Amerykanie i od czasu do czasu Europejczycy, Izrael nie zamierzał

reagować. Teddy o tym wiedział, lecz z nikim się tą informacją nie podzielił. Dwadzieścia cztery

godziny przed atakiem przesłał prezydentowi list, w którym wyrażał wątpliwość, czy bomby zastaną terrorystów w domu. Poza tym ze względu na bliskość miasta istniała duża groźba zniszczeń ubocznych.

*

Hatlee Beech otworzył brązową kopertę, nie zwracając uwagi na jej prawy dolny róg, nieco wygięty i lekko uszkodzony. Ostatnio otwierał tyle kopert, że spoglądał jedynie na adres zwrotny, by wiedzieć, kto zacz. Nie zauważył też znaczka z Tamy.

Al Konyers dawno do niego nie pisał. Hatlee przeczytał list do samego końca, lecz bynajmniej nie zaciekał go fakt, że Al ma nowego laptopa. Całkowicie wiarygodne było również to, że wydrukował list na papeterii z hotelu Royal Sonesta w Nowym Orleanie, i że pisał go hen, nad chmurami.

Ciekawe, czy facet lata pierwszą klasą? - pomyślał Hatlee. Pewnie tak. W klasie turystycznej nie podłączyłby komputera. Tak więc Al prowadził w Nowym Orleanie interesy, mieszkał w bardzo dobrym hotelu i latał pierwszą klasą.

Braci interesowała wyłącznie sytuacja finansowa korespondentów. Reszta nie miała znaczenia.

Przeczytawszy uważnie list, Hatlee wręczył go Finnowi Yarberowi, który właśnie mozolił się nad kolejną epistołą jako biedny Percy. Pracowali w sali konferencyjnej, przy biurku zawalonym kartonowymi teczkami, kopertami i arkuszami pastelowego papieru listowego. Spicer siedział w bibliotece. Pilnował drzwi i jak zwykle obstawiał zakłady ligi koszykarskiej.

- Kto to jest Konyers? - spytał Finn.

Beech zaczął przeglądać akta. Każdy korespondent miał swoje dossier. Zawierało wszystkie listy, które do nich napisał, oraz kopie listów, które otrzymał.

- Niewiele o nim wiemy - odparł. - To na pewno fałszywe nazwisko. Mieszka w Waszyngtonie. Korzysta ze skrytki pocztowej. O ile pamiętam, to jego trzeci list. Tak, już mam...

Wyjął zteczki dwa pierwsze listy. Ten z jedenastego grudnia brzmiał następująco: *Drogi Ricky,*

Witaj. Nazywam się Al Konyers. Jestem po pięćdziesiątce. Lubię dżez, stare filmy, Humphreya Bogarta i biografie. Nie palę i nie toleruję palaczy. Najmilsza rozrywka to dla mnie chińszczyzna na wynos, kieliszek wina, czarno-biały western i pogawędka z dobrym przyjacielem. Napisz kilka słów.

Al Konyers

List był napisany na zwykłym białym papierze, jak większość pierwszych listów. Z każdego słowa przebijał strach -

strach przed wpadką, przed zawarciem korespondencyjnej znajomości z nieznajomym. Al wystukał

go na maszynie. I nawet

- 91 -

się nie podpisał.

Ricky odpowiedział standardowym listem, który Beech pisywał dziesiątki razy: dwadzieścia osiem lat, klinika rehabilitacyjna, wredna rodzina, bogaty wujek i tak dalej. No i oczywiście zadał mu kilka standardowych pytań. Gdzie pracujesz? Jaką masz rodzinę? Czy lubisz podróżować? Skoro Ricky miał odsłonić przed nim duszę, należał mu się rewanż.

Krótko mówiąc, Beech spłodził dwie strony tych samych bzdur, które wypisywał od pięciu miesięcy. Dużo by dał, żeby móc to cholerstwo skserować. Ale nie, nic z tego. Każdy list musiał być wyjątkowy i niepowtarzalny, napisany na ładnym papierze. Naturalnie, wysłał Alowi to samo zdjęcie, które wysyłał innym. Tę przynętę połykali niemal wszyscy.

Minęły trzy tygodnie. Dziewiątego stycznia Trevor przyniósł im drugi list od Konyersa. List był równie sterylny jak pierwszy - niewykluczone, że Al pisał go w gumowych rękawiczkach.

Drogi Ricky,

Cieszę się, że odpisałeś. Muszę przyznać, że początkowo bardzo Ci współczułem, lecz teraz widzę, że leczenie przyniosło dobre skutki i że wiesz, dokąd zmierzasz. Nigdy nie miałem problemów z narkotykami czy alkoholem, dlatego trudno mi Cię zrozumieć. Jednakże z tego, co piszesz, wnoszę, że opiekują się Tobą najlepsi i najlepiej opłacani specjaliści. Nie powinieneś narzekać na wujka. Pomyśl tylko, jak byś skończył, gdyby nie on.

Zadałeś mi wiele pytań osobistych. Wolałbym na nie nie odpowiadać, przynajmniej jeszcze nie teraz, lecz rozumiem Twoją ciekawość. Przez trzydzieści lat byłem żonaty, ale już nie jestem. Mieszkam w Waszyngtonie i mam rządową posadę. Lubię nowe wyzwania, dlatego praca sprawia mi dużą satysfakcję.

Mieszkam sam. Mam niewielu przyjaciół i bardzo mi to odpowiada. Najczęściej podróżuję do Azji.

Uwielbiam Tokio.

Będę o Tobie myślał.

Al Konyers

Tuż nad nazwiskiem maznął cienkopisem swoje imię: „Al”.

List był nieciekawym z trzech względów. Po pierwsze, Konyers nie miał żony, a przynajmniej tak twierdził. Żona była najważniejsza. Wystarczyło zagrozić, że trafią do niej kopie listów, jakie mąż napisał do swego homoseksualnego przyjaciela, i facet natychmiast przysyłał pieniądze.

Po drugie, Al miał rządową posadę, więc najprawdopodobniej nie należał do bogaczy.

Wreszcie po trzecie, Konyers za bardzo się bał, żeby warto było tracić na niego czas. Wydobywanie informacji szło jak z kamienia, przypominało rwanie zębów. Quince Garbe, Curtis Cates oraz im podobni sprawiali znacznie mniej kłopotów: ponieważ przez całe życie skrzętnie ukrywali swoje ciągotki, raz je wyjawwszy, pragnęli czym prędzej spróbować zakazanego owocu. Ich listy były długie, rozmarzone i pełne zdradliwych szczegółików. Lecz nie listy Ala. Al był nudny. Nie wiedział, czego chce.

Dlatego Ricky podbił stawkę, pisząc do niego drugi list według kolejnego schematu, który z biegiem czasu opanował

do perfekcji. Otóż Ricky dowiedział się właśnie, że już za kilka miesięcy wyjdzie z kliniki! Poza tym urodził się i wychował w Baltimore. Cóż za zbieg okoliczności! Zamierzał szukać pracy i niewykluczone, że będzie potrzebował pomocy. Bogaty wujek nie chciał już go wspierać. Ricky bał się życia bez przyjaciół, a dawnym przyjaciołom zaufać nie mógł, ponieważ wciąż

- 92 -

brali narkotyki i tak dalej, i tak dalej.

List pozostał bez odpowiedzi. Beech uznał, że Konyers wpadł w popłoch. Ricky wybierał się do Baltimore, miasta leżącego ledwie godzinę jazdy od Waszyngtonu, i Al doszedł do wniosku, że to stanowczo za blisko.

Tymczasem nadeszły pieniądze od Curtisa z Dallas i w Braci wstąpiło nowe życie: Ricky napisał do Ala list, który przechwycili agenci CIA.

I nagle otrzymali od niego trzeci list - list w zupełnie innym tonie. Finn Yarber przeczytał go dwukrotnie, po czym jeszcze raz zajrzał do tego drugiego.

- Niesamowite - mruknął. - Zupełnie inny człowiek...

- Prawda? - rzucił sędzia Beech. - Myślę, że nareszcie dojrzał do spotkania z Rickym.

- Przecież on pracuje na rządowej posiadzie.

- Tak twierdzi.

- I co? I robi w Baltimore jakieś interesy?

- My też pracowaliśmy na rządowych posiadach.

- Jasne.

- Ile zarabiałeś?

- Maksymalnie? Sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- Ja sto czterdzieści. Niektórzy z tych biurokratów zarabiają jeszcze więcej. Poza tym on nie ma żony.

- W tym sęk.

- Tak, ale moim zdaniem nie powinniśmy ustępować. Al ma ważną pracę, co znaczy, że ma ważnych szefów i dużo ważnych kolegów. To gruba ryba. Jakoś się do niego dobierzemy.

- Słusznie, co nam szkodzi spróbować.

W rzeczy samej. Cóż mieli do stracenia? Najwyżej przesadzą. Al się wystraszy, wpadnie we wściekłość, wyrzuci listy

- no i co z tego? Nie można stracić czegoś, czego się nie ma.

Robili duże pieniądze. Już dawno doszli do wniosku, że nie pora na nieśmiałość. Agresywna taktyka przynosiła spektakularne rezultaty. Z każdym tygodniem przybywało listów, z każdym tygodniem rosło ich konto na Bahamach.

Szwindel był absolutnie doskonały, ponieważ ich korespondenci wiedli podwójne życie i nie mogli się nikomu poskarżyć.

Negocjacje trwały bardzo krótko, ponieważ rynek był przesycony. W Jacksonville wciąż panowała zima: noce chłodne, morze zimne, a sezon rozpoczynał się dopiero za miesiąc. W Neptune Beach i w Atlantic Beach były setki domków do wynajęcia, łącznie z tym dokładnie naprzeciwko kancelarii Trevora. Klient z Bostonu zaproponował sześćset dolarów gotówką za dwa miesiące z góry i pośrednik natychmiast się zgodził, zwłaszcza że mebli z tego domku nie sprzedałby nawet na pchlim targu, a w saloniku leżał przetarty, zalatujący pleśnią dywan. Lepsza okazja nie mogła mu się trafić.

Pierwszym zadaniem nowego lokatora było obstawienie trzech okien. Wszystkie wychodziły na ulicę i już podczas pierwszych godzin obserwacji stało się oczywiste, że Trevor ma bardzo niewielu klientów. W kancelarii nic się nie działo! Jeśli w ogóle ktoś tam pracował, to tylko sekretarka Jan, ale i ona głównie czytała czasopisma.

Do domku weszli ukradkiem inni, mężczyźni i kobiety ze starymi walizkami i wielkimi płóciennymi torbami wypełnionymi sprzętem elektronicznym. Stare, kruche meble wyniesiono do pokoju od podwórza, a pokoje od ulicy szybko zastawiono ekranami, monitorami i skomplikowaną aparaturą podsłuchową.

- 93 -

Sam Trevor stanowiłby interesujący przypadek dla studentów trzeciego roku prawa. Przyjeżdżał do pracy o dziewiątej rano i przez pierwszą godzinę czytał gazetę. Poranny klient przychodził o wpół do jedenastej i po wyczerpującej trzydziestominutowej rozmowie Trevor wybywał na lunch, oczywiście do knajpy U Pete'a. Zabierał ze sobą komórkę, żeby pokazać barmanowi, jaki jest ważny, i zwykle wykonywał dwa, trzy nieistotne telefony do kolegów po fachu. Bardzo często dzwonił do swego bukmachera.

Potem wracał do kancelarii - mijając po drodze domek, z którego agenci CIA śledzili każdy jego krok - siadał za biurkiem i ucinał sobie drzemkę. Ożywał koło trzeciej po południu i pracował przez dwie godziny. Już o piątej musiał wypić kolejne piwo U Pete'a.

Towarzyszyli mu również w wyprawie do Trumble. Wyszedł z więzienia po godzinie i o szóstej wrócił do kancelarii.

Podczas gdy jadł samotną kolację w barze z ostrygami przy Atlantic Boulevard, do kancelarii wszedł jeden z agentów, by w jego starej walizeczce znaleźć pięć listów od Percy'ego i Ricky'ego.

Dowódcą tej cichej armii stacjonującej w Neptune Beach był niejaki Klockner, spec od inwigilacji ulicznej, najlepszy człowiek Teddy'ego Maynarda. Jego zadaniem miało być między innymi przechwytywanie wszystkich listów przechodzących przez kancelarię Trevora.

Po kolacji obserwowany pojechał prosto do domu, a wówczas listy trafiły do domku po drugiej stronie ulicy.

Otworzono je, skserowano, przefaksowano do kwatery głównej, włożono z powrotem do kopert i umieszczono w walizeczce. Nie było wśród nich listu do Ala Konyersa.

Faks odebrał czuwający w Langley Deville. Przeczytał listy, po czym przekazał je do zbadania grafologom, którzy jednogłośnie stwierdzili, że Percy i Ricky to dwie różne osoby. Następnie, wykorzystując do tego celu próbki pisma ze starych akt sądowych, bez trudu ustalili, że Percym jest były sędzia Finn Yarber, a Rickym były sędzia Hatlee Beech.

Listy do Ricky'ego przychodziły na pocztę w Neptune Beach, do skrytki wynajętej przez Aladdin North, natomiast listy do Percy'ego - co odnotowali z niejakim zaskoczeniem - na pocztę w Atlantic Beach, do skrytki wynajętej przez enigmatyczną instytucję o nazwie Laurel Ridge.

- 94 -

ROZDZIAŁ 17

Podczas kolejnej, pierwszej od trzech tygodni wizyty w Langley Aaronowi Lake'owi towarzyszyła karawana lśniących czarnych vanów. Pędziły szybko, aż za szybko, lecz któż śmiałby się poskarżyć i komu? Minawszy kilka posterunków kontrolnych, pomknęły w głąb kompleksu zabudowań, by gwałtownie zahamować przed drzwiami, których pilnowała grupa posepnych młodych mężczyzn o byczych karkach. Lake wszedł do budynku, gubiąc po drodze obstawę i w końcu trafił nie do bunkra, lecz do oficjalnego gabinetu Teddy'ego Maynarda, do przestronnego pomieszczenia z widokiem na mały las. Goryle zostali za drzwiami. Dwóch wielkich mężów ciepło uściśnęło sobie dłonie - wyglądało na to, że cieszą się z tego spotkania.

Najpierw najważniejsze.

- Wygrał pan w Wirginii - powiedział Teddy. - Moje gratulacje.

Lake niepewnie wzruszył ramionami.

- Dziękuję - odrzekł. - Jest za co.

- Odniósł pan imponujące zwycięstwo. Gubernator Tarry harował tam blisko rok. Jeszcze dwa miesiące temu popierały go wszystkie regiony wyborcze w stanie. Był nie do pobicia. Teraz nie ma już żadnych szans. Dobry biegacz nie wyprzedza za wcześnie.

- Rozmach to bardzo dziwne zwierzę - zauważył mądrze Lake. - Zwłaszcza w polityce.

- A pieniądze jeszcze dziwniejsze. Gubernator Tarry nie może zebrać ani centa, ponieważ zgarnął pan całą gotówkę.

Pieniądze idą za rozmachem.

- Na pewno jeszcze nieraz to powtórzę, ale cóż... Chciałbym panu podziękować. Dał mi pan sposobność, o jakiej nawet nie marzyłem.

- Dobrze się pan bawi?

- Niezbyt. Ale na pewno będę. Jeśli zwyciężymy.

- Zabawa zacznie się już w przyszły wtorek, w wielki superwtorek. Nowy Jork, Kalifornia, Massachusetts, Ohio, Georgia, Missouri, Maryland, Maine, Connecticut - niemal sześciuset delegatów jednego dnia! - Teddy strzelał wokoło roztańczonymi oczami, jakby już liczył głosy. - Prowadzi pan we wszystkich stanach. Aż trudno w to uwierzyć, prawda?

- Rzeczywiście.

- Ale tak jest. Z niewiadomych powodów ma pan silnych przeciwników w Maine i w Kalifornii. Idziecie łeb w łeb, ale i tak pan z nimi wygra.

- Jeśli tylko wierzyć wynikom badania opinii publicznej - odrzekł Lake, jakby nie dawał im wiary. Tymczasem, tak samo jak wszyscy pozostali kandydaci, nałogowo je śledził. W Kalifornii, w stanie, w którym mieszkało sto czterdzieści tysięcy pracowników przemysłu zbrojeniowego, zdobył ostatnio przewagę.

- Ja w nie wierzę. Wierzę również w to, że w superwtorek odniesie pan miażdżące zwycięstwo. Południowcy pana kochają. Uwielbiają broń i twardą gadkę, a ostatnio coraz bardziej uwielbiają Aarona Lake'a. W przyszły wtorek będziemy mieli dobrą zabawę, ale we wtorek za dwa tygodnie naród urządzi panu prawdziwy festyn.

Naród urządzi mi festyn - Lake nie mógł się nie uśmiechnąć. Wyniki badania opinii publicznej mówiły to samo, jednak

- 95 -

przepowiednia zabrzmiała lepiej w ustach Teddy'ego. Maynard zerknął na kartkę papieru. Tak, Lake prowadził we wszystkich stanach, i to co najmniej pięcioma punktami.

Rozkoszowali się tym jeszcze chwilę, a potem Teddy spoważniał.

- Powinien pan o czymś wiedzieć - rzekł bez uśmiechu. Przerzucił kilka kartek i zajrzał do notatek. - Dwa dni temu na przełęczy Khyber Pass w górach Afganistanu nasz satelita zwiadowczy sfotografował rosyjską rakietę balistyczną dalekiego zasięgu. Przekraczała granicę Pakistanu w drodze do Iranu, gdzie chcą ją wykorzystać do Bóg wie jakich celów. Ma zasięg pięciu tysięcy czterystu kilometrów i może przenieść do czterech głowic nuklearnych. Kosztowała trzydzieści milionów dolarów. Irańczycy zapłacili za nią z góry, za pośrednictwem jednego z luksemburskich banków. Pieniądze wciąż spoczywają na koncie należącym do ludzi Natty'ego Czenkowa.

- Zaczął sprzedawać broń? Myślałem, że ją gromadzi.

- Czenkow potrzebuje pieniędzy. Jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który zdobywa je szybciej niż pan.

Choć nie zabrzmiało to zabawnie, Lake roześmiał się przez grzeczność.

- Czy rakietę jest sprawna? - spytał.

- Tak uważamy. Pochodzi z silosu na przedmieściach Kijowa. Specjaliści są zdania, że to najnowszy model. Skoro wszędzie ich pełno, dlaczego Irańczycy mieliby kupować starą? Tak, można bezpiecznie założyć, że jest w pełni sprawna.

- To ich pierwsza transakcja?

- Dotychczas Rosjanie sprzedawali części zamienne i niewielkie ilości plutonu Iranowi, Irakowi i Indiom. Tak, naszym zdaniem jest to pierwszy kontrakt na sprzedaż kompletnej, uzbrojonej i gotowej do odpalenia rakiety.

- Irańczycy chcą jej użyć?

- Nie, raczej nie. Wygląda na to, że do sprzedaży doszło z inicjatywy samego Czenkowa. Potrzebuje pieniędzy na zakup innej broni. Wyzbywa się tej, której nie potrzebuje.

- Izraelczycy o tym wiedzą?

- Nie. Jeszcze nie. Z nimi trzeba ostrożnie. Zawsze przestrzegamy jednej zasady: coś za coś. Jeśli któregoś dnia będziemy czegoś od nich potrzebowali, niewykluczone, że im o tym powiemy.

Przez chwilę Lake żałował, że nie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pragnął nim być już teraz, zaraz, pragnął

wiedzieć wszystko to, co wiedział Teddy. Ale nie, nic z tego - zdał sobie sprawę, że nigdy wiedzieć tego nie będzie.

Ostatecznie Ameryka miała już prezydenta - cóż z tego, że kończyła mu się kadencja i nie mógł ubiegać się o następną? - a Teddy nie gawędził z nim ani o Czenkowie, ani o raketach.

- Co Rosjanie sądzą o mojej kampanii? - spytał.

- Początkowo zupełnie ich nie interesowała. Teraz uważnie obserwują jej przebieg. Ale proszę pamiętać, że nie ma już czegoś takiego jak głos Matki Rosji. Młodzi kapitaliści i zwolennicy wolnego rynku mówią o panu bardzo pochlebnie, ponieważ boją się komunistów. Natomiast twardogłowi boją się pana. To bardzo złożona sprawa.

- A Czenkow?

- Ze wstydem wyznaję, że jeszcze do niego nie dotarliśmy. Ale wciąż nad tym pracujemy. Niebawem nawiążemy kontakt z kimś z jego najbliższego otoczenia.

Maynard rzucił dokumenty na biurko i podjechał do Lake'a. Głębokie zmarszczki na jego czole powędrowały skosem w dół, w stronę nosa, smutne oczy zniknęły pod krzaczastymi brwiami.

- 96 -

- Proszę posłuchać - rzucił posępnie. - Ma pan wygraną w kieszeni. Będą drobne przeszkody, rzeczy, których nie mogliśmy przewidzieć i którym nie bylibyśmy w stanie zapobiec, lecz pokonamy je bez większych strat. Reprezentuje pan zupełnie nowe wartości i podoba się pan wyborcom. Proszę być spokojnym o fundusze. Zajmę się i pieniędzmi, i podtrzymywaniem atmosfery zagrożenia. Tę rosyjską raketę mogliśmy zniszczyć. Zginęłoby pięć tysięcy ludzi, pięć tysięcy Pakistańczyków. Eksplozja atomowa w górach - myśli pan, że obudzilibyśmy się rano, martwiąc się o wskaźniki giełdowe?

Na pewno nie. Tak więc ja zajmę się szerzeniem strachu, a pan kampanią. Meta niedaleko. Trzeba przyspieszyć.

- Daję z siebie, co mogę.

- Proszę dać jeszcze więcej. I żadnych niespodzianek, zgoda?

- Naturalnie.

Żadnych niespodzianek. Lake nie był pewien, co Teddy miał na myśli, lecz puścił tę uwagę mimo uszu. Nie, to tylko mądra ojcowska rada.

Teddy wcisnął guzik i z sufitu opadł ekran. Przez dwadzieścia minut oglądali projekty kolejnych reklam kampanijnych, a potem się pożegnali.

Dwa wany z przodu, jeden z tyłu - opuściwszy Langley, Lake pojechał prosto na lotnisko Reagan National, gdzie czekał na niego samolot. Chciał spędzić spokojną noc w Georgetown, w domu, choć na chwilę uciec od świata, od czujnych oczu i uszu ochroniarzy i w samotności przeczytać książkę. Brakowało mu anonimowości ulic, bezimiennych twarzy, arabskiego piekarza z M Street, który robił pyszne bajgle, antykwariusza z Wisconsin, kawiarenki, w której parzyli afrykańską kawę. Czy kiedykolwiek odwiedzi te miejsca jako zwykły, wolny człowiek? Coś mu mówiło, że czasy te już minęły. I to bezpowrotnie.

Kiedy samolot Lake'a wzbił się w powietrze, do bunkra wszedł Deville i zameldował Maynardowi, że kandydat ani razu nie zaglądał do skrytki pocztowej. Jak zwykle o tej porze odbywali naradę na temat wiadomej sprawy. Teddy coraz bardziej się martwił i spędzał coraz więcej czasu na przewidywaniu dalszych ruchów swego nieprzewidywalnego pupila.

Pięć listów przechwyconych przez Klocknera i jego grupę poddano szczegółowym badaniom. Dwa z nich zostały napisane przez Yarbera alias Percy'ego, pozostałe trzy przez Beecha alias Ricky'ego. Adresaci mieszkali w pięciu różnych stanach. Czterech używało fałszywego nazwiska; jeden był na tyle odważny, by podać prawdziwe. Listy prawie niczym się od siebie nie różniły: Percy i Ricky byli młodymi pacjentami kliniki odwykowej, którzy rozpaczliwie próbowali wyjść na prostą.

Obaj byli utalentowani, obaj mieli wielkie marzenia i obaj potrzebowali moralnego tudzież finansowego wsparcia ze strony nowych przyjaciół, ponieważ ze starymi nie chcieli się więcej zadawać. Śmiało wyjawiali swoje grzechy, wady, słabostki i zmartwienia. Pisali o swoich planach, nadziejach, marzeniach i o tym, co będą robić po wyjściu z kliniki. Chwalili się opalenizną i muskułami, bardzo chcieli pokazać je nowym przyjaciołom.

Tylko jeden list zawierał prośbę o pieniądze. Ricky chciał pożyczyć tysiąc dolarów od niejakiego Petera ze Spokane w stanie Waszyngton. Twierdził, że ma wydatki, których wujek nie chce pokryć.

Teddy przeczytał listy kilka razy. Prośba o pieniądze była bardzo istotna, ponieważ rzucała nowe światło na sprytną gierkę Braci z Trumble. Niewykluczone, że nauczyli się jej od jakiegoś drobnego złodziejaska, który odsiedział swoje i wyszedł na wolność, by czym prędzej wrócić do zawodu.

Jednakże stawka, o jaką grali, nie miała żadnego znaczenia. Ci ludzie handlowali męskimi ciałami - szczupłymi, opalonymi torsami, twardymi bicepsami - a jednym z ich klientów był Lake.

- 97 -

Nasuwało się wiele innych pytań, lecz Teddy należał do ludzi bardzo cierpliwych. Będą sprawdzali wszystkie listy.

Kawałki układanki wkrótce się do siebie dopasują.

Podczas gdy Spicer pilnował drzwi do sali konferencyjnej i wstępu do biblioteki prawniczej, Beech i Yarber mozolili się nad korespondencją. Beech pisał do Ala Konyersa.

Drogi Al,

Dzięki za ostatni list. To, że się odezwałeś, dużo dla mnie znaczy. Od miesięcy żyję tu jak w ciemnej klatce, a teraz zaczynam widzieć światło dnia. Twoje listy pomagają mi otworzyć drzwi. Proszę, nie zapominaj o mnie.

Przepraszam, że zanudzałem Cię sprawami osobistymi. Szanuję Twoją prywatność i mam nadzieję, że nie zadałem Ci zbyt wielu pytań. Z Twego listu widać, że jesteś człowiekiem bardzo wrażliwym, miłośnikiem samotności i wykwintności. Myślałem o Tobie, oglądając KEY LARGO z Bogartem i Bacall. I niemal czułem smak chińszczyzny na wynos. Jedzenie mamy tu niezłe, ale chińszczyzny

gotować nie potrafią.

Przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Za dwa miesiące, kiedy wreszcie stąd wyjdę, wypożyczymy CASABLANKĘ i AFRYKAŃSKĄ KRÓLOWĄ, kupimy butelkę bezalkoholowego wina i spędzimy spokojny wieczór przed telewizorem. Boże, podnieca mnie już sama myśl, że wkrótce będę mógł normalnie żyć.

Rozpędziłem się, przepraszam. Wszystko przez to, że tylu rzeczy mi tu brakuje, i nie chodzi mi tylko o alkohol i dobre jedzenie. Rozumiesz?

Kierownictwo przejściówki w Baltimore chętnie mnie przyjmie, pod warunkiem, że zdobędę jakąś pracę, choćby na pół etatu. Pisałeś, że bywasz tam w interesach. Wiem, proszę o zbyt wiele, ponieważ prawie mnie nie znasz, ale czy mógłbyś mi pomóc? Byłbym Ci wdzięczny do końca życia.

Napisz, nie zwlekaj. Twoje listy, moje marzenia i nadzieja, że może już za dwa miesiące dostanę pracę na wolności, podtrzymują mnie na duchu w tej mrocznej godzinie.

Dzięki, przyjacielu.

Z uściskami

Ricky

List do Quince'a Garbe'a był zupełnie inny. Beech i Yarber biedzili się nad nim przez kilka dni. Ostateczna wersja brzmiała tak:

Drogi Quince,

Twój ojciec jest właścicielem banku, a Ty twierdzisz, że jesteś w stanie zebrać najwyżej dziesięć tysięcy dolarów? Łżesz, staruszk, i bardzo mnie to wkurza. Kusi mnie, żeby podesłać coś Twojej żoneczce i ojczul kowi.

Dwadzieścia pięć tysięcy - to moje ostatnie słowo. Tym samym sposobem co zawsze.

I nie gróż mi samobójstwem. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Nigdy się nie spotkamy, poza tym uważam, że pedał z Ciebie i zboczuś.

- 98 -

Przyślij pieniądze, i to szybko!

Z uściskami

Ricky

Klockner martwił się, że któregoś dnia Trevor może wyjść z Trumble i przed powrotem do kancelarii nadać listy gdzieś po drodze. Wówczas nie mogliby ich przechwycić, żadnym sposobem. Dlatego

absolutnie nieodzowne było to, żeby adwokat zawiózł korespondencję do pracy i zostawił ją na noc - dopiero wtedy mogli się do niej dostać.

Klockner się martwił, choć wszystko wskazywało na to, że Trevor nie należy do rannych ptaszków. Pierwsze oznaki życia zaczynał okazywać dopiero po drzemce, w którą zapadał o drugiej po południu.

Dlatego gdy o jedenastej poinformował sekretarkę, że wyjeżdża do Trumble, najemcy domu z naprzeciwka niezwłocznie wkroczyli do akcji. Kobieta w średnim wieku zadzwoniła do kancelarii i, podając się za panią Beltrone, wyjaśniła Jan, że ona i jej mąż chcą wziąć błyskawiczny rozwód. Jan zasłoniła słuchawkę ręką i krzyknęła w głąb korytarza.

Trevor zbierał właśnie dokumenty z biurka i układał je w walizeczce. Ukryta w suficie kamera pokazała jego zniesmaczoną twarz. Nowa klientka? Po cholerę mu nowa klientka?

- Mówi, że jest bogata! - wrzasnęła Jan.

Jego twarz momentalnie złagodniała. Trevor usiadł i odczekał chwilę.

Tymczasem pani Beltrone zwierzała się sekretarce. Była trzecią żoną swego dużo starszego męża. Mieli dom w Jacksonville, jednak większość czasu spędzali w domu na Bermudach. Mieli również dom w Vail. Rozwód planowali już od dłuższego czasu. Wszystko uzgodnili, nie zamierzali się o nic wyklócać, chcieli rozstać się w przyjaźni. Potrzebowali tylko dobrego adwokata do papierkowej roboty. Polecono im mecenasa Carsona, lecz z powodów, o których wolałyby raczej nie mówić, musieli działać bardzo szybko.

Przejąwszy słuchawkę, Trevor wysłuchiwał tej samej opowieści. Pani Beltrone siedziała w domku po drugiej stronie ulicy, mając przed sobą scenariusz, który agenci opracowali na nieprzewidziane okazje.

- Koniecznie muszę się z panem zobaczyć - zakończyła po kwadransie bolesnych zwierzeń.

- Cóż, jestem bardzo zajęty... - odrzekł Trevor, jakby przerzucał karki dziesięciu terminarzy naraz. Pani Beltrone widziała go na ekranie monitora. Siedział z nogami na biurku, miał przekrzywioną muszkę i zamknięte oczy. Nie ma to jak życie zapracowanego adwokata.

- Proszę - błagała. - Musimy to załatwić, i to jeszcze dzisiaj.

- Gdzie jest pani mąż?

- We Francji, ale jutro wraca do Stanów.

- Hmm, kiedy by tu panią przyjąć... - wymamrotał Trevor, skubiąc muszkę.

- Ile wynosi pańskie honorarium?

Trevor momentalnie otworzył oczy.

- Sprawa jest bardziej skomplikowana niż zwykły rozwód bez orzekania winy, dlatego musiałbym zażądać...

dziesięciu tysięcy dolarów. - Wykrzywił twarz i wstrzymał oddech.

- Jeszcze dzisiaj dostanie pan czek. Możemy spotkać się już zaraz?

Trevor zerwał się na równe nogi.

- Powiedzmy o... o wpół do drugiej? - wykrztusił.

- 99 -

- O wpół do drugiej.

- Zna pani mój adres?

- Nie, ale mój szofer na pewno trafi. Dziękuję, panie mecenasie.

Proszę mi mówić po imieniu - chciał powiedzieć, lecz pani Beltrone już odłożyła słuchawkę.

Patrzyli, jak splata palce u rąk, jak zaciska i rozwiera pięści.

- Tak! - wychrypiął przez zaciśnięte zęby. - Tak! - Nareszcie trafiła mu się dziana klientka.

W progu stanęła Jan.

- No i? - spytała.

- Przyjedzie o wpół do drugiej. Trzeba tu trochę posprzątać...

- Nie jestem twoją służącą. Mógłbyś poprosić ją o zaliczkę? Mam rachunki do zapłacenia.

- Poproszę, poproszę!

Z furią zaatakował półki. Ścierał kurz papierowym ręcznikiem, ustawiał książki, których nie dotykał od lat, upychał

papiery w szafkach. Kiedy rzucił się na biurko, Jan naszyły wyrzuty sumienia i zaczęła odkurzać w sekretariacie.

Klnąc i stękając, harowali tak do lunchu, ku wielkiej uciechu obserwujących ich agentów.

Wpół do drugiej. Ani śladu pani Beltrone.

Kilka minut po drugiej.

- Gdzie ona, do diabła, jest? - warknął Trevor w głąb korytarza.

- Może wypytała o ciebie w mieście i poszła do kogoś innego - odrzekła Jan.

- Co mówisz?

- Nic, szefie, nic.

Wpół do trzeciej.

- Zadzwoń do niej.

- Nie zostawiła numeru.

- Nie zapisałaś jej numeru?!

- Nie. Powiedziałam, że nie zostawiła numeru.

O wpół do czwartej Trevor wypadł jak burza na ulicę po koszmarnej kłótni z kobietą, którą w ciągu ostatnich ośmiu lat wyrzucał z pracy co najmniej dziesięć razy.

Pojechali za nim do Trumble. Spędził tam dokładnie pięćdziesiąt trzy minuty. Kiedy wyszedł, było już po piątej - za późno, żeby nadać pocztę w Neptune Beach czy w Atlantic Beach. Wrócił do kancelarii i zostawił walizeczkę na biurku.

Potem, zgodnie z oczekiwaniami, poszedł do baru U Pete'a. Na kolację i piwo.

- 100 -

ROZDZIAŁ 18

Oddział specjalny poleciał do Des Moines. Tam agenci wynajęli dwa samochody oraz furgonetkę i już czterdzieści minut później dotarli do Bakers, cichego, otulonego śniegiem miasteczka w stanie Iowa. Przyjechali tam dwa dni przed nadejściem listu. Zanim Quince wyjął go ze skrytki, zdążyli poznać nazwisko kierownika poczty, naczelnika policji i właściciela knajpki z naleśnikami obok sklepu żelaznego. Jednak ich nie znał nikt.

Widzieli, jak Quince wychodzi z poczty i pędzi do pracy. Pół godziny później dwaj znani jedynie z imienia agenci -

Chap i Wes - odnaleźli zakamarek banku, w którym urzędował Garbe junior, i przedstawili się sekretarce jako inspektorzy z Banku Rezerw Federalnych. Trzeba przyznać, że wyglądali bardzo oficjalnie: ciemne garnitury, czarne buty, długie palta, krótko przycięte włosy - niezwykle oszczędni w słowach, byli grzeczni, acz dość oschli.

Quince zamknął się w gabinecie i początkowo nie chciał stamtąd wyjść. Chap i Wes wytłumaczyli sekretarce, że sprowadza ich do Bakers bardzo pilna sprawa i niemal po czterdziestu minutach namów i prośb drzwi się lekko uchyliły. Pan Garbe musiał chyba płakać. Błady i roztrzęsiony, nie miał najmniejszej ochoty zabawiać gości, mimo to zaprosił ich do gabinetu. Był zbyt zdenerwowany,

żeby spytać, kogo reprezentują. Nie dosłyszał nawet ich imion.

Usiadł za wielkim biurkiem i spojrzął na stojących przed nim bliźniaków.

- Co mogę dla panów zrobić? - rzucił ze słabym uśmiechem na twarzy.

- Czy drzwi są zamknięte na klucz? - spytał Chap.

- Tak, naturalnie. - Wyglądało na to, że Quince spędza pod kluczem większą część dnia.

- Czy ktoś może nas podsłuchać? - spytał Wes.

- Nie. - Quince aż się wzdrygnął.

- Nie jesteśmy z Banku Rezerw Federalnych - wyznał Chap. - Skłamaliśmy.

Quince nie był pewien, czy powinien wpaść w złość, czy w przerażenie, czy może odczuć ulgę, dlatego rozdziawił

usta i siedział bez ruchu przez dobrą chwilę, czekając, aż go zastrzelą.

- To długa historia - dodał Wes.

- Daję wam pięć minut.

- Da nam pan tyle, ile zechcemy.

- To mój gabinet. Wynocha.

- Nie tak szybko. My coś wiemy.

- Wezwę strażników.

- Nikogo pan nie wezwie.

- Widzieliśmy list - powiedział Chap. - Ten, który wyjął pan ze skrytki.

- Wyjąłem kilka listów.

- Ale tylko jeden od Ricky'ego.

Quince zwiesił głowę i zamknął oczy. Po chwili otworzył je i kompletnie zrezygnowany spojrzął na swoich prześladowców.

- Kim jesteście? - wymamrotał.

- Na pewno nie wrogami.

- To on was nasłał, prawda?

- On? To znaczy kto?

- Ricky czy jak mu tam.

- Nie - odrzekł Wes. - Ricky jest naszym wrogiem. Powiedzmy, że pracujemy dla klienta, który jest w tej samej sytuacji co pan. Wynajął nas, żeby się bronić.

Chap wyjął z kieszeni wypchaną kopertę i rzucił ją na biurko.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - powiedział. - Proszę wysłać te pieniądze Ricky'emu.

Quince spojrzał na kopertę i ponownie rozdziawił usta. W jego biednym mózgu kłębiło się tyle myśli, że zawiroowało mu w głowie. Zacisnął powieki, rozpaczliwie próbując się w tym wszystkim rozeznąć. Kim oni są? Nieważne. Ważne, że znają treść listu. Jak go przeczytali? Dlaczego dali mu pieniądze? Ile wiedzieli?

Był pewien tylko jednego: że za nic w świecie nie może im zaufać.

- Pieniądze należą do pana - dodał Wes. - W zamian za to chcemy informacji.

- O Rickym? - spytał Quince z na wpół przymkniętymi oczami.

- Co pan o nim wie?

- To nie jest jego prawdziwe imię.

- To prawda.

- Twierdzi, że ma żonę i dzieci.

- Niezupełnie. Jest rozwodnikiem. Ale tak, dzieci ma.

- Żyją w ubóstwie, dlatego musi szantażować ludzi.

- Polemizowałbym. Jego była żona jest bogata, a dzieci są przy niej. Nie wiemy, dlaczego został szantażystą.

- Ale chcielibyśmy go powstrzymać - dodał Chap. - I potrzebujemy pańskiej pomocy.

Nagle Quince zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w swym ponad pięćdziesięcioletnim życiu rozmawia z dwoma żyjącymi, normalnie oddychającymi ludźmi, którzy wiedzą, że jest homoseksualistą. Ta świadomość go przerażała. Przez chwilę miał ochotę wszystkiemu zaprzeczyć, wcisnąć im jakiś kit, lecz zawiodła go inwencja. Był zbyt przerażony, żeby szukać natchnienia.

Uświadomił sobie również, że ci dwaj mogą go zniszczyć. Tak, znali pewien mały sekret i byli w stanie obrócić wniwecz jego życie.

I proponowali mu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

Biedny Quince zacisnął pięści i przytknął je do oczu.

- Czego ode mnie chcecie?

Chap i Wes myśleli, że zaraz się rozpłacze. Niezbyt ich to obchodziło, ale nie widzieli takiej potrzeby.

- To proste - odrzekł Chap. - Weźmie pan te pieniądze i powie nam wszystko o tym szantażyście. Pokaże nam pan listy. I całą resztę. Jeśli ukrył pan coś w sejfie czy w tajnym schowku, chcielibyśmy to obejrzeć. Obejrzymy i wyjdziemy.

Znikniemy tak szybko, jak się pojawiliśmy i już nigdy pan o nas nie usłyszy. Nie będzie pan nawet wiedział, kim jesteśmy i kogo chronimy.

- I dochowacie tajemnicy?

- Absolutnie.

- 102 -

- Nie mamy powodu tego rozpowiadać - dodał Wes.

Quince popatrzył im w oczy.

- Powstrzymacie go?

Chap i Wes wymienili spojrzenia. Jak dotąd odpowiadali bezbłędnie i błyskawicznie, lecz na to pytanie nie mieli konkretnej odpowiedzi.

- Tego nie możemy obiecać - odrzekł Wes. - Ale postaramy się wyłączyć go z obiegu. Jak już wspominałem, nasz klient też jest tą sprawą poruszony.

- Musicie mnie... chronić.

- Zrobimy, co w naszej mocy.

Nagle Quince wstał i pochylił się do przodu, opierając dłonie płasko na blacie biurka.

- W takim razie nie mam wyboru - oznajmił.

Nie tknąwszy pieniędzy, podszedł do starej etażerki pełnej starych, łuszczących się woluminów. Jedną ręką przekręcił

klucz w zamku, drugą otworzył mały sejf ukryty za drugą półką od podłogi. Ostrożnie wyjął małą, cienką teczkę i delikatnie położył ją na biurku obok koperty z pieniędzmi.

Już miał ją rozwiązać, gdy wtem dobiegł ich piskliwy, bardzo agresywny głos z interkomu:

- Ojciec pana prosi.

Przerażony Quince wyprostował się sztywno i zamarł. Zbladły mu policzki, jego twarz wykrzywił skurcz paniki.

- Proszę mu powiedzieć, że mam spotkanie - odrzekł, siląc się na spokój i stanowczość; beznadziejny był z niego kłamca.

- Niech pan mu to powie - odwarknęła sekretarka i wyłączyła się.

- Przepraszam - szepnął Quince, próbując się uśmiechnąć. Podniósł słuchawkę, wystukał trzycyfrowy numer i odwrócił się tyłem do nich z nadzieją, że nic nie usłyszą. - Tato? To ja. Co się dzieje?

Potem długo milczał, wysłuchując tyrady starego.

- Nie, nie, oni nie są z Banku Rezerw Federalnych. Są... są adwokatami z Des Moines. Przedstawicielami rodziny mojego starego kumpla z college'u...

Tym razem milczał trochę krócej.

- Franklin Delaney... Nie, nie możesz go pamiętać. Zmarł cztery miesiące temu, nie zostawił testamentu i zrobił się bałagan... Nie, tato, to nie ma nic wspólnego z naszym bankiem.

Odłożył słuchawkę. Nieźle. Całkiem nieźle. Drzwi były zamknięte. Tylko to się liczyło. Otworzył teczkę.

Wes i Chap wstali, podeszli bliżej i nachylili się nad biurkiem. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyli, było zdjęcie przypięte spinaczem do wewnętrznej zakładki. Wes wyjął je ostrożnie i spytał:

- To Ricky?

- Tak. - Quince był zawstydzony, mimo to postanowił przez to przebrnąć.

- Przystojny - powiedział Chap, jakby oglądał rozkładówkę w „Playboyu”. Wszyscy trzej natychmiast poczuli się nieswojo.

- Wiecie, kim on jest, prawda? - spytał Quince.

- Wiemy.

- No to powiedzcie.

- To nie należy do umowy.

- Dlaczego nie możecie powiedzieć? Daję wam wszystko, co mam.

- Nasza umowa...

- Chcę zabić tego sukinsyna.

- Spokojnie. Przecież zawarliśmy układ. Pan bierze pieniądze, my akta i nikomu nie stanie się nic złego.

- Zaczniemy od początku - rzekł Chap, spoglądając na kruchego, umęczonego człowieka w wielkim fotelu. - Jak to się zaczęło?

Quince przerzucił kilka papierów w teczce i wyjął spod nich cienkie czasopismo.

- Kupiłem to w księgarni w Chicago - odrzekł, przysuwając je w ich stronę. „My i Wy”, czasopismo dla dojrzałych mężczyzn preferujących odmienny styl życia - taki był napis na okładce. Kiedy Wes i Chap dokładnie ją obejrzel, Quince otworzył czasopismo na jednej z ostatnich stron. Agenci chłonęli je wzrokiem, lecz nie dotykali. Bardzo mało zdjęć, drobnutki druk. W żadnym razie nie była to pornografia.

Strona czterdziesta szosta, dział ogłoszeń towarzyskich. Jedno z nich zakreślono czerwonym mazakiem.

Biały dwudziestolatek nawiąże korespondencję

z miłym, dyskretnym panem w wieku czterdziestu,

pięćdziesięciu lat.

Wes i Chap nachylili się jeszcze bardziej, przeczytali je i jednocześnie się wyprostowali.

- Odpowiedział pan na to ogłoszenie? - spytał Chap.

- Tak. Wysłałem krótki list i dwa tygodnie później dostałem odpowiedź od Ricky'ego.

- Ma pan kopię tego listu?

- Nie. Ani tego, ani pozostałych. Bałem się, że ktoś coś zauważy.

Bliźniacy z niedowierzaniem zmarszczyli czoło. Z niedowierzaniem i wielkim rozczarowaniem. Chryste, co za głupek.

- Przykro mi - szepnął Quince. Kusiło go, żeby schować pieniądze, zanim tamci zmienią zdanie.

Chcąc posunąć sprawę do przodu, podał im pierwszy list od Ricky'ego.

- Proszę go położyć - rzekł Wes i bliźniacy ponownie nachylili się nad biurkiem. Czytali z wielkim skupieniem.

Strasznie wolno im to idzie, zauważył Quince. Myślał coraz trzeźwiej i w mroku rozpaczony pojawił się pierwszy promyczek nadziei. Mieć pieniądze, nie martwić się o kolejny lewy kredyt i nie musieć kłamać dla zatarcia śladów - cudowne uczucie. Poza tym zyskał niespodziewanych sprzymierzeńców, Wesa i Chapa, no i tego anonimowego klienta, dla którego pracowali. Serce zaczęło mu bić trochę wolniej, oddech stał się głębszy i równiejszy.

- Następny, proszę - rozkazał Chap.

Quince ułożył wszystkie listy obok siebie: trzy fioletowe, jeden jasnoniebieski i jeden żółty - wszystkie wykaligrafowane ręką człowieka, który ma bardzo dużo czasu. Kiedy kończyli czytać pierwszą stronę, Chap ostrożnie przewracał kartkę pęsetą i zaczynali czytać drugą. Ani razu nie dotknęli papieru palcami.

Dużo później, już po wyjściu z gabinetu, szeptem wymienili między sobą kilka uwag. Otóż najbardziej rzuciło im się w oczy to, że wszystkie listy były tak niewiarygodnie wiarygodne. Udręczony i zraniony Ricky rozpaczliwie potrzebował kogoś, z kim mógłby pogadać. Wzbudzał żal i współczucie, lecz nie opuszczała go nadzieja, ponieważ najgorsze miał już za sobą i

- 104 -

wkrótce będzie mógł nawiązać nowe przyjaźnie. Tak, trzeba przyznać, że doskonale władał piórem.

Głuchą ciszę przerwał Quince.

- Muszę zadzwonić - oznajmił.

- Do kogo?

- W sprawach służbowych.

Wes i Chap wymienili niepewne spojrzenia, po czym kiwnęli głową.

Quince podszedł do kredensu, podniósł słuchawkę, wystukał numer i, patrząc na biegnącą poniżej ulicę, zamienił

kilka słów z kolegą bankierem.

W pewnej chwili Wes zaczął coś notować - bez wątpienia przygotowywał się do przesłuchania, do krzyżowego ognia pytań, którymi chcieli go zasypać. Quince stał przy etażerce. Próbował czytać gazetę i nie zwracać uwagi na pochłoniętego notowaniem Wesa. Był już spokojny. Myślał w miarę trzeźwo i opracowywał swój następny ruch, który zamierzał wykonać po wyjściu tych zbirów.

- Wysłał mu pan czek na sto tysięcy dolarów? - spytał Chap.

- Tak.

Wes, ten bardziej ponury, zerknął na niego z pogardą, jakby chciał powiedzieć: Co za kretyn.

Czytali, notowali, coś tam szeptali i mamrotali.

- A wasz klient? - spytał Quince. - Ile mu wysłał?

Wes zrobił jeszcze bardziej posępną minę.

- Tego nie możemy powiedzieć.

No jasne. Ci gangsterzy nie mieli poczucia humoru.

Usiedli dopiero godzinę później. Quince wrócił za biurko i opadł na swój bankierski fotel.

- Jeszcze tylko kilka pytań - powiedział Chap.

No tak, pomyślał Quince. Czekąca go kolejna godzina męczarni.

- Jak zarezerwował pan bilety na ten gejowski rejs?

- Wszystko jest w liście. Ricky podał mi nazwę i numer telefonu biura podróży w Nowym Jorku. Zadzwoń tam i wysłałem pieniądze. To było łatwe.

- Łatwe? Robił pan to już przedtem?

- Czy tematem tej rozmowy jest moje życie seksualne?

- Nie.

- W takim razie nie odbiegajmy od meritum. - Dobra, stanowcza odpowiedź. Odezwał się w nim prawdziwy bankier, bankier rozsierzony. Nagle przyszła mu do głowy myśl, której po prostu nie mógł się oprzeć. - Rejs jest już opłacony -

dodał z kamienną twarzą. - Może popłyniecie?

Na szczęście się roześmiali. Krótki przebłysk humoru i do rzeczy, panowie, do rzeczy.

- Nie chciał pan przybrać pseudonimu? - spytał Chap.

- Oczywiście, że chciałem, nie jestem głupi. Ale nigdy przedtem tego nie robiłem. Poza tym myślałem, że to uczciwy facet. On mieszka na Florydzie, ja w Pcimiu Dolnym w Iowie. Nie przyszło mi do głowy, że to oszust.

- Musimy to wszystko skserować - oznajmił Wes.

- No to mamy problem.

- 105 -

- Dlaczego?

- Gdzie z tym pójdziemy?

- Nie macie tu kserografu?

- Mamy, ale tutaj tego nie zrobicie, wykluczone.

- W takim razie może gdzie indziej, w jakimś zakładzie poligraficznym.

- Jesteśmy w Bakers, panowie. Tu nie ma zakładu poligraficznego.

- A sklep z artykułami biurowymi?

- Sklep jest, ale jego właściciel wisi bankowi osiemdziesiąt tysięcy dolarów i siedzi obok mnie na zebraniach Klubu Rotariańskiego. Odpada. Nie chcę, żeby mnie z tym zobaczył.

Agenci ponownie wymienili spojrzenia i popatrzyli na Quince'a.

- Dobra - zaproponował Wes. - Zrobimy tak: ja zostanę z panem, a Chap weźmie listy i pójdzie poszukać kserokopiarki.

- Niby dokąd?

- Do drogerii.

- Wiecie, że jest tu drogeria?

- Oczywiście. Przecież musieliśmy kupić pęsetę.

- Mają tam starego grata sprzed dwudziestu lat.

- Nie, kupili nową.

- Tylko ostrożnie, panowie, zgoda? Właściciel jest kuzynem mojej sekretarki. To bardzo małe miasto.

Chap wziął teczkę i podszedł do drzwi. Otworzył je z głośnym kliknięciem, a gdy przekroczył próg, natychmiast spojrzało na niego kilka par ciekawskich oczu. W sekretariacie tłoczyły się kobiety - starsze kobiety, które nie robiły nic, dopóki nie wyszedł z gabinetu. Wówczas zastygły bez ruchu, wbijając w niego wzrok. Nieco dalej stał Garbe senior z wielką księgą w ręku. Udawał, że coś w niej sprawdza, choć było widać, że zżera go ciekawość. Chap skinął im głową i ruszył do wyjścia, mijając po drodze dosłownie wszystkich pracowników banku.

Klik! Quince czym prędzej zamknął drzwi, żeby nikt nie zdążył wtargnąć do gabinetu. Przez klika

minut gawędzili z Wesem o tym i owym, czyli o niczym. Rozmowa się nie kleiła, a chwilami niemal zupełnie zamierała, ponieważ nie mieli żadnych wspólnych tematów. Połączyła ich sprawa zakazanego seksu, a tego tematu woleli unikać. Życie w Pcimiu Dolnym Wesa nie interesowało, a Quince nie mógł go o nic wypytywać.

Lecz w końcu musiał coś powiedzieć.

- Co mam napisać w liście do Ricky'ego?

Wes natychmiast się ożywił.

- Po pierwsze, musi pan trochę odczekać. Powiedzmy miesiąc. Niech się facet podenerwuje. Jeśli odpowie pan od razu i wyśle pieniądze, Ricky dojdzie do wniosku, że za łatwo mu poszło.

- A jeśli się wścieknie?

- Mało prawdopodobne. On ma mnóstwo czasu i chce pieniędzy.

- Przeglądacie jego wszystkie listy?

- Przypuszczamy, że większość.

Quince'a zżerała coraz większa ciekawość. Siedząc naprzeciwko człowieka, który poznał jego największą tajemnicę,

- 106 -

uznał, że może pozwolić sobie na odrobinę wścibstwa.

- Jak zamierzacie go powstrzymać?

A Wes - z powodów, których nigdy potem nie mógł zrozumieć - odrzekł po prostu:

- Prawdopodobnie go zabijemy.

W oczach Quince'a Garbe'a zagościł promienny spokój, który niczym miękka, złocista poświata powoli ogarnął całą twarz. Zmarszczki prawie zniknęły. Usta wykrzywił w leciutkim uśmiechu. A jednak. Jego spadek był bezpieczny. Ojciec umrze, on odziedziczy wszystkie pieniądze i będzie używał życia, ile wlezie.

- Cudownie - szepnął. - Cudownie...

Chap zaniósł teczkę do motelowego pokoju, w którym czekali pozostali członkowie zespołu i wypożyczona kopiarka. Sporządzono trzy komplety kopii i pół godziny później Chap wrócił do banku.

Quince przejrzał oryginały - niczego nie brakowało. Schował teczkę do sejfów i spojrzał na gości.

- Myślę, że pora już, żebyśmy się rozstali.

Nie uścisnęli sobie ręki, nie powiedzieli ani słowa. Bo niby co mieli powiedzieć?

Na miejscowym lotnisku o przykrótkim pasie startowym czekał na nich prywatny odrzutowiec. Trzy godziny po wyjściu z gabinetu Quince'a Chap i Wes byli już w Langley. Ich misja zakończyła się wielkim sukcesem.

W zamian za czterdzieści tysięcy dolarów łapówki jeden z urzędników banku Geneva Trust na Bahamach przygotował dla nich wyciąg z odpowiednich kont. Na rachunku Boomer Realty spoczywało sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów, a na rachunku Carsona sześćdziesiąt osiem tysięcy. Wyciąg zawierał również zestawienie wszystkich transakcji, przekazów oraz przelewów. Ludzie Deville'a gorączkowo próbowali namierzyć ich źródło. Wiedzieli, że Garbe przysłał pieniądze za pośrednictwem banku w Des Moines, wiedzieli również o banku w Dallas, który przelał na konto Bractwa kolejne sto tysięcy dolarów. Nie wiedzieli jednak, z czyjego polecenia.

Właśnie nad tym pracowali, gdy Deville'a wezwał do siebie Teddy Maynard. W bunkrze towarzyszył mu York. Stół

był zastany kopiami listów z teczki Garbe'a i bankowymi wyciągami.

Teddy robił wrażenie przybitego. Deville jeszcze go takim nie widział. York też był przygaszony i milczący. Miał

wyrzuty sumienia w związku ze sprawą Lake'a, chociaż Maynard twierdził, że to jego wina.

- Co nowego? - rzucił cicho Teddy.

Deville stał. W bunkrze nigdy nie siadał.

- Próbujemy ustalić, kto nadał pieniądze. Namierzyliśmy to czasopismo z ogłoszeniami. Redakcja mieści się w New Haven. Pracuje tam tylko kilka osób, dlatego wątpię, czy uda nam się spenetrować teren. Nasz kontakt na Bahamach wciąż czuwa i jeśli nadejdą kolejne przekazy, niezwłocznie nas powiadomi. Grupa specjalna może w każdej chwili przeszukać biuro Lake'a na Kapitolu, ale moim zdaniem nic tam nie znajdziemy. W Jacksonville mamy dwudziestu ludzi.

- Ilu śledzi Lake'a?

- Wczoraj trzydziestu, dzisiaj pięćdziesięciu.

- Musimy go obserwować. Nie wolno nam spuścić go z oka. Nie jest tym, za kogo go uważaliśmy i jeśli zgubimy go choćby na godzinę, może nadać kolejny list albo kupić inne czasopismo.

- Tak jest. Robimy, co w naszej mocy.

- 107 -

- To sprawa najwyższej wagi państwowej.

- Wiem.

- A może by tak umieścić kogoś w tym więzieniu? - rzucił Teddy; myśl tę podsunął mu York i Maynard trawił ją od blisko godziny.

Deville potarł oczy, nadgryzł paznokcie, w końcu odrzekł:

- Popracuję nad tym. Będziemy musieli pociągnąć za sznurki, których nigdy dotąd nie tykaliśmy.

- Ilu mamy więźniów federalnych? - spytał York.

- Mniej więcej sto trzydzieści pięć tysięcy - odparł Deville.

- Nie moglibyśmy przemycić do Trumble jeszcze jednego?

- Sprawdzę.

- Mamy kogoś w Głównym Zarządzie Więziennictwa?

- To nowy teren, ale próbujemy się do nich wślizgnąć. Za pośrednictwem starego przyjaciela z Sądu Najwyższego.

Powinno się udać.

Po chwili Deville wyszedł. Za godzinę mieli wezwać go ponownie, by wspólnie omówić kolejne problemy, przedyskutować nowe myśli i zlecić mu kolejne zadania.

- Nie podoba mi się pomysł przeszukania jego biura - powiedział York. - Jest zbyt ryzykowny. Poza tym trwałoby to co najmniej tydzień. Ci faceci trzymają u siebie miliony teczek.

- Mnie też się nie podoba - odrzekł cicho Teddy.

- Niech ci z dokumentów napiszą do Lake'a list od Ricky'ego. Umieścimy w kopercie nadajnik, namierzmy ją i może doprowadzi nas do miejsca, gdzie Lake chowa listy.

- Znakomity pomysł. Powiedz Deville'owi.

York zanotował to pod dziesiątkami innych, w większości przekreślonych notatek. Potem narysował kilka kółek i wreszcie zadał Maynardowi pytanie, z którym nosił się już od dawna.

- Powiesz mu?

- Jeszcze nie.

- A kiedy?

- Nie wiem, może nigdy. Zbierzmy dane, dowiedzmy się wszystkiego, czego można się dowiedzieć. Lake jest skryty, dobrze się kamufluje. Może rozpoczął drugie życie dopiero po śmierci żony? Któż to wie? Jeśli będzie dyskretny...

- Ale musi wiedzieć, że znasz sprawę. W przeciwnym razie może ponownie zaryzykować. A jeśli dowie się, że jest pod ciągłą obserwacją, będzie się pilnował.

- Świat schodzi na psy. Kto żyw kupuje, sprzedaje i szmugluje broń atomową. Trwa siedem małych wojen, wkrótce wybuchną trzy kolejne. Tylko w zeszłym miesiącu powstało dwanaście nowych grup terrorystycznych. Obłąkańcy z Bliskiego Wschodu tworzą armie i gromadzą ropę naftową. A my siedzimy tu godzinami i zmawiamy się przeciwko trzem drobnym kryminalistom, byłym sędziom, którzy w tej chwili grają pewnie w remika.

- Nie są tacy głupi - zauważył York.

- Nie, ale nieudolni. Chcą złapać w sidła nieodpowiednią osobę.

- To raczej my wybraliśmy nieodpowiednią osobę.

- Nie. Oni.

- 108 -

ROZDZIAŁ 19

Faks przyszedł z inspektoratu regionalnego Zarządu Głównego Więziennictwa w Waszyngtonie. Adresatem był M.

Emmitt Broon, naczelnik Trumble. Oschłym, acz standardowym językiem inspektor poinformował go, że przejrzał więzienny dziennik odwiedzin i zaniepokoiła go liczba wizyt niejakiego Trevora Carsona, adwokata trójki osadzonych w Trumble penitencjariuszy. Doszło do tego, że mecenas bywał u nich niemal codziennie.

Chociaż każdy osadzony miał konstytucyjne prawo do spotkań z adwokatem, władze więzienia mogły regulować ich częstotliwość. Dlatego inspektor wprowadzał zarządzenie, według którego wizyty mogły odbywać się tylko we wtorki, czwartki i soboty, od piętnastej do osiemnastej. W wyjątkowych przypadkach, gdy osadzony udowodni naczelnikowi konieczność częstszych spotkań, ten może się na nie zgodzić.

Zarządzenie wchodziło w życie ze skutkiem natychmiastowym i miało obowiązywać przez trzy miesiące.

Świetnie - naczelnik był bardzo zadowolony. Niemal codzienne wizyty Trevora jemu też wydały się trochę podejrzane. Owszem, przesłuchał strażników z biura przepustek i strażnika z rozmównicy, lecz niczego nie ustalił. Link, ten, który odprowadzał Trevora do „gabinetu adwokackiego” i za każdą wizytę pobierał cztery dychy, powiedział mu, że mecenas Carson i pan Spicer rozmawiają o procesach, odwołaniach i temu podobnych rzeczach.

- W kółko o tym samym - dodał.

- I zawsze przeszukujecie jego teczkę? - spytał naczelnik.

- Zawsze - odparł Link.

Naczelnik chciał być uprzejmy i osobiście zatelefonował do mecenasa Carsona. Odebrała jakaś kobieta.

- Kancelaria - rzuciła niegrzecznie do słuchawki.

- Z mecenasem Carsonem poproszę.

- Kto mówi?

- Emmitt Broon.

- Mecenas śpi.

- Rozumiem. Czy mogłaby go pani obudzić? Jestem naczelnikiem więzienia federalnego w Trumble i muszę z nim porozmawiać.

- Chwileczkę.

Czekał dość długo.

- Przepraszam, ale nie mogę go dobudzić - powiedziała kilka minut później. - Mógłby do pana oddzwonić?

- Nie, nie trzeba. Wyślę mu faks.

Pomysł szwindlu na odwyrtkę przyszedł mu do głowy podczas niedzielnej partyjki golfa. Dojrzał w miarę postępu gry i, chodząc po murawie, po piasku i pod drzewami, York nabierał coraz większego przekonania, że plan jest absolutnie genialny. Przy czternastym dołku pożegnał się z przyjaciółmi i zadzwonił do Teddy'ego.

Zastosują taktykę przeciwników i odwrócą uwagę od Ala Konyersa. Nie mieli nic do stracenia.

York sporządził projekt listu i przekazał go jednemu z najlepszych fałszerzy z wydziału dokumentów. Nowego

- 109 -

korespondenta ochrzcili nazwiskiem Brant White, a jego pierwszy list został napisany na zwykłym, białym, choć kosztownym papierze.

Drogi Ricky,

Przeczytałem Twój anons i bardzo mi się spodobał. Mam pięćdziesiąt pięć lat, jestem w znakomitej formie fizycznej i szukam przyjaciela, z którym mógłbym korespondować, choć nie tylko. Kupiliśmy z żoną dom w Palm Valley niedaleko Neptune Beach. Przyjedziemy tam za trzy tygodnie i zostaniemy dwa miesiące.

Jeśli mój list Cię zainteresuje, przyślij zdjęcie. Jeżeli mi się spodoba, podam Ci więcej szczegółów.

Brant

Adres zwrotny: Upper Darby, Pensylwania 19082, skrytka pocztowa 88645.

Żeby zaoszczędzić kilka dni, specjaliści z wydziału dokumentów nakleili na kopertę znaczek ze stemplem z Filadelfii i samolotem dostarczyli list do Jacksonville. Tam czekał już Klockner, który osobiście włożył go do skrytki Aladdin North w Neptune Beach. Był poniedziałek.

We wtorek Trevor uciął sobie popołudniową drzemkę, odebrał pocztę i ruszył na zachód znajomą drogą do Trumble.

W biurze przepustek powitali go znajomi strażnicy, Mackey i Vince. Wpisawszy się do znajomej książki, którą podsunął mu stary znajomy Rufus, poszedł za Linkiem do rozmównicy. Spicer już czekał.

- Zaczynają mnie wypytywać - powiedział Link, wchodząc do gabinetu.

Spicer nawet nie podniósł głowy. Trevor wręczył strażnikowi dwie dwudziestki, a ten błyskawicznie schował je do kieszeni.

- Kto? - spytał Trevor, otwierając walizeczkę. Spicer wciąż czytał gazetę.

- Naczelnik.

- Cholera jasna, przecież obciął mi wizyty. Czego jeszcze chce?

- Nie rozumiesz? - mruknął Spicer, nie odrywając wzroku od tabel z wynikami. - Nasz Link jest wkurzony, bo za mało dostaje. Prawda, Link?

- Właśnie. Nie wiem, co tu knujecie, ale jeśli zaostrzę kontrolę, ani chybi będziecie mieli kłopoty.

- Płacimy ci bardzo dobrze - odparł Trevor.

- To pan tak uważa.

Spicer odłożył gazetę.

- Ile chcesz?

- Tysiąc miesięcznie - odrzekł Link i spojrzał na Trevora. - W gotówce. Forsę będę odbierał w kancelarii.

- Tysiąc dolarów i nie zaglądasz do naszych listów, tak? - spytał Spicer.

- Tak.

- I nikomu nic nie powiesz.

- Absolutnie.

- Zgoda. A teraz wyjdź stąd.

Link uśmiechnął się do nich i wyszedł. Stał tuż za drzwiami i, grając pod kamery wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, od czasu do czasu zaglądał przez okno do gabinetu.

- 110 -

Tamci robili to samo, co zawsze. Wymiana korespondencji trwała dosłownie sekundę. Ze starej, zniszczonej koperty sędziego Joe Roy Spicer wyjął listy do nadania i podał je Trevorowi, który odwzajemnił mu się plikiem listów z walizeczki.

Tym razem dostał sześć. Niekiedy było ich nawet dziesięć, rzadko kiedy mniej niż pięć. Choć Trevor nie prowadził

żadnych zapisków czy jakiegokolwiek innej dokumentacji, która mogłaby stanowić dowód, że miał coś wspólnego ze szwindlem Bractwa z Trumble, doskonale wiedział, że urabiali obecnie około dwudziestu, trzydziestu potencjalnych ofiar.

Rozpoznawał niektóre nazwiska i adresy.

Według szczegółowej kartoteki Spicera potencjalnych ofiar było dokładnie dwadzieścia jeden. Dwudziestu jeden poważnych oraz osiemnastu mniej pewnych kandydatów. W sumie korespondowali z prawie czterdziestoma mężczyznami.

Niektórzy z nich bali się własnego cienia, inni z tygodnia na tydzień stawali się odważniejsi, jeszcze inni, ci już urobieni, byli gotowi w każdej chwili uciec z domu i paść w ramiona Ricky'emu czy Percy'emu.

Cierpliwość. Najtrudniej było zachować cierpliwość. Szwindel przynosił rezultaty, pieniądze przechodziły z ręki do ręki, dlatego kusiło ich, żeby jak najszybciej przydusić ofiarę i zażądać szmalu. Ale nie, nic na chybcika. Beech i Yarber harowali jak konie w polu, godzinami pisali listy, podczas gdy Spicer kierował całością operacji. Skuteczne urobienie nowego, bogatego korespondenta, zdobycie jego zaufania wymagało dyscypliny i wielu pięknych słówek.

- Nie pora na kolejny przekaz? - spytał Trevor.

Spicer przeglądał nowe listy.

- Tylko nie mów mi, że jesteś splukany - burknął. - Zgarniasz więcej od nas.

- Trzymam forszę za granicą, tak samo jak wy. Chciałbym mieć więcej, i tyle.

- Ja też. - Spicer trzymał w ręku białą kopertę. Brant White z Upper Darby w Pensylwanii. - Aaa, jest coś nowego...

- Rozerwał kopertę i szybko przeczytał list. Był zaskoczony jego tonem. Ani strachu, ani lania wody. Tak, ten człowiek nie czaił się po kątach i nie owijał niczego w bawełnę. Ten człowiek był gotowy do działania.

- Gdzie jest Palm Valley? - spytał.

- Szesnaście kilometrów na południe od Neptune Beach. Bo?

- Co to za miejsce?

- Jedno z tych ekskluzywnych osiedli dla bogatych golfarzy i emerytów z północy.

- Ile trzeba wydać, żeby kupić tam dom?

- Nigdy tam nie byłem. Wszędzie bramy, wszędzie ogrodzenia, wszędzie strażnicy. Jakby ktoś chciał tam wejść i pokraść im wszystkie wózki. Ale...

- Ile? - przerwał mu Spicer.

- Na pewno powyżej miliona. Widziałem dwa ogłoszenia. Żądali trzy miliony od sztuki.

- Siedź tu i czekaj. - Spicer wstał, wziął listy i ruszył do drzwi.

- Gdzie idziesz?

- Do biblioteki. Wrócę za pół godziny.

- Mam robotę...

- Nie masz żadnej roboty. Poczytaj gazetę.

Spicer powiedział coś do Linka i ten wyprowadził go z budynku administracyjnego. Sędzia szedł szybko wzdłuż wypielęgnowanego trawnika. Słońce grzało, wszędzie kręcili się ogrodnicy, żeby zarobić pięćdziesiąt centów za godzinę pracy.

- 111 -

Bibliotekarze też pracowali, chociaż kiedy Spicer z nietypowym dla siebie uśmiechem na ustach wpadł do sali konferencyjnej, właśnie odpoczywali od pisania listów, grając w szachy.

Sędzia rzucił na stół list od Branta.

- Chłopcy, nareszcie trafiła nam się gruba ryba.

Beech przeczytał list na głos.

- Palm Valley - wyjaśnił z dumą Spicer - to osiedle dla bogatych emerytów i golfiarzy. Żeby kupić tam dom, trzeba wybulić około trzech milionów dolarów. Ten chłopak ma mnóstwo forsy i nie chce tracić czasu na korespondowanie.

- Fakt, bardzo mu się spieszy - przyznał Yarber.

- Musimy działać szybko - rzekł Spicer. - Przyjeżdża już za trzy tygodnie.

- Potencjalne zasoby inwestycyjne? - spytał Beech; uwielbiał żargon giełdźiarzy, zwłaszcza tych, którzy obracali milionami.

- Co najmniej pół miliona dolarów - odparł Spicer. - Piszemy list. Trevor czeka.

Beech otworzył jedną z licznych teczek, by zademonstrować kolegom swoje narzędzia pracy: dziesiątki arkuszy papieru o pastelowych barwach.

- Myślę, że brzoskwiniowy będzie najodpowiedniejszy - powiedział.

- Zdecydowanie - zgodził się z nim Spicer. - Koniecznie.

Ricky napisał skróconą wersję standardowego listu kontaktowego. Dwadzieścia osiem lat, absolwent college'u, przebywa w klinice odwykowej, ale wkrótce, najpewniej już za dziesięć dni, kończy leczenie i wychodzi na wolność. Jest bardzo samotny i chciałby związać się z dojrzałym mężczyzną. To cudownie, że Brant kupuje dom w Palm Valley, bo Ricky zamierza przyjechać do Jacksonville i zamieszkać u siostry. Nie będzie żadnych problemów, żadnych przeszkód do pokonania. Niecierpliwie na niego czeka, ale najpierw chciałby obejrzeć jego zdjęcie. Czy Brant jest naprawdę żonaty? Jeśli tak, czy zamieszkają w Palm Valley we dwoje? A może żona zostanie w Pensylwanii? Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby przyjechał na Florydę sam?

Załączyli kolorowe zdjęcie, to samo, które rozesłali setce innych. Jak dotąd, mało kto mu się oparł.

Pół godziny później brzoskwiniowy list leżał już na stole przed drzemiącym Trevorem.

- Wyślij to - warknął Spicer. - Natychmiast.

Przez dziesięć minut obstawiali wyniki meczów koszykarskich, a potem się pożegnali, nie uściskawszy sobie rąk.

W drodze powrotnej do Jacksonville Trevor zadzwonił do swego nowego bukmachera. Bukmacher był grubą rybą, przyjmował tylko wysokie zakłady, lecz Trevor grywał ostatnio coraz częściej i o coraz wyższe stawki. Rozmowę przez telefon komórkowy trudno przechwycić - linia jest bezpieczna, w przeciwieństwie do samej komórki, dlatego agent Klockner i jego koledzy jak zwykle go podsłuchiwali. Nieźle sobie radził; tylko w ciągu ostatnich dwóch tygodni zgarnął prawie cztery i pół tysiąca, podczas gdy obroty jego kancelarii nie przekroczyły ośmiuset dolarów.

Poza pluskiewką w telefonie, cztery mikrofony zainstalowano w garbusie; większość z nich była mało przydatna, ale sprawna. Za każdym zderzakiem tkwił maleńki nadajnik podłączony do akumulatora - agenci codziennie go sprawdzali, gdy Trevor spał albo pił - tak że potężny odbiornik w domu naprzeciwko kancelarii mógł w każdej chwili określić pozycję samochodu. Jadąc autostradą, rozmawiając jak ważniacha, szastając pieniędzmi niczym słynny hazardzista z Las Vegas i pijąc gorącą kawę z przydrożnego sklepu, mecenas Carson wysyłał w eter więcej sygnałów niż większość prywatnych odrzutowców.

- 112 -

*

Siódmy marca. Wielki superwtorek. Aaron Lake wbiegł triumfalnie na scenę w olbrzymiej sali balowej jednego z manhattańskich hoteli. Ryknął tysięczny tłum, zabrzmiała muzyka, z sufitu spłynęły balony. Wygrał, zdobywając czterdzieści trzy procent głosów. Stan Nowy Jork należał do niego. Gubernator Tarry zdołał zebrać ledwie dwadzieścia dziewięć procent, a resztą podzielili się pozostali kandydaci. Lake wyściskał ludzi, których nigdy dotąd nie widział, pomachał tym, których już nigdy więcej miał nie zobaczyć, i dla uczczenia zwycięstwa wygłosił porywającą mowę. Ani razu nie zajrzał do notatek.

Zaraz potem wyjechał do Los Angeles na uroczystość z okazji kolejnego zwycięstwa. Leciał nowym boeingiem -

maszyna mogła pomieścić stu pasażerów, kosztowała go milion dolarów miesięcznie i na wysokości prawie dwunastu tysięcy metrów osiągała prędkość ponad ośmiuset kilometrów na godzinę - i podczas czterogodzinnego lotu nieustannie analizował

wyniki napływające z pozostałych stanów biorących udział w wielkim superwtorku. Na wschodnim wybrzeżu, gdzie lokale wyborcze zostały już zamknięte, wygrał o włos w Maine i w Connecticut, za to w Nowym Jorku, Maryland, Massachusetts i w Georgii pobił przeciwników na głowę. Na Rhode Island przegrał ośmiuset głosami, w Vermont wygrał tysiącem. Gdy przelatywali nad Missouri, w wiadomościach CNN podano, że wygrał w tym stanie, zdobywając o cztery procent głosów więcej niż gubernator Tarry. W Ohio również, prawie takim samym szacunkiem głosów.

Zanim wylądowali w Kalifornii, wybory dobiegły końca. Z pięciuset dziewięćdziesięciu jeden delegatów zdobył

poparcie trzystu dziewięćdziesięciu. Zdecydowanie umocnił swoją pozycję. I najważniejsze, że miał pieniądze. Gubernator Tarry szybko zostawał w tyle. Wszyscy stawiali na Lake'a.

- 113 -

ROZDZIAŁ 20

Obudził się sześć godzin po wielkim zwycięstwie w Kalifornii, by stawić czoło przeładowanemu wywiadami porankowi. W dwie godziny udzielił ich osiemnaście, po czym odleciał do Waszyngtonu.

Prosto z lotniska pojechał do głównej kwatery wyborczej, która mieściła się na parterze wielkiego biurowca przy H

Street, o rzut kamieniem od Białego Domu. Dziękując swoim pracownikom - było wśród nich ledwie kilku wolontariuszy - i ściskając im ręce, cały czas zadawał sobie pytanie: skąd oni się tu wzięli?

Wygramy - powtarzał, wygramy, i wszyscy mu wierzyli. Niby czemu mieliby nie wierzyć?

Przez godzinę konferował z najważniejszymi członkami sztabu. Miał na koncie sześćdziesiąt pięć milionów dolarów i ani centa długu. Tarry miał niecały milion i nieustannie podliczał pasywa. W jego księgach rachunkowych panował taki bałagan, że prowadzący je specjaliści przegapili ostateczny termin zgłaszania przychodów do ewidencji. Pieniądze zniknęły.

Wpływy ustały. Całą gotówkę zgarniał Lake.

Z wielkim entuzjazmem omawiali trzy kandydatury do fotela wiceprezydenta. To, że w ogóle o tym dyskutowali, oznaczało, że szef ma nominację w kieszeni, dlatego ten fragment narady sprawił wszystkim dużo radości. Niestety, główny kandydat Lake'a, senator Nance z Michigan, nie zyskał przychylności sztabowców, ponieważ przed rozpoczęciem kariery politycznej prowadził bardzo mętne interesy. Jego wspólnikami byli Amerykanie włoskiego pochodzenia, mieszkańcy Detroit, i Lake oczyma wyobraźni ujrzał, jak prasa zdiera z niego skórę. Powołano specjalny komitet, który miał tę sprawę zbadać.

Inny komitet miał zaplanować i zorganizować pobyt Lake'a na konwencji wyborczej w Denver. Kandydat zażyczył

sobie nowego specjalisty od pisania przemówień, gdyż chciał jak najszybciej przygotować mowę, którą miał wygłosić po przyjęciu nominacji.

W głębi ducha był zaszokowany kosztami własnymi kampanii. Szef komitetu wyborczego zarabiał sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, choć pracę miał skończyć tuż przed Bożym Narodzeniem. Szefowie wydziałów finansowego, politycznego, medialnego, operacyjnego i planistycznego zgarniali sto dwadzieścia tysięcy za dziesięć miesięcy pracy. Każdy szef wydziału miał dwóch albo trzech zastępców, ludzi, których Lake prawie nie znał, a którzy zarabiali dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów na głowę. Poza tym byli jeszcze asystenci i księgowi - w przeciwieństwie do wolontariuszy Ignących do Lake

'a niczym pszczoły do miodu, ludzie ci harowali jak woły, pobierając wynagrodzenie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Tuziny asystentów i księgowych oraz tuziny urzędników, sekretarek i sekretarzy, z których każdy zarabiał

co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów rocznie.

Na domiar złego, myślał Lake, jeśli wygram i zasiądę w Gabinetcie Ovalnym, będę musiał znaleźć dla nich pracę. Dla wszystkich, cholera. Każdy posłaniec biegnący po ulicy z moją podobizną na piersi będzie chciał mieć przepustkę do Białego Domu i zarabiać osiemdziesiąt tysięcy rocznie.

To kropla w morzu, Aaron. Kropla w morzu. Po co zawracać sobie głowę drobnostkami? Pomyśl, o jaką grasz stawkę.

Pod koniec narady pokrótce omówiono sprawy mniej przyjemne. Jeden z reporterów „Posta” zajął się początkami kariery Lake’a i bez najmniejszego trudu odkopał sprawę GreenTree, nieudanego przedsięwzięcia budowlanego sprzed dwudziestu dwóch lat. Lake i jego wspólnik doprowadzili firmę do upadłości, w majestacie prawa naciągając wierzycieli na

- 114 -

osiemset tysięcy dolarów. Oskarżony o oszustwo wspólnik stanął przed sądem, lecz przysięgli uwolnili go od zarzutów. Lake’

a nikt nie tknął i z biegiem czasu mieszkańcy Arizony siedmiokrotnie wybierali go na swojego reprezentanta w Kongresie.

- Chętnie odpowiem na wszystkie pytania związane z GreenTree - powiedział Lake. - To był po prostu zły kontrakt.

- Ci z prasy wrzucą piąty bieg - przepowiadał szef wydziału medialnego. - Jest pan nowy, nie zdążyli pana przeświecić.

- Już zaczęli - odparł Lake. - Nie mam nic do ukrycia.

Potem zawieziono go do Mortimera, modnej restauracji przy Pennsylvania Avenue, gdzie bywali najpotężniejsi i najbardziej wpływowi, i gdzie trzeba się było pokazać. Tam zjadł wczesną kolację z Elaine Tyner, szefową KOSZ-u. Przy owocach i białym serku zapoznała go z finansami swego najświeższego nabytku, nowego komitetu wsparcia politycznego: kapitał w wysokości dwudziestu dziewięciu milionów dolarów w gotówce i prawie żadnych długów. Pieniądze napływały non stop, ze wszystkich stron, z całego świata.

Tylko jak je wydać? Oto prawdziwe wyzwanie. Ponieważ były to tak zwane delikatne fundusze, czyli fundusze, których nie mogli wykorzystać bezpośrednio do finansowania kampanii, musieli je upłynnić inaczej. Tyner opracowała już kilka metod. Po pierwsze, zamówią serię złowieszczych reklam podobnych do tych, które opracował Teddy Maynard; KOSZ zakupił już najlepszy czas antenowy w sezonie jesiennym. Po drugie, zainwestują w wyścig wyborczy do Izby Reprezentantów i do Senatu.

- Ustawiają się w kolejce jak mrówki - dodała wielce rozbawiona. - To zadziwiające, ile można zdziałać, mając do wydania kilka milionów dolarów.

Opowiedziała mu historię pewnego kongresmana z okręgu wyborczego w północnej Kalifornii, polityka z dwudziestoletnim stażem, którego Lake znał, którym pogardzał i który na początku roku miał czterdziestopunktową przewagę nad swoim nikomu nie znanym przeciwnikiem. Przeciwnik ów znalazł do KOSZ-u i zaprzedał duszę Aaronowi Lake’owi.

- Zajęliśmy się jego kampanią - mówiła Tyner. - Piszemy mu przemówienia, prowadzimy badania opinii publicznej, ustawiamy reklamy w prasie i telewizji, załatwiliśmy mu nawet nowy personel.

Jak dotąd wydaliśmy półtora miliona dolarów i przewaga z czterdziestopunktowej zmniejszyła się do dziesięciopunktowej. A przed nami jeszcze siedem miesięcy pracy.

W sumie KOSZ inwestował w trzydzieści kampanii wyborczych do Izby Reprezentantów i w dziesięć do Senatu.

Tyner miała nadzieję zebrać sześćdziesiąt milionów dolarów i wydać wszystko do listopada.

Trzecią metodą upłynnienia „delikatnych funduszy” było badanie nastrojów społecznych w kraju. KOSZ trzymał rękę na pulsie; badania prowadzono non stop, codziennie, piętnaście godzin na dobę. Jeśli robotnicy w zachodniej Pensylwanii mieli jakiś problem, KOSZ o tym wiedział. Jeśli Latynosi z Houston byli zadowoleni z nowej polityki socjalnej, KOSZ też o tym wiedział. Jeśli takie czy inne ogłoszenie wyborcze Lake’a podobało się lub też mierziło mieszkanki Chicago, KOSZ znał

dokładną ich liczbę.

- Wiemy wszystko - powiedziała z dumą Tyner. - Nieustannie czuwamy i obserwujemy. Jesteśmy jak Wielki Brat.

Za badania te płacili mało, ledwie sześćdziesiąt tysięcy dolarów dziennie. Były ściśle tajne.

Przeszli do spraw ważniejszych. Lake miał nad Tarrym sześciopunktową przewagę w Teksasie, a nawet na Florydzie, stanie, którego jeszcze nie odwiedził. Natomiast w Indianie, gdzie Tarry urodził się i wychował, prawie go doganiał.

- Tarry jest zmęczony - mówiła Tyner - podupadł na duchu. Wygrał w New Hampshire i zebrał mnóstwo pieniędzy. I nagle pojawił się pan, nowa twarz, człowiek znikąd, człowiek bez żadnych obciążeń. Przekazuje pan narodowi ważne

- 115 -

przesłanie i strumień pieniędzy zmienia kierunek. Tarry nie potrafi teraz wyzebrać pięćdziesięciu dolarów od kobiet sprzedających ciasteczka po niedzielnej mszy. Traci najlepszych współpracowników, ponieważ nie może im zapłacić i ponieważ ludzie ci zwęszyli nowego zwycięzcę.

Lake skubał ananasa i rozkoszował się jej wywodami. Już te słowa słyszał; nieustannie powtarzali je członkowie sztabu wyborczego. Ale w ustach starej wyjadaczki, jaką była Tyner, brzmiały zupełnie inaczej.

- A wiceprezydent? - spytał. - Jak mu idzie? - Miał swoje własne dane, lecz z jakiegoś powodu bardziej ufał danym Elaine.

- Dostanie nominację, choć z wielkim trudem - odrzekła; to też nie było nic nowego. - Ale konwencja będzie krwawa. Ma tylko kilkupunktową przewagę, a przed panem stoi wielkie pytanie: na kogo będzie pan głosował w listopadzie?

- Do listopada jeszcze daleko.

- Tak i nie.

- Dużo może się zmienić - dodał Lake, myśląc o Maynardzie i zastanawiając się, jaki kryzys sprokuruje, żeby nastraszyć Amerykanów.

Kolacja była raczej skromną przekąską i zaraz potem zawieziono go do małej jadalni hotelu Hay-Adams, na długą późną biesiadę z kilkudziesięcioma kolegami z Izby Reprezentantów. Tylko niewielu z nich poparło go na początku kampanii, teraz z wielkim entuzjazmem popierali go wszyscy. Większość z nich prowadziła badania opinii publicznej na własną rękę, dlatego lgnęli do niego niczym pszczoły do miodu.

Nigdy dotąd Lake nie widział, żeby jego starzy kumple byli tacy szczęśliwi.

List przygotowała specjalistka nazwiskiem Bruce, jedna z trzech najlepszych fałszerzy z wydziału dokumentów. Na korkowej tablicy nad stołem w jej małym laboratorium wisiały listy Ricky'ego. Doskonale próbki, lepszych nie potrzebowała.

Nie miała pojęcia, kim jest Ricky, lecz nie ulegało wątpliwości, że pismo ma bardzo staranne. Próbki z ostatnich listów jednoznacznie potwierdzały łatwość, z jaką władał piórem - łatwość, która przychodziła wraz z wieloletnią praktyką.

Słownictwo miał nienadzwyczajne, lecz podejrzewała, że celowo je zubaża. W budowie zdań doszukała się kilku błędów. Jej zdaniem autor listów był mężczyzną w wieku od czterdziestu do sześćdziesięciu lat. Wykształcenie? Co najmniej college.

Jednakże stawianie hipotez nie należało do jej zadań, a przynajmniej nie w tym przypadku. Takim samym długopisem, jakim posługiwał się Ricky, i na takim samym papierze napisała króciutki liścik do Ala. Tekst przygotował ktoś inny, nie wiedziała nawet kto. Zresztą mało ją to obchodziło.

Liścik brzmiał następująco: „Cześć, Al, dlaczego nie piszesz? Nie zapominaj o mnie”. Tylko tyle, jednak do listu miała być dołączona mała niespodzianka. Ponieważ Ricky nie mógł korzystać z telefonu, przysyłał Alowi kasetę z wiadomością nagrany w klinice rehabilitacyjnej.

Bruce przepisała tekst, po czym przez godzinę pracowała nad kopertą; nakleiła na nią znaczek pocztowy ze stemplem z Neptune Beach.

Koperty nie zakleiła. Jej dzieło zostało dokładnie obejrzone i przeniesione do innego laboratorium. Tam pewien młody agent, który studiował w szkole teatralnej w Northwestern, nagrał kasetę. Miękkim głosem bez akcentu powiedział: „Cześć, Al, mówi Ricky. Mam nadzieję, że cię zaskoczyłem. Nie wiem dlaczego, ale nie pozwalają nam korzystać z telefonu, możemy za to wysłać i otrzymywać kasety z nagraniami. Nie mogę się już doczekać, kiedy stąd wyjdę”. Potem przez pięć minut nudził o klinice i o tym, jak bardzo nienawidzi swego wuja i ludzi prowadzących Aladdin North. Przyznał jednak, że wyleczyli

go z nałogu, i doszedł do wniosku, że patrząc wstecz, nie będzie osądzał ich zbyt surowo.

W sumie nie powiedział nic konkretnego. Nie wyjawiał, kiedy opuszcza klinikę, nie wspominał, dokąd się po wyjściu uda ani czym się będzie zajmował. Zrobił jedynie mglistą aluzję, że chciałby się z Alem zobaczyć.

Nie, nie byli jeszcze gotowi do zarzucenia przynęty. Nagrali kasetę tylko po to, żeby ukryć w jej wnętrzu silny nadajnik, z nadzieją, że zaprowadzi ich do miejsca, w którym Aaron Lake przechowywał listy. Nadajnik w kopercie byłby zbyt ryzykowny. Bystry Al mógłby go znaleźć.

CIA kontrolowała już osiem skrytek pocztowych w Mailbox America w pasażu handlowym Chevy Chase. Wynajęło je na rok ośmioro ludzi, z których każdy miał prawo korzystać z nich dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak samo jak pan Konyers. Przychodzili tam i wychodzili o różnych porach dnia i nocy, odbierając listy, które sami wysłali, i od czasu do czasu, kiedy nikt nie patrzył, zaglądając do skrytki Ala.

Ponieważ znali jego rozkład dnia lepiej niż on sam, cierpliwie czekali, aż przyjdzie. Byli pewni, że wymknie się z domu tak samo jak przedtem, przebrany za nocnego biegacza, dlatego kopertę z kasetą przetrzymali prawie do dziesiątej wieczorem. Potem włożyli ją do skrytki.

Cztery godziny później, na oczach kilkunastu czujnych agentów, z taksówki, która zatrzymała się przed Mailbox America, wysiadł Lake z twarzą osłoniętą długim daszkiem czapki. Wbiegł do środka, wyjął listy, po czym wskoczył do taksówki.

Sześć godzin później wyjechał z Georgetown na modlitewne śniadanie w Hiltonie. Agenci cierpliwie czekali. O

dziewiątej przemawiał na zebraniu stowarzyszenia naczelników policji, a o jedenastej wygłosił mowę do tysiąca dyrektorów szkół średnich. Lunch zjadł z przewodniczącym Izby Reprezentantów. O trzeciej wziął udział w stresującej dyskusji telewizyjnej, a potem wrócił do domu, żeby się spakować. Zgodnie z harmonogramem dnia, o ósmej wieczorem miał być na Reagan National i odlecieć do Dallas.

Pojechali za nim na lotnisko, odczekali, aż samolot wystartuje, po czym zadzwonili do Langley. Kiedy przed dom Lake'a zajechało dwóch agentów Secret Service, żeby sprawdzić, czy okolica jest czysta, agenci CIA byli już w środku.

Przeszukanie trwało dziesięć minut. Ręczny odbiornik wychwycił sygnał z nadajnika ukrytego w kasecie. Znaleźli ją w koszu na śmieci wraz z dwoma kartonami po mleku, dwiema rozerwanymi torebkami po płatkach owsianych, kilkoma zużytymi papierowymi ręcznikami i porannym numerem „Washington Post”. Sprzątaczką przychodziła dwa razy w tygodniu.

Lake zostawił śmieci, żeby je wyniosła.

Nie mogli znaleźć listów od Ricky'ego, ponieważ ich nie było. Bystrzak z tego Lake'a - wszystkie

wyrzucał.

Teddy'emu niemal ulżyło, gdy się o tym dowiedział. Agenci wciąż siedzieli w domu, czekając, aż ci z Secret Service zejdą z posterunku i pojedą w cholerę do domu. Bez względu na to, co Lake ukrywał, robił wszystko, żeby nie zostawiać za sobą śladów.

Nagranie bardzo go zdenerwowało. Lektura listów Ricky'ego i oglądanie jego pięknej twarzy przyprawiało go o podniecający dreszczyk. Ricky był daleko, istniało duże prawdopodobieństwo, że nigdy się nie spotkają. Mogli do siebie pisywać, mogli bawić się w berka na odległość, powoli i niespiesznie, a przynajmniej tak to zamierzał rozegrać.

Lecz dzięki taśmie z nagraniem ten młody, przystojny chłopak znalazł się tuż-tuż, w zasięgu ręki i Lake doznał

wstrząsu. To, co przed kilkoma miesiącami zaczęło się jako niewinna zabawa, mogło mieć straszliwe konsekwencje. Tak, gra była zbyt ryzykowna. Zadrżał na myśl, że mogą go na niej przyłapać.

- 117 -

Z drugiej strony niby jak mieli to zrobić? Maską Ala Konyersa to znakomity kamuflaż. Ricky niczego się nie domyślał, cały czas mówił: „Al to”, „Al tamto”. Skrytka pocztowa była znakomitą tarczą.

Niemniej musiał z tym skończyć. Przynajmniej chwilowo.

Boeing był zapchany dobrze opłacanymi członkami sztabu wyborczego. Wszyscy się nie zmieścili - nie robiono tak wielkich samolotów. Gdyby wynajął jumbo jeta, już po dwóch dniach nie miałby gdzie usiąść, ponieważ wszystkie miejsca zajęliby księgowi, doradcy, konsultanci, spece od badania opinii publicznej, nie wspominając już o stale rosnącej armii agentów Secret Service.

Im więcej prawyborów wygrywał, tym samolot robił się cięższy. Doszedł do wniosku, że warto by było przegrać w kilku stanach i zrzucić trochę bagażu.

Sącząc w ciemności sok pomidorowy, postanowił napisać ostatni list do Ricky'ego. Życzyć mu wszystkiego najlepszego na przyszłość i po prostu zerwać znajomość. Cóż ten biedaczyna mógł mu zrobić?

Kusiło go, żeby napisać list już teraz, tu, w tym wygodnym fotelu. Ale w każdej chwili mógł przeszkodzić mu jakiś doradca czy asystent z kolejnym pilnym meldunkiem, którego Lake musiał natychmiast wysłuchać. Nie miał ani odrobiny prywatności. Nie miał czasu pomyśleć, poleniuchować ani pomarzyć. Każdą przyjemną myśl przerywały najnowsze wyniki, statystyki, najświeższe wiadomości czy konieczność podjęcia błyskawicznej decyzji.

Ale w Białym Domu na pewno się ukryje. Nie będzie pierwszym samotnikiem, który tam zamieszka.

- 118 -

ROZDZIAŁ 21

Od miesiąca osadzonych fascynowała sprawa skradzionego telefonu komórkowego. Niejaki T-Gnat, żyłasty ulicznik z Miami, który odsiadywał karę dwudziestu lat więzienia za handel narkotykami, wszedł w jego posiadanie w bliżej nieznanym sposobie. Telefony komórkowe były w Trumble surowo zakazane, dlatego sposób, w jaki go zdobył, wzbudził więcej plotek niż życie seksualne T. Karla. Nieliczni, którzy go widzieli, twierdzili później, że był nie większy od stopera. Niejednokrotnie widywano też, jak T-Gnat czał się w cieniu; mocno pochylony, tyłem do świata, z brodą przyciśniętą do piersi, mamrotał coś do telefonu, bez wątplenia wydając rozkazy kumplom z Miami.

I nagle telefon zniknął. T-Gnat rozgłosił, że zabije drania, który go podprowadził, a kiedy groźby nie poskutkowały, ustanowił nagrodę w wysokości tysiąca dolarów. Niebawem podejrzenia padły na innego młodego dealera, Zorra z Atlanty, który mieszkał i handlował prochami w dzielnicach równie niebezpiecznych jak uliczne królestwo T-Gnata. Istniało duże prawdopodobieństwo, że dojdzie do morderstwa, dlatego natychmiast zainteresowali strażnicy oraz kierownictwo.

Zwaśnionych uprzedzono, że jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, obydwaj zostaną przeniesieni. Rozboju w Trumble nie tolerowano. Karą za złamanie dyscypliny miała być wycieczka do zakładu o zaostrzonym reżimie i pobyt wśród tych, którzy wiedzieli, co znaczy prawdziwa przemoc.

Ktoś powiedział T-Gnatowi o cotygodniowych rozprawach w kantine, a ten odszukał T. Karla i przekazał mu stosowny pozew. Chciał odzyskać telefon i żądał miliona dolarów odszkodowania za poniesione straty.

Na pierwsze posiedzenie sądu przyszedł zastępca naczelnika, dlatego rozprawę szybko odroczone. Ten sam manewr powtórzono w trakcie następnego posiedzenia. Zarzutów w rodzaju kto miał, a kto nie miał telefonu komórkowego, z którego korzystanie było w Trumble zabronione, nie mógł wysłuchiwać nikt z administracji. Obecni na obradach strażnicy nie powtórzyliby nikomu ani słowa.

Sędzia Spicer przekonał w końcu jednego z cerberów, że chłopcy mają do rozstrzygnięcia prywatną sprawę, sprawę, której w obecności przedstawicieli władz nigdy nie rozstrzygną. „To bardzo delikatna kwestia - szepnął. - Musimy rozwiązać ją bez obcych”.

Prośba szybko dotarła na górę i podczas trzeciej rozprawy kantine była nabita widzami, z których większość oczekiwała rozlewu krwi. Jedynym przedstawicielem władz był strażnik drzemiący samotnie pod ścianą.

Widok sali sądowej był obu stronom doskonale znany, dlatego bez zdziwienia przyjęto wiadomość, że zarówno T-Gnat, jak i Zorro będą występować w charakterze swoich własnych adwokatów. Pierwszą godzinę rozprawy sędzia Beech poświęcił niemal w całości na walkę o kulturę języka. W końcu zrezygnował. Powód stawiał dziesiątki absurdalnych zarzutów, których nie można by udowodnić bez pomocy co najmniej tysiąca agentów FBI. Równie głośne i niedorzeczne argumenty wysuwał obrońca, czyli oskarżony. T-Gnat zadał mu jednak potężny cios: przedstawił sądowi dwa oświadczenia podpisane przez anonimowych świadków - ich nazwiska poznali jedynie Bracia - którzy na własne oczy widzieli, jak Zorro rozmawiał przez małe telefon.

Rozwścieczony Zorro skomentował to językiem, jakiego sędziowie nigdy w życiu nie słyszeli.

Nokautujący cios padł nagle i niespodziewanie. Pociągnięciem, które wprawiłoby w podziw najbardziej przebiegłego adwokata, T-Gnat przedłożył sądowi urzędowy dokument - przeschumowany do więzienia rachunek telefoniczny, rachunek

- 119 -

jednoznacznie potwierdzający fakt, że z telefonu T-Gnata przeprowadzono dokładnie pięćdziesiąt cztery rozmowy z abonentami mieszkającymi w południowo-wschodniej dzielnicy Atlanty. Jego zwolennicy, koledzy spod celi, których przychylność mógł w każdej chwili stracić, wrzeszczeli, gwizdali i krzyczeli, dopóki T. Karl nie grzmotnął młotkiem w stół.

Zorro miał kłopoty z odparowaniem ciosu i to go pogrążyło. Wysoki Sąd wydał orzeczenie: w ciągu dwudziestu czterech godzin oskarżony miał przekazać telefon Braciom oraz wypłacić pokrzywdzonemu czterysta pięćdziesiąt dolarów tytułem zwrotu kosztów za przeprowadzone rozmowy. Jeśli tego nie zrobi, sprawa zostanie przekazana naczelnikowi wraz z oficjalnym doniesieniem, że Zorro posiada telefon.

Sąd nakazał również, żeby zwaśnieni nie zbliżali się do siebie na odległość mniejszą niż piętnaście metrów, nawet podczas posiłków.

T. Karl grzmotnął młotkiem w stół, a gdy hałaśliwy tłum zaczął wychodzić z sali, wezwał przed oblicze sądu następnych klientów, dwóch drobnych hazardzistów procesujących się o zwrot długu.

- Cisza! - krzyknął, lecz wrzawa tylko przybrała na sile.

Bracia zajęli się lekturą gazet i czasopism.

- Cisza! - wrzasnął T. Karl i ponownie grzmotnął młotkiem w stół.

- Zamknij się! - ryknął Spicer. - Robisz więcej hałasu niż oni.

- Na tym polega moja praca - warknął T. Karl, potrząsając długimi lokami peruki.

Kantyna opustoszała i został w niej tylko jeden osadzony. T. Karl popatrzył w lewo, potem w prawo, wreszcie spytał:

- Ty jesteś Hooten?

- Nie, proszę pana - odparł młodzieniec.

- A może Jenkins?

- Nie, proszę pana.

- Tak myślałem. Sprawa Hooten kontra Jenkins zostaje odroczone. - T. Karl usiadł i teatralnym gestem odnotował

ten fakt w księdze rozpraw.

- Kim pan jest? - spytał Spicer.

Młody człowiek siedział samotnie, rozglądając się na wszystkie strony, jakby nie był pewien, czy jest mile widzianym gościem. Teraz patrzyli na niego już wszyscy - trzech sędziów w bładozielonych togach oraz sądowy błazen w szarej peruce, w starej brązowej piżamie i w jasnofioletowych kłapkach z aksamitu na bosych stopach. Chryste, co to za ludzie?

Powoli wstał, strachliwie podszedł bliżej i przystanął.

- Szukam pomocy - wyszeptał, jakby bał się mówić.

- Chcesz wnieść pozew? - warknął z boku T. Karl.

- Nie, proszę pana.

- W takim razie...

- Zamknij się! - wrzasnął Spicer. - Zamykam posiedzenie. Wyjdź.

T. Karl uderzył młotkiem w stół, odsunął kopniakiem krzesło i wypadł z sali, powiewając peruką i ślizgając się na gładkiej podłodze.

Zdawało się, że młodzieniec zaraz się rozpłacze.

- Co możemy dla pana zrobić? - spytał Yarber.

- 120 -

Chłopak ścisnął w rękach małe kartonowe pudełko i Bracia wiedzieli z doświadczenia, że są w nim dokumenty, które sprowadziły go do Trumble.

- Potrzebuję pomocy - powtórzył. - Jestem tu od tygodnia i mój kolega z celi powiedział, że moglibyście wnieść w moim imieniu apelację...

- Nie ma pan adwokata? - spytał Beech.

- Miałem, ale kiepskiego. Gdyby nie on, nigdy bym tu nie trafił.

- Za co pana wsadzili? - spytał Spicer.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Miał pan proces?

- Tak, bardzo długi.

- Przysięgli uznali, że jest pan winny?

- Tak. Ja i kilkunastu innych. Powiedzieli, że byłem członkiem zorganizowanej grupy przestępczej.

- Która zajmowała się...

- Importem kokainy.

Kolejny handlarz. Bracia zaczęli się niecierpliwić - musieli pisać listy.

- Ile pan dostał? - spytał Yarber.

- Czterdzieści osiem lat.

- Czterdzieści osiem! Ile ma pan lat?

- Dwadzieścia trzy.

Zapomnieli o listach, przynajmniej chwilowo. Patrzyli na jego smutną, młodą twarz i próbowali sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała za prawie pół wieku. Chłopak wyjdzie na wolność jako siedemdziesięcioletni starzec - nie, to niewyobrażalne. Opuszczając Trumble, każdy z Braci będzie młodszy od niego.

- Weź krzesło i siadaj - powiedział Yarber.

Chłopak chwycił najbliższe i ustawił je naprzeciwko stołu. Nawet Spicer trochę mu współczuł.

- Jak się nazywasz? - spytał Yarber.

- Mówią na mnie Buster.

- Dobra, Buster. Powiedz nam, za co dostałeś czterdzieści osiem lat.

Widać było, że chce to z siebie wyrzucić. Ustawivszy pudełko na kolanach, wbił wzrok w podłogę i zaczął od zapewnienia, że ani on, ani jego ojciec nigdy nie weszli w konflikt z prawem. Mieli małą przystań w Pensacoli. Łowili ryby, żeglowali, kochali morze, prowadzenie przystani było ich życiem. Pewnego razu sprzedali stary kuter rybacki klientowi z Fort Lauderdale, Amerykaninowi, który zapłacił gotówką dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Pieniądze poszły do banku, a przynajmniej tak myślał Buster. Kilka miesięcy później Amerykanin wrócił po kolejną łódź, jedenastoipółmetrowy kuter, za który zapłacił osiemdziesiąt tysięcy dolarów; transakcje gotówkowe nie należały na Florydzie do rzadkości. Wkrótce sprzedali trzeci i czwarty kuter. Buster i jego ojciec wiedzieli, gdzie znaleźć dobre używane łodzie. Odnawiali je, remontowali

- lubili robić to sami. Kiedy sprzedali piąty kuter, zaczęli ich nachodzić tajniacy z wydziału do spraw walki z handlem narkotykami. Zadawali pytania, grozili, chcieli obejrzeć księgi rachunkowe i rejestry. Ojciec Bustera początkowo odmawiał, a potem wynajął adwokata, za którego radą odmówili współpracy z policją. Przez kilka miesięcy był spokój.

Pewnej soboty o trzeciej nad ranem aresztował ich oddział specjalny w kamizelkach kuloodpornych, banda zbirów,

- 121 -

którzy przydźwigali ze sobą tyle broni, że mogliby zająć całą Pensacolę i wziąć parę tysięcy zakładników. Błyskając latarkami i reflektorami, wyciągnęli ich na wpół nagich z domku na przystani. Akt oskarżenia miał dwa i pół centymetra grubości, liczył

sto sześćdziesiąt stron i zawierał osiemdziesiąt jeden zarzutów, w tym zarzut główny - udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się importem kokainy; Buster miał w pudełku pełny odpis. O nim i o jego ojcu ledwie tam wspomniano, niemniej zostali oskarżeni łącznie z Amerykaninem, któremu sprzedawali kutry, i z dwudziestoma pięcioma innymi, o których nigdy w życiu nie słyszeli. Jedenastu z nich było Kolumbijczykami. Trzech prawnikami. Pozostali pochodzili z południowej Florydy.

Prokurator zaproponował im ugodę - dwa lata na łebka w zamian za przyznanie się do winy i zeznania obciążające pozostałych oskarżonych. Tylko do czego mieli się przyznawać? Nie zrobili nic złego. Z dwudziestu sześciu obwinionych znali ledwie jednego. I nigdy w życiu nie widzieli kokainy.

Ojciec Bustera zastawił dom, żeby zdobyć dwadzieścia tysięcy dolarów na adwokata. Niestety, dokonali złego wyboru. Podczas rozprawy posadzono ich przy jednym stole z Kolumbijczykami, prawdziwymi handlarzami. Po jednej stronie sali oni, wszyscy razem, niczym trybiki dobrze naoliwionej maszyny, a po drugiej, kilka kroków od ławy przysięgłych, rządowi oskarżyciele, grupa nadętych sukinsynów w ciemnych garniturach, którzy łypali na nich spode łba jak na zboczeńców molestujących małe dzieci. Przysięgli też tak na nich patrzyli. Podczas trwającego siedem tygodni procesu praktycznie nie zwracano na nich uwagi. Ich nazwiska wymieniono ledwie trzy razy. Zarzucono im jedno: że zaopatrywali Kolumbijczyków w wyremontowane kutry rybackie z podrasowanymi silnikami, które ci wykorzystywali do przemykania kokainy z Meksyku i dostarczania jej do określonych punktów przerzutowych na wybrzeżu południowej Florydy. Adwokat Bustera nie potrafił obalić tych zarzutów i nieustannie narzekał, że za mało mu płacą. Mimo to oskarżyciele w dalszym ciągu ich ignorowali, gdyż znacznie bardziej zależało im na przygwożdżeniu Kolumbijczyków.

Nie musieli się zbytnio wysilać, gdyż odwalili kawał znakomitej roboty, dobierając członków ławy przysięgłych. Po ośmiodniowych naradach, sfrustrowani i zmęczeni długą nasiadówką, przysięgli uznali, że wszystkie zarzuty są słuszne i wszyscy oskarżeni są winni. Miesiąc po tym, gdy zostali skazani, ojciec Bustera popełnił samobójstwo.

Kończąc swoją opowieść, chłopak był bliski płaczu. Ale nie, wysunął dolną szczękę, zacisnął zęby i dodał:

- Nie zrobiłem nic złego.

Nie był pierwszym osadzonym, który twierdził, że jest niewinny. Beech słuchał go i myślał o pewnym młodym człowieku, którego skazał w Teksasie na czterdzieści lat więzienia za handel

narkotykami. Koszmarne dzieciństwo, długi staż jako młodociany przestępca, brak wykształcenia - chłopak nie miał w życiu żadnych szans. Beech pouczał go z góry niczym napuszczony mentor i cieszył się, że może wydać tak surowy wyrok. Trzeba oczyścić ulice z tych przeklętych handlarzy!

Liberał to aresztowany konserwatysta. Po trzech latach spędzonych w Trumble Hatlee Beech żałował niektórych wyroków i bardzo z tego powodu cierpiał. Skazywał na więzienie przestępców znacznie groźniejszych niż Buster. Młodych ludzi, którymi wystarczyło się tylko zająć.

Finn Yarber słuchał i ogarniała go coraz większa litość. Każdy z osadzonych miał swoją smutną historię i już po miesiącu sędzia przestał w nie wierzyć. Lecz Busterowi uwierzył. W ciągu czterdziestu ośmiu lat pobytu w Trumble chłopak zwiędnie i zmarnieje na koszt podatników. Trzy posiłki dziennie. Ciepłe łóżko na noc. Według ostatnich szacunków, utrzymanie jednego więźnia kosztowało trzydzieści jeden tysięcy dolarów rocznie. Koszmar. Połowa osadzonych w Trumble nie miała tu czego szukać. Byli łagodnymi ludźmi, których powinno się ukarać wysokimi grzywnami albo pracami publicznymi.

Joe Roy Spicer słuchał poruszającej opowieści Bustera i zastanawiał się, czy i jak można by wykorzystać chłopaka w

przyszłości. Istniały dwie możliwości. Po pierwsze, od dawna uważał, że nie wykorzystują odpowiednio telefonów. Byli starcami, którzy pisali listy, udając krzepkich młodzieniaszków. Zadzwoić do takiego Garbe'a z Iowy i przedstawić się jako dwudziestoosmioletni Ricky? To zbyt ryzykowne. Ale gdyby wciągnęli do współpracy Bustera, mogliby przekonać każdą potencjalną ofiarę. W Trumble siedziało mnóstwo młodych chłopców i Spicer rozważał kilka kandydatur. Sęk w tym, że ludzie ci byli kryminalistami i sędzia im nie ufał. Natomiast Buster do kryminalistów nie należał. Ba! Wydawało się, że jest niewinny, no i prosił ich o pomoc. Łatwo mogliby nim manipulować.

Druga możliwość była pochodną pierwszej. Gdyby Buster przystał do Bractwa, Spicer miałby dobrego zastępcę.

Szwindel okazał się przedsięwzięciem zbyt dochodowym, żeby tak po prostu z niego zrezygnować. Beech i Yarber świetnie pisali listy, lecz nie mieli zmysłu organizacyjnego. Spicer mógłby Bustera wyszkolić i po wyjściu na wolność zgarniałby swoją działkę za jego pośrednictwem...

Zawsze to jakaś myśl.

- Masz jakieś pieniądze? - spytał.

- Nie, proszę pana. Wszystko straciliśmy.

- A rodzinę? Wujków, ciotki, kuzynów albo przyjaciół, którzy mogliby uiścić honorarium?

- Nie, proszę pana. Jakie honorarium?

- Za pomoc przy rewizji sprawy i przy wnoszeniu apelacji pobieramy honorarium.

- Jestem kompletnie spłukany.

- Spróbujemy ci pomóc - oświadczył Beech. Spicer i tak się na tym nie znał, nie skończył nawet ogólniaka.

- Coś w rodzaju pro publico bono, nie uważasz? - rzucił Yarber do Beecha.

- Pro co? - nie zrozumiał Spicer.

- Pro publico bono.

- Co to jest?

- Darmowa pomoc prawna.

- Darmowa pomoc prawna - powtórzył Spicer. - Niby kto miałby pomagać komu?

- Adwokat klientowi - wyjaśnił Yarber. - Każdy adwokat powinien poświęcić kilka godzin czasu na pomoc ludziom, których na niego nie stać.

- To stare angielskie prawo zwyczajowe - dodał Beech, co jeszcze bardziej zagmatwało kwestię.

- Ale w Stanach chyba się nie przyjęło, co? - mruknął Spicer.

Yarber spojrział na Bustera.

- Przyjrzymy się twojej sprawie - powiedział. - Ale nie liczyłbym na zbyt wiele.

- Dziękuję.

Wyszli z kantyny całą grupą: trzech sędziów w zielonych togach z murzyńskiego chóru kościelnego i przerażony chłopak. Przerażony, ale i bardzo zaintrygowany.

- 123 -

ROZDZIAŁ 22

Czytając list Branta z Upper Darby w Pensylwanii, czuło się bijącą z niego niecierpliwość.

Drogi Ricky,

O rany, ale fotka! Przyjeżdżam jeszcze szybciej, bo już dwudziestego kwietnia. Jak stoisz z czasem?

Moglibyśmy mieć dom tylko dla siebie, ponieważ żona zostaje tu dwa tygodnie dłużej. Biedaczka. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu dwóch lat, a ona niczego się nie domyśla.

Oto moje zdjęcie. W tle widzisz learjeta, jedną z moich ulubionych zabawek. Jeśli zechcesz, możemy sobie polatać.

Odpisz natychmiast.

Szczerze oddany Brant

Wciąż bez nazwiska, ale nic to. Wkrótce je poznają.

Spicer obejrzał stempel i skonstatował, że listy między Jacksonville i Filadelfią kursują niezwykle szybko. Jednakże myślał o tym tylko króciutką chwilę, ponieważ jego uwagę przykuło zdjęcie. Należało do tych niby nie upozowanych i można by wykorzystać je do kampanii reklamowej z cyklu „Wzbogać się szybko i bez wysiłku”. Dumnie uśmiechnięty nuworysz stoi przed swoim odrzutowcem i rollsem, z najnowszą żoną u boku. Uśmiechnięty Brant - tenisowe szorty i elegancki sweterek - stał przy samolocie. Rollsa na zdjęciu nie było, była za to atrakcyjna brunetka, ani chybi żona.

Ich kolekcja zdjęć szybko się powiększała, lecz żaden korespondent nie przysłał im jak dotąd zdjęcia żony. Dziwne, dumął Spicer. Chociaż Brant wcale nie ukrywał, że ma żonę; wspominał o niej w obu listach. Spicera nic już nie dziwiło.

Mogli ich szantażować i przez tysiąc lat, ponieważ na świecie żyła nieskończona liczba potencjalnych ofiar gotowych zaryzykować bez względu na stawkę.

Brant był szczupły i opalony. Miał wąsy i krótkie, ciemne, lekko przyprószone siwizną włosy. Nie należał do najprzystojniejszych, ale kogo to obchodzi?

Dlaczego człowiek, który miał tak wiele, był aż tak nieostrożny? Ponieważ zawsze ryzykował i nigdy go nie przyłapano. Ponieważ lubił tak żyć. Kiedy go przycisną i oskubią z pieniędzy, na pewno trochę zwolni. Będzie unikał ogłoszeń towarzyskich i anonimowych kochanków, lecz jako typ agresywny, po jakimś czasie wróci do dawnych zwyczajów.

Spicer doszedł do wniosku, że dreszczyk emocji towarzyszący poszukiwaniu przypadkowych partnerów przesłania wszelkie ryzyko. I wciąż dręczyła go świadomość, że to właśnie on spędza codziennie kilka godzin, próbując myśleć jak homoseksualista.

Beech i Yarber przeczytali list i obejrzelili zdjęcie. W ciasnej salce zapadła głucha cisza. Czyżby naprawdę trafili na żyłę złota?

- Ciekawe, ile taki samolot kosztuje - rzucił Spicer.

Roześmiali się. Nerwowo, jakby nie byli pewni, czy mogą wierzyć własnemu szczęściu.

- Ze dwa miliony - odrzekł Beech. Ponieważ pochodził z Teksasu i był kiedyś mężem bogaczki, jego koledzy uznali,

- 124 -

że zna się na samolotach lepiej od nich. - To mały learjet.

Spicer zadowoliliby się małą cessną, czymkolwiek, co wzleciałoby w powietrze i go stamtąd zabrało. Yarber nie chciał samolotu. Wolałby bilet, wygodny fotel w pierwszej klasie, gdzie podawano szampana, dwa jadłospisy i gdzie miałyby wybór filmów do obejrzenia. Tak, lot pierwszą klasą nad Atlantykiem, aby jak najdalej od tego kraju.

- Rąbnijmy go - zaproponował Yarber.

- Na ile? - spytał Beech, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

- Na co najmniej pół miliona - zdecydował Spicer. - Jeśli wymięknie, zażądamy więcej.

Zamilkli, bo każdy z nich delektował się w myśli swoją działką. Krew psuł im tylko Trevor. Zgarnie jedną trzecią, sto sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów, a oni tylko po sto jednaście. Jak na więźniów to całkiem nieźle, ale powinno im przypaść znacznie więcej. Dlaczego musieli tyle płacić?

- Obetniemy mu stawkę - oznajmił Spicer. - Długo o tym myślałem. Począwszy od dzisiaj będziemy dzielić pieniądze na cztery części. Każdy dostanie po równo.

- On się nie zgodzi - powiedział Yarber.

- Nie ma wyboru.

- Tak będzie sprawiedliwiej - wtrącił Beech. - My odwalamy czarną robotę, a on na nas żeruje. Niech każdy dostaje po równo.

- Załatwię to w czwartek.

Trevor przyjechał do Trumble dwa dni później. Miał paskudnego kaca, którego nie złagodził ani dwugodzinny lunch, ani godzinna drzemka.

Joe Roy był bardzo spięty. Podał mu listy, lecz jedną kopertę zatrzymał.

- Robimy go - oznajmił, postukując nią w stół.

Trevor spojrzał na kopertę. Była duża i czerwona.

- Kogo? - spytał.

- Jakiegoś Branta. Mieszka niedaleko Filadelfii. Znamy tylko numer jego skrytki pocztowej, więc musisz go wypłoszyć.

- Na ile?

- Na pół miliona.

Trevor rozchylił spierzchnięte wargi. Jego nabiegłe krwią oczy jeszcze bardziej się zwęziły. Szybko obliczył procent: do kieszeni wpadłoby mu sto sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów. Jacht był coraz bliżej. Może wcale nie potrzebował

miliona, żeby zatrzaskać drzwi kancelarii i pożeglować na Karaiby. Może wystarczyłaby połowa. A do połowy miał już niedaleko.

- Żartujesz - powiedział, dobrze wiedząc, że Spicer nie żartuje. Sędzia nie miał poczucia humoru, a sprawy finansowe zawsze traktował ze śmiertelną powagą.

- Nie. Poza tym zmniejszamy ci stawkę.

- Akurat. Umowa to umowa.

- Umowy są po to, żeby je zmieniać. Od tej pory dostajesz tyle samo co my. Jedną czwartą.

- Odpada.

- W takim razie jesteś zwolniony.

- Nie możesz mnie zwolnić.

- Właśnie to zrobiłem. Bo co? Myślisz, że nie znajdziemy innego sprzedawczyka, który będzie odbierał i wysyłał

nasze listy?

- Za dużo wiem. - Trevor zaczerwienił się, nagle zaschło mu w gardle.

- Masz o sobie za duże mniemanie. Nie jesteś aż tak cenny.

- Owszem, jestem. Wiem, co tu się dzieje.

- My też, ważniaku. Cała różnica polega na tym, że my już siedzimy w więzieniu, a ty jeszcze nie. To ty masz najwięcej do stracenia. Będziesz się stawiał, to wylądujesz po tej samej stronie stołu, co ja.

Trevor zamknął oczy. Głowa pękała mu z bólu. Nie miał siły się z nim wyklócać. Po jaką cholere siedział tak długo U

Pete'a? Ze Spicerem trzeba ostrożnie i na trzeźwo. A on był zmęczony i na wpół pijany.

Ściany zawirowały i poczuł, że zaraz zwymiotuje. Pół miliona na cztery? Sto dwadzieścia pięć tysięcy. Przedtem zgarnąłby sto sześćdziesiąt siedem - kłócili się raptem o czterdzieści dwa tysiące dolarów. Sto sześćdziesiąt siedem i sto dwadzieścia pięć - szczerze mówiąc, obie kwoty były bardzo atrakcyjne. Nie, nie mógł ryzykować. Miał tylko kilku klientów, a i tych zdołał do siebie zrazić. Coraz mniej czasu spędzał w kancelarii, do nikogo nie oddzwaniał. Odkrył o wiele bogatsze źródło dochodów, więc po cholere mu drobica?

Poza tym Spicer to za silny przeciwnik. Ten potwór nie miał sumienia. Był skryty, złośliwy i rozpaczliwie pragnął

odłożyć tyle, ile tylko się da.

- Beech i Yarber też są za tym? - spytał, doskonale zdając sobie sprawę, że są, i że nawet gdyby nie byli, nigdy by się o tym nie dowiedział.

- Oczywiście. Odwalają całą robotę. Dlaczego miałbyś zarabiać więcej od nich?

Fakt, to trochę nie fair.

- Dobrze, już dobrze - mruknął, wciąż walcząc z upiornym bólem głowy. - Nie bez powodu wsadzili was do więzienia.

- Czyżbyś za dużo pił?
- A skąd! Bo co?
- Bo się na tym znam. Wyglądasz tragicznie.
- Wielkie dzięki. Ty zajmij się swoimi sprawami, ja się zajmę swoimi.
- Zgoda, ale pamiętaj, że pijanego adwokata nikt nie zatrudni. Powierzamy ci duże pieniądze, lewe pieniądze.

Chłapiesz coś w barze i będzie po herbacie.

- Dam sobie radę.
- To dobrze. Uważaj na siebie. Wyciągamy od ludzi tysiące dolarów, robimy im krzywdę. Na ich miejscu kusiłoby mnie, żeby tu przyjechać i trochę popytać.
- Za bardzo się boją.
- Tak czy inaczej, miej oczy szeroko otwarte. Musisz być trzeźwy i czujny.
- Dziękuję za radę. Jeszcze coś?
- Tak, zakłady. - A więc do interesów. Spicer otworzył gazetę i zaczęli obstawiać.

Wracając do Jacksonville, niespiesznie popijał piwo, które kupił w sklepiku na skraju miasta. Próbował nie myśleć o

- 126 -

pieniądzach, ale nie mógł się powstrzymać. W banku na Bahamach spoczywało dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów - w każdej chwili mógłby te pieniądze ukraść. Dodać do tego pół miliona - musiał, po prostu musiał te kwoty podsumować - i miałby siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Nigdy by go nie przyłapali, w tym całe piękno. Ofiary szantażu nie mogły pójść na policję, bo za bardzo się wstydziły.

Ci ludzie nie łamali prawa. Oni po prostu się bali. Natomiast Bracia popełniali przestępstwo. Do kogo pobiegliby na skargę, gdyby zwiął z forszą i zniknął?

Nie, nie, musiał przestać o tym myśleć.

No, ale jakim sposobem mogliby go dopaść? Żeglowałyby jachtem między wyspami, o których nawet nie słyszeli. A kiedy wyszliby w końcu z więzienia, czy mieliby jeszcze siłę i pieniądze, żeby go wytropić? Oczywiście, że nie. Byli starcami.

Beech pewnie w ogóle nie wyjdzie, bo przedtem umrze...

- Przestań! - wrzasnął.

Wpadł do Beach Java na potrójną kawę i postanowił zrobić coś pożytecznego. Wrócił do kancelarii i znalazł w Internecie nazwiska kilku prywatnych detektywów w Filadelfii. Dochodziła szósta, kiedy zaczął do nich wydzwaniać. Dwa pierwsze numery - i tu, i tu automatyczna sekretarka.

Trzeci numer, biuro niejakiego Eda Pagnozzi. Odebrał sam właściciel. Trevor przedstawił się jako adwokat z Florydy i wyjaśnił, że ma dla niego robotę w Upper Darby.

- Dobra, jaką?

- Próbuję kogoś wytropić - odparł bez zająknięcia Trevor; miał wprawę, recytował ten tekst nie pierwszy raz. -

Prowadzę dużą sprawę rozwodową, moją klientką jest żona. Przypuszczam, że mąż ukrywa przed nią duże pieniądze i muszę sprawdzić, kto wynajmuje pewną skrytkę pocztową.

- Żartuje pan.

- Nie, absolutnie.

- Chce pan, żebym warował przy jakiejś skrytce pocztowej?

- To chyba nic trudnego.

- Posłuchaj, przyjacielu. Jestem bardzo zajęty. Zadzwoń do kogoś innego. - Pagnozzi odłożył słuchawkę i zajął się poważniejszymi sprawami.

Trevor zaklął pod nosem i wystukał kolejny numer. Potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, ale znowu odpowiedziały mu automatyczne sekretarki. Postanowił zadzwonić nazajutrz rano.

Czuwający po drugiej stronie ulicy Klockner przesłuchał taśmę z nagraniem krótkiej rozmowy z Pagnozzim i zatelefonował do Langley. Właśnie wpadł mu do ręki ostatni kawałek układanki i Deville na pewno zechce się o tym dowiedzieć.

Chociaż szwindel opierał się głównie na gładkich słówkach i kuszących zdjęciach, u jego podstaw leżała bardzo prosta zasada: Bracia wykorzystywali ludzkie żądze i strach. Agenci rozgryźli to dzięki dokumentacji udostępnionej przez Garbe'a, dzięki sprytniej zagrywce na odwyrtkę i listom, które zdołali przechwycić.

Tylko jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi - skoro szantażowani posługiwali się fałszywymi nazwiskami, w jaki sposób Bracia odgadywali ich prawdziwą tożsamość? Telefonując do Filadelfii, Trevor wszystko wyjaśnił; po prostu wynajmował miejscowego detektywa, kogoś mniej zajętego niż pan Pagnozzi.

Dochodziła dziesiąta, kiedy Maynard przyjął w końcu Deville'a. Północnokoreański wartownik zastrzelił

amerykańskiego żołnierza w strefie zdemilitaryzowanej i Teddy babrał się w tej sprawie od południa. Kiedy Deville wszedł do bunkra, dyrektor CIA jadł krakersy z serem i pił colę bez cukru.

- Tak myślałem - powiedział, wysłuchawszy krótkiego meldunku.

Miał znakomity instynkt, zwłaszcza po fakcie.

- Oznacza to, że Carson mógł wynająć prywatnego detektywa i tutaj, i że może znać prawdziwą tożsamość Ala Konyersa - dodał Deville.

- Jak by do tego doszedł?

- Kilkoma sposobami. Po pierwsze, detektyw mógł obserwować skrytkę i przyłapać go dokładnie tak samo, jak my przyłapaliśmy Lake'a. To trochę ryzykowne, bo facet sterczący na poczcie dwadzieścia cztery godziny na dobę rzuca się w oczy. Po drugie, mógł przekupić jakiegoś urzędnika. Pięćset dolarów gotówką i sprawa załatwiona. Po trzecie, komputery.

Tego rodzaju dane nie są ściśle tajne. Jeden z naszych ludzi włamał się na rybkę do komputera poczty głównej w Evansville w Indianie i ściągnął kompletną listę skrytek. Zajął mu to godzinę. Istnieją również techniki mniej zaawansowane. Mógł po prostu włamać się nocą na pocztę i sprawdzić wszystko na miejscu.

- Ile ten Carson im za to płaci?

- Nie wiem, ale kiedy tylko kogoś wynajmie, kwestia się wyjaśni.

- Trzeba go zneutralizować.

- Wyeliminować?

- Jeszcze nie. Wolałbym go przekupić. To nasza szansa. Gdyby dla nas pracował, wiedzielibyśmy, co się dzieje w Trumble, i trzymalibyśmy go z daleka od Konyersa. Opracuj plan.

- A plan eliminacji?

- Też, ale nie ma pośpiechu. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ 23

Południe rzeczywiście go kochało. Lubił bomby, rakiety, karabiny, twardą gadkę na temat militarnej

gotowości -

dlaczego miało go nie pokochać? Floryda, Missisipi, Tennessee, Oklahoma, Teksas - zalał te stany reklamami jeszcze odważniejszymi niż te, od których zaczynał. A ludzie Teddy'ego Maynarda zalali je największą ilością pieniędzy, jaka kiedykolwiek przeszła z rak do rąk na dzień przed prawyborami.

Rezultatem był kolejny triumf. Aaron Lake zdobył poparcie dwustu sześćdziesięciu z trzystu dwunastu delegatów.

Kiedy czternastego marca podliczono wszystkie głosy, okazało się, że z ogólnej liczby dwóch tysięcy sześćdziesięciu sześciu delegatów, tysiąc trzystu jeden już się zdecydowało. Ośmiuset jeden popierało Lake'a, trzystu dziewięćdziesięciu gubernatora Tarry'ego.

Jeśli wykluczyć nieprzewidzianą katastrofę, można by powiedzieć, że wyścig dobiegł już końca.

Pierwszą pracą, jaką dali mu w Trumble, było koszenie trawy. Dostawał za to dwadzieścia centów za godzinę. Mógł

wybierać między koszeniem a zmywaniem podłogi w kantynie. Wybrał to pierwsze, ponieważ lubił słońce i poprzysiągł sobie, że nie zblednie, a raczej nie wyblaknie jak niektórzy z osadzonych. Nie zblednie ani nie przytyje. To jest więzienie, powtarzał

sobie do znudzenia. Skąd tu tylu grubasów?

Tak więc harował w jaskrawym słońcu, utrwał opaleniznę, pamiętał o płaskim brzuchu i próbował dostosować się do nowego życia. Lecz już po dziesięciu dniach wiedział, że czterdziestu ośmiu lat nie wytrzyma.

Czterdzieści osiem lat! Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Kto by potrafił?

Pierwsze czterdzieści osiem godzin gorzko przepłakał.

A nie dalej jak przed trzynastoma miesiącami prowadzili z ojcem przystań. Pływali łodzią, dwa razy w tygodniu łowili ryby w zatoce.

Sunął powoli wzdłuż betonowego krawężnika boiska do koszykówki, na którym trwał hałaśliwy mecz. Parę minut później dotarł do wielkiej piaskownicy, gdzie czasami grywano w siatkówkę. W oddali dostrzegł sylwetkę mężczyzny spacerującego samotnie po bieżni. Miał długie, siwe, związane w kucyk włosy, był bez koszuli i wyglądał znajomo. Buster pchnął kosiarkę i ruszył w tamtą stronę.

Samotnikiem okazał się Finn Yarber, jeden z trzech sędziów, którzy próbowali mu pomóc. Szedł równym krokiem, głowę trzymał wysoko, plecy miał sztywno wyprostowane - do lekkoatlety było mu daleko, ale jak na sześćdziesięciolatka prezentował się całkiem nieźle. Był na bosaka, a jego plecy spływały potem.

Buster wyłączył maszynę i położył ją na ziemi. Yarber podszedł bliżej.

- Jak się masz, Buster? Co słychać?

- Nic. Wciąż tu jestem. Mógłbym z panem porozmawiać?

- Oczywiście - odrzekł Yarber, nie zwalniając kroku.

Przeszli dwieście metrów, zanim Buster zebrał się na odwagę i spytał:

- Jak tam moja apelacja?

- Sędzia Beech nad tym pracuje. Niestety, uchybień w procedurze nie było. To zła wiadomość. Jeśli są uchybienia, a

- 129 -

zwykle są, wysyłamy parę wniosków i udaje nam się zmniejszyć wyrok o kilka lat. Ale nie w twoim przypadku. Bardzo mi przykro.

- Nie szkodzi. Cóż znaczy kilka lat, kiedy ma się do odsiedzenia czterdzieści osiem? Dwadzieścia osiem, trzydzieści osiem, czterdzieści osiem - co to za różnica?

- Apelację zawsze można złożyć. Jest szansa, że ją uwzględnią.

- Bardzo nikła.

- Nie możesz tracić nadziei, Buster. - Sędzia powiedział to bez żadnego przekonania. Jeśli ktoś miał nadzieję, oznaczało to, że wierzy w system. Tymczasem Yarber w system nie wierzył. Wrobiło go i wykiwało to samo prawo, którego kiedyś bronił.

Lecz on miał przynajmniej wrogów i poniekąd rozumiał, dlaczego go zaatakowano.

Tymczasem ten biedny chłopak nie zrobił nic złego. Yarber przeczytał akta jego sprawy i był absolutnie przekonany, że Buster jest niewinny, że padł ofiarą nadgorliwego prokuratora.

Niewykluczone - przynajmniej tak wynikało z akt - że jego ojciec mógł ukryć jakieś pieniądze. Ale nawet jeśli tak było, w grę wchodziły doprawdy śmieszne kwoty. Ani jeden, ani drugi nie zrobił nic, za co można by odczytać im stusześcdziesięciostronicowy akt oskarżenia.

Nadzieja. Czuł się jak hipokryta na samą myśl o nadziei. Sądy apelacyjne były zdominowane przez bezdusznych prawników, zagorzałych zwolenników prawa i porządku, u których odwołanie w sprawie o handel narkotykami nie miało najmniejszych szans. Odrzucając wniosek Bustera, przystawiają na nim stempel, wmawiając sobie, że dzięki nim ulice będą bezpieczniejsze.

Jednak największym tchórzem był sędzia. Prokuratorzy chcą oskarżyć cały świat, bo taka ich rola, rolę sędziów natomiast jest odróżnianie ziarna od plew. Buster i jego ojciec powinni byli zostać oddzieleni od Kolumbijczyków i odesłani do domu na długo przed rozpoczęciem procesu.

Teraz jeden z nich nie żył, a drugi miał zmarnowane życie. I nikogo to nie obchodziło, a już na pewno nie urzędasów federalnego wymiaru sprawiedliwości. Dla nich była to tylko kolejna sprawa o udział w zorganizowanej grupie przestępczej handlującej narkotykami.

Na pierwszym zakręcie Yarber zwolnił i przystanął. Popatrzył w dal, na drzewa rosnące hen, za zielonymi łąkami.

Buster też spoglądał w tamtą stronę. Spoglądał od dziesięciu dni i widział coś, czego tam nie było: ogrodzenia, druty kolczaste i wieżyczki.

- Ostatni facet, który stąd zwiął, zwiął tamtędy. - Sędzia patrzył w pustkę. - Widzisz ten las? Ciągnie się cztery, pięć kilometrów. Dalej jest wiejska droga.

- Kto to był?

- Taki jeden. Tommy Adkins, bankier z Karoliny Północnej. Podkradał ciasteczka i dał się złapać.

- Co się z nim stało?

- Pewnego dnia zwariował i poszedł sobie. Minęło sześć godzin, zanim ktokolwiek się zorientował. Po miesiącu znaleźli go w motelu w Cocoa Beach. Ale nie gliniarze, tylko pokojówki. Zwinięty wpół, leżał nago na podłodze i ssał kciuk, jak niemowlę. Odwieźli go do wariatkowa.

- Aż sześć godzin?

- Tak. Zdarza się to mniej więcej raz w roku. Ktoś po prostu odchodzi. Powiadamiają policję w jego rodzinnym

- 130 -

mieście, wprowadzają jego nazwisko do federalnej sieci komputerowej, słowem, rutyna.

- Ilu z nich wyłapują?

- Prawie wszystkich.

- Prawie.

- Tak, ale to durnie, robią głupstwa. Upijają się w barach. Prowadzą samochody bez tylnych świateł. Odwiedzają sw oje dziewczyny...

- A więc facetowi z głową na karku mogłoby się udać?

- Bez dwóch zdań. Wystarczy dokładny plan, trochę gotówki i nie ma sprawy.

Ruszyli. Szli trochę wolniej niż przedtem.

- Panie sędzio - spytał Buster - czy na moim miejscu spróbowałby pan stąd... odejść?

- Tak.

- Sęk w tym, że jestem kompletnie spłukany.

- Może ty, ale nie ja.

- Pomoże mi pan?

- Zobaczymy. Najpierw trochę odczekaj. Zdomów się. Jesteś nowy, wszyscy ci się przypatrują, ale z czasem przestaną.

Buster zdołał się nawet uśmiechnąć. Właśnie złagodzone mu wyrok. I to o wiele, wiele lat.

- Wiesz, co będzie, jeśli cię złapią? - spytał Yarber.

- Tak, dadzą mi dokładkę. Wielkie mi co. Najwyżej dostanę pięćdziesiąt osiem lat. Nie, panie sędzio. Jeśli mnie złapią, palnę sobie w łeb.

- Ja też bym tak zrobił. Będziesz musiał wyjechać z kraju.

- Ale dokąd?

- Gdzieś, gdzie wyglądałbyś jak tubylec i nie podlegałbyś ekstradycji do Stanów Zjednoczonych.

- A konkretnie?

- Do Argentyny albo do Chile. Mówisz po hiszpańsku?

- Nie.

- To zacznij się uczyć. Mamy tu kursy. Prowadzą je chłopcy z Miami.

Kolejne okrążenie zrobili w milczeniu. Buster rozmyślał o przyszłości. Nogi miał jakby lżejsze, ramiona prostsze i nie mógł przestać się uśmiechać.

- Dlaczego mi pan pomaga? - spytał.

- Bo masz dwadzieścia trzy lata. Bo jesteś zbyt młody i zbyt niewinny. Wyrolował cię nasz parszywy system i twoim świętym prawem jest odpowiedzieć ciosem na cios. Masz dziewczynę?

- Tak jakby.

- To lepiej o niej zapomnij. Wpędzi cię w kłopoty. Poza tym myślisz, że co? Że będzie na ciebie czekała czterdzieści osiem lat?

- Powiedziała, że będzie.

- Kłamała. Pewnie poluje już na innego. Mówię ci, zapomnij o dziewczynie. Chyba że chcesz dać się złapać.

Stary ma rację, pomyślał Buster. Nawet do niego nie napisała. Mieszkała ledwie cztery godziny jazdy stąd, mimo to

- 131 -

ani razu go nie odwiedziła. Dwa razy rozmawiali przez telefon i obchodziło ją tylko to, czy nikt go nie pobił.

- Masz dzieci? - spytał Yarber.

- Nie. A przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Matkę?

- Umarła, kiedy byłem mały. Wychowywał mnie ojciec. Było nas tylko dwóch.

- W takim razie jesteś idealnym kandydatem na uciekiniera.

- Chciałbym spróbować już teraz.

- Cierpliwości. Trzeba to starannie zaplanować.

Kolejna rundka. Buster miał ochotę zrobić ją sprintem. Pensacola, jego rodzinne miasto - nie zostawiał za sobą nic, za czym mógłby tęsknić. W ogólniaku zbierał z hiszpańskiego same piątki i czwórki, i chociaż zdążył już wszystko zapomnieć, dobrze pamiętał, że nauka nie stwarzała mu żadnych trudności. Szybko sobie przypomniał. Pójdzie na kurs i będzie trzymał się z Latynosami.

Im dłużej spacerowali, tym bardziej pragnął utwierdzić się w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Wiedział, że im szybciej to zrobi, tym lepiej. Gdyby zmienił zdanie, musiałby ponownie stanąć przed sądem, a nowym przysięgłym ufał tak samo jak tym, którzy uznali go za winnego.

Chciałby skręcić, przebiec przez zieloną łąkę, wpaść między drzewa i dojść do wiejskiej drogi, chociaż nie miał

pojęcia, co zrobiłby potem. Ale jeśli chory umysłowo bankier zdołał dotrzeć aż do Cocoa Beach, jemu też się uda.

- A pan? - spytał. - Dlaczego pan nie uciekł?

- Myślałem o tym - odrzekł Yarber. - Ale ja wychodzę już za pięć lat. Tyle wytrzymam. Jestem silny i zdrowy. Będę miał sześćdziesiąt pięć lat i statystycznie rzecz biorąc, szesnaście lat życia przed sobą. Po to żyję, Buster, dla tych ostatnich szesnastu lat. Nie chcę oglądać się przez ramię.

- Dokąd pan pojedzie?

- Jeszcze nie wiem. Może do jakiejś włoskiej wioski. Może w peruwiańskie góry. Przede mną cały świat, mogę wybierać i przebierać. Marzę o tym godzinami.

- Ma pan dużo pieniędzy.

- Nie, ale to tylko kwestia czasu.

Na usta cisnęły się Busterowi kolejne pytania, lecz ich nie zadał. Zdążył się już nauczyć, że zbytnia ciekawość w więzieniu nie popłaca.

Kiedy się zmęczył, stanął przy kosiarce.

- Dziękuję, panie sędzio - powiedział.

- Nie ma za co. Tylko niech to zostanie między nami.

- Jasne. Wystarczy, że da pan znak. Będę gotowy.

Finn pobiegł dalej. Jego szorty były mokre od potu, pot spływał z siwego kucyka z tyłu głowy. Buster patrzył za nim, potem spojrzał na zieloną łąkę i ciągnący się za nią las.

Przez chwilę sięgał wzrokiem aż do Ameryki Południowej.

- 132 -

ROZDZIAŁ 24

Przez dwa długie, ciężkie miesiące Aaron Lake i gubernator Tarry szli łeb w łeb, ramię w ramię, tocząc zaciętą walkę od wybrzeża do wybrzeża i zdobywając w sumie prawie dwadzieścia pięć milionów głosów w dwudziestu sześciu stanach Ameryki. Harowali osiemnaście godzin na dobę, narzucali sobie wyżyłowany harmonogram dnia i niezmordowanie podróżowali, ulegając szaleństwu, jakie towarzyszy każdemu wyścigowi do Białego Domu.

Jednocześnie dokładali wszelkich starań, żeby uniknąć publicznej debaty twarzą w twarz. Tarry nie chciał, żeby doszło do niej podczas pierwszej fazy prawyborów, ponieważ był wówczas zdecydowanym liderem. Stał za nim zgrany sztab ludzi, stały za nim pieniądze i opinia publiczna - po co miałby przyznawać, że widzi w Lake'u groźnego przeciwnika?

Natomiast Lake, nowicjusz walczący o wysoką stawkę, nie chciał debaty, ponieważ dopiero co wkroczył na arenę polityczną i o wiele łatwiej było mu ukryć się za starannie przygotowanym scenariuszem, stanąć przed obiektywem przyjacielskiej kamery, czy nagrać kolejną reklamę. Ryzyko publicznego pojedynku było po prostu za duże.

Teddy'emu Maynardowi też się ten pomysł nie podobał.

Jednakże kampanie mają to do siebie, że ich przebieg się zmienia. Liderzy zostają w tyle, małe problemy stają się problemami wielkimi, a prasa może stworzyć kryzys z nudów.

Tarry doszedł do wniosku, że udział w debacie dobrze mu zrobi. Był splukany i przegrywał prawyborczy za prawyborcami. „Aaron Lake próbuje te wybory kupić - powtarzał bez końca. - Chcę się z nim zmierzyć jak mężczyzna z mężczyzną”. Nieźle. Media niezwłocznie to podchwyciły.

„Aaron Lake unika publicznej debaty” - oświadczył. Też dobrze. Prasa momentalnie to rozdmuchała.

„Gubernator Tarry unika debaty od klęski w Michigan” - odpowiadał spokojnie Lake.

Przez trzy tygodnie bawili się w kotka i myszkę, podczas gdy ich ludzie dopracowywali szczegóły ewentualnego spotkania.

Lake niechętnie się na nie godził, ale i on musiał w końcu wystąpić na szerszym forum. Chociaż z tygodnia na tydzień powiększał swoją przewagę, miał świadomość, że wygrywa z przeciwnikiem, który przestał mu już zagrażać. Wyniki badania opinii publicznej dowodziły, że wyborcy bardzo się nim interesują, lecz głównie dlatego, że jest nowy, przystojny i ma duże szanse.

Wtajemniczeni - i tylko wtajemniczeni - wiedzieli jednak, że wyniki te dowodzą również istnienia kwestii dużo delikatniejszych i bardzo dla Lake'a niebezpiecznych. Pierwsza dotyczyła monotematyczności jego kampanii wyborczej.

Zwiększenie wydatków na zbrojenia to hasło ekscytujące i ciekawe, ale do czasu. Zatroškani obywatele chcieli wiedzieć, co Lake myśli na temat innych zagadnień.

Kwestia druga dotyczyła hipotetycznego pojedynku z wiceprezydentem, do którego miało dojść w listopadzie.

Wiceprezydent wciąż prowadził pięcioma punktami. Wyborcy byli nim zmęczeni, ale przynajmniej znali go i wiedzieli, kim jest. Natomiast Lake pozostawał dla nich tajemnicą. Przed rozstrzygającymi wyborami czekało ich co najmniej kilka debat telewizyjnych i Lake'owi, który miał już nominację w kieszeni, przydałoby się trochę doświadczenia.

Sytuacji nie ułatwiał mu również Tarry, który podczas każdego spotkania z dziennikarzami powtarzał: „Kim jest Aaron Lake?”. Za ostatnie pieniądze kazał wydrukować naklejki na zderzaki samochodowe ze słynnym już: „Kim jest Aaron

- 133 -

Lake?”.

(To samo pytanie zadawał sobie co godzinę Teddy Maynard, choć z zupełnie innych powodów.) Ustalono, że do debaty dojdzie w małym luterańskim college'u w Pensylwanii, w przytulnej sali wykładowej z dobrą akustyką, dobrym oświetleniem i w obecności wyselekcjonowanych widzów. Członkowie obu sztabów wyklócali się o każdy szczegół, ale ponieważ i Tarry, i Lake bardzo tego spotkania potrzebowali, w końcu osiągnięto porozumienie. Dyskusja nad formą i przebiegiem debaty omal nie zakończyła się bijatyką, ale kiedy wreszcie uzgodniono, co i jak, każdy z polityków dostał to, czego chciał, choć oczywiście nie wszystko. Media wydelegowały trzech przedstawicieli, którzy mieli zasiąść na scenie i zadawać pytania w pierwszej części debaty. Publiczność dostała

dwadzieścia minut - przez ten czas każdy z obecnych mógł wstać i zadać kandydatom dowolne pytanie. Tarry, adwokat, zażądał pięciu minut na kilka uwag wstępnych i dziesięciu minut na przemówienie końcowe. Lake wolał półgodzinny pojedynek, wolną amerykańkę bez żadnych sędziów czy zasad. Pomysł ten przeraził sztab Tarry'ego do tego stopnia, że omal nie odwołano debaty.

Spotkanie prowadził znany miejscowy radiowiec. Szacowano, że kiedy powiedział: „Dobry wieczór. Witam państwa na pierwszej i jedynej debacie między gubernatorem Wendellem Tarrym i kongresmanem Aaronem Lake'em”, oglądało go osiemnaście milionów ludzi.

Tarry wystąpił w granatowym garniturze, który wybrała dla niego żona, w klasycznej niebieskiej koszuli i w klasycznym czerwono-niebieskim krawacie. Lake miał na sobie elegancki brązowy garnitur, białą koszulę ze sztywnym, załamany na rogach kołnierzykiem i krawat mieniący się brązami, czerwienią i kilkoma innymi kolorami. Jego strój został

skompletowany przez konsultanta od spraw mody w taki sposób, żeby komponował się z dominującymi na scenie barwami.

Poza tym przyciemniono mu włosy. Wybielono zęby. Kilka godzin spędził na łożku do opalania. Był szczupły, wyglądał

świeżo i palił się do dyskusji.

Gubernator Tarry też należał do bardzo przystojnych mężczyzn. Choć był tylko cztery lata starszy od Lake'a, znosił

kampanię znacznie gorzej niż on. Oczy miał zmęczone i nabiegłe krwią. Sporo przytył, zwłaszcza na twarzy. Kiedy zaczął

mówić, na czoło wystąpiły mu błyszczące kropelki potu.

Wtajemniczeni powiadali, że ma więcej do stracenia, ponieważ zdążył już dużo stracić. Jeszcze na początku stycznia wszechwiedzący prorocy w rodzaju tych z „Time'a” przepowiadali, że ma nominację w zasięgu ręki. Walczył o nią od trzech lat. Popierali go farmerzy i wytwórcy butów. W Iowie i New Hampshire nie było komendanta posterunku policyjnego czy pracownika lokalu wyborczego, który nie piłby z nim kawy. Miał doskonale zorganizowany sztab.

I nagle pojawił się Aaron Lake, ten czarodziej od zbrojeń.

Dlatego gubernator Tarry musiał dać z siebie wszystko i podbić wyborców oszałamiającym wystąpieniem albo liczyć na gafę przeciwnika.

Nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Rzucono monetą i musiał wystąpić jako pierwszy. Niestety, dukał i się zacinał, ponieważ chodząc sztywno po scenie i rozpaczliwie próbując przybrać swobodną pozę, co raz to zapominał, o czym ma mówić. Owszem, był kiedyś prawnikiem, ale specjalizował się w obrocie papierami wartościowymi. Nie mógł zajrzeć do notatek, więc uparcie powracał do swego starego motywu przewodniego: pan Lake chce kupić wybory, ponieważ nie ma

nic do powiedzenia. Atakował go coraz częściej, coraz zajadlej i coraz bardziej nieprzyjemnym tonem. Lake tylko się uśmiechał; spływało to po nim jak woda po kacze.

Słabe wystąpienie Tarry'ego dodało mu odwagi, pewności siebie i utwierdziło go w przekonaniu, że zamiast krążyć po scenie, bezpieczniej jest stać za pulpitem i dyskretnie zaglądać do notatek. Zaczął od zapewnienia, że nie chce obrzucać

- 134 -

błotem przeciwnika, ma dla gubernatora Tarry'ego wielki szacunek, lecz cóż, słuchał go przez pięć minut i jedenaście sekund, by stwierdzić, że jego szlachetny przeciwnik nie wygłosił ani jednej konstruktywnej uwagi.

Potem, kompletnie ignorując Tarry'ego, omówił pokrótce trzy kwestie: ulgi podatkowe, reformę opieki społecznej i deficyt handlowy. Ani słowem nie wspomniał o zbrojeniach.

Pierwsze pytanie, które zadał jeden z siedzących na scenie publicystów, było skierowane do niego i dotyczyło nadwyżki budżetowej. Co, jego zdaniem, powinno się z nią zrobić? Przyjaźnie nastawiony dziennikarz, łatwa do odbicia piłka

- Lake poczuł się jak ryba w wodzie. To proste, odparł, trzeba ratować ubezpieczenia społeczne. Po czym w krótkim, imponującym wykładzie przedstawił zebranym zarys planu zagospodarowania funduszy. Używał prostych, zrozumiałych słów, rzucał z pamięci liczbami, procentami i prognozami.

Gubernator Tarry odpowiedział tylko, że trzeba zmniejszyć podatki. Zwrócić ludziom pieniądze, które uczciwie zarobili.

W trakcie tej części debaty żaden z kandydatów nie zdobył wyraźnej przewagi. Obaj wykazali się dobrym przygotowaniem. Zaskoczenie wzbudziło jedynie to, że Aaron Lake, człowiek, który chciał zawładnąć Pentagonem, tak dobrze orientował się w sprawach gospodarczych.

W części drugiej dyskusja była spokojna i w miarę przyjazna, ponieważ zarówno jeden, jak i drugi kandydat dokładnie przewidzieli, jakie pytania zada im publiczność. Fajerwerki rozpoczęły się dopiero w części trzeciej, podczas bezpośredniego starcia między przeciwnikami. Jako pierwszy wystąpił Tarry i zgodnie z przewidywaniami spytał Lake'a, czy chce kupić wybory.

- Nie pytał pan o pieniądze, kiedy miał pan ich więcej niż którykolwiek z pozostałych kandydatów - odparował Lake i publiczność natychmiast się ożywiła.

- Tak, ale ja nie miałem pięćdziesięciu milionów dolarów - zaatakował Tarry.

- Ja też nie mam pięćdziesięciu milionów - odrzekł Lake. - Mam sześćdziesiąt milionów, panie gubernatorze, prawie sześćdziesiąt milionów. Pieniądze napływają tak szybko, że nie zdążamy ich liczyć. Wysyłają je robotnicy i przedstawiciele klasy średniej. Osiemdziesiąt procent tych, którzy wspierają nas finansowo, zarabia mniej niż czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Czyżby próbował pan coś tym ludziom zarzucić?

- Fundusz wyborczy powinien być limitowany...

- Moje słowa, panie gubernatorze. Głosowałem za tym osiem razy w Kongresie, podczas gdy pan porusza tę kwestię dopiero teraz i tylko dlatego, że zabrakło panu pieniędzy.

Tarry wyglądał przez chwilę jak Quayle i patrzył w obiektyw kamery wzrokiem jelenia oślepionego samochodowymi reflektorami. Kilku siedzących na widowni ludzi ze sztabu Lake'a roześmiało się na tyle głośno, żeby ich usłyszano.

Gubernator zaczął przekładać duże kartoniki z pytaniami i na jego czoło ponownie wystąpiły kropelki potu. Nie był

gubernatorem urzędującym, ale lubił, kiedy tak się do niego zwracano. Mieszkańcy Indiany pozbyli się go przed dziewięcioma laty, w dodatku już po pierwszej kadencji. Jednakże tę amunicję Lake zachował na później.

Następne pytanie. Podczas czternastoletniej służby publicznej w Kongresie pan Lake głosował aż za pięćdziesięcioma czterema podwyżkami podatków. Dlaczego?

- Nie pamiętam, czy było ich pięćdziesiąt cztery - odparł Lake. - Pamiętam za to, że większość z nich dotyczyła podatku od sprzedaży alkoholu, wyrobów tytoniowych i od hazardu. Głosowałem również przeciwko podwyżkom podatku federalnego, od dochodów osobistych, od dochodów osób prawnych i na obowiązkowe ubezpieczenie społeczne. Nigdy się

- 135 -

tego nie wstydzilem i nie wstydzę. A skoro już mowa o podatkach, jak pan wyjaśni fakt, że podczas pańskiej czteroletniej kadencji podatek od dochodów osobistych wzrastał w Indianie średnio o sześć procent rocznie?

Nie uzyskawszy natychmiastowej odpowiedzi, parł naprzód.

- Chce pan ograniczyć wydatki federalne, chociaż kiedy rządził pan w Indianie, wydatki tego stanu wzrosły aż o osiemnaście procent. Chce pan zmniejszyć podatek od osób prawnych, chociaż w Indianie podniósł go pan o trzy procent.

Chce pan odciążyć opiekę społeczną, ale kiedy był pan gubernatorem, liczba potrzebujących tejże opieki wzrosła w Indianie o czterdzieści tysięcy. Jak pan to wszystko wytłumaczy?

Każdy cios był celny, każdy ranił do krwi, każdy przypierał Tarry'ego do lin ringu.

- Ma pan złe dane - wykrztusił. - Stworzyliśmy w Indianie nowe miejsca pracy.

- Czyżby? - rzucił ironicznie Lake. Sięgnął po jakiś dokument, podniósł go gestem prokuratora wnoszącego oskarżenie o przestępstwo federalne i nawet nań nie spojrzawszy, dodał: - Może i tak, ale podczas pańskiej kadencji niemal sześćdziesiąt tysięcy byłych robotników wciągnięto na listę

bezrobotnych.

Owszem, cztery lata, które Tarry spędził w Indianie, nie należały do najlepszych, lecz wszystkiemu winny był kryzys gospodarczy, nie on. Wielokrotnie to tłumaczył i chętnie wytłumaczyłby jeszcze raz, ale Boże mój, występ przed kamerami krajowej telewizji trwał tylko kilka chwil. Czy warto dzielić włos na czworo i wracać do przeszłości?

- Tu nie chodzi o Indianę - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Tu chodzi o wszystkie pięćdziesiąt stanów. O

mieszkających tam robotników, którzy będą musieli płacić wyższe podatki, żeby sfinansować pańskie słynne zbrojenia.

Podwoić budżet Pentagonu? Chyba nie mówi pan tego poważnie?

Lake przeszył go wzrokiem.

- Jak najpoważniej, panie gubernatorze. Gdyby chciał pan mieć prężną i dobrze wyposażoną armię, pan też podchodziłby do tego poważnie. - Po czym wyrecytował z pamięci dziesiątki liczb, dziesiątki logicznie powiązanych ze sobą danych, które jednoznacznie dowodziły słabości wojska. Kiedy skończył, można było odnieść wrażenie, że amerykańskie siły zbrojne nie dałyby rady przeprowadzić inwazji na Bermudy.

Jednakże Tarry miał coś w zanadrzu. Gruby, błyszczący maszynopis sporządzony przez grupę ekspertów, byłych admirałów. Pomachał nim przed kamerami, dowodząc, że nadmierna rozbudowa potencjału militarnego jest całkowicie bezzasadna. Na świecie panował pokój - nie licząc kilku regionalnych i domowych wojen, które bynajmniej nie godziły w bezpieczeństwo narodowe Ameryki - a Stany Zjednoczone były jedynym liczącym się supermocarstwem. Zimna wojna przeszła do historii. Zanim Chińczycy będą w stanie dorównać Stanom Zjednoczonym pod względem militarnym, upłynie wiele dziesięcioleci. Po co obarczać podatników miliardowymi wydatkami na nowy sprzęt?

Sprzeczali się przez chwilę, z czego za ten sprzęt zapłacić i Tarry zdobył kilka cennych punktów. Lecz wkroczył tym samym na teren Lake'a i wkrótce stało się oczywiste, że przeciwnik zna się na rzeczy lepiej od niego.

Największe atuty Lake zachował na sam koniec. Podczas dziesięciominutowej mowy końcowej powrócił do sprawy Indiany i jeszcze bardziej poszerzył listę klęsk Tarry'ego. Analogia była prosta i oczywista - skoro gubernator nie potrafił

rzządzić jednym stanem, czy może rządzić całym krajem?

- Daleki jestem od tego, żeby krytykować mieszkańców Indiany - powiedział mniej więcej w połowie przemówienia.

- Wprost przeciwnie. Ludzie ci wykazali się wielką mądrością, już po pierwszej kadencji bowiem odesłali gubernatora do domu. Wiedzieli, że okrutnie ich zawiódł. Dlatego kiedy po czterech latach urzędowania pan Tarry chciał ubiegać się o kolejną kadencję, głosowało na niego ledwie trzydzieści

osiem procent wyborców. Trzydzieści osiem procent! Powinniśmy

- 136 -

zaufać mieszkańcom Indiany. Oni tego człowieka znają. Oni wiedzą, czy i jak potrafi rządzić. Popełnili błąd i czym prędzej się go pozbyli. Byłoby smutne, gdyby ten sam błąd popełniła reszta kraju.

Przeprowadzona tuż po debacie ankieta potwierdziła pewne zwycięstwo Lake'a. Pracownicy KOSZ-u zadzwonili do tysiąca przypadkowych wyborców. Niemal siedemdziesiąt procent z nich uważało, że kongresman był lepszy.

Podczas nocnego lotu z Pittsburgha do Wichity na pokładzie Air Lake otworzono kilka butelek szampana i rozpoczęło się małe przyjęcie. Wciąż napływały wyniki badania opinii publicznej, każdy następny lepszy od poprzedniego, i wszystkim udzieliła się atmosfera zwycięstwa.

Lake nie zakazywał picia alkoholu podczas podróży, lecz patrzył na to niechętnym okiem. Dlatego jeśli jego sztabowcy już pili, zawsze robili to szybko i ukradkiem. Jednakże niektóre wydarzenia po prostu trzeba było oblać i tym razem Lake pozwolił sobie na dwa kieliszki szampana. Towarzyszyli mu tylko najbliżsi współpracownicy. Podziękował im, pogratulował, a potem, gdy otworzono kolejną butelkę, ot tak, dla zabawy, obejrzeni sobie najlepsze fragmenty debaty.

Ilekoć gubernator Tarry zrobił zaskoczoną minę, zatrzymywano taśmę i wybuchano gromkim śmiechem.

Przyjęcie trwało bardzo krótko, gdyż w końcu dopadło ich zmęczenie. Sypiali najwyżej pięć godzin na dobę, a przed debatą jeszcze krócej. Lake też był wyczerpany. Dopił trzeci kieliszek szampana - od wielu lat nie wypił tak dużo - legł w wygodnym fotelu, nakrył się ciężką narzutą i popatrzył wokoło. Tamci już spali, gdzie i jak popadnie.

On zasnąć nie mógł; rzadko kiedy sypiał w samolocie. Miał na głowie zbyt wiele spraw, dręczyło go zbyt wiele myśli.

Przewracając się z boku na bok, wciąż delectował się zwycięstwem i powtarzał sobie co celniejsze kwestie. Tak, to był

naprawdę błyskotliwy występ, chociaż nigdy by tego głośno nie przyznał.

Nominację miał już w kieszeni. Czekala go jeszcze uroczysta konwencja wyborcza, a potem, w duchu najlepszej amerykańskiej tradycji, przez cztery miesiące będzie walczył na noże z wiceprezydentem.

Włączył lampkę do czytania. Kilka rzędów dalej, tuż przy drzwiach do kabiny pilotów, też paliła się lampka. A więc było ich dwóch. Tylko dwóch. Pozostali już dawno zasnęli i chrapali pod kocami, śpiąc niespokojnym snem młodych, goniących resztkami sił ludzi.

Lake otworzył dyplomatkę i wyjął papeterię w skórzanych okładkach. Było w niej kilkadziesiąt kart korespondencyjnych z czerpanego papieru. Każda miała piętnaście centymetrów długości i dziesięć

szerokości, na górze każdej widniał napis wykonany czarną staroangielską czcionką: „Aaron Lake”. Starym, grubym wiecznym piórem marki Mont Blanc napisał kilka słów do przyjaciela ze studiów, który został profesorem łaciny w małym teksańskim college’u.

Potem skreślił kilka słów do radiowca, który prowadził debatę, i do szefa sztabu wyborczego w Oregonie. Uwielbiał

powieści Clancy’ego. Właśnie skończył czytać najnowszą - i najgrubszą - więc napisał też do Clancy’ego, żeby pogratulować mu kolejnego dzieła.

Czasami się rozpisywał, dlatego oprócz kart z nagłówkiem, miał też kilka kart zwykłych, jednakowego koloru i rozmiaru. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszyscy mocno śpią, i szybko napisał: *Drogi Ricky,*

Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przerwiemy naszą korespondencję. Życzę Ci, żebyś jak najszybciej wrócił

do zdrowia.

Z poważaniem

- 137 -

Al

Wyjął zwykłą białą kopertę. Aladdin North - adres napisał z pamięci. Potem sięgnął po plik kartek z nagłówkiem i skreślił kilkanaście krótkich listów z podziękowaniami do co ważniejszych ofiarodawców. Kiedy skończył pisać dwudziesty, wreszcie dopadło go zmęczenie. Nie schowawszy listów i nie zgasiwszy lampki, uległ znużeniu i szybko zasnął.

Niecałą godzinę później obudziły go załęcznione głosy. Paliło się światło, wszyscy się niespokojnie rozglądali, kabinę pasażerską wypełniał dym. W kabinie pilotów głośno dzwonił dzwonek i zorientowawszy się w sytuacji, Lake stwierdził, że maszyna leci nosem w dół. Kiedy spod sufitu opadły maski tlenowe, pasażerów ogarnęła panika. Maski. Te przeklęte maski.

Cholera jasna, po tylu latach powietrznych podróży i obserwowania stewardes demonstrujących sposoby postępowania w sytuacjach awaryjnych, będą musieli ich użyć. Lake przytknął swoją do twarzy, zapiął i wziął potężny oddech.

Pilot poinformował ich przez głośniki, że muszą lądować awaryjnie w St. Louis. Światła zamrugały i ktoś przeraźliwie krzyknął. Lake chciał wstać, ruszyć przejściem między rzędami i dodać ludziom otuchy, lecz maska miała za krótki przewód.

Daleko za nim siedziało dwudziestu czterech reporterów i tylu samo agentów Secret Service. Może tam maski nie opadły? - pomyślał miotany wyrzutami sumienia.

Dym zgęstniał, światła powoli gasły. Panika narastała, mimo to, w kilkusekundowym przeblasku

pełnej świadomości, Lake zdołał pomyśleć trzeźwo i racjonalnie: szybko zebrał listy. Jego uwagę przykuł list do Ricky'ego - włożył go do zaadresowanej koperty, kopertę zakleił, po czym schował papeterię do dyplomatyki. Światła ponownie zamrugały i zgasły na dobre.

Dym szczypał w oczy i palił w twarz. Samolot błyskawicznie tracił wysokość. Rozdzwoniły się alarmowe dzwonki, przeraźliwie zawyły syreny.

Nie, to niemożliwe, pomyślał Lake, kurczowo zaciskając ręce na podłokietnikach fotela. Przecież mam zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zginę? Jak tamci? Jak Rocky Marciano, Buddy Holly i Otis Redding? Jak Thurman Munson i senator Tower z Teksasu? Jak mój przyjaciel Mickey Leland z Houston? Jak JFK junior i Ron Brown?

Powietrze nagle pochłodziło, dym zniknął. Musieli opaść poniżej trzech tysięcy metrów i pilot zdołał przewietrzyćabinę. Samolot wyrównał lot, przez okna dostrzegli światła na ziemi.

- Proszę nie zdejmować masek - powiedział w ciemności pilot. - Za kilka minut podchodzimy do lądowania. Nie przewidujemy żadnych kłopotów.

Żadnych kłopotów? - pomyślał Lake. Czy on zwariował? Gdzie jest najbliższa toaleta?

Ulga. Niespokojna ulga. Tuż zanim koła samolotu dotknęły pasa startowego, Lake dostrzegł migające światełka karetek pogotowia i wozów straży pożarnej. Dziesiątki, setki światełek. Boeing lekko podskoczył, ale nic więcej się nie stało.

Kiedy maszyna znieruchomiła na końcu pasa, otworzyły się drzwi ewakuacyjne.

Opuścili pokład w kontrolowanym popłochu i wpadli w ręce sanitariuszy, którzy wepchnęli ich do karetek. Pożar w ładowni wciąż się rozszerzał. Odbiegając od samolotu, Lake minął grupę strażaków. Spod skrzydeł boeinga bił gęsty dym.

Jeszcze kilka minut, myślał Lake. Jeszcze tylko kilka minut i już bym nie żył.

- Mało brakowało - powiedział sanitariusz, kiedy odjeżdżali.

Lake kurczowo objął dyplomatkę z listami i zeszytniał z przerażenia. Dopiero teraz.

„O włos od katastrofy”, jak ujęły to media. Przygoda nie przysporzyła Lake'owi popularności, lecz reklama na

- 138 -

pewno mu nie zaszkodziła. Rano mówiono i pisano o nim dosłownie wszędzie - o jego zdecydowanym zwycięstwie nad gubernatorem Tarrym i o tym, co zaszło podczas lotu.

- Myślę, że przez jakiś czas będę jeździł autobusem - komentował to ze śmiechem Lake. Stawiał na humor i bagatelizował całe wydarzenie - w przeciwieństwie do członków swego sztabu, którzy opowiadali o maskach tlenowych, o ciemności i o gęstym, gorącym dymie. Najlepszym i

najpełniejszym źródłem informacji byli towarzyszący im reporterzy, którzy dostarczyli mediom najbardziej wstrząsających szczegółów.

Teddy Maynard oglądał to wszystko w telewizji. Na pokładzie boeinga było trzech agentów CIA i jeden z nich niedawno zadzwonił do niego ze szpitala w St. Louis.

Dziwny to i doprawdy zaskakujący wypadek. Z jednej strony Teddy wciąż przykładął wielką wagę do wyborów i prezydentury Lake'a; zależało od tego bezpieczeństwo kraju.

Z drugiej strony, katastrofa samolotu wcale nie byłaby katastrofą. Miałby z głowy i Lake'a, i jego podwójne życie.

Tarry poznał już nieograniczoną moc pieniądza, i to z pierwszej ręki. Szybko by się dogadali i gubernator wygrałby listopadowe wybory.

Jednakże Lake przeżył i jeszcze bardziej urósł w oczach wyborców. Zdjęcia jego opalonej twarzy widniały na pierwszych stronach wszystkich gazet, jego oczy spozierały na widzów wszystkich programów telewizyjnych. Kampania postępowała szybciej i nabierała większego impetu, niż się Maynard spodziewał.

Skoro tak, dlaczego był taki ponury? Dlaczego nie świętował?

Ponieważ nie rozwiązał jeszcze zagadki Braci z Trumble, a nie mógł ich tak po prostu zabić.

- 139 -

ROZDZIAŁ 25

Technicy z wydziału dokumentów posłużyli się tym samym laptopem, który wykorzystali, pisząc pierwszy list do Ricky'ego. Autorem listu numer dwa był Deville, a cenzorem Teddy Maynard.

Drogi Ricky,

Cieszę się, że wkrótce wychodzisz i zamieszkasz w przejściówce w Baltimore. Daj mi kilka dni. Jestem pewien, że załatwię Ci pracę na pełny etat. To praca biurowa i nisko płatna, lecz z dużymi perspektywami.

Proponuję zwolnić tempo. Może zaczniemy od miłego lunchu, a potem zobaczymy, jak się między nami ułoży. Nie lubię pośpiechu.

Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie dobrze. W następnym liście podam Ci szczegóły dotyczące pracy.

Trzymaj się.

Z najlepszymi życzeniami

Jedynym słowem napisanym ręcznie było „Al”. Koperta, znaczek z waszyngtońskim stemplem - list dostarczono samolotem do Neptune Beach i przekazano Klocknerowi.

Trevor przebywał w tym czasie w Fort Lauderdale - to dziwne, lecz pojechał tam w sprawie jak najbardziej legalnej -

dlatego list przeleżał w skrytce aż dwa dni. Carson w końcu wrócił i natychmiast wpadł do kancelarii, by wszcząć paskudną kłótnię z Jan. Potem wypadł na ulicę, wsiadł do samochodu i pojechał prosto na pocztę. Z radością stwierdził, że skrytka Aladdin North jest pełna. Wyrzucił do kosza reklamówki i ponownie wsiadł do samochodu, żeby kilkaset metrów dalej odebrać listy ze skrytki Laurel Ridge na poczcie w Atlantic Beach.

A potem, ku całkowitej konsternacji Klocknera, ruszył prosto do Trumble. Po drodze zadzwonił do swego bukmachera. W ciągu trzech dni przegrał dwa i pół tysiąca dolarów na zakładach ligi hokejowej. Sędzia się na hokeju nie znał, lecz Trevor miał swoich faworytów i obstawiał bez jego pomocy.

W Trumble poprosił o spotkanie ze Spicerem, lecz ponieważ nigdzie nie mogli go znaleźć, spotkał się w końcu z Beechem. Wymienili pocztę: osiem listów do wysłania, czternaście do przeczytania.

- Co z tym Brantem? - spytał Beech.

- A co ma być?

- Kto to jest? Chcemy go zrobić.

- Wciąż sprawdzam. Nie było mnie, musiałem wyjechać.

- Załatw to. Ten facet to gruba ryba.

- Jutro się do tego zabiorę.

Hazard Beecha nie interesował. Ani hazard, ani karty. Trevor wyszedł po dwudziestu minutach.

Już dawno temu powinni byli wyjść z biblioteki i zjeść kolację, tymczasem wciąż siedzieli w ciasnej sali

- 140 -

konferencyjnej. Mówili niewiele. Głównie milczeli, uciekając wzrokiem w bok. Pogrążeni w głębokiej zadumie, gapili się w ściany.

Na stole leżały trzy listy. Jeden napisany na laptopie Ala i nadany przed dwoma dniami w Waszyngtonie. Drugi napisany ręcznie, też przez Ala, i nadany przed trzema dniami w St. Louis; Al zrywał w nim znajomość z Rickym. List pierwszy zaprzeczał drugiemu i było jasne, że ich autorem

nie jest jeden i ten sam człowiek. Ktoś manipulował ich korespondencją.

Trzeci list ich zmroził. Czytali go kilkanaście razy, każdy z osobna i wszyscy razem, po cichu i na głos. Skubali papier, oglądali go pod światło, a nawet wąchali. Leciutko pachniał spalenizną, tak samo jak koperta i list od Ala do Ricky'ego.

Był napisany wiecznym piórem osiemnastego kwietnia o godzinie pierwszej dwadzieścia w nocy i zaadresowany do kobiety imieniem Carol.

Droga Carol,

Co za cudowny wieczór! Debata nie mogła pójść mi lepiej, między innymi dzięki Tobie i wolontariuszom z Pensylwanii. Wielkie dzięki! Popracujmy jeszcze trochę i wygrajmy. W Pensylwanii jesteśmy górą i oby tak zostało. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Podpisano: „Aaron Lake”. I jego nagłówek na górze kartki. Charakter pisma? Identyczny jak ten, którym Al Konyers napisał pożegnalny list do Ricky'ego.

Koperta była zaadresowana do Aladdin North i Beech początkowo nie zauważył, że za pierwszą kartką tkwi kartka druga. Wypadła na stół i gdy ją podnieśli, ujrzeni imię i nazwisko nadawcy: Aaron Lake.

Otworzyli listy koło czwartej po południu, niedługo po odejście Trevora. Analizowali je i studiowali prawie pięć godzin, by zyskać niemal całkowitą pewność, że: (a) list wystukany na komputerze jest podpuchą, a podpisał go dobry fałszerz; (b) sfalszowany podpis jest identyczny jak podpis oryginalny, co oznaczało, że ktoś miał dostęp do ich korespondencji z Alem; (c) listy do Ricky'ego i Carol napisał własnoręcznie Aaron Lake; i (d) list do Carol wysłano do nich przez pomyłkę.

I najważniejsze - nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Al Konyers i Aaron Lake to jedna i ta sama osoba.

Ich mały szwindel skusił najsztywniejszego polityka w kraju.

Wskazywały na to również inne, mniej ważne dowody. Choćby skrytka pocztowa w Waszyngtonie, mieście, w którym kongresman Lake spędzał większość czasu. Jako osobistość na świeczniku, człowiek zależny od kaprysów głosujących na niego ludzi, musiał przybrać fałszywe nazwisko, to oczywiste. I korzystać z wyposażonego w drukarkę laptopa, żeby nikt nie rozpoznał jego charakteru pisma. Poza tym nie przysłał Ricky'emu zdjęcia - kolejny dowód na to, że ma dużo do ukrycia.

Zajrzeli do starych gazet w bibliotece, żeby porównać daty. Listy pisane ręcznie nadano w St. Louis nazajutrz po debacie z gubernatorem Tarrym, a więc w dniu, kiedy przebywał tam Lake; w ładowni jego samolotu wybuchł pożar i mieli awaryjne lądowanie.

Ważny był również moment, w którym Lake postanowił zerwać znajomość z Rickym. Zaczął do niego pisać przed rozpoczęciem kampanii wyborczej. Trzy miesiące później wziął szturmem cały kraj, stał się sławny i miał teraz za dużo do stracenia.

Powoli, nie zważając na upływ czasu, ułożyli fakty w spójną całość, a ułożywszy, spróbowali je podważyć.

Największe działo wytoczył sędzia Yarber: a jeśli któryś z członków sztabu Aarona Lake'a ma dostęp do jego papeterii?

Dobre pytanie - rozważali je przez bitą godzinę. Czy Al Konyers nie posunąłby się do tego, żeby ukryć swoją prawdziwą tożsamość? A jeśli mieszkał w stolicy i pracował dla Lake'a? Załóżmy, że Lake, człowiek bardzo zajęty, powierzył swemu asystentowi prowadzenie osobistej korespondencji - co wtedy? Yarber nie pamiętał, żeby robił coś takiego, będąc prezesem sądu. Beech zawsze pisywał listy sam. Spicer nie zawracał sobie głowy takimi bzdurami. Od czego były telefony?

Lecz ani Yarber, ani Beech nigdy nie doświadczyli potwornego stresu towarzyszącego prezydenckiej kampanii wyborczej, nie wiedzieli, ile zjada nerwów i zdrowia. Ze smutkiem stwierdzili, że owszem, swego czasu należeli do ludzi bardzo zapracowanych, lecz nie umywali się do Lake'a.

Założmy, że to jego asystent. Jak dotąd, miał znakomitą przykrywkę, ponieważ praktycznie z niczym się nie zdradził.

Nie przysłał zdjęcia. O sobie i o rodzinie pisał niewiele i ogólnikowo. Lubił stare filmy i chińszczyznę na wynos. Tyle, nic więcej. Był zbyt nieśmiały i wciągnęli go na listę korespondentów do skreślenia. W takim razie dlaczego zrywał z Rickym akurat teraz?

Na to nie umieli odpowiedzieć.

Zresztą chyba przesadzili. Beech i Yarber doszli do wniosku, że ktoś taki jak Lake, ktoś, kto ma duże szanse zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie pozwoliłby nikomu pisać i podpisywać swoich osobistych listów. Listy oficjalne, urzędowe, to co innego. Lake miał do dyspozycji stu członków sztabu, stu ludzi, którzy takowe za niego pisali, i które on tylko podpisywał.

Spicer zadał im dużo poważniejsze pytanie. Dlaczego Lake miałby narażać się na ryzyko, wysyłając odręcznie skreślony list? Do pisania poprzednich listów używał komputera i wysyłał je w zwykłych białych kopertach. Już po samej papeterii poznali, że mają do czynienia z tchórzem, że Lake to zajęcze serce, jak niemal wszyscy, którzy odpowiadali na ich ogłoszenia. Poza tym prowadził kampanię wyborczą i miał do dyspozycji mnóstwo pieniędzy, najnowocześniejsze komputery, maszyny do pisania tudzież laptopy.

Odpowiedzi na to pytanie poszukali w leżących na stole listach. List do Carol napisano o pierwszej dwadzieścia w nocy, a z gazet wiedzieli, że boeing lądował awaryjnie kwadrans po drugiej, a więc niecałą godzinę później.

- Napisał to w samolocie - spekulował Yarber. - Było późno. W gazecie piszą, że leciało z nim około sześćdziesięciu zmęczonych kampanią ludzi. Może po prostu nie mógł dostać się do komputera?

- To dlaczego nie poczekał? - rzucił Spicer; specjalizował się w pytaniach, na które nikt, a zwłaszcza on sam, nie potrafił odpowiedzieć.

- Popęłnił błąd. Myślał, że jest sprytny. I pewnie był, tylko pomylił koperty.

- Spójrzmy na to z szerszej perspektywy - zaproponował Beech. - Lake ma nominację w kieszeni. Na oczach milionów widzów rozniósł przeciwnika i jest przekonany, że w listopadzie zmierzy się z wiceprezydentem. Ale gnębi go pewna tajemnica. Ma na karku Ricky'ego i od wielu tygodni zastanawia się, co z nim zrobić. Chłopak wkrótce wychodzi z kliniki i chce się z nim spotkać. Lake jest między młotem i kowadłem: z jednej strony zdaje sobie sprawę, że może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, z drugiej, że czeka na niego Ricky. Postanawia z nim zerwać. Pisze list. Istnieje jedna szansa na miliard, że coś może pójść nie tak i raptem w samolocie wybuchą pożar. Lake myli koperty. Zwykła pomyłka.

Pomyłka, która przeradza się w potworny błąd.

- A on nawet o tym nie wie - dodał Yarber. - Jeszcze nie...

- 142 -

Trawili to w stężonym bezruchu. Ich myśli i słowa przygniatało brzemień doniosłego odkrycia. Powoli się z tym oswajali. Mijały godziny.

Kolejnym, równie ważnym problemem, z jakim musieli się zmierzyć, był fakt, że ktoś miał dostęp do ich korespondencji. Kto? W jaki sposób przechwytywał listy? I po co? Nie, to beznadziejne.

Ponownie założyli, że jest to ktoś z najbliższego otoczenia Aarona Lake'a. Może jakiś asystent, który natknął się przypadkiem na jeden z ich listów. Może przechwytywał korespondencję, żeby go chronić i żeby zerwać z Rickym dopiero za jakiś czas.

Diabli wiedzą. Mieli za mało danych. Drapali się w głowę, obgryzali paznokcie, w końcu uznali, że muszą się z tym przespać. Nie mogli niczego zaplanować, ponieważ pytań było więcej niż odpowiedzi.

Spali źle i krótko, i kiedy spotkali się ponownie o szóstej rano przy gorącej kawie ze styropianowego kubka, byli zmęczeni, nieogoleni i mieli zaczerwienione oczy. Zamknęli drzwi na klucz, wyjęli listy, ułożyli je na stole dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia i pogrążyli się w zadumie.

- Moim zdaniem powinniśmy zlecić obserwację skrytki pocztowej w Chevy Chase - powiedział Spicer. - To sposób łatwy, szybki i bezpieczny. Trevor robił to wiele razy i zawsze mu się udawało. Jeśli dowiemy się, kto ją wynajmuje, sprawa będzie dużo prostsza.

- Nie wierzę, żeby ktoś taki jak Aaron Lake wynajmował skrytkę pocztową - rzekł Beech.

- To nie jest ten sam Aaron Lake - zauważył Yarber. - Kiedy wynajął skrytkę i nawiązał korespondencję z Rickym, był zwykłym politykiem, jednym z czterystu trzydziestu pięciu kongresmanów. Nigdy dotąd o nim nie słyszałeś. Ale sytuacja się zmieniła, i to dramatycznie...

- Właśnie dlatego próbuje z nami zerwać - wtrącił Spicer. - Wszystko się zmieniło, ma więcej do stracenia.

Tak więc najpierw każą Trevorowi namierzyć właściciela skrytki pocztowej w Chevy Chase. To będzie pierwszy krok.

Kroku drugiego nie byli jeszcze pewni. Bali się, że Lake - a założyli, że Lake to Al i że Al to Lake - może się zorientować, iż pomylił koperty. Miał miliony dolarów (nie omieszkali tego zauważyć) i mógł bez trudu ich wytropić. Wytropić i - zważywszy na ogromną stawkę, o jaką toczyła się gra - zrobić wszystko, żeby wyeliminować z gry Ricky'ego.

Dlatego zastanawiali się nawet, czy nie napisać do Ala listu, w którym Ricky błagałby, żeby ten nie zatrząskiwiał za sobą drzwi, i zapewniał, że potrzebuje tylko przyjaźni, niczego więcej. Celem tego manewru byłoby stworzenie pozorów normalności, utwierdzenie go w przekonaniu, że wszystko jest dobrze, jak dawniej. Mieli nadzieję, że Lake przeczytałby to, poskrobałby się w głowę i pomyślał: cholera jasna, dokąd ja wysłałem ten przeklęty list do Carol?

Szybko doszli do wniosku, że jednak nie napiszą. Dlaczego? Dlatego że ktoś przechwytywał ich korespondencję i na pewno by to przeczytał. Dopóki nie wiedzieli, kto to jest, nie mogli ryzykować.

Dopili kawę, poszli do kantyny i samotnie zjedli śniadanie; kukurydziane płatki i jogurt, tylko to, co najzdrowsze, ponieważ czuli, że na wolności czeka ich ciekawe życie. Potem bieżnia, cztery spokojne rundki bez papierosa. A po spacerze powrót do sali konferencyjnej na dalszy ciąg porannych rozważań.

Biedny Lake. Ganiał od stanu do stanu, ciągnąc za sobą pięćdziesięciu ludzi. Spóźniał się na trzy spotkania naraz, dwunastu doradców nieustannie szeptało mu coś do ucha. Nie miał czasu, żeby pomyśleć.

Tymczasem Bracia mieli go aż za dużo. Godzinami, dniami i nocami mogli siedzieć, myśleć i spiskować. I co tu mówić o równych szansach?

- 143 -

ROZDZIAŁ 26

W Trumble były dwa rodzaje telefonów: nadzorowane i nienadzorowane. W teorii wszystkie rozmowy nienadzorowane powinny być nagrywane, a następnie kontrolowane przez małe elfy, które siedząc gdzieś hen, daleko, nie robiły nic poza wysłuchiowaniem milionów godzin bzdurnej paplaniny. Jednakże w rzeczywistości nagrywano jedynie połowę rozmów - wybierano je na chybił trafił - i tylko pięć procent z nich odsłuchiowano. Nawet rządu federalnego nie było stać na wynajęcie tylu elfów, żeby mogły skontrolować wszystkie rozmowy.

Bywało, że przez telefony nienadzorowane handlarze narkotykami kierowali swoimi gangami, a szefowie mafii zlecali kontrakty na głowę rywali. Istniało bardzo nikłe prawdopodobieństwo, że zostaną przyłapani.

Telefonów nadzorowanych było mniej i zgodnie z prawem prowadzonych przez nie rozmów nie można było podsłuchiwać. Dzwoniono z nich tylko do adwokatów i tylko w obecności strażnika.

Kiedy przyszła kolej Spicera, strażnik odszedł na bok.

- Kancelaria - mruknął nieuprzejmy głos z wolnego świata.

- Mówi Joe Roy Spicer z więzienia w Trumble. Chciałbym rozmawiać z Trevorem.

- Mecenasa śpi.

Było wpół do drugiej.

- Sukinkot - warknął Spicer. - To niech go pani obudzi.

- Chwila.

- Można by szybciej? To więzienna linia.

Joe Roy rozejrzał się i po raz setny zadał sobie pytanie, po jaką cholerę się z nim zadali.

- Dzwonisz? - powitał go Trevor. - Dlaczego dzwonisz?

- Nieważne. Obudź się, weź dupę w garść i do roboty. Musisz coś załatwić.

Pierwszy telefon z Trumble - w domku naprzeciwko kancelarii zapanowało wielkie poruszenie.

- Załatwić? Ale co?

- Trzeba sprawdzić pewną skrytkę pocztową. Chcemy, żebyś nadzorował to osobiście. Nie wyjeżdżaj, dopóki nie skończysz.

- Dlaczego akurat ja?

- Nie pytaj, tylko bierz się do roboty, dobra? To może być największa sprawa, jaka ci się w życiu trafiła.

- Gdzie to jest?

- Chevy Chase w Marylandzie. Zapisz sobie. Al Konyers, skrytka czterysta pięćdziesiąt pięć, Mailbox America, trzydzieści dziewięć, trzysta osiemdziesiąt Western Avenue, Chevy Chase. Bądź bardzo ostrożny, bo ten facet może mieć kumpli. Poza tym nie wiem, czy skrytki ktoś nie obserwuje. Weź pieniądze i wynajmij dwóch dobrych detektywów.

- Jestem cholernie zajęty...

- Tak, tak, przepraszam, że cię obudziłem. Do roboty, Trevor. Jutro wyjeżdżasz. I nie wracaj, dopóki się nie dowiesz, kto zacz.

- Dobra, już dobra.

- 144 -

Spicer odwiesił słuchawkę, a Trevor położył nogi na biurku. Wyglądało na to, że ponownie zapadł w drzemkę, ale nie, on tylko myślał. Chwilę później krzyknął do Jan, żeby sprawdziła rozkład lotów do Waszyngtonu.

Klockner był agentem od czternastu lat, ale jeszcze nigdy dotąd nie widział, żeby tylu ludzi obserwoowało jednego, w dodatku tak niemrawego człowieka. Szybko zadzwonił do Deville'a i ekipa agentów wynajmujących domek w Neptune Beach przystąpiła do działania. Nadeszła pora na występ Wesa i Chapa.

Wes przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył spękane, obłazące z farby drzwi kancelarii prawniczej mecenasa L.

Trevora Carsona. Luźne spodnie koloru khaki, sweter, lekkie mokasyny, brak skarpetek - Jan obdarzyła go krzywym uśmiechem, nie wiedząc, czy stoi przed nią turysta, czy tubylec.

- Czym mogę służyć?

- Muszę się zobaczyć z mecenasem Carsonem - odrzekł Wes z nutką rozpaczony w głosie.

- Jest pan umówiony? - spytała Jan, jakby Trevor miał na głowie sto spotkań dziennie.

- Nie, to nagła i pilna sprawa.

- Pan mecenas jest bardzo zajęty... - Wes niemal słyszał, jak czuwający naprzeciwko kumple ryczą ze śmiechu.

- Bardzo panią proszę, ja muszę z nim porozmawiać.

Jan przewróciła oczami. Ani myślała ustępować.

- Co to za sprawa?

- Niedawno pochowałem żonę... - odrzekł bliski płaczu Wes.

Jan w końcu zmiękła.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. Biedaczek.

- Zginęła w wypadku na międzystanówce numer dziewięćdziesiąt pięć, na północ od Jacksonville - dodał Wes.

Jan wstała, żałując, że nie zaparzyła świeżej kawy.

- Tak mi przykro - powtórzyła. - Kiedy to się stało?

- Dwanaście dni temu. Jeden z moich przyjaciół polecił mi mecenasa Carsona.

Masz wrednych przyjaciół, biedaku, pomyślała, zakręcając buteleczkę lakieru do paznokci.

- Napije się pan kawy? - Dwanaście dni temu? Jak na dobrą sekretarkę przystało, czytała wiele gazet, zwracając uwagę na zdarzające się w okolicy wypadki, z nadzieją że któryś z poszkodowanych zapuka do ich drzwi.

Pukali do wszystkich, tylko nie do drzwi Trevora. Aż do dzisiaj.

- Nie, dziękuję - odrzekł Wes. - Wpadła na nią ciężarówka Texaco. Kierowca był pijany.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Jan, zasłaniając ręką usta. Nawet Trevor by z tym sobie poradził.

Do sekretariatu zawitały duże pieniądze, wysokie honorarium, a ten dureń odsypiał lunch.

- Pan mecenas odbiera zeznania - powiedziała. - Zobaczę, czy znajdzie chwilkę dla pana. Zechce pan usiąść. -

Chciała zamknąć frontowe drzwi, żeby im nie uciekł.

- Mam na imię Yates. Yates Newman - rzucił usłużnie Wes.

- O właśnie, dziękuję. - Wbiegła do korytarza, delikatnie zapukała do drzwi i weszła do gabinetu. - Obudź się, stary kretynie! - syknęła przez zaciśnięte zęby tak głośno, że usłyszał ją Wes.

- Co jest? - wysapał Trevor, zrywając się na równe nogi, gotów do walki wręcz. Bynajmniej nie spał. Czytał stary numer „People”.

- 145 -

- Niespodzianka! Masz klienta.

- Kogo?

- Wdowca, którego żona zginęła pod kołami ciężarówki Texaco. Chce się z tobą widzieć.

- Jest tu?

- A jakże. Trudno w to uwierzyć, prawda? W Jacksonville jest trzy tysiące adwokatów, a ten biedak wybrał akurat ciebie. Polecił cię jakiś przyjaciel...

- Co mu powiedziałaś?

- Że powinien poszukać sobie innych przyjaciół.

- A tak naprawdę?

- Że odbierasz zeznania.

- Nie robiłem tego od ośmiu lat... Poproś go.

- Spokojnie. Zrobię mu kawy. Kończysz ważną sprawę, jasne? Udawaj bardzo zajętego. I trzeba by tu trochę posprzątać...

- Dobrze, dobrze. Idź, przypilnuj go, bo jeszcze nam ucieknie.

- Ten kierowca był pijany - dodała, otwierając drzwi. - Tylko niczego nie zawał.

Trevorowi opadła szczęka, oczy zrobiły się szkliste, lecz jego otępiały umysł momentalnie ożył. Jeśli kierowca był

naprawdę pijany i jeśli zażądają odszkodowania za straty moralne, dostanie jedną trzecią dwóch, trzech, diabła tam, nawet dziesięciu milionów dolarów. Chciał posprzątać przynajmniej biurko, ale nie mógł się ruszyć.

Wes patrzył w okno, na domek po drugiej stronie ulicy, z którego obserwowali go kumple. Stał tyłem do drzwi, ponieważ słysząc rozmowę w gabinecie, bał się, że nie wytrzyma i parsknie śmiechem. Wtem kroki i głos:

- Mecenas zaraz pana przyjmie.

- Dziękuję - odrzekł, nie odwracając głowy.

Biedaczysko, pomyślała Jan, wchodząc do brudnej kuchni, żeby zaparzyć kawę. Wciąż ją oplakuje.

Odbieranie zeznań skończyło się w trymiga, a składający je klient zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jan zaprowadziła go do zagraconego gabinetu, przedstawiła mecenasowi, przyniosła kawę, a kiedy w końcu wyszła, Wes zwrócił się do Trevora z niecodzienną prośbą:

- Czy jest tu jakaś knajpka, gdzie parzą naprawdę mocną kawę?

- Tak, oczywiście - wybełkotał Trevor. - Choćby w Beach Java. To tylko kilka ulic stąd.

- Czy pańska sekretarka mogłaby...

Jasne! Natychmiast!

- Naturalnie. Małą, średnią czy dużą?

- Średnią.

Trevor wypadł na korytarz, a kilka sekund później na ulicę wypadła Jan. Kiedy zniknęła za rogiem, z domku naprzeciwko wychynął Chap. Ponieważ frontowe drzwi kancelarii były zamknięte, otworzył je własnym kluczem, wszedł do środka i założył łańcuch, nie bacząc na to, że biedna Jan mogła utknąć na ganku z kubkiem gorącej kawy w ręku.

Potem niespiesznie wkroczył do gabinetu.

- Przepraszam, ale... - wychrypiał zaskoczony Trevor.

- Wszystko w porządku - przerwał mu Wes. - Ten pan jest ze mną.

- 146 -

Chap zamknął drzwi, wyszarpnął zza pazuchy pistolet kalibru dziewięć milimetrów i wycelował w Trevora.

Adwokat wybałuszył oczy.

- Co jest... - zapiszczał i umilkł, bo zamarło mu serce.

- Zamknij gębę - powiedział Chap, podając pistolet Wesowi.

Broń powędrowała od jednego do drugiego, wreszcie zniknęła. Przerażony Trevor śledził ją wzrokiem i myślał: Co ja takiego zrobiłem? Co to za oprychy? Długi? Jakie długi? Przecież wszystkie spłaciłem.

Zamknąć gębę? Proszę bardzo. Już, natychmiast.

Chap oparł się o ścianę. Stał blisko, cholernie blisko, jakby chciał się na niego rzucić.

- Mamy klienta - zaczął. - Bogatego klienta, którego ty i Ricky zrobiliście w bambuko.

- O Boże... - wymamrotał Trevor. Koszmar koszmarów.

- Cudowny pomysł - dodał Wes. - Szantażować bogatych homoseksualistów, którzy z różnych powodów nie chcą się ujawnić. Tacy na policję nie pójdą, prawda? A Ricky? Ricky już siedzi, więc cóż ma do stracenia?

- Plan doskonały - wtrącił Chap. - To znaczy, był doskonały do chwili, kiedy zarzuciliście sieci nie na tę rybkę.

- To nie ja - zapiszczał Trevor głosem dwie oktawy wyższym od normalnego, niespokojnie wypatrując pistoletu.

- Owszem, ale bez ciebie ze szwindlu nic by nie wyszło, prawda? - odrzekł Wes. - Ricky musiał mieć kogoś do szmuglowania poczty, do odbierania pieniędzy i do namierzania klientów.

- Jesteście z policji? - spytał Trevor.

- Nie. Pracujemy na własny rachunek - odrzekł Chap.

- Bo jeśli jesteście z policji, to nie chcę z wami rozmawiać.

- Nie, przecież mówię.

Trevor zaczął ponownie oddychać i myśleć. Oddychał dużo szybciej, niż myślał, mimo to praktyka wzięła górę.

- Pozwolicie, że włączę magnetofon - powiedział. - Na wypadek gdybyście byli policjantami.

- Powtarzam: nie jesteśmy z policji.

- Nie ufam gliniarzom, zwłaszcza tym z FBI. Federalni weszliby tu, zaczęliby wymachiwać spluwą i przysięgać, że nie są z FBI, dokładnie tak samo jak wy. Po prostu ich nie lubię, dlatego włączę magnetofon.

Nie martw się, stary, pomyśleli Wes i Chap. Już cię nagrywają, na żywo i w kolorze. Widzisz te maleńkie kamery w suficie tuż za nami? A te mikrofony wokół zawalonego papierami biurka? Słyszymy, jak chrapiesz, jak bekasz, a nawet jak wyłamujesz palce.

Pistolet. Znowu ten pistolet. Wes ujął go obiema rękami i uważnie obejrzał.

- Nie będziesz niczego nagrywał - oznajmił Chap. - Jak mówiłem, pracujemy na własny rachunek. I to my stawiamy warunki. - Podszedł krok bliżej.

Trevor obserwował go jednym okiem, a drugim pomagał Wesowi oglądać broń.

- Powiem ci coś - dodał Chap. - Przychodzimy w pokoju.

- I mamy dla ciebie pieniądze - dorzucił Wes, chowając tę przeklętą spluwę.

- Za co? - spytał Trevor.

- Za to, żebyś przeszedł na naszą stronę. Chcemy skorzystać z twoich usług.

- Z jakich usług?

- Pomożesz nam chronić naszego klienta - wyjaśnił Chap. - Widzimy to tak. Bierzesz aktywny udział w

- 147 -

wymuszeniach. Pomagasz szantażystce z Trumble i zostałeś przyłapany. Moglibyśmy pójść z tym do federalnych. Twój klient dostałby pajdę, a ty poszedłbyś na trzydzieści miesięcy do pierdła,

najpewniej do Trumble, bo to miejsce w sam raz dla ciebie. Automatycznie zostałbyś wykluczony z palestry, co znaczy, że musiałbyś się z tym wszystkim pożegnać. - Niedbałym ruchem prawej ręki zatoczył szeroki łuk, wskazując papiery na biurku i sterty zakurzonych, od lat nieotwieranych teczek z aktami.

Pałeczkę przejął Wes.

- Moglibyśmy pójść do nich choćby zaraz. Gwarantuję, że udałoby się nam powstrzymać szmugiel korespondencji z Trumble i oszczędzić naszemu klientowi zażenowania. Lecz byłby to krok trochę ryzykowny, dlatego nasz klient pragnie go uniknąć. Założmy, że Ricky ma jeszcze jednego współnika, współwięźnia albo innego adwokata, słowem kogoś, kogo jeszcze nie znamy. Co wtedy? Co byśmy zrobili, gdyby za jego pośrednictwem spróbował się zemścić?

Chap już kręcił głową.

- Nie, nie, to zbyt ryzykowne. Dlatego wolelibyśmy nawiązać współpracę z tobą, Trevor. Chcemy cię przekupić i zakończyć sprawę, nie wychodząc z tej kancelarii.

- Mnie nie można przekupić - odparł Trevor, choć bez większego przekonania w głosie.

- W takim razie cię wynajmiemy - zaproponował Wes. - Co ty na to? Adwokata można wynająć, nawet na godziny...

- Tak, ale wy chcecie, żebym sprzedał wam klienta.

- Twój klient jest kryminalistą, który, odsiadując wyrok, codziennie popełnia nowe przestępstwo. A ty jesteś tak samo winny jak on. Przestań zgrywać świętoszka.

- Ten, kto zostaje przestępcą - dodał poważnie Chap - nie może być obłudnikiem. To przywilej ludzi uczciwych, dlatego nie praw nam kazań. Wiemy, że to tylko kwestia pieniędzy.

Trevor zapomniał na chwilę i o pistolecie, i o swojej licencji wiszącej krzywo na ścianie. Ilekroć musiał stawić czoło nieprzyjemnym konsekwencjom wynikającym z faktu, że praktykował prawo, natychmiast zamykał oczy. Zamknął je i teraz, by ponownie ujrzeć swój trzynastoipółmetrowy szkuner zakotwiczony na ciepłych, gładkich jak lustro wodach ustronnej zatoki, ujrzeć półnagie dziewczęta na oddalonej o sto metrów plaży, ujrzeć siebie, równie skąpo odzianego i sączącego drinka na pokładzie. Niemal słyszał ich głosy, niemal czuł zapach słonej wody, delikatny powiew morskiej bryzy i smak rumu.

Otworzył oczy i spróbował skupić wzrok na siedzącym naprzeciwko Wesie.

- Kim jest wasz klient? - spytał.

- Nie tak szybko - odrzekł Chap. - Najpierw zawrzyjmy umowę.

- Jaką umowę?

- Damy ci pieniądze i od tej pory będziesz pracował na dwie strony. Zapewnisz nam nieograniczony dostęp do listów z Trumble. Na każdą rozmowę z Rickym pójdziesz z ukrytym mikrofonem. Nie zrobisz żadnego ruchu, dopóki wszystkiego nie uzgodnimy.

- Dlaczego wasz klient po prostu nie zapłaci? Tak byłoby o wiele łatwiej.

- Myśleliśmy o tym - odrzekł Wes. - Rzecz w tym, że Ricky pogrywa nieuczciwie. Gdybyśmy mu zapłacili, zażądałby więcej. A potem jeszcze więcej.

- Nieprawda.

- Nie? Quince Garbe z Bakers w Iowie. Mówi ci to coś?

- 148 -

O Boże! Niewiele brakowało, a Trevor powiedziałby to na głos. O czym jeszcze wiedzieli? O wszystkim?

- Garbe? Kto to... jest? - Zdołał wydukać tylko tyle.

- Przestań - powiedział Chap. - Wiemy o banku na Bahamach. Wiemy o Boomer Realty. Wiemy o twoim małym koncju, na którym masz prawie siedemdziesiąt tysięcy dolarów...

- Kopaliśmy i kopaliśmy, lecz w końcu natrafiliśmy na skałę - wszedł mu w słowo Wes; Trevor czuł się jak na meczu tenisowym, bo musiał patrzeć to na jednego, to na drugiego. - Sami jej nie rozbijemy. Potrzebujemy twojej pomocy.

Szczerze powiedziawszy, nigdy nie lubił Spicera. Sędzia był zimnym, bezdusznym i wrednym człowiekiem, który śmiał

obciąć mu stawkę. Beech i Yarber byli w porządku, ale co tam. Poza tym, cóż, nie miał zbyt wielkiego wyboru.

- Ile? - spytał.

- Nasz klient jest skłonny zapłacić sto tysięcy dolarów. Gotówką.

- Wyłącznie gotówką - odrzekł Trevor - to oczywiste. Ale sto tysięcy? Kiepski żart. Ricky zażądałby tyle na dzień dobry. Moje poczucie godności jest warte o wiele więcej.

- Dwieście tysięcy - zaproponował Wes.

- Zróbmy tak - odparł Trevor, czując, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. - Wasz klient chce pochować pewną tajemnicę. Ile jest skłonny zapłacić za pogrzeb?

- A zabawisz się w grabarza?

- Czemu nie?

- Chwileczkę. - Chap wyjął z kieszeni małejki telefon.

Idąc do drzwi, wystukał numer i stanąwszy w korytarzu, wymamrotał coś do słuchawki. Wes gapił się w ścianę.

Pistolet spoczywał obok krzesła. Trevor próbował go nie widzieć. Na próżno.

Chap wrócił do gabinetu i przeszył Wesa wzrokiem. Zdawało się, że jego brwi i zmarszczki na czole próbują przekazać mu jakąś niezwykle ważną wiadomość.

Trevor zawahał się i wypalił:

- Milion dolarów. To może być moja ostatnia sprawa. Żądacie, żebym zdradził wam poufne informacje dotyczące mojego klienta, a to poważne naruszenie etyki adwokackiej. Za takie coś wylatuje się z palestry.

Wykluczenie z palestry byłoby dla starego Trevora awansem, lecz Wes i Chap puścili to mimo uszu. Kłótnią na temat wartości jego licencji niczego by nie zyskali.

- Nasz klient zapłaci milion dolarów - odrzekł Chap.

Wtedy Trevor się roześmiał. Nie mógł się powstrzymać. Zarechotał, jakby tamci opowiedzieli mu przedni dowcip, a słysząc jego śmiech, siedzący po drugiej stronie ulicy chłopcy zarechotali równie głośno jak on.

Wreszcie wziął się w garść. Przestał chichotać, ale za nic nie mógł przestać się uśmiechać. Milion dolarów. W

gotówce. Bez podatku. Na zagranicznym rachunku. Oczywiście w innym banku i poza zasięgiem tych z urzędu skarbowego czy jakichkolwiek innych władz.

Po chwili, trochę zażenowany swoją nieprofesjonalną reakcją, zdołał zmarszczyć czoło, jak na poważnego adwokata przystało. Już miał powiedzieć coś ważnego, gdy wtem usłyszeli głośne pukanie do przeszklonych drzwi.

- O - rzucił. - Jest kawa.

- Ta kobieta musi stąd odejść - oznajmił Chap.

- Odeślę ją do domu. - Pierwszy raz od rozpoczęcia rozmowy Trevor wstał i lekko zakręciło mu się w głowie.

- 149 -

- Nie. Ona musi odejść na dobre. Nie może tu pracować.

- Ile ona wie? - spytał Wes.

- Jan? - odrzekł uszczęśliwiony Trevor. - Nic nie wie. Jest głupia jak but.

- To część naszej umowy. Jan odchodzi, i to natychmiast. Mamy dużo do omówienia i nie chcemy, żeby się tu kręciła.

Jan pukała coraz głośniej. Otworzyła zamek, lecz nie mogła zdjąć łańcucha.

- Trevor! To ja! - krzyknęła przez wąską szparę.

Trevor wszedł powoli do korytarza, drapiąc się w głowę i szukając odpowiednich słów. Skonfundowany spojrzał na nią przez szybkę w drzwiach.

- Otwieraj - warknęła. - Kawa parzy mnie w dłonie.

- Idź do domu - odparł.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Tak, dlaczego?

- Bo... - Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć, i nagle pomyślał o milionie dolarów. Jej odejście było częścią umowy. - Bo cię zwalniam - wypalił.

- Co?!

- Zwalniam cię! - krzyknął, wiedząc, że słyszą go nowi kumple w gabinecie.

- Nie możesz mnie zwolnić! Za dużo mi wiesz!

- Nic ci nie wiszę!

- A tysiąc dolców zaległej pensji?

Okna domu naprzeciwko wypełniły się twarzami ukrytymi za lustrzanym szkłem. W cichej uliczce rozbrzmiewało echo wrzaskliwych głosów.

- Zwariowałaś! - krzyknął Trevor. - Nie jestem ci winien ani centa!

- Dokładnie tysiąc czterdzieści dolarów!

- Idiotka.

- Ty sukinsynu! Osiem lat zdycham u ciebie na głodowej pensji, a kiedy wreszcie dostajesz dużą sprawę, każesz mi iść precz!

- Powiedzmy. A teraz wracaj do domu.

- Otwieraj, ty nędzny tchórze!

- Idź do domu, Jan!

- Muszę zabrać swoje rzeczy!

- Jutro. Teraz rozmawiam z panem Newmanem. - Trevor cofnął się o krok.

Kiedy Jan stwierdziła, że jej nie otworzy, dostała szału.

- Ty skurwysynu! - wrzasnęła, ciskając kubkiem w drzwi. Mocno sfatygowane okienko wytrzymało i nie pękło, choć spłynęło strugą kremowo-brązowej cieczy.

Trevor drgnął i odruchowo zrobił krok do tyłu, patrząc, jak kobieta, którą tak dobrze znał, popada w obłąd.

Wzburzona, mocno zaczerwieniona Jan zaklęła, odeszła od drzwi, zrobiła parę kroków, gdy wtem zauważyła kamień, pozostałość dawno zapomnianego, niskonakładowego projektu upiększenia terenu wokół kancelarii, który kiedyś zatwierdził,

- 150 -

ulegając jej namowom. Chwyciła kamień, zacisnęła zęby i rzuciła nim w drzwi.

Wes i Chap byli dobrymi aktorami i do tej pory udawało im się zachować śmiertelną powagę, ale kiedy kamień rozbił

szybę i wpadł do korytarza, nie wytrzymali i parsknęli śmiechem.

- Ty furia! - ryknął Trevor.

Chap i Wes ponownie się roześmiali i popatrzyli w przeciwne strony, żeby się wzajemnie nie podkręcać i szybciej nad sobą zapanować.

Zaległa głucha cisza. W korytarzu i w sekretariacie wreszcie zapanował pokój.

W progu gabinetu stanął Trevor. Był cały i zdrowy, nawet nie draśnięty.

- Przepraszam - powiedział cicho i usiadł w fotelu.

- W porządku? - spytał Chap.

- Tak, jak najbardziej. Napijecie się zwykłej kawy?

- Dajmy sobie spokój z kawą.

Szczegóły dopracowali podczas lunchu, na który Trevor zaciągnął ich do Pete'a. Siedzieli z tyłu sali, tuż przy automatach. Wes i Chap woleliby pogadać w trochę ustronniejszym miejscu, ale szybko stwierdzili, że nikt ich nie podsłuchuje, a to z tej prostej przyczyny, że nikt nie prowadził tam żadnych interesów.

On osuszył trzy butelki piwa i zjadł porcję frytek. Oni pili colę i zjedli po hamburgerze.

Trevor zażądał całego miliona z góry, przed rozpoczęciem rozmów. Po krótkiej wymianie zdań uzgodnili, że sto tysięcy dostarczą mu jeszcze tego popołudnia, a resztę niezwłocznie przeleją na jego konto w Geneva Trust w Nassau na Bahamach. Trevor wolałby inny bank, lecz Chap i Wes się uparli. Zapewnili go, że chociaż są w stanie śledzić przebieg dokonywanych na tym koncie operacji, nie mogą nic z niego podbierać. Poza tym do Geneva Trust pieniądze przyszłyby jeszcze przed wieczorem, a gdyby zmienili bank, transfer zająłby kilka dni. Obie strony pragnęły jak najszybciej dobić targu.

Chap i Wes chcieli zapewnić pełną i natychmiastową ochronę swojemu klientowi. Trevor chciał miliona dolarów. Po trzeciej butelce zaczął wydawać je w myślach.

Chap wyszedł wcześniej, po pieniądze. Trevor zamówił piwo na wynos, po czym wsiedli do samochodu Wesa i pojechali na przejażdżkę. Mieli spotkać się z Chapem w umówionym miejscu i odebrać sto tysięcy. Kiedy skręcili na autostradę AIA, tę biegnącą wzdłuż plaży, Trevor się rozgadał.

- Niesamowite - zaczął, osłaniając oczy tanimi ciemnymi okularami, i opierając głowę o zagłówek.

- Co jest niesamowite?

- Ryzyko, na jakie ludzie są skłonni pójść. Ot, choćby wasz klient. Bogaty facet. Mógłby mieć każdego młodego chłopaka, jakiego by tylko zechciał, mimo to wolał odpowiedzieć na ogłoszenie w piśmie dla gejów i nawiązać korespondencję z nieznanym.

- Ja też tego nie rozumiem - odrzekł Wes i przez chwilę trzymali jedną stronę, jak na dwóch zdrowych heteroseksualistów przystało. - Ale to nie moja sprawa.

- Wielka niewiadoma - spekulował Trevor, pociągając z butelki. - Dreszczyk emocji. Pewnie o to im chodzi.

- Pewnie tak. Kto to jest Ricky?

- Powiem, kiedy dostanę pieniądze. Który z nich jest waszym klientem?

- Który? A ilu Ricky ich szantażuje?

- Ostatnio jest bardzo zajęty. Bo ja wiem, chyba koło dwudziestu.

- 151 -

- Ilu zapłaciło?

- Dwóch albo trzech. To śmierzdzący interes.

- Jak się w to wplątałeś?

- Jestem jego adwokatem. Ricky jest bardzo bystry i bardzo się nudzi, więc wpadł na pomysł, żeby doić szmal z pedałów. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, dałem się w to wciągnąć.

- Ricky jest gejem? - spytał Wes. Znał imiona wnuków Beecha. Wiedział, jaką grupę krwi ma Yarber i z kim spotyka się żona Spicera.

- Nie - odrzekł Trevor.

- W takim razie zboczony z niego psychol.

- Nie, to całkiem miły facet. No więc? Kto jest waszym klientem?

- Al Konyers.

Trevor kiwnął głową, próbując przypomnieć sobie, ile listów wysłał do Ala.

- Co za zbieg okoliczności - powiedział. - Właśnie miałem lecieć do Waszyngtonu, żeby go namierzyć. Oczywiście to fałszywe nazwisko...

- Oczywiście.

- Znasz prawdziwe?

- Nie. Wynajęli nas jego ludzie.

- Ciekawe. A więc nikt z nas nie zna jego prawdziwego nazwiska?

- Na to wygląda. I jestem pewien, że nigdy go nie poznamy.

Trevor wskazał stację benzynową.

- Stań na chwilę. Kupię piwo.

Wes czekał przy dystrybutorze. Ustalono, że pozwolą mu pić, dopóki wszystkiego się nie dowiedzą. Chcieli zdobyć jego zaufanie, a potem delikatnie skłonić go do zachowania względnej trzeźwości. Któregoś wieczoru mógłby się urznąć i chlapanąć coś U Pete'a, a była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali.

Chap czekał w wynajętym samochodzie przed pralnią osiem kilometrów na południe od Ponte Vedra Beach.

Wręczył Trevorowi cienką, tanią walizeczkę i powiedział:

- Trzymaj. Równo sto tysięcy. Spotkamy się w kancelarii.

Trevor go nie słyszał. Otworzył walizeczkę i zaczął liczyć pieniądze. Wes zawrócił i ruszyli na północ. Studolarowe banknoty były ułożone rzędami. Dziesięć rzędów po dziesięć tysięcy dolarów w każdym.

Trevor zamknął walizeczkę i przesiadł się na lewą stronę.

- 152 -

ROZDZIAŁ 27

Pierwszym zadaniem Chapa jako praktykanta bez uprawnień było wysprzątanie sekretariatu i usunięcie wszystkiego, co choćby tylko kojarzyło się z kobietą. Stare szminki, pilniki do paznokci, ananasowe ciągutki i kilkanaście pornograficznych romansideł wylądowało w wielkim kartonowym pudle. Chap znalazł również kopertę z osiemdziesięcioma dolarami i garścią bilonu. Wziął ją szef. Powiedział, że to podręczna kasa.

Fotografie Jan zostały zawinięte w stare gazety i ułożone w osobnym pudle, łącznie ze szklanymi i porcelanowymi drobiazgami, które widuje się niemal na wszystkich biurkach świata. Chap skopiował również jej terminarz, żeby wiedzieć, ilu klientów ma się spodziewać i kiedy ewentualnie przyjdą. Bez zdziwienia stwierdził, że nawet pracy mu nie grozi. Ani jednej rozprawy sądowej. Dwa spotkania w tym tygodniu, dwa w przyszłym, a potem już nic. Przystudiowawszy kalendarze, zauważył, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Quince Garbe przysłał Braciom pieniądze, Trevor wyraźnie zwolnił

obroty.

Wiedzieli, że ostatnio coraz więcej pije i częściej obstawia. W telefonicznych rozmowach z psiapsiółkami Jan wspominała, że jej szef dłużej przesiaduje U Pete'a niż w pracy.

Podczas gdy Chap pakował jej rzeczy, porządkował biurko, odkurzał akta i wyrzucał stare czasopisma, w sekretariacie od czasu do czasu dzwonił telefon. Ponieważ odbieranie telefonów należało do jego obowiązków jako praktykanta, starał się zawsze być w pobliżu. Większość interesantów dzwoniła do Jan, więc grzecznie im tłumaczył, że Jan już tu nie pracuje. „Szczęściara” - tego rodzaju reakcja zdecydowanie przeważała.

Rankiem przyszedł agent przebrany za stolarza; miał wymienić frontowe drzwi. Trevor podziwiał sprawność i wydajność pracy Chapa.

- Tak szybko? Skąd go wytrzasnąłeś?

- Z książki telefonicznej - odrzekł praktykant.

Po stolarzu przyszedł agent przebrany za ślusarza i wymienił wszystkie zamki.

Ich umowa przewidywała, że przez co najmniej miesiąc Trevor nie przyjmie ani jednego klienta. Długo się z nimi o to wyklócał, jakby był najslawniejszym adwokatem w kraju i musiał bronić swojej reputacji. Pomyślcie o ludziach, którzy mogą mnie potrzebować! - jęczał. Dobrze wiedzieli, ilu

klientów przyjął w ciągu ostatnich trzydziestu dni, więc nalegali, dopóki się nie zgodził. Kancelarię chcieli mieć tylko dla siebie, dlatego Chap obdzwonił wszystkich umówionych interesantów i powiedział im, że w dniu spotkania mecenas Carson będzie zajęty w sądzie. Zmiana terminu raczej nie wchodziła w rachubę, ale gdy tylko jakiś się zwolni, Chap natychmiast da znać.

- Nie wiedziałem, że on prowadzi sprawy sądowe - zdziwił się któryś.

- Ależ tak - zapewnił go Chap. - To bardzo poważny proces.

Pozbył się wszystkich oprócz jednej klientki. Trevor reprezentował ją od trzech lat - szło o alimenty - dlatego nie mógł jej tak po prostu zostawić.

Do kancelarii wpadła Jan. Pewnie chciała trochę narozrabiać, bo przyprowadziła ze sobą chłopaka. Góra mięśni, biała koszula, krawat, ortalionowe spodnie, kozia bródka - wyglądał na takiego, co to sprzedaje używane samochody.

Trevorowi mógłby dokopać, ale z Chapem wolał nie zadzierać.

- 153 -

- Chciałabym porozmawiać z Trevorem - powiedziała Jan, rozglądając się po wysprzątanej sekretariacie.

- Przykro mi, ale mecenas wyszedł na spotkanie.

- Kim pan, do diabła, jest?

- Praktykantem.

- Praktykantem? To niech pan lepiej zażąda, żeby płacił panu z góry.

- Dziękuję za radę. Pani rzeczy są w tych kartonach.

Zauważyła, że czasopisma na półkach zostały uporządkowane i odkurzone, że kosz na śmieci jest pusty, a meble wypolerowane i błyszczące. W powietrzu unosił się lekki szpitalny zapach, jakby ktoś zdezynfekował miejsce, które kiedyś zajmowała. Trevor już jej nie potrzebował.

- Niech pan mu powie, że wisi mi tysiąc dolarów zaległej pensji - dodała.

- Dobrze, powtórzę - odrzekł Chap. - Coś jeszcze?

- Tak, chodzi o tego wczorajszego klienta, Yatesa Newmana. Niech pan powie Trevorowi, że sprawdziłam w gazetach. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na międzystanówce dziewięćdziesiąt pięć nie było ani jednego śmiertelnego wypadku. Żadna Newman tam nie zginęła. Coś tu śmierdzi.

- Dziękuję, na pewno powtórzę.

Jan rozejrzała się ostatni raz i szyderczo wykrzywiła usta, widząc nowe drzwi. Jej chłopak zmiażdżył Chapa wzrokiem, jakby - mimo wszystko - miał ochotę skrócić mu kark, ale zrobił to dość ostrożnie, w drodze do drzwi. Wyszli, niczego nie tłukąc ani nie łamiąc i pocłapali ciężko chodnikiem, każde z pudłem pod pachą.

Chap obserwował ich chwilę, a potem zaczął przygotowywać się do kolejnego wyzwania: do lunchu.

Poprzedniego wieczoru zjedli kolację dwie ulice od Żółwia Morskiego, w nowej, straszliwie zatłoczonej restauracji serwującej owoce morza. Zważywszy na wielkość porcji, ceny były doprawdy zabójcze i właśnie dlatego Trevor, najmłodszy stażem milioner w Jacksonville, nalegał, żeby tam pójść. Oczywiście on stawał, szastał pieniędzmi na lewo i prawo. Urznął się pierwszym kieliszkiem martini, więc nie pamiętał, co jadł. Wes i Chap wyjaśnili, że klient nie pozwala im pić. Sączyli wodę mineralną i napełniali mu kieliszek.

- Na waszym miejscu znalazłbym sobie innego klienta - odrzekł ze śmiechem Trevor, podziwiając swoje poczucie humoru.

- Chyba będę musiał pić za nas trzech - rzucił w połowie kolacji i dotrzymał słowa.

Poili go, żeby sprawdzić, ile jest w stanie znieść, i z ulgą stwierdzili, że należy do bardzo spokojnych pijaczków. Z

każdym kieliszkiem robił się coraz cichszy, coraz głębiej zapadał się w fotel, a długo po deserze dał kelnerowi trzysta dolarów napiwku. Pomogli mu wsiąść do samochodu i odwieźli go do domu.

Zasnął ze swoją nową walizeczką. Leżał na łóżku w butach, w rozwiązanej muszce, w zmiętoszonych spodniach i białej koszuli, głośno chrapiąc i kurczowo tuląc do piersi skarb. Wes zgasił światło.

Faks przyszedł tuż przed piątą. Pieniądze zostały przelane. Klockner kazał im go spić, sprawdzić, ile wytrzyma, a rano zabrać się do pracy.

Wrócili o wpół do ósmej. Otworzyli drzwi własnym kluczem i znaleźli go prawie w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawili. Zdjął jeden but i leżał na boku, ale wciąż - niczym futbolista piłkę - obiema rękami przyciskał do piersi walizeczkę.

- Pobudka! - krzyknął Chap. - Wstawaj! - Wes zapalił światło i robiąc jak najwięcej hałasu, podniósł żaluzje. Trzeba przyznać, że Trevor sprawił się bardzo szybko; wstał, popędził do łazienki, wziął prysznic i dwadzieścia minut później wrócił

- 154 -

do pokoju w nowej muszce, w idealnie wyprasowanych spodniach i marynarce. Oczywiście miał trochę zapuchnięte, lecz po jego uśmiechniętej twarzy widać było, że jest gotów zacząć nowy dzień.

Pomogło mu w tym milion dolarów. Ba! Nigdy dotąd nie zwalczył tak szybko kaca.

W Beach Java zjedli po słodkiej bułeczce, wypili po filiżance mocnej kawy, potem pojechali do

kancelarii i z wigorem przystąpili do pracy. Chap okopał się w sekretariacie, Wes zaciągnął Trevora do gabinetu.

Kilka kawałków układanki dopasowało się już podczas kolacji. Agenci poznali w końcu nazwiska członków Bractwa i wyrażając zdziwienie, dali prawdziwy popis aktorskiego kunsztu.

- Trzech sędziów? - powtórzyli chórkim, udając, że są niebywale zaskoczeni.

Trevor uśmiechnął się z dumą, jakby to on był głównym architektem tego mistrzowskiego planu. Chciał im wmówić, że dzięki swej inteligencji i sprytowi zdołał nakłonić trzech byłych sędziów do korespondencyjnego szantażowania samotnych homoseksualistów, tak żeby on, mecenas Trevor Carson, mógł zgarnąć jedną trzecią haraczu za milczenie. Do diaska, czyż to nie genialne?!

W układance wciąż było wiele pustych miejsc, dlatego Wes postanowił męczyć Trevora dopóty, dopóki wszystkiego nie wyzna.

- Porozmawiajmy o tym facecie z Bakers w Iowie - rzucił. - Quince Garbe. Wynajmował skrytkę na nie istniejącą organizację. Jak się dowiedziałeś, kto to jest?

- Łatwizna - odparł z jeszcze większą dumą Trevor. Był nie tylko geniuszem, ale i bogaczem. Poprzedniego ranka obudził się z potwornym bólem głowy i przeleżał w łóżku pół godziny, martwiąc się przegranymi zakładami, podupadającą kancelarią i tym, że coraz bardziej uzależnia się od Braci oraz ich machlojek. Dwadzieścia cztery godziny później obudził się z jeszcze gorszym bólem głowy, lecz tym razem miał pod ręką znakomite lekarstwo: milion dolców.

Z euforycznego podniecenia kręciło mu się w głowie - chciał jak najszybciej skończyć tę sprawę i żyć pełnią życia.

- Zadzwoń do Des Moines i wynajmę prywatnego detektywa - ciągnął, sącząc kawę z nogami na biurku, gdzie było ich miejsce. - Wysłałem mu czek na tysiąc dolarów. Pojechał do Bakers i siedział tam dwa dni. Byliście w Bakers?

- Tak.

- Bałem się, że sam będę musiał tam pojechać. W tym interesie największe pieniądze można zbić na facetach, którzy mają pozycję i szmal. Tacy zapłacą za milczenie każdą cenę. Ale do rzeczy. Detektyw nawiązał kontakt z urzędniczką pocztową, która potrzebowała pieniędzy. Samotna matka, czworo dzieci, stary samochód, ciasne mieszkanie - chwytasz, w czym rzecz? Zadzwoń do niej wieczorem i zaproponował pięć stów gotówką w zamian za nazwisko faceta, który wynajmuje skrytkę pocztową siedemset osiemdziesiąt osiem. Nazajutrz rano zatelefonował do niej na pocztę i podczas przerwy na lunch spotkali się na parkingu. Dała mu karteczkę z nazwiskiem, a on jej kopertę z pięcioma studolarowymi banknotami. Nie spytała go nawet, kim ten Garbe jest.

- Zawsze tak robicie?

- Z Garbe'em wypaliło. Z Curtisem Catesem, tym z Dallas, było trochę trudniej. Detektyw nie mógł znaleźć dojścia do żadnej urzędniczki, więc musiał obserwować pocztę. Sterczał na ulicy trzy dni,

zażądał za to tysiąc osiemset dolarów, ale w końcu go przyuważył i zanotował numer rejestracyjny jego wozu.

- Kto będzie następny?

- Najprawdopodobniej ten gość z Upper Darby w Pensylwanii, Brant White. Nie znamy jego prawdziwego nazwiska, ale wygląda na to, że facet jest dziany.

- 155 -

- Czytałeś te listy?

- Nigdy, ani jednego. Nie wiem, co do siebie pisali ani co piszą; nie chcę wiedzieć. Kiedy już wezmą kogoś na celownik, każą mi zdobyć jego prawdziwe nazwisko. Oczywiście, jeśli używa fałszywego, jak choćby wasz Konyers. Nie macie pojęcia, ilu z nich posługuje się prawdziwym. To po prostu niewiarygodne.

- A kiedy już wysyłają list z żądaniem pieniędzy, powiadają cię o tym?

- O tak, naturalnie. Muszę zatelefonować do banku na Bahamach i uprzedzić, że przekaz jest w drodze. Kiedy pieniądze wpływają na konto, dyrektor banku natychmiast do mnie dzwoni.

- Opowiedz mi o tym facecie z Upper Darby. - Wes robił szczegółowe notatki, jakby się bał, że coś mu umknie, choć każde słowo Trevora było nagrywane przez cztery niezależnie działające magnetofony w domku po drugiej stronie ulicy.

- Wiem tylko tyle, że chcą go zrobić. Zdaje się, że jest cholernie napalony, bo właśnie wymienili dwa listy. Z innymi jest znacznie trudniej. Każdą informację trzeba od nich wyciągać. Przypomina to rwanie zęba u dentysty.

- Notowałeś sobie, kiedy i do kogo piszą?

- Nie, absolutnie. Bałem się, że któregoś dnia przyjdą tu federalni z nakazem rewizji. Nie chciałem, żeby nakryli mnie z dowodami winy.

- Sprytnie. Bardzo sprytnie.

Trevor wykrzywił usta w uśmiechu, rozkoszując się swoją przebiegłością.

- Cóż, długo zajmowałem się prawem karnym i po pewnym czasie zacząłem myśleć jak przestępca. Tak czy inaczej, dzwoniłem do Filadelfii, ale nie udało mi się znaleźć odpowiedniego detektywa.

Brant White był wytworem ludzi z Langley. Trevor nie poznałby jego prawdziwej tożsamości nawet wówczas, gdyby wynajął wszystkich detektywów z północnego wschodu.

- Już miałem pofatygować się tam osobiście - kontynuował - kiedy zadzwonił Spicer i kazał mi namierzyć Ala Konyersa w Waszyngtonie. I właśnie wtedy złożyliście mi wizytę. Co było dalej, sami

wiecie... - Zamilkł i ponownie pomyślał

o pieniądzach. Fakt, to, że Wes i Chap odwiedzili go w chwili, gdy miał namierzyć ich klienta, trochę go zastanawiało, ale co tam. Już słyszał krzyk mew, już czuł gorący piasek pod stopami. Z odległego brzegu dobiegały go dźwięki reggae, w żaglach jego małej łodzi igrał wiatr.

- Jesteś ich jedynym pośrednikiem? Nie mają nikogo innego?

- A skąd - odrzekł z wyższością Trevor. - Nie potrzebuję pomocnika. Im mniej ludzi o tym wie, tym łatwiej jest działać.

- Bardzo sprytne - powtórzył Wes.

Trevor odchylił się w fotelu. Sufit był spękany i obłaził z farby. Jeszcze przed kilkoma dniami pewnie by się tym zmartwił, ale teraz... Teraz kompletnie to olewał. Ani myślał go malować, chyba że za ich pieniądze. Już niedługo, kiedy tylko Wes i Chap skończą porachunki z Braćmi, wyjdzie stąd i nigdy nie wróci. Przedtem - szczerze mówiąc, nie wiedział po co -

spakuje akta i rozda swoje stare, nieużywane książki prawnicze. Znajdzie jakiegoś młodego, początkującego adwokata i za rozsądną cenę sprzeda mu meble i komputer. A potem, kiedy już dopnie wszystkie drobne sprawy, wyjdzie z kancelarii i, nie oglądając się za siebie, pozegluje w siną dal.

Tak, to będzie cudowny dzień...

Marzenia przerwał mu Chap - przyniósł torebkę meksykańskich pierożków i wodę mineralną. Trevor, który coraz częściej zerkał na zegarek, z niecierpliwością wyczekując chwili, kiedy będzie mógł pójść na długi lunch do Pete'a, zagryzł

- 156 -

zęby. Musiał się napić. Zaraz, teraz.

- Koniec z alkoholem do lunchu - wymlaskał Chap, walcząc z czarną fasolą i mieloną wołowiną wypływającą z pierożka.

- Wasza wola, róbcie, co chcecie - odparł Trevor.

- Mówiłem o tobie. Przez miesiąc nie wypijesz ani kropli.

- Nasza umowa tego nie przewiduje.

- Już przewiduje. Musisz być trzeźwy i czujny.

- Ale dlaczego?

- Dlatego że takie jest życzenie naszego klienta. Płaci ci za to milion dolarów.

- Może mam jeszcze czyścić sobie zęby nicią dentystyczną i jeść szpinak?

- Przy okazji go o to spytam.

- To powiedz mu też, żeby pocałował mnie w dupę.

- Nie przesadzaj, Trevor. Po prostu ogranicz picie. Dobrze ci to robi.

Pieniądze dodały mu skrzydeł, ale ci dwaj skutecznie mu je podcinali. Nie odstępowali go na krok, siedzieli mu na karku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i nic nie wskazywało na to, że zamierzają odejść. Wprost przeciwnie.

Wprowadzili się do niego na dobre.

Chap poszedł po listy. Wmówili Trevorowi, że jest bardzo nieostrożny, bo dzięki temu tak łatwo go namierzyli. Co będzie, jeśli przed pocztą czyha kolejna ofiara szantażu Bractwa z Trumble? Skoro on bez większego trudu potrafił odkryć ich prawdziwe nazwiska, dlaczego oni nie mogli namierzyć jego? Od tej pory odbieraniem korespondencji zajmą się wyłącznie Wes i Chap. Będą chodzili na pocztę o różnych porach, będą się przebierali, będą stosowali sztuczki rodem z filmów płaszcza i szpady.

Trevor w końcu ustąpił. Wyglądało na to, że wiedzą, co robią.

Na poczcie w Neptune Beach czekały cztery listy do Ricky'ego, a na poczcie w Atlantic Beach dwa do Percy'ego.

Chap uwinął się w trymiga, wiedząc, że nieustannie śledzą go koledzy, uważnie wypatrujący wszystkich tych, którzy mogliby wypatrywać jego. Listy trafiły do domku naprzeciwko kancelarii, gdzie zostały szybko skopiowane i na powrót włożone do kopert.

Agenci - cieszyli się, że nareszcie mają coś do roboty - przeczytali je i przeanalizowali. Klockner też je przeczytał. Z

sześciu nazwisk pięć już znał. Ukrywali się pod nimi mężczyźni w średnim wieku, którzy próbowali zebrać się na odwagę, żeby zrobić kolejny krok w stronę zawarcia bliższej znajomości z Rickim i Percym. Żaden z nich nie grzeszył nachalnością.

Jedną ze ścian sypialni pomalowano na biało, po czym za pomocą matrycy naniesiono na nią wielką mapę Stanów Zjednoczonych. Korespondentów oznaczono szpileczkami: czerwonymi tych, którzy pisali do Ricky'ego, zielonymi tych, którzy pragnęli poznać Percy'ego. Pod szpileczkami widniały ich nazwiska oraz nazwy miast.

Widać było, że sieć się poszerza. Ricky utrzymywał kontakt z dwudziestoma trzema mężczyznami, Percy z osiemnastoma. Wszyscy razem reprezentowali trzydzieści stanów. Z każdym tygodniem Bracia pracowali coraz lepiej i coraz wydajniej. Ogłaszali się już w trzech czasopismach. Byli bardzo konsekwentni i już po trzecim liście zwykle wiedzieli, czy nowy klient ma pieniądze. Albo żonę.

Agenci obserwowali tę grę jak zafascynowani, a uzyskawszy pełną kontrolę nad poczynaniami Trevora, wiedzieli, że od tej pory nie przegapią żadnego listu.

- 157 -

Sporządzono dwustronicowy raport i niezwłocznie wysłano go do Langley. O siódmej wieczorem trafił do rąk Deville

'a.

Telefon zadzwonił dziesięć po trzeciej, kiedy Chap mył okna. Wes wciąż maglował Trevora w gabinecie. Mecenas był znużony. Nie dość, że nie pozwolili mu się zdrzemnąć, to jeszcze zabronili pić. A on musiał, po prostu musiał strzelić sobie kielicha.

Chap podniósł słuchawkę.

- Kancelaria adwokacka.

- Czy to... kancelaria Trevora?

- Tak. Kto mówi?

- Kim pan jest?

- Nowym praktykantem. Mam na imię Chap.

- A gdzie się podziała ta... jak jej tam...

- Już tu nie pracuje. Czym mogę służyć?

- Mówi Joe Roy Spicer. Jestem klientem Trevora i dzwonię z Trumble.

- Skąd?

- Z Trumble, z więzienia. Jest Trevor?

- Nie, proszę pana. Pan mecenas jest w Waszyngtonie, ale za dwie godziny powinien wrócić.

- Aha. Proszę mu powiedzieć, że zadzwonię o piątej.

- Dobrze, przekażę.

Chap odłożył słuchawkę i wziął głęboki oddech. Podobnie jak Klockner po drugiej stronie ulicy. CIA nawiązała pierwszy bezpośredni kontakt z jednym z Braci.

Zadzwonił dokładnie o piątej. Chap poznał go po głosie. Trevor czekał już w gabinecie.

- Halo?

- Trevor? Mówi Joe Roy Spicer.

- Witam pana sędziego.

- Czego dowiedziałeś się w Waszyngtonie?

- Wciąż nad tym pracujemy. To ciężka sprawa, ale jakoś sobie poradzimy.

Zapadła długa chwila ciszy, jakby Spicerowi się to nie spodobało i jakby nie był pewien, co rzec.

- Przyjedziesz jutro?

- O trzeciej.

- Przywieź pięć tysięcy dolarów.

- Pięć tysięcy dolarów?

- Głuchy jesteś? Podejmij pieniądze i przywieź. W dwudziestkach i pięćdziesiątkach.

- Po co ci tyle...

- Nie zadawaj głupich pytań. Przywieź pieniądze, i tyle. Włóż je do koperty. Dasz mi ją z listami. Nieraz to robiłeś.

- Dobra.

- 158 -

Spicer bez słowa odłożył słuchawkę.

Godzinę gadali o Trumble. Posiadanie gotówki było w więzieniu zabronione. Każdy osadzony miał pracę, a wynagrodzenie przelewano na jego konto, z którego następnie potrącano wszystkie bieżące wydatki, takie jak opłaty za międzymiastowe rozmowy telefoniczne, drobne zakupy w kantine czy znaczki pocztowe.

Mimo to gotówka wciąż tam krążyła, choć rzadko na widoku. Szmuglowano ją, ukrywano i wykorzystywano do regulowania karcianych długów czy przekupywania strażników. Trevor się tego bał. Gdyby przyłapano go na przenoszeniu pieniędzy, odebrano by mu prawo do odwiedzin, natychmiast i na stałe. Dwa razy przemycił do więzienia pięćset dolarów, w dziesiątkach i dwudziestkach.

Ale pięć tysięcy? Nie miał zielonego pojęcia, na co Bracia chcieli je wydać.

- 159 -

ROZDZIAŁ 28

Po trzech dniach miał ich serdecznie dość. Jedli z nim śniadanie, jedli z nim lunch, jedli z nim kolację. Wieczorem odwozili go do domu, wczesnym rankiem podrzucali go do pracy. Prowadzili za niego kancelarię, Chap jako praktykant, Wes jako kierownik, a ponieważ pracy mieli niewiele, bezustannie zadręczali go pytaniami.

Dlatego nie zdziwił się, kiedy oznajmili, że zawiozą go do Trumble. Po cholere mu kierowca? Jeździł tam dziesiątki razy swoim wiernym garbusem i chciał pojechać sam. To ich zdenerwowało i zagrozili, że zadzwonią do swojego zleceniodawcy.

- A dzwońcie sobie! - wrzasnął i chyba trochę złagodnieli. - Mam to gdzieś! Wasz klient nie będzie mi mówił, jak mam żyć!

Jednakże i on, i oni dobrze wiedzieli, że to właśnie klient dyktuje warunki. Teraz liczyły się tylko pieniądze, judaszowe srebrniki, a te przyjął już przed trzema dniami.

Pojechał sam, garbusem, za nim podążali jego kaci i biała furgonetka, której pasażerów miał nigdy nie poznać.

Zresztą wcale się do tego nie palił. Ot tak, dla zabawy, bez żadnego ostrzeżenia skręcił do sklepu po sześciopak piwa i parsknął śmiechem, kiedy tamci gwałtownie zahamowali, cudem unikając stłuczki. Za miastem włókł się jak ślimak w upale, popijając piwo, rozkoszując się samotnością i wmawiając sobie, że to tylko miesiąc, że na pewno jakoś to zniesie. Za milion dolców zniósłby wszystko.

Gdy wjeżdżał do Trumble, po raz pierwszy naszły go wyrzuty sumienia. Da radę? Za chwilę miał stanąć przed Spicerem, przed klientem, który mu ufał, przed więźniem, który go potrzebował, przed swoim wspólnikiem. Czy zdoła zachować kamienną twarz, udając, że wszystko jest w porządku? Czy zdoła to zrobić, świadom, że ukryty w walizeczce superczuły mikrofon wychwyci każde jego słowo? Czy potrafi wymienić się listami, jakby nic się nie zmieniło, wiedząc, że tamci znają ich treść? Przekreślał tym samym swoją karierę adwokacką, karierę, na którą pracował tyle lat, z której był tak dumny.

Sprzedawał za mamonę swoją etykę, swoje zasady, może nawet moralność. Czy jego dusza była warta milion dolarów? Już za późno. Pieniądze leżały na koncie. Wypił łyk piwa, żeby splukać resztki poczucia winy.

Spicer był oszustem, złodziejem, tak samo jak Beech, Yarber i on. A złodzieje nie wiedzą, co znaczy honor.

Kiedy szli korytarzem do sali odwiedzin, Link poczuł bijący od niego zapach alkoholu. Trevor zajrzał do gabinetu.

Zobaczył ukrytego za gazetą Spicera i nagle się zdenerwował. Cóż z niego za adwokat? Jaki adwokat idzie na poufne spotkanie z klientem naszpikowany aparaturą podsłuchową? Wyrzuty sumienia uderzyły weń niczym cegła, lecz odwrotu już nie miał.

Mikrofon był wielkości piłeczki golfowej i Wes zainstalował go starannie na dnie jego czarnej

walizeczki. Miał

olbrzymi zasięg, tak że anonimowi chłopcy czuwający w białej furgonetce nie spodziewali się żadnych kłopotów z odbiorem.

Dołączyli do nich Wes i Chap. Nałożyli słuchawki i niecierpliwie czekali.

- Dzień dobry, Joe Roy - powiedział Trevor.

- Dzień dobry - odparł sędzia.

- Proszę otworzyć walizeczkę - rzucił Link. Zerknął do środka. - W porządku.

- 160 -

Trevor uprzedził Chapa i Wesa, że to normalna praktyka; mikrofon tkwił pod stertą papierów.

- To listy - wyjaśnił.

- Ile? - spytał Link.

- Osiem.

- Ma pan jakieś do wysłania? - rzucił strażnik.

- Nie, dzisiaj nie - odrzekł sędzia.

- Będę za drzwiami - powiedział Link.

Zamknęły się drzwi, zaskrzypiały buty i nagle zapadła głucha cisza. Bardzo długa cisza. Nie działało się nic. Absolutnie nic. Między adwokatem i klientem nie padło ani jedno słowo. Agenci w białej furgonetce czekali w nieskończoność, wreszcie zrozumieli, że coś jest nie tak.

Tuż zanim Link wyszedł z gabinetu, Trevor szybkim, zwinnym ruchem wystawił walizeczkę na korytarz, gdzie do końca spotkania niewinnie czekała na swego pana. Link ją oczywiście zauważył, lecz nic na ten temat nie powiedział.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytał sędzia.

Trevor wzruszył ramionami.

- Jest pusta. Kamery będą miały co pokazywać. Nie mamy nic do ukrycia. - Na krótką chwilę zwyciężyła w nim etyka. Pozwoli im nagrać następną rozmowę - następną, ale nie tę. A Wesowi i Chapowi powie, że strażnik kazał mu zostawić walizeczkę przed drzwiami, że to się czasami zdarza.

- Wszystko jedno - mruknął Spicer. Przeglądając listy, natrafił na dwie grubsze koperty. - To pieniądze?

- Tak. Musiałem wziąć kilka setek...

- Dlaczego? Mówiłem ci, żebyś przyniósł tylko dwudziestki i pięćdziesiątki.

- Inaczej się nie dało. Trzeba było uprzedzić mnie wcześniej.

Joe Roy przyglądał się adresowi na jednej z kopert.

- Jak było w Waszyngtonie? - rzucił obojętnie.

- Ciężko. To poczta na przedmieściach, otwarta siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Duży ruch, od cholery strażników. Ale damy sobie radę.

- Kogo wynająłeś?

- Takiego jednego z Chevy Chase.

- Nazwisko.

- Co znaczy „nazwisko”?

- Podaj mi jego nazwisko.

Trevor zgłupiał; kompletnie opuściła go inwencja. Spicer przeszywał go spojrzeniem ciemnych, szklistych oczu. Na pewno coś knuł, na pewno o czymś wiedział.

- Nie pamiętam.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- O co ci chodzi? Dlaczego mnie wypytujesz?

- Podaj mi nazwę hotelu.

- Ale dlaczego?

- 161 -

- Bo mam prawo wiedzieć. Jestem twoim klientem i pokrywam wszystkie koszty. Gdzie się zatrzymałeś?

- W Ritzu-Carltonie.

- W którym?

- Jak to w którym? W Ritzu-Carltonie.

- Są dwa. Który wybrałeś?
- Nie wiem który. Ten na przedmieściach.
- Jaką linią leciałeś?
- Przestań, Roy. O co ci chodzi?
- Jaką linią?
- Delta.
- Numer lotu.
- Nie pamiętam.
- Wróciłeś wczoraj, niecałe dwadzieścia cztery godziny temu i nie pamiętasz numeru lotu?
- Nie, nie pamiętam.
- Czy ty na pewno byłeś w Waszyngtonie?
- Oczywiście, że byłem - odparł Trevor, lecz z nieszczerości załamał mu się głos. Nie wiedział, że przyjdzie mu kłamać, nie ułożył sobie żadnej legendy, dlatego kłamstwa brzmiały naiwnie i fałszywie.
- Nie pamiętasz ani numeru lotu, ani nazwy hotelu, w którym się zatrzymałeś, ani nazwiska detektywa, z którym spędziłeś ostatnie dwa dni. Masz mnie za głupca czy co?

Trevor milczał. Mógł myśleć tylko o ukrytym w walizce mikrofonie i o tym, jakie miał szczęście, że wystawił walizkę za drzwi. Chap i Wes nic nie słyszeli. I dzięki Bogu.

- Piłeś, prawda? - zaatakował Spicer.
- Tak. - Chwilowo przestał kłamać. - Po drodze kupiłem piwo.
- Raczej dwa piwa.
- Tak, dwa.

Sędzia oparł się o stół i pochylił do przodu.

- Mam dla ciebie złą wiadomość. Jesteś zwolniony.
- Co? - nie zrozumiał Trevor.
- Zwalniam cię. Wyrzucam. Wypowiadam ci pracę.

- Nie możesz mnie zwolnić.

- Właśnie to zrobiłem. Ze skutkiem natychmiastowym. Na mocy jednogłośnie przyjętej decyzji Bractwa. Powiadomimy naczelnika i twoje nazwisko zostanie wykreślone z listy adwokatów uprawnionych do składania wizyt w Trumble. Wyjdź stąd i nie wracaj.

- Ale dlaczego?

- Dlatego że kłamiesz, pijesz, jesteś nieostrożny i straciłeś zaufanie klientów.

Co prawda, to prawda. W dodatku prawda bardzo bolesna. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że będą mieli odwagę go zwolnić. Zaciśnął zęby.

- A nasze interesy?

- 162 -

- Sprawa jest czysta. Rozstajemy się, ty zatrzymujesz swoje pieniądze, my swoje.

- Kogo zatrudnicie?

- To nasze zmartwienie. Od tej pory staraj się żyć uczciwie. Jeśli oczywiście potrafisz...

- Co ty możesz wiedzieć o uczciwym życiu?

- Wyjdź już, dobra? Po prostu wstań i wyjdź. Było miło, ale się skończyło.

- Jasne - wymamrotał Trevor. W głowie kłębiły mu się dziesiątki myśli, lecz dwie z nich zdecydowanie dominowały.

Po pierwsze, pierwszy raz od wielu tygodni Spicer nie przekazał mu żadnych listów. Po drugie, pieniądze. Po co potrzebowali aż pięciu tysięcy dolarów? Pewnie na przekupienie nowego adwokata. Zastawili na niego pułapkę. Pułapkę jak zwykle przemyślną, ponieważ myśleć mogli dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak, mieli dużo czasu, mnóstwo czasu. Trzech błyskotliwych sędziów, którzy mieli mnóstwo czasu na myślenie - to niesprawiedliwe.

Duma kazała mu wstać. Wyciągnął do niego rękę.

- Przykro mi, że tak wyszło.

Sędzia uściskał ją, acz niechętnie. Jakby chciał powiedzieć: Dobra, już dobra, byłeś szybciej stąd wyszedł.

Kiedy spotkali się wzrokiem - pewnie już ostatni raz - Trevor szepnął:

- Uważajcie na Konyersa. Jest bardzo bogaty. Ma wielkie wpływy. I o was wie.

Spicer podskoczył jak przerażony kot. Zbliżył twarz do jego twarzy i syknął:

- Obserwuje cię?

Trevor kiwnął głową i puścił do niego oko. Potem otworzył drzwi i nie odezwawszy się do Linka, podniósł

walizeczkę. Niby co mu miał powiedzieć? Przykro mi, stary, ale już nie będziesz dostawał tysiąca dolarów łapówki. Źródełko wyszło. Smutno ci? To spytaj Spicera, dlaczego zakręcił kurek.

Nie, postanowił to sobie odpuścić. Szedł chwiejnie, kręciło mu się w głowie - alkohol nic nie pomógł. Co teraz? Co powiedzieć Wesowi i Chapowi? Oto pytanie dnia. Wiedział, że zaczną go maglować, gdy tylko wyjdzie.

Z Linkiem, Vince'em, Mackeyem i Rufusem pożegnał się jak zwykle, choć po raz ostatni. Otworzył drzwi i wyszedł

na gorące słońce.

Chap i Wes czekali trzy samochody dalej. Chcieli natychmiast wziąć go na spytki, lecz postanowili rozegrać to bezpiecznie. Trevor zignorował ich, rzucił walizeczkę na przednie siedzenie i wsiadł do garbusa. Karawana wozów powoli ruszyła w kierunku autostrady do Jacksonville.

Decyzję o rezygnacji z usług Carsona podjęli po wielu naradach i długich, bezstronnych rozważaniach. Godzinami przesiadywali w ciasnej sali konferencyjnej, analizując listy Konyersa, dopóki nie nauczyli się ich na pamięć. Przeszli bieżnią dziesiątki kilometrów, tylko we trzech, konfrontując ze sobą dziesiątki scenariuszy. Razem jedli, razem grali w karty, ani na chwilę nie przestając snuć domysłów: kto zdobył dostęp do ich poczty? Kto?

Winowajcą oczywistym i jedynym, do którego mieli bezpośredni dostęp, był Trevor. Na nieostrożność mogły pozwolić sobie tylko ofiary szantażu i Bracia nie mieli na to żadnego wpływu. Lecz jeśli nieostrożny stawał się ich własny adwokat, trzeba go było zwolnić. Zresztą i tak nie budził zaufania. Ilu dobrych, wziętych prawników zaryzykowałoby karierę, przystając na udział w gejowskim szantażu?

Wahali się jedynie dlatego, że Trevor mógł wyczyścić ich konto. Szczerze powiedziawszy, niczego innego się po nim nie spodziewali i żadnym sposobem nie mogliby temu zapobiec. Jednakże byli skłonni zaryzykować w zamian za znacznie

- 163 -

większe pieniądze od Aarona Lake'a. Natomiast żeby dopaść Lake'a, musieli wyeliminować z gry Trevora, a przynajmniej tak uważali.

Spicer zdał im bardzo dokładne sprawozdanie z rozmowy. Wiadomość, którą Trevor przekazał mu tuż przed wyjściem z rozmównicy, kompletnie Braci zaszokowała. Konyers obserwował Trevora. Konyers o nich wiedział. Czy znaczyło to, że Lake też o nich wie? Kim naprawdę był Konyers?

Dlaczego Trevor mówił o nim szeptem? I dlaczego wystawił za drzwi walizeczkę?

Pytania, pytania, pytania. Zadawali je z wnikliwością, na jaką stać jest tylko trzech znudzonych sędziów. A za pytaniami posypały się propozycje strategii działania.

Trevor właśnie parzył kawę, gdy do jego świeżo wysprzątaney i lśniącej czystością kuchni weszli cicho Wes i Chap.

Weszli i od razu przystąpili do ataku.

- Co się stało? - spytał Wes. Obaj groźnie marszczyli brwi; wyglądało na to, że bardzo się czymś martwią.

- A coś się stało? - odparł Trevor, jakby wszystko poszło znakomicie.

- Z mikrofonem.

- Ach, z mikrofonem. Strażnik odebrał mi walizeczkę. Została za drzwiami.

Chap i Wes nachmurzyli się jeszcze bardziej. Trevor nalał wody do ekspresu. Dochodziła piąta po południu, a on parzył sobie kawę - tamci skrzętnie to odnotowali.

- Dlaczego? - spytał Chap.

- Normalka. Robi to mniej więcej raz w miesiącu.

- Przeszukał ją?

Trevor z uwagą obserwował krople kawy spływające do dzbanka. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

- Nie, tylko do niej zajrzał. Szybko i, jak przypuszczam, z zamkniętymi oczami. Wyjął listy, zamknął walizeczkę i wystawił ją za drzwi. Mikrofonu na pewno nie widział.

- Zauważył tę grubą kopertę?

- Ależ skąd.

- Jak poszło? Dobrze?

- Normalnie, z tym że Spicer nie miał dla mnie poczty. To trochę dziwne, ale się zdarza. Za dwa dni przekaże mi plik listów, a strażnik nawet nie dotknie walizeczki. Będziecie słyszeli każde słowo. Napijcie się kawy?

Wyraźnie im ulżyło.

- Dzięki, ale na nas już czas. - Musieli sporządzić meldunek, odpowiedzieć na pytania przełożonych.

Ruszyli do drzwi.

- Posłuchajcie, panowie - powstrzymał ich Trevor. - Potrafię sam się ubrać i zjeść na śniadanie talerz płatków z mlekiem. Robię to od lat i nie musicie mi towarzyszyć. Poza tym lubię rozpoczynać pracę trochę później. To jest moja kancelaria, dlatego od jutra będziemy otwierać punktualnie o dziewiątej. Możecie mnie odwiedzać, serdecznie zapraszam, ale nie o ósmej pięćdziesiąt dziewięć, tylko o dziewiątej; to i tak barbarzyńska godzina. Do tego czasu trzymajcie się ode mnie z daleka. Jasne?

- Jasne - odparł Chap i wyszli. Co im za różnica? Mikrofony były dosłownie wszędzie, w kancelarii, w domu, w samochodzie, a od niedawna nawet w jego walizeczce. Wiedzieli, gdzie mecenas kupuje pastę do zębów.

- 164 -

Trevor wypił cały dzbanek kawy i wytrzeźwiał. Potem przystąpił do realizacji starannie przemyślanego planu, planu, który zaczął opracowywać zaraz po wyjeździe z Trumble. Coś mu mówiło, że Wes i Chap dołączyli do chłopców z białej furgonetki, i że bacznie go obserwują. Mieli przeróżne gadzety, mikrofony, pluskwy, transmitters, i na pewno umieli się nimi posługiwać. Pieniądze się nie liczyły. Wmówił sobie, że wiedzą o nim wszystko. Popuścił wodze fantazji i założył, że słyszą każde jego słowo, widzą każdy jego ruch, wiedzą, gdzie jest o każdej porze dnia i nocy.

W im większą popadał paranoję, tym większe miał szanse na ucieczkę.

Wsiadł do samochodu i pojechał do pasażu handlowego w Orange Park, dwadzieścia sześć kilometrów na południe od Jacksonville. Powłóczył się trochę, pooglądał wystawy sklepowe i zjadł pizzę w prawie pustej pizzerii. Bał się, że nie wytrzyma, że da nura za jakiś regał czy za wieszak z ubraniami, żeby ich zgubić. Ale nie, wytrwał, oparł się pokusie. W

sklepie radiowym kupił mały telefon komórkowy w pakiecie z miesięcznym abonamentem na rozmowy zamiejscowe.

Niczego więcej nie potrzebował.

Wrócił do domu po dziewiątej, pewny, że tamci go obserwują. Włączył telewizor, podkręcił głośność i zaparzył

kawę. Wszedł do łazienki i wypchał kieszenie plikami banknotów.

O północy, kiedy dom pogrążył się w ciemności i kiedy wszystko wskazywało na to, że mecenas Carson już śpi, wymknął się z domu tylnymi drzwiami. Powietrze było rześkie, świecił księżyc w pełni, a on robił wszystko, żeby wyglądać na nocnego spacerowicza w drodze na plażę. Miał na sobie luźne spodnie z naszytymi kieszeniami, dwie koszule i obszerną wiatrówkę - w kieszeniach i za podszewką wiatrówki tkwiło w sumie osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Pozornie bez celu, szedł

brzegiem wody na południe. Oł, jeszcze jeden nocy marek.

Półtora kilometra dalej przyspieszył kroku. Osiem kilometrów dalej omal nie skończył ze zmęczenia, mimo to ani myślał

zwalniać. Sen i odpoczynek musiały zaczekać.

Skręcił i wszedł do zapuszczonego holu równie zapuszczonego moteliku. Międzystanówka spała; otwarty był tylko motel i sklep spożywczy w oddali.

Zaskrzypiały drzwi. Gdzieś na zapleczu grał telewizor. Wszedł stamtąd młody, najwyżej dwudziestoletni mężczyzna, krępy i pyzaty.

- Dobry wieczór - powiedział. - Szuka pan noclegu?

- Nie - odrzekł Trevor i powoli wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów. Zaczął je odliczać i układać równym rzędkiem na kontuarze. - Chciałbym prosić o przysługę.

Recepcjonista popatrzył na banknoty i wywrócił oczami.

- Pokoje tyle nie kosztują.

- Jak się nazywasz? - spytał Trevor.

- Bo ja wiem? Powiedzmy, że Sammy. Sammy Sosa.

- Dobra, Sammy. Tu jest tysiąc dolców. Podrzucisz mnie do Daytona Beach i są twoje. Zajmie ci to półtorej godziny.

- W sumie trzy, bo półtorej godziny będę wracał.

- Wszystko jedno. To ponad trzysta dolarów za godzinę. Kiedy ostatnio zarobiłeś trzy stówy za godzinę?

- Dawno, ale nic z tego. Robię na nocną zmianę, muszę tu siedzieć od dziesiątej do ósmej...

- Kto jest twoim szefem?

- Taki jeden z Atlanty.

- Kiedy tu ostatnio wpadł?

- 165 -

- Nie wiem. Nigdy w życiu go nie wiedziałem.

- No, jasne. Gdybyś był właścicielem takiej nory, też byś tu nie zaglądał.

- Nie jest tak źle. Mamy tu kolorowe telewizory bez opłaty, a prawie we wszystkich pokojach działa

klimatyzacja.

- To nora, Sammy, nora. Możesz zamknąć drzwi na klucz, zrobić sobie trzygodzinną wycieczkę i nikt się o niczym nie dowie.

Sammy spojrzał na pieniądze.

- Ucieka pan przed policją czy co?

- Nie. I nie jestem uzbrojony. Po prostu się spieszę.

- Dlaczego?

- Rozwód, chłopcze, rozwód. Fatalna sprawa. Mam trochę pieniędzy. Moja stara chce mi je odebrać i wynajęła kilku paskudnych adwokatów. Muszę dać nogę z miasta.

- Ma pan pieniądze, ale nie ma pan samochodu?

- Posłuchaj. Wchodzisz w to czy nie? Jeśli nie, podskoczę do tego sklepu i znajdę kogoś bystrego na tyle, żeby trochę zarobić.

- Dwa tysiące.

- Podrzucisz mnie za dwa tysiące?

- Tak.

Samochód - stara honda, w której ostatni raz sprzątał pierwszy z pięciu właścicieli - był gorszy, niż Trevor się spodziewał, ale ponieważ na autostradzie panował minimalny ruch, podróż do Daytona Beach zajęła dokładnie dziewięćdziesiąt osiem minut.

Dwadzieścia po trzeciej zatrzymali się przed całonocnym barem z goframi i Trevor wysiadł. Podziękował Sammy'emu,

emu, pomachał mu na do widzenia i odprowadził wzrokiem jego samochód. Potem wszedł do baru, wypił kawę, pogawędził

z kelnerką i wyprosił od niej miejscową książkę telefoniczną. Zamówił naleśniki, wyjął swój nowy telefon komórkowy i wykonał kilka telefonów, żeby zorientować się, co i jak.

Najbliżej miał do Daytona Beach International. Jego taksówka przystanęła przed terminalem głównym kilka minut po czwartej. Na wyasfaltowanym placu za ogrodzeniem równiutkimi rzędami stały dziesiątki małych samolotów. Patrzył na nie, czekając, aż taksiarz odjedzie. Na pewno da się któryś wyczarterować. Wystarczy mu jeden, najlepiej taki z dwoma silnikami.

ROZDZIAŁ 29

Sypialnię od podwórza przekształcono w salę konferencyjną z czterema składanymi stołami, które zestawiono razem, tak żeby utworzyły jeden duży stół. Walały się na nim gazety, czasopisma i pudełka po pączkach. O wpół do ósmej każdego ranka Klockner i jego ludzie spotykali się tam przy kawie, żeby wysłuchać meldunków z nocy i zaplanować dzień. W

odprawie zawsze uczestniczyli Chap i Wes. Dołączało do nich sześciu lub siedmiu innych - zależnie od tego, czy mieli gości z Langley czy nie - a nawet technicy, chociaż nie musieli. Teraz, kiedy Trevor był po ich stronie, mogło go śledzić mniej ludzi niż przedtem.

Tak przynajmniej myśleli. Do siódmej trzydzieści rano ukryte w mieszkaniu mikrofony nie wychwyciły żadnego odgłosu, w czym nie było niczego niezwykłego, zważywszy, że mieli do czynienia z człowiekiem, który często chodził spać pijany i lubił późno wstawać. O ósmej, podczas gdy Klockner wciąż prowadził odprawę w sypialnianej sali konferencyjnej, jeden z techników zadzwonił do Trevora, udając, że źle wybrał numer. Po trzech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka: nie ma mnie, proszę zostawić wiadomość. Zdarzało się to, ilekroć mecenas nie miał ochoty wstać, lecz zwykle skutkowało i Trevor zwlekał się z wyra.

O wpół do dziewiątej powiadomiono Klocknera, że w domu panuje martwa cisza. Nie słychać było ani prysznicza, ani telewizora, ani stereo, słowem, żadnych typowych dla poranka odgłosów.

Uznali, że mógł upić się sam. Wiedzieli, że U Pete'a nie był. Pojechał do miasta i wrócił zupełnie trzeźwy, a przynajmniej takie robił wrażenie.

- Pewnie śpi - rzucił beztrósco Klockner. - Gdzie garbus?

- Na podjeździe.

O dziewiątej Chap i Wes zapukali do jego drzwi, a kiedy nikt im nie odpowiedział, weszli do środka. Gdy zameldowali, że Trevora nie ma, mieszkańcy domku po drugiej stronie ulicy momentalnie ożyli. Nie popadając w panikę, Klockner wysłał swoich ludzi na plażę, do kilku kawiarni w okolicy Żółwia Morskiego, a nawet do knajpy U Pete'a, choć była jeszcze zamknięta. Metr po metrze, samochód po samochodzie, przeczესali cały teren wokół domu i kancelarii. Na próżno.

O dziesiątej Klockner zadzwonił do Deville'a i przekazał mu wiadomość: adwokat zniknął.

Sprawdzono listy pasażerów wszystkich lotów do Nassau. Ani śladu Trevora Carsona. Deville nie zdołał nawiązać kontaktu ani ze swoją wtyczką w urzędzie celnym na Bahamach, ani z tamtejszym bankierem, którego zdążyli już przekupić.

Teddy Maynard odbierał właśnie kolejny raport na temat ruchów północnokoreańskich wojsk, gdy dotarła do niego pilna wiadomość o zniknięciu wiecznie pijanego mecenasa z Neptune Beach na Florydzie.

- Jak mogliście zgubić takiego kretyna? - warknął na Deville'a, wybuchając gniewem, co prawie nigdy mu się nie zdarzało.

- Nie wiem.

- Nie do wiary!

- Przepraszam, Teddy.

Maynard poprawił się w wózku i boleśnie wykrzywił twarz.

- 167 -

- Znajdźcie go, do ciężkiej cholery!

Właścicielami dwusilnikowego Beech Barona byli jacyś lekarze, a wyczarterował go Eddie, pilot, którego Trevor wyciągnął z łóżka o szóstej rano, obiecując korzystny zarobek na lewo. Oficjalnie miał zapłacić dwa dwieście; tyle kosztował

dwugodzinny przelot z Daytona Beach do Nassau - czterysta dolarów za godzinę, powrót - też czterysta dolarów za godzinę

- opłaty lotniskowe, graniczne i postojowe. Trevor dorzucił kolejne dwa dwieście - tylko dla Eddiego, rzecz jasna - pod warunkiem że wystartują natychmiast.

Bank Geneva Trust w Nassau otwierano o dziewiątej rano czasu wschodnioamerykańskiego - Trevor czekał już przed drzwiami. Wpadł do gabinetu Brayshearsa i poprosił go o pomoc. Miał na koncie dziewięćset tysięcy dolarów od Ala Konyersa i około sześćdziesięciu ośmiu tysięcy za pośrednictwo w szwindlu Braci z Trumble.

Niespokojnie zerkając na drzwi, oświadczył, że chciałby przelać pieniądze na inne konto do innego banku. Należały do niego, i tylko do niego, dlatego Brayshears nie miał wyboru: zaproponował usługi znajomego dyrektora banku na Bermudach. Trevorowi bardzo to odpowiadało. Nie ufał Brayshearsowi i zamierzał przelewać pieniądze z konta na konto, dopóki nie poczuje się bezpiecznie.

Łakomym okiem zerkał przez chwilę na rachunek Boomer Realty, na którym spoczywało sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów z górką. Przez króciutki ułamek sekundy miał ochotę je zgarnąć. Byli zwykłymi kryminalistami - Beech, Yarber i ten wstrętny Spicer - nikim więcej. Pospolitymi przestępcami, bezczelnymi na tyle, żeby go zwolnić. Zmusić go do ucieczki. Próbował wzbudzić w sobie jak największą nienawiść, żeby móc te pieniądze ukraść, lecz wahając się i gryząc, stwierdził, że mimo wszystko ma do nich słabość. Byli starcami. Trzema dogorywającymi w więzieniu starcami.

Nie, milion mu wystarczy. Poza tym bardzo się spieszył. Gdyby do gabinetu wpadli nagle Chap i Wes z bronią w rękę, wcale by się nie zdziwił. Podziękował Brayshearsowi i wybiegł z banku.

Kiedy Beech Baron wystartował z międzynarodowego lotniska w Nassau, Trevor nie mógł się

powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Śmiał się z udanego skoku na bank, z udanej ucieczki, ze swego fartu, z Wesa, z Chapa, z ich bogatego, choć zubożałego o milion dolarów klienta, ze swojej ciasnej, zapuszczonej kancelarii, która była już na szczęście jedynie wspomnieniem. Śmiał się z przeszłości i z radością witał nową, wspaniałą przyszłość.

Z wysokości dziewięciuset metrów spojrzął na błękitne wody Karaibów. Kołysał się na nich samotny jacht. Za kołem sterowym stał kapitan ze skąpo ubraną kobietą u boku. Już za kilka krótkich dni za kołem sterowym podobnej łodzi stanie on, Trevor Carson.

W pokładowej lodówce znalazł piwo. Wypił je i zasnął. Wylądowali na wyspie Eleuthera; znalazł ją w czasopiśmie podróżniczym, które kupił poprzedniego wieczoru. Eleuthera - nic tylko plaże, hotele i sporty wodne. Zapłacił Eddiemu gotówką i godzinę czekał na małym lotnisku, zanim wreszcie przyjechała tam taksówka.

W portowym sklepie kupił ubranie, po czym ruszył do hotelu na plaży. To zadziwiające, jak szybko przestał się oglądać za siebie. Al Konyers mógł mieć miliony dolarów, ale nie stać go było na wynajęcie armii prywatnych detektywów wielkiej na tyle, żeby dała radę przeczesać całe Bahamy. Ach, przyszłość, rozkoszna przyszłość... Nie zamierzał burzyć jej głupimi obsesjami.

Siedział nad basenem i pił rum tak szybko, jak szybko mu go podawano. Miał czterdzieści osiem lat i witał nowe życie w takim samym stanie, w jakim porzucił stare.

*

- 168 -

Kancelaria rozpoczęła pracę o zwykłej porze, jakby nic się nie stało. Właściciel uciekł, lecz praktykant i kierownik wciąż czuwali na wypadek, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. Nieustannie nadstawiali ucha, ale nic nie słyszeli. Przed południem były dwa telefony od zagubionych w książce telefonicznej dusz. Nie zadzwonił ani jeden klient. Ani jeden klient nie potrzebował pomocy Trevora Carsona. Wes i Chap zabijali czas, badając zawartość kilku szuflad i akt, do których jeszcze nie zaglądali. Nie znaleźli niczego istotnego.

Tymczasem inna ekipa centymetr po centymetrze przeczesywała dom Trevora, szukając przede wszystkim stu tysięcy dolarów, które przekazał mu Chap. Im też się nie poszczęściło, choć wcale na to nie liczyli. Tania - i pusta - walizeczka mecenasa stała w szafie. Poza tym nic, ani śladu. Trevor po prostu wyparował, a wraz z nim wyparowała gotówka.

Przekupionego bankiera z Bahamów namierzono w Nowym Jorku. Przebywał tam służbowo. Początkowo nie chciał

się w to mieszać, lecz w końcu wykonał kilka zamiejscowych telefonów i o pierwszej po południu potwierdził, że pieniądze zostały przelane. Tak, właściciel konta zrobił to osobiście - bankier nie chciał powiedzieć nic więcej.

Przelane, ale do którego banku? Przelane, i tyle. Koniec, kropka. Bankier cenił swoją reputację.

Owszem, był

skorumpowany, lecz nawet korupcja ma swoje granice.

Urząd celny poszedł na współpracę, choć z równą niechęcią. Numer paszportu Trevora odnotowano wczesnym rankiem na międzynarodowym lotnisku w Nassau; jego właściciel nie opuścił jak dotąd Bahamów, a przynajmniej nie zrobił

tego legalnie i oficjalnie. Paszport wciągnięto na czarną listę. Gdyby Carson spróbował przekroczyć granicę, urząd celny dowiedziałby się o tym w ciągu dwóch godzin.

Deville złożył krótki, już czwarty tego dnia, meldunek Teddy'emu i Yorkowi. Czekał na dalsze rozkazy.

- Popęlni jakiś błąd - powiedział York. - Prędzej czy później będzie musiał skorzystać z paszportu, a wtedy go namierzemy. On nie wie, kto go ściga.

Rozsierdzony Maynard milczał. Jego agencja obalała rządy i zabijała królów, mimo to wciąż zdumiewał go fakt, że tak łatwo można spaprać drobną, zupełnie prostą sprawę. Na oczach dwunastu agentów umknął im z sieci niezdarny, głupkowaty adwokat z Neptune Beach. A już myślał, że nic go nie zdziwi.

Trevor Carson miał być ich łącznikiem, pomostem, którym zamierzali dotrzeć do Trumble. Kupili go, sądząc, że za milion dolarów można mu zaufać. Nie opracowali żadnego planu awaryjnego na wypadek nieoczekiwanej ucieczki i teraz rozpaczliwie próbowali to naprawić.

- Musimy wprowadzić kogoś do Trumble - zdecydował Maynard.

- Pracujemy nad tym - odrzekł Deville. - Mamy swoich ludzi w Departamencie Sprawiedliwości i w Głównym Urzędzie Więziennictwa...

- Ale kiedy? Kiedy przystąpicie do działania?

- W świetle tego, co się dzisiaj wydarzyło, nasz człowiek znajdzie się w Trumble w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Kto to jest?

- Nazywa się Argrow. Trzydzieści dziewięć lat, jednaście lat nienaganego stażu w firmie.

- Jaką mu dacie przykrywkę?

- Zostanie przeniesiony z więzienia federalnego na Wyspach Dziewiczych. Naczelnik nie będzie go wypytywał, bo wszystkie dokumenty zostaną sprawdzone i zatwierdzone tu, w Waszyngtonie. Trafi do Trumble jako kolejny więzień, który zażądał przeniesienia.

- Przygotowaliście go? Wprowadziliście w sytuację?

- 169 -

- Prawie.

- Wyślijcie go. Natychmiast.

Deville wyszedł obarczony kolejnym trudnym zadaniem, które musiał wykonać z dnia na dzień.

- Trzeba sprawdzić, ile oni wiedzą... - wymamrotał Teddy.

- Tak, ale nie mamy podstaw, by sądzić, że coś podejrzewają - odparł York. - Przeczytałem wszystkie listy. Traktują Konyersa tam samo jak innych. Jest jedną z wielu potencjalnych ofiar. Przekupiliśmy Carsona, żeby przestał węszyć wokół

jego skrytki pocztowej. Carson zwiął na Bahamy. Ma pieniądze, więc pewnie chleje na umór. Nie stanowi żadnego zagrożenia, ale...

- Trzeba się go pozbyć - rzekł Maynard. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Oczywiście.

- Ulży mi, kiedy go nie będzie.

Po południu do biblioteki wszedł umundurowany, lecz nieuzbrojony strażnik. Jako pierwszy napatoczył mu się Joe Roy Spicer, który siedział tuż przy drzwiach.

- Naczelnik was wzywa - powiedział. - Pana, Yarbera i Beecha.

- Po co? - spytał Spicer, odkładając stary numer „Field & Stream”.

- Nie moja rzecz. Czeka na was w gabinecie. Zbierajcie się.

- Powiedz mu, że jesteśmy zajęci.

- Nic mu nie powiem. Idziemy.

Poszli za nim do budynku administracyjnego. Po drodze dołączali do nich kolejni strażnicy, tak że kiedy wreszcie wysiedli z windy i stanęli przed drzwiami sekretariatu, towarzyszyło im kilkunastu ludzi. Sekretarka poradziła sobie sama i dziarskim krokiem wprowadziła sędziów do gabinetu Emmitta Broona. Kiedy wyszła, dyrektor wypalił:

- FBI powiadomiła mnie, że zaginął wasz adwokat.

Spicer, Yarber i Beech pozornie nie zareagowali, choć każdy z nich natychmiast pomyślał o tym samym: o pieniądzach, które przechowywali w banku na Bahamach.

- Zniknął dzisiaj rano - kontynuował naczelnik. - Zdaje się, że z jakimiś pieniędzmi. Nie znam

szczegółów.

Z pieniędzmi? Z jakimi pieniędzmi? O ich tajnym koncie nie wiedział absolutnie nikt, ani dyrektor, ani nikt inny.

Czyżby Trevor okradł kogoś jeszcze?

- Dlaczego pan nam o tym mówi? - spytał Beech.

Naczelnik wypełniał polecenie jednego ze swoich szefów z Departamentu Sprawiedliwości, który kazał mu powiadomić o sprawie sędziów. Ale nie zamierzał im tego zdradzać.

- Pomyślałem - odrzekł - że zechcecie o tym wiedzieć. Na wypadek gdybyście zamierzali do niego dzwonić.

Zwolnili Trevora dzień wcześniej i nie zdążyli jeszcze powiadomić o tym administracji.

- I co my teraz zrobimy? - spytał Spicer, jakby nie mógł żyć bez adwokata.

- To wasze zmartwienie. Szczerze mówiąc, uważam, że ten Carson naprzychodził się tu za wszystkie czasy.

- A jeśli się z nami skontaktuje? - spytał Yarber, doskonale wiedząc, że Trevor już nigdy się do nich nie odezwie.

- Macie niezwłocznie mnie o tym powiadomić.

Jasne, czemu nie? Rozkaz, to rozkaz.

- 170 -

I na tym rozmowa się skończyła.

Ucieczka okazała się mniej skomplikowana niż wyprawa do sklepu spożywczego. Oczekali jeden dzień. Rano, po śniadaniu, kiedy wszyscy osadzeni byli zajęci pracą, Yarber i Beech poszli na bieżnię. Spacerowali w odległości dwustu metrów od siebie, tak żeby jeden mógł obserwować budynki więzienia, a drugi odległy las. Spicer kręcił się za boiskiem do koszykówki, wypatrując strażników.

Ponieważ w Trumble nie było murów, zasieków czy wieżyczek, i ponieważ nie przykładano tam szczególnej wagi do kwestii bezpieczeństwa, strażnicy nie stanowili zbyt dużego zagrożenia. Sędzia nie dostrzegł ani jednego.

Sunąc powoli w stronę bieżni, Buster zatracił się w jęklwym jazgocie kosiarki. Przystanął, żeby rozejrzeć się i otrzeć pot z czoła. Czuwający pięćdziesiąt metrów dalej Spicer usłyszał, że silnik maszyny zgasł. Odwrócił się i uniesionym kciukiem dał znać, że teren jest czysty. Buster wkroczył na bieżnię i przyłączył się do Yarbera. Przeszli razem kilka kroków.

- Na pewno chcesz to zrobić? - spytał sędziego.

- Na sto procent. - Chłopak był spokojny, opanowany i skupiony.

- No to już. Tylko pamiętaj: nie biegnij. Weź się w garść, idź powoli.

- Dzięki, Finn.

- Nie daj się złapać, synu.

- Ani myślę.

Na zakręcie Buster zszedł z bieżni, przeciął pas świeżo skoszonej trawy, pokonał sto metrów dzielących go od najbliższych zarośli i zniknął. Beech i Yarber odprowadzili go wzrokiem i ponownie spojrzeli w stronę więzienia. Zmierzał ku nim Spicer. Nikt nie podnosił alarmu. Na więziennym podwórzu, w budynku administracyjnym i w gmachu głównym panował spokój. Strażnicy jakby zapadli się pod ziemię.

Równym, niespiesznym krokiem - półtora kilometra w piętnaście minut - zaliczyli razem dwanaście okrążeń, czyli prawie pięć kilometrów. Kiedy mieli dość, wrócili do chłodnej biblioteki, żeby odpocząć i poczekać na pierwsze doniesienia o ucieczce. Zanim nadeszły, upłynęło wiele godzin.

Buster szedł o wiele szybciej. Gdy tylko dotarł do lasu, zaczął biec. Nie oglądał się za siebie. Zerkał tylko na słońce i przez pół godziny truchtał na południe. Las był rzadki, niskie poszycie nie utrudniało ruchów. Dąb, a na dębie - sześć metrów wyżej - ambona. Miał ją i wkrótce dobiegł do ścieżki wiodącej na południowy zachód.

W lewej kieszeni spodni miał dwa tysiące dwieście dolarów od Finna Yarbera. W prawej wyrysowaną przez Beecha mapę. Z kieszeni tylnej sterczał list zaadresowany do niejakiego Ala Konyersa z Marylandu. I pieniądze, i mapa były niezwykle ważne, lecz dla Braci najważniejszy był list.

Godzinę później Buster przystanął, żeby odpocząć. Wyteżył słuch. Pierwszym punktem zamiarowym miała być autostrada numer trzydzieści. Biegła ze wschodu na zachód i według Beecha, miał do niej dotrzeć w ciągu godziny, najdalej dwóch. Nic. Cisza. Potruchtał dalej.

Tylko spokojnie. Istniała szansa, że jego nieobecność zostanie odkryta dopiero po lunchu, kiedy strażnicy przeprowadzali pobieżną inspekcję terenu wokół więzienia. Gdyby któryś zaczął go nagle szukać, posypałyby się pytania.

Jednakże po dwóch tygodniach uważnej obserwacji zarówno Bracia, jak i Buster doszli do wniosku, że to mało prawdopodobne.

Tak więc miał co najmniej cztery godziny. Może nawet więcej, ponieważ kończył pracę dopiero o piątej, kiedy to

zdawał kosiarkę do narzędziowni. Jeśli się do tej pory nie pokaże, zaczną szukać go na podwórzu i w gmachu głównym.

Dwie godziny później powiadomią policję, że z Trumble uciekł kolejny więzień. Ponieważ uciekinierzy nigdy nie byli uzbrojeni ani niebezpieczni, nikt się tym specjalnie nie przejmie. Nie będzie pościgu. Ani psów, ani krążących nad lasem śmigłowców.

Miejscowy szeryf i jego zastępcy sprawdzą główne drogi i powiadomią obywateli, żeby pozamykali drzwi na klucz.

Nazwisko uciekiniera zostanie wprowadzone do krajowej sieci komputerowej. Policja będzie obserwować jego dom, dom jego dziewczyny i czekać, aż Buster zrobi coś głupiego.

W dziewięćdziesiątej minucie wolności przystanął ponownie i usłyszał hurkot przejeżdżającej w oddali ciężarówki.

Las gwałtownie się skończył. Na jego skraju był rów, a za rowem autostrada. Według mapy Beecha, najbliższe miasto leżało kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Buster miał dotrzeć tam ukradkiem, rowami, mostami i polami.

Miał na sobie więzienne spodnie w kolorze khaki i oliwkową koszulę z krótkimi rękawami; i spodnie, i koszula szerniały od potu. Miejscowi znali ten strój i gdyby ktoś zauważył go na skraju autostrady, na pewno powiadomiłby szeryfa.

Beech i Spicer powtarzali mu jedno: dotrzyj do miasta i skombinuj nowe ubranie. Potem wskocz do autobusu, zapłać za bilet i uciekaj. Nie przestawaj uciekać.

Po trzech godzinach ukrywania się za drzewami i przeskakiwania przez rowy zobaczył pierwsze zabudowania. Skręcił

i przeszedł przez łąkę. Uliczka. Po jej obu stronach przyczepy mieszkalne. Zawarczał jakiś pies. Za jedną z przyczep suszyło się pranie. Buster ściągnął ze sznura biało-czerwony pulower i wyrzucił oliwkową koszulę.

Centrum miasta - cztery krzyżujące się ze sobą ulice, dwie stacje benzynowe, bank, coś w rodzaju ratusza, poczta.

W sklepie z przecenioną odzieżą kupił dzinsowe szorty i podkoszulek. Przebrał się w toalecie sprzedawcy. Potem ruszył na pocztę. Uśmiechnął się, i dziękując w duchu Braciom, wrzucił do skrzynki ich drogocenny list.

Złapał autobus i dojechał do Gainesville, gdzie za czterysta osiemdziesiąt dolarów kupił dwumiesięczny bilet na wszystkie linie autobusowe w Stanach Zjednoczonych. Ruszył na zachód. Chciał zgubić się w Meksyku.

ROZDZIAŁ 30

Podczas prawyborów w Pensylwanii, które odbyły się dwudziestego piątego kwietnia, gubernator Tarry podjął

ostatni wielki wysiłek. Nie zniechęcony przegraną w telewizyjnej debacie sprzed dwóch tygodni, prowadził kampanię z olbrzymim entuzjazmem i prawie bez funduszków.

- Wszystkie pieniądze zgarnął Lake! - głośił na każdym kroku, udając, że jest dumny ze swego ubóstwa. Nie opuszczał stanu przez jedenaście dni z rządu. Podróżował wielkim samochodem kempingowym, jadał w domach zwolenników, mieszkał w tanich motelach, chodził po okolicy i do upadłego ścisnął ręce wyborcom.

- Porozmawiajmy o problemach, nie o pieniądzach - prosił.

Lake też ciężko pracował. Odrzutowcem przemieszczał się dziesięć razy szybciej niż Tarry swoim kempingowym wehikułem. Ścisnął więcej rąk, no i oczywiście wydawał znacznie więcej pieniędzy.

Rezultat był łatwy do przewidzenia: otrzymał siedemdziesiąt jeden procent głosów. Była to klęska tak przytłaczająca i żenująca dla Tarry'ego, że gubernator zaczął przebąkiwać o wycofaniu się z wyścigu. Jednakże poprzysiął wytrwać co najmniej tydzień dłużej, do prawyborów w Indianie. Opuścili go niemal wszyscy współpracownicy. Miał jedenaście milionów dolarów długu. Wyeksmitowano go z kwatery wyborczej w Arlington.

Mimo to chciał, żeby mieszkańcy Indiany ujrzeli jego nazwisko na liście.

Poza tym, kto wie, może nowy, lśniący odrzutowiec Lake'a zapali się w powietrzu jak ten poprzedni...

Wyliznął głębokie rany i nazajutrz po prawyborach obiecał, że nie zaprzestanie walki.

Lake mu współczuł i na swój sposób podziwiał zawziętość, z jaką gubernator parł ku konwencji. Jednakże tak samo jak wszyscy pozostali umiał liczyć. Żeby zdobyć nominację, potrzebował wsparcia jedynie czterdziestu delegatów, a zamierzało go wesprzeć prawie pięciuset. Wyścig dobiegł końca.

Po prawyborach w Pensylwanii prasa ogłosiła go pewnym uczestnikiem finałowego pojedynku z urzędującym wiceprezydentem. Podobizna jego męskiej, przystojnej twarzy widniała dosłownie wszędzie, co było dowodem na polityczny cud. Wielu widziało w nim symbol skuteczności działania amerykańskiego systemu politycznego: nikomu nie znany kongresman, człowiek znikąd, chce przekazać ludziom coś istotnego i przykuwa ich uwagę. Jego kampania dodawała otuchy każdemu, kto marzył o prezydenturze. Po co uganiać się miesiącami po bezdrożach Iowy? Po co zawracać sobie głowę New Hampshire? Przecież to taki mały stan.

Krytykowano go jednak za kupno nominacji. Szacowano, że do prawyborów w Pensylwanii

kampania kosztowała Lake'a czterdzieści milionów dolarów; dokładną kwotę trudno było ustalić, ponieważ pieniędzmi szastano na wielu frontach naraz. Kolejne dwadzieścia milionów wydał KOSZ i kilka potężnych grup lobbystycznych, które go wspierały. W całej historii prezydenckich wyborów żaden inny kandydat nie wydał więcej.

Krytyczne uwagi bolały go i martwiły. Mimo to wolał mieć pieniądze i zdobyć nominację, niż cierpieć, gdyby ich nie miał i przegrał.

Zresztą wielkie pieniądze przestały już być tematem tabu. Internetowi przedsiębiorcy zarabiali miliardy. Budżet -

mimo licznych potknięć rządu federalnego - wykazywał nadwyżkę! Prawie wszyscy mieli pracę, prawie wszyscy mogli pozwolić sobie na hipotekę i dwa samochody. Wyniki badania opinii publicznej utwierdziły Lake'a w przekonaniu, że

- 173 -

większość wyborców nie widzi nic złego w tym, że ktoś wydaje fortunę na cele polityczne. W listopadowym pojedynku z wiceprezydentem miał teraz równe szanse.

Zwyciężywszy w zmaganiach na zachodzie kraju, po raz kolejny wrócił do Waszyngtonu jako triumfator. Aaron Lake, niepozorny kongresman z Arizony, był człowiekiem dnia.

Po długim, cichym śniadaniu Bracia przeczytali poranną gazetę z Jacksonville, jedyny dziennik, jaki wolno było czytać w Trumble. Cieszyli się z nominacji Lake'a. Ba, byli nią zachwyceni! Należeli do jego najzagorzalszych zwolenników.

Naprzód, Aaron, naprzód!

Wiadomość o ucieczce Bustera nie wywołała prawie żadnego poruszenia. Dobrze, że zwiął - mówili więźniowie. To jeszcze dzieciak, a wsadzili go na czterdzieści osiem lat. Naprzód, Buster, naprzód!

W gazecie nie wspomniano o tym ani słowem. Bracia przeczytali ją od deski do deski, pomijając jedynie nekrologi i drobne ogłoszenia. Teraz już tylko czekali. Nie zamierzali pisać żadnych listów; żadnych się nie spodziewali, ponieważ zwolnili z pracy swego jedyne go kuriera. Zawiesili działalność do chwili nadejścia wiadomości od Aarona Lake'a.

Wilson Argrow przyjechał do Trumble nie oznakowaną zielonoszarą furgonetką. Był w kajdankach i towarzyszyło mu dwóch szeryfów. Z Miami do Jacksonville przyleciał samolotem, naturalnie na koszt podatników.

Z jego dokumentów wynikało, że odsiedział cztery miesiące z pięcioletniego wyroku za defraudację. Nie wiadomo, dlaczego poprosił o przeniesienie, lecz nikt się tym w Trumble nie przejął. Był po prostu kolejnym osadzonym, a ci przenosili się cały czas.

Miał trzydzieści dziewięć lat i był rozwodnikiem po college'u. Adres? Dla celów dokumentacyjnych podano, że na stałe mieszkał w Coral Gables na Florydzie. Naprawdę nazywał się Kenny Sands, od

jedenastu lat pracował w CIA i choć nigdy dotąd nie widział więzienia od wewnątrz, brał udział w misjach znacznie trudniejszych niż ta. Po miesiącu, najdalej po dwóch zamierzał poprosić o kolejne przeniesienie.

Podczas rejestracji zachowywał kamienną twarz starego więziennego wygi, choć z niepokoju przewracało mu się w żołądku. Zapewniono go, że przemocy się w Trumble nie toleruje, poza tym na pewno potrafiłby się obronić. Ale cóż, więzienie to więzienie. Zniósł godzinny i bardzo nudny wykład wprowadzający na temat regulaminu, przepisów i zasad współżycia, który ze znudzoną miną wygłosił zastępca naczelnika, a potem szybko oprowadzono go po terenie zakładu.

Dopiero wtedy trochę się odprężył. Strażnicy nie nosili broni, a większość osadzonych robiła wrażenie zupełnie niegroźnych.

Jego współspaczem spod celi był starzec z siwą, poprzetykaną czarnymi kłaczkami brodą, zawodowy przestępca, który zwiedził już wiele zakładów karnych i któremu w Trumble bardzo się podobało. Wyznał Argrowowi, że chciałby tu umrzeć. Zaprowadził go do kantyny na lunch i objaśnił kapryśne zawilosci więziennego menu. Pokazał mu salę gier i grupki pochylonych nad składanymi stołami osiłków, którzy wpatrywali się w swoje karty z petem dymiącym w kąciku ust.

- Hazard jest w Trumble zabroniony - szepnął, puszczając do niego oko.

Potem wyszli na dwór i przystanęli na skraju słonecznego placyku, na którym urządzono siłownię. Pocili się tam młodzi mężczyźni, poprawiając opaleniznę i pracując nad mięśniami. Starzec wskazał odległą bieżnię.

- Kocham nasz rząd - powiedział.

Pokazał mu również bibliotekę, miejsce, do którego nigdy nie zaglądał.

- Widzisz tę narożną salkę? To biblioteka prawnicza.

- 174 -

- Kto z niej korzysta? - spytał Argrow.

- Zwykle mamy tu paru adwokatów. A niedawno zawitało do nas kilku sędziów.

- Sędziów?

- Tak, i to aż trzech - odparł starzec.

Biblioteka go nie interesowała. Zaciągnął Argrowa do kaplicy, a potem oprowadził go po terenie zakładu.

Agent podziękował mu za wycieczkę i wrócił do biblioteki. W bibliotece było pusto, nie licząc samotnego więźnia, który zmywał mopem podłogę. Argrow otworzył drzwi i zajrzał do narożnej sali.

Joe Roy Spicer oderwał wzrok od gazety i ujrzał przed sobą kogoś, kogo nigdy dotąd nie widział.

- Szuka pan czegoś? - spytał niechętnie.

Agent rozpoznał jego twarz ze zdjęcia w aktach. Miał przed sobą byłego sędziego pokoju, który okradł salon bingo.

Co za larwa.

- Jestem nowy - odrzekł z wymuszonym uśmiechem. - Dzisiaj przyjechałem. Czy to biblioteka prawnicza?

- Tak.

- I każdy może z niej korzystać?

- Chyba tak. Jest pan adwokatem?

- Nie, bankierem.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Spicer przydzieliłby mu jakąś robotę - po cichu, rzecz jasna - ale teraz? Teraz nie musieli już zawracać sobie głowy błahostkami.

Argrow rozejrzał się, ale nie dostrzegł ani Yarbera, ani Beecha. Przeprosił Spicera i wrócił do celi.

Kontakt został nawiązany.

Powodzenie planu zatarcia wspomnień o Rickym oraz o ich źle wróżącej na przyszłość

korespondencji zależało od kogoś innego. On sam był po prostu zbyt przerażony i zbyt sławny, żeby się przebierać, wymykać w środku nocy z domu, łapać taksówkę i jechać na przedmieścia po listy. Za duże ryzyko, poza tym wątpił, czy udałoby mu się zgubić agentów Secret Service. Chodziło za nim tyłu, że nie mógł się ich doliczyć. Diabła tam, tak dobrze się maskowali, że nawet ich nie widział.

Miała na imię Jayne. Dołączyła do sztabu wyborczego w Wisconsin i szybko trafiła do kręgu jego najbliższych współpracowników. Początkowo pracowała jako wolontariuszka, a obecnie zarabiała pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie jako jego osobista asystentka. Całkowicie jej ufał. Nie odstępowwała go na krok i zdążyli już odbyć dwie krótkie rozmowy na temat jej przyszłej pracy w Białym Domu.

Postanowił, że w odpowiedniej chwili da jej kluczyk do skrytki pocztowej Ala Konyersa. Każe jej odebrać listy i zlikwidować skrytkę, nie zostawiając adresu zwrotnego. Wmówi jej, że usługi Mailbox America były mu potrzebne do monitorowania nielegalnej sprzedaży tajnych technologii wojskowych. Myślał, że Irańczycy kupują coś, czego nigdy nie powinni oglądać, i chciał to sprawdzić. Albo wciśnie jej inny kit. Jayne mu uwierzy, ponieważ chciała mu wierzyć.

Jeśli będzie miał dużo szczęścia, Ricky już do niego nie napisze. Skrytka zostanie zamknięta. A jeśli asystentka znajdzie w niej jakiś list, Lake powie, że tej osoby nie zna, że zaszła jakaś pomyłka. Jayne o nic go nie spyta. Jej największym atutem była ślepa lojalność.

Aaron Lake czekał na odpowiednią chwilę. Czekał za długo.

- 175 -

ROZDZIAŁ 31

Przyszedł wraz z milionem innych listów, tonami papieru, które zwożono do Waszyngtonu, żeby rząd mógł

przepracować kolejny dzień. Korespondencja została posortowana według kodów pocztowych, potem według ulic i trzy dni po tym, gdy Buster wrzucił go do skrzynki, list adresowany do Ala Konyersa trafił do skrytki pocztowej w Chevy Chase.

Podczas rutynowej kontroli znaleźli go ludzie Maynarda. Został obejrzany, zbadany i szybko przesłany do Langley.

Teddy odpoczywał między naradami, kiedy do bunkra wpadł Deville z cienką teczką w rękę.

- Dostaliśmy to pół godziny temu - powiedział, wręczając szefowi trzy kartki papieru. - To kopia. Oryginał jest w aktach.

Dyrektor CIA poprawił okulary i zanim zaczął czytać, dokładnie obejrzał kopertę. Znaczek ze stemplem z Florydy -

jak zawsze. I znajome pismo. Kłopoty. Teddy przeczuwał wielkie kłopoty.

Drogi Al,

W swoim ostatnim liście próbowałeś ze mną zerwać. Przykro mi, ale to nie takie proste. Od razu przejdę do rzeczy. Ja nie jestem Ricky, a Ty nie jesteś Al. Poza tym siedzę w więzieniu, a nie w klinice rehabilitacyjnej.

Wiem, kim pan jest, panie Lake. Wiem też, że ma pan za sobą wspaniały rok, że właśnie dostał pan nominację i ma pan od groma pieniędzy. Czytujemy tu gazety i z wielką dumą śledzimy pańskie sukcesy.

Tak więc wiem już, kim jest Al Konyers. Dlatego nie wątpię, że pragnąłby pan, abym zachował ten sekrecik dla siebie. Zrobię to z prawdziwą radością, lecz moje milczenie będzie pana dużo kosztowało.

Chcę pieniędzy i chcę wyjść z więzienia. Potrafię dotrzymać tajemnicy i jestem dobrym negocjatorem.

Zdobycie pieniędzy przyjdzie panu najłatwiej, gdyż dysponuje pan olbrzymimi funduszami. Wywiązanie się z warunku numer dwa będzie trudniejsze, ale ponieważ otaczają pana potężni przyjaciele, jestem przekonany, że coś pan wymyśli.

Nie mam nic do stracenia i w razie odmowy nie zawaham się pana zniszczyć.

Nazywam się Joe Roy Spicer. Jestem penitencjariuszem więzienia federalnego w Trumble. Na pewno znajdzie pan sposób, żeby się ze mną skontaktować, i proszę to zrobić niezwłocznie.

W przeciwnym razie nie zazna pan spokoju.

Z poważaniem

Joe Roy Spicer

Teddy odwołał kolejną naradę. Deville odszukał Yorka i dziesięć minut później zamknęli się we trójkę w bunkrze.

Pierwszą opcją, jaką przedyskutowali, było morderstwo. Zabić ich mógł Argrow, któremu dostarczyliby odpowiednie narzędzia: proszki, pigułki czy coś podobnego. Yarber mógł umrzeć podczas snu. Spicer na bieżni.

Hipochondryk Beech mógł dostać złą receptę. Żaden z nich nie należał do najzdrowszych i Argrow bez trudu by sobie z nimi poradził. Fatalny w skutkach upadek, skręcony kark - istniało wiele sposobów na upozorowanie śmierci z przyczyn naturalnych czy nieszczęśliwego wypadku.

- 176 -

Trzeba by zrobić to szybko, już teraz, kiedy tamci czekali na list od Lake'a.

Jednakże morderstwo byłoby przedsięwzięciem krwawym i skomplikowanym. Trzy trupy naraz w małym, spokojnym więzieniu federalnym. Trzech bliskich przyjaciół umiera na trzy różne sposoby w krótkim odstępie czasu. Ściągnęłoby to lawinę podejrzeń. A jeśli zaczęto by podejrzewać Argrowa, człowieka z mglistą przeszłością?

Poza tym bali się Trevora. Dokądkolwiek uciekł, istniało prawdopodobieństwo, że prędzej czy później dowiedziałby się o śmierci sędziów. Wpadłby w przerażenie, stałby się nieobliczalny. Mógł wiedzieć o wiele więcej niż myśleli.

Deville'owi zlecono opracowanie planu likwidacji Braci, chociaż Teddy był temu bardzo niechętny. Nie, nie miał

żadnych oporów przed zabójstwem, jednak uważał, że nawet potrójne zabójstwo nie zagwarantuje stuprocentowego bezpieczeństwa Lake'owi.

Bo jeśli na przykład Spicer, Yarber i Beech powiedzieli o nim komuś jeszcze?

Nie, istniało zbyt dużo niewiadomych, dlatego postanowił, że z planu Deville'a skorzystają tylko w ostateczności.

Wyłożono na stół wszystkie karty. York zaproponował, żeby umieścić list w skrytce. Niech Lake go odbierze i przeczyta. Ostatecznie to on namieszał, nie oni.

- Nie wiedziałby, co robić - spekulował Teddy.

- A my wiemy?

- Jeszcze nie.

Lake zdaje sobie sprawę, że wpadł w pułapkę i próbuje uciszyć Braci - to zabawne, ale i sprawiedliwe. Dobrze mu tak. Spieprzył sprawę, to niech się teraz miota.

- To my zawaliliśmy - zauważył Maynard. - I to my musimy po sobie posprzątać.

Nie mogąc przewidzieć, co Lake zrobi, nie mogli skutecznie go kontrolować. Ten dureń wymknął się im i w jakiś sposób zdołał nadać list do Ricky'ego. Był na tyle głupi, że Bracia odkryli, z kim mają do czynienia.

Nie wspominając o najważniejszym: Aaron Lake potajemnie korespondował z homoseksualistą. Wiódł podwójne życie i nie zasługiwał na zaufanie.

Przez chwilę rozważali, czy nie doprowadzić do otwartej konfrontacji między nim a Teddym. York namawiał go do tego od chwili przechwycenia pierwszego listu z Trumble, lecz Maynard wciąż miał wątpliwości. Ostatnio prawie nie sypiał, a ilekroć sypiał, śniło mu się, że zdołali rozwiązać ten problem cicho i bez rozgłosu. I że dopiero potem odbył pogawędkę z kandydatem na prezydenta.

Och, jak bardzo by chciał pogadać z nim już teraz. Jak bardzo by chciał posadzić go na krześle po

drugiej stronie stołu i wyświetlić na ekranie kopie tych przeklętych listów. I kopię ogłoszenia z tego okropnego szmatławca. Opowiedziałby mu o panu Garbe z Bakers w stanie Iowa, o panu Gatesie z Dallas. A potem krzyknąłby: „Co za głupota! Jak pan mógł!?”.

Jednakże wciąż miał przed oczami szerszy obraz sytuacji. W porównaniu z kwestią bezpieczeństwa narodowego sprawa Lake'a była drobnostką. Nadciągali Rosjanie. Teddy wiedział, że kiedy do władzy dojdą reżimowcy Czenkowa, świat zmieni się nie do poznania.

Zabijał i kazał zabijać ludzi o wiele potężniejszych niż trzech gnijących w więzieniu sędziów. Jego najskuteczniejszą bronią była metodyczność. Żmudne, cierpliwe planowanie.

Naradę przerwała pilna wiadomość z wydziału Deville'a. Numer paszportu Trevora odnotowano podczas odprawy pasażerów na lotnisku w Hamilton na Bermudach. Carson odleciał do San Juan w Puerto Rico i miał wylądować za około pięćdziesiąt minut.

- 177 -

- Wiedzieliśmy, że był na Bermudach? - spytał York.

- Nie - odrzekł Deville. - Musiał przekroczyć granicę, nie okazując paszportu.

- Widać nie jest tak pijany, jak myśleliśmy.

- Mamy kogoś w Puerto Rico? - spytał Teddy z ledwie słyszalną nutką podekscytowania w głosie.

- Oczywiście - odrzekł York.

- Niech go znajdzie.

- Rozumiem, że nasze plany się nie zmieniły - wtrącił Deville.

- Co do Trevora? - spytał Teddy. - Nie, absolutnie.

Deville wyszedł, by to rozpracować. Teddy zadzwonił do swojego sekretarza i poprosił o miętową herbatę. York po raz kolejny przeczytał list.

- A gdyby tak ich rozdzielić? - spytał, gdy zostali sami.

- Tak, myślałem o tym. Zrobić to szybko, zanim zdążyliby się naradzić. Rozesłać ich do trzech różnych, oddalonych od siebie zakładów, na jakiś czas zamknąć w izolatkach, pozbawić możliwości korzystania z telefonu i wysyłania listów. Ale co potem? Wciąż znalazłby tajemnicę. Któryś z nich mógłby go zniszczyć.

- Nie jestem pewien, czy mamy tak wielkie wpływy w Głównym Zarządzie Więziennictwa.

- To sprawa do załatwienia. Jeśli będzie trzeba, porozmawiam z prokuratorem generalnym.

- Odkąd to przyjaźnisz się z prokuratorem?

- Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

- Jakim cudem trzech skorumpowanych sędziów, którzy odsiadują karę w więzieniu federalnym na Florydzie, może mieć wpływ na bezpieczeństwo narodowe? Chciałbym tę rozmowę słyszeć.

Teddy zamknął oczy i obejmując filiżankę obiema dłońmi, wypił łyk herbaty.

- Nie, to zbyt ryzykowne - szepnął. - Jeśli doprowadzimy ich do wściekłości, wpadną w panikę, zaczną działać chaotycznie i popełnią jeszcze więcej błędów. Nie możemy kusić losu.

- A gdyby Argrow te listy znalazł - spekulował York. - Pomyśl tylko: mamy do czynienia z trzema skazanymi i osadzonymi przestępcami. Nikt im nie uwierzy, dopóki nie przedstawią dowodów. Dowodem jest dokumentacja, kawałki papieru, oryginały listów. Ten dowód musi gdzieś być. Jeśli zniknie, kto zechce ich wysłuchać?

Zamknięte oczy, kolejny łyk herbaty, długa chwila milczenia. Teddy poprawił się na wózku i boleśnie wykrzywił

twarz.

- To prawda - odparł cicho. - Ale skąd pewność, że nie mają innego pośrednika, kogoś, o kim nie wiemy? Cały czas wyprzedzają nas o krok. Wyprzedzają i zawsze będą wyprzedzali. Próbujemy rozgryźć coś, co oni rozgryźli jakiś czas temu.

Niewykluczone, że nigdy się z nimi nie zrównamy. Może byli na tyle cwani, żeby te listy ukryć. Jestem pewien, że regulamin zabrania katalogowania korespondencji, więc może o tym pomyśleli. Listy Lake'a są zbyt cenne, żeby ich nie skopiować i nie wyprowadzić z więzienia.

- Ich kurierem był Trevor. Czytaliśmy każdy list, który stamtąd wyniósł.

- To tylko założenie. Pewności nie mamy.

- Skoro nie Trevor, to kto?

- Spicer ma żonę. Odwiedzała go. Yarber się rozwodzi, ale kto wie, co tak naprawdę knuje. Jego żona też go odwiedzała. Może przekupili jakiegoś strażnika, który robi teraz to, co do niedawna robił Carson. Ci ludzie są inteligentni,

- 178 -

znudzeni i bardzo twórczy. Nie możemy zakładać, że wiemy, co szykują. Jeśli popełnimy błąd, jeśli ich nie docenimy, pan Aaron Lake będzie skończony.

- Ale jak? Jak mieliby to zrobić?

- Choćby kontaktując się z jakimś dziennikarzem. Dostarczaliby mu list po liście, aż by go przekonali. To proste.

- Prasa by oszalała.

- Nie możemy do tego dopuścić, York. Po prostu nie możemy.

Wrócił zabiegany Deville. Amerykański urząd celny został powiadomiony dziesięć minut po starcie samolotu do San Juan. Carson miał wylądować już za osiemnaście minut.

Trevor podążał śladem swoich pieniędzy. Szybko chwycił podstawowe zasady dokonywania przelewów i dochodził

w tym do coraz większej wprawy. Na Bermudach połowę z dziewięciuset tysięcy dolarów przesłał do banku w Szwajcarii, a drugą połowę do banku na Wielkim Kajmanie. Na wschód czy na zachód? To pytanie dręczyło go najbardziej. Najbliższy samolot z Bermudów odlatywał do Londynu, lecz przerażała go myśl o odprawie paszportowej na lotnisku Heathrow. Jego nazwisko nie figurowało na liście poszukiwanych, a przynajmniej nie na liście poszukiwanych przez policję. Nie ciążyły na nim żadne zarzuty. Tylko ci angielscy celnicy... Byli tacy skrupulatni, tacy skuteczni w działaniu. Postanowił zaryzykować i polecieć na zachód. Na Karaiby.

Wylądował w San Juan, poszedł prosto do baru, zamówił duże piwo i zaczął studiować rozkład lotów. Nic go nie goniło, nigdzie się nie spieszył, kieszenie miał wypchane banknotami. Mógł lecieć, dokąd chciał, robić, co chciał, i siedzieć tam, ile mu się spodoba. Wypił jeszcze jedno piwo i zdecydował, że kilka dni spędzi na Wielkim Kajmanie, w pobliżu swoich pieniędzy. Podszedł do stanowiska jamajskich linii lotniczych, kupił bilet, a ponieważ była dopiero piąta i do odlotu zostało mu jeszcze pół godziny, wrócił do baru.

Leciał pierwszą klasą, to oczywiste. Na pokładzie zameldował się jako jeden z pierwszych, żeby zamówić kielicha, i obserwując wchodzących pasażerów, dostrzegł znajomą twarz.

Gdzie ją widział? Kilka minut temu, na lotnisku. Pociągła twarz, szpakowata kozia bródka, kwadratowe okulary, wąskie szparki zamiast oczu. Szparki zerknęły na niego i gdy tylko spotkali się wzrokiem, mężczyzna spojrział przed siebie, jakby nikogo nie zobaczył. Tak, Trevor widział go przy kontuarze, kiedy, kupiwszy bilet, odwrócił się, żeby odejść.

Nieznajomy go obserwował. Stał tuż tuż, patrząc na rozkład lotów.

Kiedy się przed kimś ucieka, każde zbłąkane, przypadkowe czy ukradkowe spojrzenie jest spojrzeniem podejrzanym. Widzisz kogoś raz i nawet nie zdajesz sobie sprawy, że go widziałeś. Pół godziny później widzisz go drugi raz i już wiesz, że facet depcze ci po piętach.

Przestań chlać! - nakazał sobie Trevor. Po starcie poprosił o kawę i wypił ją duszkiem. W Kingston zszedł z pokładu jako pierwszy. Wpadł do sali przylotów i szybko zaliczył odprawę paszportową. Ani śladu koziej bródki. Chwycił dwie małe torby podróżne i pomknął na postój taksówek.

ROZDZIAŁ 32

Miejskowe gazety dostarczano do Trumble codziennie o siódmej rano. Cztery szły do sali gier, gdzie czytali je osadzeni, których interesowało życie na wolności. Sędzia Joe Roy Spicer był zwykle jedynym penitencjariuszem, który niecierpliwie wyczekiwał siódmej, żeby zabrać gazetę do biblioteki, ponieważ musiał przestudiować bieżące stawki i tabele zakładów z Las Vegas. Siedział z nogami na karcianym stoliku, pił kawę ze styropianowego kubka i czekał, aż strażnik imieniem Roderick przyniesie gazetę - ten widok prawie nigdy się nie zmieniał.

Dlatego to właśnie on jako pierwszy dostrzegł krótką notatkę na dole pierwszej strony. Mecenas Trevor Carson, miejscowy adwokat, który zaginął przed kilkoma dniami, został znaleziony przed jednym z hoteli w Kingston na Jamajce.

Wieczorem poprzedniego dnia, tuż po zmroku, zabito go dwoma strzałami w głowę. Sędzia zauważył, że nie opublikowano jego zdjęcia. Nic dziwnego. Niby skąd mieliby je wziąć? Kogo obchodziła jego śmierć?

Według tamtejszych władz, Carson bawił na Jamajce jako turysta. Został napadnięty, obrabowany i zabity. Policję powiadomił informator o nie ustalonej tożsamości. Musiał być świadkiem zbrodni, bo wiedział dużo, bardzo dużo. Znał nawet nazwisko ofiary, choć przy zwłokach nie znaleziono portfela.

Akapit poświęcony karierze zawodowej Trevora liczył ledwie kilka linijek. Jego była sekretarka, Jan jakaś tam, nie miała nic do powiedzenia. Notatkę sporządzono i zamieszczono na pierwszej stronie tylko dlatego, że Carson był

adwokatem.

Finn był na przeciwległym zakręcie bieżni. Szedł szybkim, energicznym krokiem i mimo porannej wilgoci zdążył już zdjąć koszulę. Spicer zaczekał, aż kolega wyjdzie na ostatnią prostą, i bez słowa wręczył mu gazetę.

Beecha znaleźli w kantynie. Stał w kolejce i z plastikową tacą w rękę spoglądał żałośnie na kopę świeżo usmażonej jajecznicy. Usiedli razem w kącie sali - aby dalej od postronnych uszu - i dziobiąc jedzenie, pograżyli się w cichej rozmowie.

- Jeśli uciekał, to przed kim, do cholery?

- Może przed Lake'em?

- Trevor nie wiedział, że to Lake. Nie miał o tym zielonego pojęcia.

- Dobra, w takim razie przed Konyersem. Kiedy był tu ostatni raz, powiedział, że Konyers o nas wie, żebyśmy na niego uważali. A nazajutrz zniknął.

- Może po prostu się wystraszył. Konyers przyszedł do niego i zagroził, że go sypnie. Trevor nie należał do ludzi opanowanych. Spanikował, postanowił ukraść, co się da, i zwiać.

- Naczelnik mówił, że zniknął z jakimiś pieniędzmi. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: z czyimi.

- O naszych nikt nie wie. Myślisz, że...

- Myślę, że Trevor okradł wszystkich jak leci, a potem dał nogę. Wśród adwokatów to normalne. Wpadają w kłopoty, załamują się, defraudują fundusze powiernicze klientów i chodu.

- Naprawdę? - spytał Spicer.

Podali mu kilka przykładów. Beechowi przyszły do głowy trzy, Yarber dorzucił jeszcze dwa.

- No to kto go zabił?

- Niewykluczone, że znalazł się przypadkiem w niebezpiecznej części miasta...

- 180 -

- Hotel Sheraton w niebezpiecznej części miasta? Co ty gadasz?

- No dobra. A jeśli to Konyers go skasował?

- Możliwe. Dowiedział się, że Trevor jest pośrednikiem Ricky'ego, wypłoszył go, przycisnął i zagroził, że wyda go władzom. Skutek? Trevor uciekł na Karaiby. Nie wiedział, że Konyers to Aaron Lake.

- Poza tym, kto jak kto, ale Lake miał pieniądze i możliwości, żeby pijusa wytropić.

- Co teraz? Lake już wie, że Ricky to Joe Roy Spicer, i że Joe Roy Spicer ma w więzieniu paru kumpli.

- Pytanie tylko, czy zdoła się do nas dostać.

- Ani chybi dowiem się o tym jako pierwszy - odrzekł z nerwowym śmiechem Spicer.

- Zawsze mogło być tak, że Trevor pojechał na Jamajkę, schlał się, polazł do niebezpiecznej części miasta, próbował

zarwać jakąś babkę, no i oberwał.

Wszyscy uznali, że to zupełnie prawdopodobne.

Niechaj spoczywa w pokoju. Oczywiście pod warunkiem, że ich nie okradł.

Postanowili spotkać się za godzinę. Beech poszedł na bieżnię, żeby pospacerować i pomyśleć. Yarber, który zarabiał

dwadzieścia centów za godzinę, do gabinetu kapelana, żeby naprawić jego komputer. Spicer do biblioteki, gdzie zastał

pogrążonego w lekturze Argrowa.

Do biblioteki prawniczej wstęp mieli wszyscy osadzeni, lecz niepisane prawo stanowiło, że ten, kto chciał z niej skorzystać, musiał przynajmniej spytać o pozwolenie jednego z Braci. Argrow był nowy i najwyraźniej jeszcze o tym nie wiedział. Spicer postanowił mu darować.

Skinęli do siebie głową. Sędzia zaczął sprzątać ze stołów i układać książki.

- Powiadają, że udzielacie porad prawnych - rzucił Argrow z drugiego końca sali. Oprócz nich w bibliotece nie było nikogo.

- W Trumble krąży wiele plotek...

- Chodzi mi o apelację.

- A jak przebiegł proces?

- Przysięgli uznali mnie za winnego dwóch zarzutów: defraudacji i ukrywania pieniędzy na Bahamach. Sędzia wlepił mi pięć lat. Odsiedziałem cztery miesiące i wiem, że kolejnych pięćdziesięciu sześciu nie wytrzymam. Szukam kogoś, kto pomoże mi wnieść apelację.

- Do jakiego sądu?

- Na Wyspach Dziewiczych. Pracowałem w dużym banku w Miami. Prali tam pieniądze z prochów.

Argrow mówił płynnie, potoczyście i widać było, że chce pogadać, co Spicera trochę zirytowało. Ale tylko trochę.

Jego uwagę przykuła wzmianka o Bahamach.

- Z jakiegoś powodu cholernie mnie to zafascynowało - kontynuował Argrow. - Codziennie obracałem tonami szmalu. Kręciło mi się od tego we łbie jak po tęgim kielichu. Żaden inny bankier z południowej Florydy nie potrafił przelewać forsy tak szybko jak ja. Byłem w tym dobry, bardzo dobry. Ale źle dobrałem sobie kumpli i źle pograłem.

- Przyznał się pan do winy?

- Oczywiście.

- To jest pan tu w zdecydowanej mniejszości.

- Popełniłem błąd, ale uważam, że sędzia był dla mnie za surowy. Ktoś mi powiedział, że moglibyście mi pomóc.

- 181 -

Spicer zapomniał o stołach i książkach. Przystawił sobie krzesło i usiadł.

- Owszem, czemu nie - powiedział, jakby miał za sobą tysiące udanych apelacji.

Ty idioto, pomyślał Argrow. Wylali cię z ogólniaka w dziesiątej klasie. Kiedy miałeś dziewiętnaście lat, walnąłeś gablołę. Twój stary szybko pociągnął za odpowiednie sznurki i uwolniono cię od zarzutów. Na sędziego pokoju wybrały cię same martwe dusze i podstawieni figuranci, którzy głosowali pocztą, a teraz kiblujesz w pierdłu i odgrywasz wielkiego ważniaka.

I - z czym Argrow musiał się zgodzić - jesteś w stanie zniszczyć karierę przyszłemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych albo nawet go obalić.

- Ile to będzie kosztowało?

- A ile pan ma? - spytał Spicer, jak na prawdziwego prawnika przystało.

- Niewiele.

- Wspominał pan o pieniądzach na zagranicznym koncie.

- Zgadza się, miałem pieniądze, i to sporo, ale już nie mam.

- Więc nie może pan zapłacić? Nic a nic?

- Niedużo. Najwyżej parę tysięcy.

- A pański adwokat?

- Przez niego tu jestem. Nie stać mnie na wynajęcie nowego.

Spicer rozważał sytuację. Uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu Trevora. Gdyby mieli kogoś na zewnątrz, życie byłoby znacznie prostsze.

- Ma pan kontakty na Bahamach?

- Mam kontakty na całych Karaibach. Bo?

- Bo będzie musiał pan zrobić przelew. Posiadanie gotówki jest tu zabronione.

- Mam wam przysłać przelewem dwa tysiące dolarów?

- Nie, pięć tysięcy. To nasze minimalne honorarium.

- Do którego banku?

- Marny taki na... Bahamach.

Argrow zmrużył oczy, zmarszczył brwi i pogrążył się w zadumie podobnie jak Spicer. Dwa umysły wychodziły sobie naprzeciw.

- Dlaczego akurat tam? - spytał Argrow.

- Z tego samego powodu, dla którego pan miał tam konto.

Myśli. W obu głowach kłębiły się dziesiątki myśli.

- Chcę pana o coś zapytać - rzekł Spicer. - Zna się pan na transferach, tak?

- Jak nikt inny.

- Nie wyszedł pan z wprawy? Potrafiłby pan to zrobić?

- Stąd? Z więzienia?

- Powiedzmy.

Argrow roześmiał się i obojętnie wzruszył ramionami.

- Jasne. Paru kumpli jeszcze mi zostało.

- 182 -

- Spotkajmy się za godzinę. Może dobijemy targu.

Godzinę później Argrow zastał w bibliotece wszystkich trzech sędziów. Siedzieli za stołem zawalonym dokumentami i prawniczymi księgami niczym członkowie sądu najwyższego Florydy. Spicer przedstawił go Beechowi i Yarberowi. Oprócz nich w sali nie było nikogo.

Zaczęli od apelacji. Akta sprawy jeszcze do Trumble nie dotarły, dzięki czemu agent zdołał uniknąć szczegółowych pytań. Bez dokumentów niewiele mogli zdziałać. Trudno.

Obie strony wiedziały, że apelacja jest tylko pretekstem.

- Sędzia Spicer twierdzi, że jest pan ekspertem od transferu brudnych pieniędzy - zmienił temat Beech.

- Byłem, dopóki mnie nie nakryli - odrzekł skromnie Argrow. - Rozumiem, że są panowie zainteresowani.

- Mamy zagraniczne konto. Jest na nim trochę pieniędzy z naszych honorariów i kontraktów, których wolelibyśmy nie ujawniać. Jak pan wie, tego rodzaju poradnictwo jest w Trumble zabronione...

- Mimo to - wtrącił Yarber - wciąż się tym zajmujemy. Stąd pieniądze.

- Ile tego jest? - spytał agent. Doskonale znał stan ich konta, i to z poprzedniego dnia.

- Jeszcze do tego wrócimy - odparł Spicer. - Widzi pan, rzecz w tym, że tych pieniędzy może już nie być.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Argrow odczekał chwilę, zrobił skonsternowaną minę i spytał:

- Jak to?
- Mieliśmy adwokata - wyjaśnił powoli Beech, starannie dobierając słowa. - Ten człowiek zniknął. Niewykluczone, że z naszymi pieniędzmi.
- Rozumiem. Mieliście konto w banku na Bahamach, tak?
- Tak. Sęk w tym, że nie wiemy, czy jeszcze istnieje.
- Bardzo w to wątpimy - dodał Beech.
- Co to za bank? - spytał Argrow.
- Geneva Trust w Nassau - odrzekł Spicer, zerkając na kolegów.

Argrow powoli skinął głową, jakby znał wszystkie brudne sekrety banków w Nassau.

- Słyszał pan o nim? - spytał Beech.
- Oczywiście - odparł Argrow i zamilkł.
- No i? - drażył Spicer.

Ukrywając zadowolenie, Argrow dramatycznie wstał, niczym posiadacz wiedzy tajemnej zaczął krążyć po małej bibliotece, wreszcie, pogrążony w myślach, wrócił do stołu.

- Panowie - powiedział. - Przestańmy bawić się w podchody. O co wam tak naprawdę chodzi?

Sędziowie popatrzyli po sobie i stało się oczywiste, że nie są pewni dwóch rzeczy: (a) do jakiego stopnia mogą zaufać nieznanemu i (b) czego właściwie od niego chcą.

Szybko doszli do wniosku, że pieniądze i tak już przepadły, więc cóż mieli do stracenia.

- Nie znamy się na transferach - wyznał Yarber. - Tego rodzaju sprawy nie wchodziły w zakres naszego pierwotnego powołania. Proszę wybaczyć naszą ignorancję, ale czy istnieje jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy te pieniądze jeszcze tam są?
- Po prostu nie wiemy, czy nasz adwokat ich nie ukradł - sprecyzował Beech.
- Chcecie, żebym sprawdził stan waszego konta? - upewnił się Argrow.
- Właśnie - odrzekł Yarber.

- 183 -

- Pan ma przyjaciół - wtrącił Spicer, kując żelazo, póki gorące - a my jesteśmy ciekawi, czy można to

jakoś sprawdzić...

- Macie panowie szczęście - powiedział Argrow i odczekał chwilę, żeby słowa te do nich dotarły.

- Jak to? - wychrypiał Beech.

- Że wybraliście Bahamy.

- Szczerze mówiąc, to nasz adwokat je wybrał - wyjaśnił Spicer.

- Tak czy siak, w tamtejszych bankach panuje niezły burdel. Dochodzi do przecieków. Przekupstwo jest na porządku dziennym. Większość z tych, którzy piorą brudny szmal, unika Bahamów jak ognia. Najlepsza jest teraz Panama.

No i oczywiście Wielki Kajman. Grunt to solidność.

Oczywiście, oczywiście. Sędziowie zgodnie potakiwali. Konto zagraniczne to konto zagraniczne, prawda? Tak mawiał Trevor. Kolejny przykład, że zaufali idiotcie.

Argrow obserwował ich zdziwione twarze i myślał: Ci ludzie nie mają o niczym pojęcia. Jak na trzech sędziów, którzy są w stanie zburzyć amerykańską machinę wyborczą, robią wrażenie straszliwie naiwnych.

- Nie odpowiedział pan na pytanie - zauważył Spicer.

- Na Bahamach wszystko jest możliwe.

- A więc mógłby pan...

- Mogę spróbować, ale niczego nie gwarantuję.

- W takim razie zawrzyjmy umowę - zaproponował Spicer. - Pan sprawdzi stan naszego konta, a my zrezygnujemy z honorarium za apelację.

- Rzecz warta zachodu... - odrzekł Argrow.

- My też tak uważamy. A więc... zgoda?

- Zgoda.

Przez chwilę patrzyli na siebie dumni z zawarcia układu i zarazem niepewni, kto ma wykonać kolejny ruch. Milczenie przerwał Argrow.

- Będziecie musieli dać mi namiary - powiedział.

- Jakie namiary?

- Nazwę i numer konta.

- Boomer Realty, Ltd. Numer sto czterdzieści cztery, kreska, DXN, kreska, dziewięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt trzy.

Argrow zapisał to na skrawku papieru.

- Tak z ciekawości - spytał Spicer, uważnie go obserwując. - Jak zamierza pan skontaktować się ze swymi przyjaciół

mi?

- Przez telefon - odparł Argrow, nie podnosząc wzroku.

- Chyba nie przez nasz - rzekł Beech.

- Nasze telefony są na podsłuchu - dodał Yarber.

- Nie może pan z nich korzystać - dodał lekko zirytowany Spicer.

Argrow uśmiechnął się, skinął głową, zerknął przez ramię i wyjął z kieszeni jakiś przedmiot wielkości scyzoryka. Ujął

go dwoma palcami i powiedział:

- 184 -

- Panowie, oto mój telefon.

Sędziowie rozdziawili usta, patrząc, jak go otwiera. Kiedy skończył, aparat wciąż był maleńki, stanowczo za mały, żeby można było z niego rozmawiać.

- Cyfrowy. I bardzo bezpieczny.

- Kto opłaca rachunek? - spytał Beech.

- Mój brat z Boca Raton. Sprezentował mi ten aparat z abonamentem. - Argrow trzasnął wieczkiem i telefon zniknął

w jego dłoni. Agent wskazał drzwi do sali konferencyjnej. - Co tam jest?

- Sala konferencyjna - odrzekł Spicer.

- Bez okien?

- Bez. Jest tylko to, ta szyba.

- Dobra. Wejdę tam i zadzwonię. Wy zostaniecie tutaj i będziecie mnie kryli. Jeśli ktoś wejdzie, zapukajcie do drzwi.

Bracia chętnie na to przystali, choć żaden nie wierzył, żeby mogło mu się udać.

Telefon odebrali ludzie dyżurujący w białej furgonetce parkującej dwa i pół kilometra od Trumble, na wiejskiej drodze, którą utrzymywał - jedynie od czasu do czasu - okręgowy zarząd dróg publicznych. Żwirówka biegła wzdłuż pola należącego do farmera, którego jeszcze nie poznali. Granica terenu należącego do władz federalnych przebiegała kilkaset metrów dalej, lecz z okien furgonetki widać było tylko łany zboża, nic więcej.

Jeden z techników spał za kierownicą, drugi drzemał z tyłu w słuchawkach na uszach. Wciskając jeden z guzików na swoim małym telefonie, Argrow uruchomił nadajnik i obaj mężczyźni momentalnie ożyli.

- Halo? Mówi Argrow.

- Tu Chevy Jeden - odrzekł technik, poprawiając słuchawki. - Wał, Argrow.

- Moi klienci są tuż za drzwiami. Dzwonię do kumpla, żeby sprawdzić stan ich konta. Jak dotąd wszystko idzie szybciej, niż myślałem.

- Na to wygląda.

- No to hej. Zgłoszę się później. - Argrow przerwał połączenie, lecz wciąż przyciskał telefon do ucha, udając, że jest pograżony w rozmowie. Przysiadł na brzegu stołu, potem zaczął krążyć po sali. Od czasu do czasu zerkał na Braci i na drzwi biblioteki.

Spicer nie wytrzymał. Zajrzał ukradkiem do sali konferencyjnej i podekscytowany szepnął:

- Dzwoni! On dzwoni!

- A co ma robić? - mruknął Yarber, który czytał najświeższe sprawozdania sądowe.

- Spokojnie, Joe Roy - powiedział Beech. - Nasze pieniądze już dawno przepadły.

Minęło dwadzieścia minut i powróciła nuda. Podczas gdy Argrow telefonował, sędziowie zabijali czas. Najpierw tylko czekali, potem zajęli się najpilniejszymi sprawami. Od ucieczki Bustera upłynęło sześć dni. Fakt, że jak dotąd nie mieli od niego żadnej wiadomości, oznaczał, iż chłopakowi się udało, wrzucił list do Konyersa i jest już gdzieś daleko. Trzy dni później list powinien trafić do skrytki w Chevy Chase, dlatego doszli do wniosku, że Aaron Lake powinien już opracowywać stosowny plan działania.

W więzieniu nauczyli się cierpliwości. Martwił ich tylko jeden termin. Lake dostał nominację, co oznaczało, że mają nad nim władzę jedynie do listopada. Jeśli wygra wybory i zostanie prezydentem, będą mogli szantażować go przez cztery

Dukakisa?” - mawiał

Beech.

Nie zamierzali czekać do listopada. Cierpliwość cierpliwością, ale w tym przypadku chodziło o zwolnienie z więzienia. Lake był ich jedyną, bardzo nikłą szansą na wolność i dostatnie życie.

Postanowili odczekać tydzień, a potem napisać kolejny list do Ala Konyersa. Nie wiedzieli, jak go nadadzą, ale byli przekonani, że coś wymyślą. Może przekupią Linka. Ostatecznie Trevor przekupywał go przez wiele miesięcy.

Innym wyjściem był telefon Argrowa.

- Jeśli nam go pożyczysz - spekulował Spicer - zadzwonimy do Lake'a. Do sztabu wyborczego, na Kapitol, pod wszystkie numery, jakie tylko mają w informacji. Zostawimy wiadomość, że Ricky chce się z nim zobaczyć. Wystraszy się jak jasna cholera.

- Argrow, to znaczy jego brat, dostanie rachunek i będzie wiedział, do kogo dzwoniliśmy.

- No i co z tego? Do Lake'a dzwoni pół Ameryki. Argrow nie będzie miał pojęcia, o co nam chodzi. A za telefony zapłacimy.

Wspaniały pomysł. Długo go rozważali. Fakt, Ricky z kliniki rehabilitacyjnej mógł zadzwonić i zostawić wiadomość.

Tak samo jak Spicer z Trumble. Osaczają Lake'a ze wszystkich stron.

Biedaczyna. Nie nadążał z liczeniem pieniędzy.

Godzinę później Argrow wyszedł z sali konferencyjnej i oznajmił, że sprawa jest do załatwienia.

- Muszę odczekać godzinę, a potem wykonać jeszcze kilka telefonów - wyjaśnił. - Co powiecie na lunch?

Zaciekawieni poszli z nim do kantyny, by kontynuować dyskusję przy sałatce z kapusty i starych dowcipach.

- 186 -

ROZDZIAŁ 33

Wykonując dokładne polecenia Aarona Lake'a, Jayne pojechała do Chevy Chase. Znalazła centrum handlowe przy Western Avenue i zaparkowała przed Mailbox America. Otworzyła skrytkę, wyjęła z niej osiem reklamowych lifletów i umieściła je w plastikowej torbie. Żadnych listów prywatnych nie było. Podeszła do kontuaru i poinformowała urzędnika, że chciałaby zlikwidować skrytkę w imieniu swego pracodawcy.

Urzędnik zastukał w klawiaturę komputera i na ekranie monitora wyświetliła się wiadomość, że skrytka należy do niejakiego Aarona Lake'a. Wynajął ją przed siedmioma miesiącami na nazwisko Ala Konyersa i zapłacił za cały rok z góry, tak że nie miał wobec poczty żadnych zobowiązań finansowych.

- To ten facet, który staruje w wyborach? - spytał, podsuwając jej formularz.

- Tak - odrzekła Jayne, składając podpis w odpowiednim miejscu.

- Bez adresu zwrotnego?

- Bez.

Wyszła na ulicę, wsiadła do samochodu i wróciła do miasta. W tym, że Lake potajemnie wynajął skrytkę, aby ujawnić siatkę oszustów w Pentagonie, nie widziała niczego podejrzanego. Nie przyszło jej nawet do głowy, że szef może kłamać, poza tym nie miała czasu na zadawanie pytań. Lake orał nimi osiemnaście godzin na dobę i musiała zająć się poważniejszymi sprawami.

Czekał na nią w kwaterze głównej. Choć przez chwilę był sam. W biurach tłoczyli się asystenci, po korytarzach biegali stażyści, wszyscy zachowywali się tak, jakby lada chwila miała wybuchnąć wojna. Tymczasem on cieszył się chwilą samotności. Jayne wręczyła mu plastikową torebkę i wyszła.

Same śmieci: reklamówka z Taco Bell, z serwisu telefonicznego, z myjni samochodowej, kilka kuponów promocyjnych... I ani jednego listu od Ricky'ego. Skrytka została zlikwidowana, poczta nie dysponowała jego adresem zwrotnym. Biedny chłopak. Będzie musiał znaleźć sobie innego opiekuna. Reklamówki i formularz z podpisem Jayne trafiły do małej niszczarki dokumentów pod biurkiem. Lake pograżył się w zadumie, podliczając błogosławieństwa, jakimi obdarzyło go życie. Nie miał zbyt wielu obciążeń i popełnił niewiele błędów. Nawiązanie korespondencji z Rickym było głupotą, mimo to wyszedł z tego bez jednego draśnięcia. Ależ z niego szczęściarz!

Uśmiechnął się, niewiele brakowało, by zachichotał. Potem zerwał się z fotela, chwycił marynarkę i skrzyknął swoich ludzi. Czekają go kilka spotkań, a potem lunch z przedstawicielami zakładów zbrojeniowych.

Tak, szczęściarz z niego nad szczęściarze.

Jego nowi przyjaciele czuwali przed drzwiami niczym senni strażnicy, tymczasem on krążył po ciasnej salce konferencyjnej, bawiąc się telefonem, aby przekonać ich, że próbuje pociągnąć za wszelkie możliwe sznurki łączące go z mrocznym światem zagranicznych banków. Krążył tak dwie godziny, dwie godziny mamrotał do siebie niczym rozgorączkowany makler, wreszcie wyszedł.

- Dobre nowiny, panowie - oznajmił ze zmęczonym uśmiechem na twarzy.

Otoczyli go, niecierpliwie wyczekując rezultatu pertraktacji.

- Pieniądze wciąż tam są.

Nadeszła pora na wielkie pytanie - pytanie, do którego od dawna się przymierzali, które miało Argrowa zweryfikować: oszust z niego czy tęgi gracz?

- Ile? - spytał Spicer.

- Sto dziewięćdziesiąt tysięcy i kilka centów.

Odetchnęli. Wszyscy trzej, jak na komendę. Spicer się uśmiechnął. Beech uciekł wzrokiem w bok. Yarber zmarszczył brwi i obrzucił Argrowa dziwnym, acz przyjaznym spojrzeniem.

Według ich obliczeń saldo końcowe wynosiło sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy plus nędzne odsetki.

- Nie okradł nas... - wymamrotał Beech i sędziowie z czułością wspomnieli swego byłego, martwego już adwokata.

Zrobili z niego diabła, tymczasem był aniołem.

- Ciekawe dlaczego - dumął Spicer.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Argrow. - Tak czy inaczej, konto jest nietknięte. Sto dziewięćdziesiąt tysięcy. Sporo się napracowaliście...

Na to wyglądało, ale ponieważ żaden nie potrafił wymyślić ciętej riposty, puścili tę uwagę mimo uszu.

- Jeśli wolno mi coś zaproponować - kontynuował Argrow - powinniście te pieniądze przenieść do innego banku. W

tym są koszmarnie przecieki.

- Ale dokąd? - spytał Beech. - Do którego?

- Na waszym miejscu niezwłocznie przelałbym wszystko do Panamy.

Ot, i nowy problem. Nigdy dotąd o tym nie myśleli, bo i kiedy? Cały czas dręczyła ich obsesja na punkcie Trevora i jego domniemanej kradzieży. Niemniej rozważyli tę propozycję i zareagowali tak, jakby od dawna się nad nią zastanawiali.

- Ale po co? - spytał Beech. - Nie są tam bezpieczne?

- Pewnie są - odparł Argrow; w przeciwieństwie do nich bardzo dobrze wiedział, dokąd zmierza. - Ale przecież sami widzicie, jak łatwo jest zdobyć poufne informacje. Banki na Bahamach przestały być wiarygodne, a zwłaszcza ten.

- Poza tym nasz adwokat mógł coś chlapnąć - wtrącił Spicer, zawsze gotów przyłapać Trevora na matactwie. - O

tym rachunku.

- Jeśli chcecie, żeby pieniądze były bezpieczne - ciągnął Argrow - czym prędzej zmieńcie bank. Zajmie to niecały dzień i nie będziecie musieli się o nic martwić. Trzeba zaprząć forszę do pracy. Zwykłe konto to zwykłe konto. Kilka centów odsetek, to wszystko. Złóżcie pieniądze na jakimś funduszu i odsetki natychmiast podskoczą do piętnastu, nawet do dwudziestu procent. Macie czas, szybko się do nich nie dorwiecie.

Nie wiadomo, przyjacielu, nie wiadomo, pomyśleli Bracia. Jednakże musieli przyznać, że Argrow mówi całkiem sensownie.

- Rozumiem, że mógłby pan to zrobić - rzekł Yarber.

- Przelać pieniądze do Panamy? Oczywiście. Teraz nie macie już chyba wątpliwości?

Zgodnie pokręcili głowami. Nie, absolutnie, najmniejszych.

- Mam w Panamie dobre kontakty. Pomyślcie o tym. - Argrow spojrział na zegarek, jakby stracił zainteresowanie ich kontem i jakby czekały go setki innych palących spraw. Był bliski celu, nie chciał ich ponaglać.

- Już to przemyśleliśmy - odrzekł Spicer. - Zgoda.

Argrow powiódł wzrokiem po ich twarzach. On patrzył na nich, oni na niego.

- 188 -

- Będziecie musieli zapłacić prowizję - powiedział jak na doświadczonego hochsztaplera przystało.

- Ile? - spytał Spicer.

- Dziesięć procent za transfer.

- Komu?

- Mnie.

- Dużo - rzekł Beech.

- Taryfa jest ruchoma. Od kwot poniżej stu milionów pobieramy dziesięć procent. Gdybyście przelewali więcej, zapłacilibyście tylko jeden procent. To powszechna praktyka. Właśnie dlatego zamiast garnituru za tysiąc dolarów mam na sobie tę więzienną koszulę.

- Odrażające - mruknął Spicer, który zdefraudował pieniądze z salonu bingo, a konkretnie z funduszu

dobroczyńnego, który tam założono.

- Tylko bez kazań, panowie. Mówimy o mikrej cząstce brudnego szmalu. Albo w to wchodzicie, albo nie. - Mówił

wyniosłym głosem niczym nieugięty macher, który swego czasu obracał miliardami.

Chodziło tylko o dziewiętnaście tysięcy dolarów - o dziewiętnaście tysięcy z pieniędzy, z których stratą już się pogodzili. Po odjęciu prowizji pozostałoby im sto siedemdziesiąt, prawie po sześćdziesiąt tysięcy na łebka, a mieliby jeszcze więcej, gdyby ten perfidny Trevor tyle z nich nie zdarł. Poza tym byli pewni, że tuż za rogiem rozciągają się dużo zieleńsze łąki. Pieniądze na Bahamach to tylko drobne.

- Zgoda - powiedział Spicer i popatrzył na kolegów, szukając u nich aprobaty.

Obydwaj powoli skinęli głową. Wszyscy trzej myśleli o tym samym. Jeśli szantaż wypali, zgarną prawdziwą fortunę.

Będą musieli ją ukryć, będą potrzebowali kogoś, kto im w tym pomoże. Chcieli mu zaufać. Dać mu szansę.

- A więc prowizja i apelacja? - upewnił się Argrow.

- Tak, apelacja też.

Argrow wykrzywił usta w uśmiechu.

- Nieźle. Całkiem nieźle... Idę zatelefonować.

- Musi pan o czymś wiedzieć - powstrzymał go Beech.

- Tak?

- Naszym prawnikiem był Trevor Carson. To on założył nam konto i załatwiał wszystkie depozyty. Wczoraj wieczorem zamordowano go w Kingston na Jamajce.

Argrow zbadał wzrokiem ich twarze. Yarber podał mu gazetę i agent z wielkim skupieniem przeczytał notatkę na pierwszej stronie.

- Dlaczego zaginął? - spytał, przerywając długą chwilę ciszy.

- Nie wiemy - odrzekł Beech. - Wyjechał z miasta, a z FBI dostaliśmy wiadomość, że przepadł jak kamień w wodę.

Dlatego myśleliśmy, że nas okradł.

Argrow zwrócił gazetę Yarberowi i skrzyżował ręce na piersi. Pochylił głowę, zmrużył oczy i

przybrał podejrzliwą minę. Niech się Bracia spocą.

- Skąd macie te pieniądze? - Zabrzmiało to tak, jakby chciał wycofać się z umowy.

- Nie z narkotyków - szybko zapewnił go Spicer. To z kolei zabrzmiało tak, jakby wszystkie pozostałe źródła dochodów były absolutnie czyste.

- 189 -

- Tego nie możemy powiedzieć - dodał Beech.

- Może pan w to wejść albo nie - przypieczętował sprawę Yarber.

Dobre posunięcie, staruszk, pomyślał Argrow.

- Co ma do tego FBI?

- Zainteresowali się tylko jego zniknięciem - odrzekł Beech. - O naszym koncju nic nie wiedzą.

- Chwila, muszę to sobie poukładać. Zamordowany adwokat, FBI, zagraniczne konto i brudne pieniądze. O co tu właściwie chodzi?

- Lepiej, żeby pan nie wiedział - odparł Beech.

- Chyba tak.

- Nikt pana do niczego nie zmusza - dorzucił Yarber.

Argrow musiał podjąć decyzję. Czerwone chorągiewki poszły w górę, pole minowe zostało oznakowane. Gdyby zrobił krok do przodu, wszedłby na nie, świadom, że jego nowi przyjaciele mogą być niebezpieczni. Oczywiście zupełnie się tym nie przejął, jednak sarn fakt, że Beech, Spicer i Yarber wskazali mu wąską dróżkę między minami, oznaczał, że są skłonni przyjąć go do swego grona. Naturalnie nie mieli zamiaru opowiadać mu o szwindlu, a już na pewno nie o Aaronie Lake'u. Nie zamierzali też dzielić się z nim pieniędzmi, chyba że tymi, które zarobiłby na transferach. Tak czy siak, wiedział

już więcej, niż powinien. Bracia nie mieli wyboru.

Wielki wpływ na ich decyzję wywarła też rozpaczliwa sytuacja, w jakiej się znaleźli. Dzięki Trevorowi mieli dostęp do świata zewnętrznego, a bez Trevora ich możliwości znacznie się skurczyły.

Żaden nie wypowiedział tego na głos, jednak musieli przyznać, że rezygnując z usług adwokata, popełnili błąd.

Patrząc wstecz, coraz częściej dochodzili do wniosku, że powinni byli go ostrzec, opowiedzieć mu o Lake'u i o tym, że ktoś przechwytyje ich pocztę. Carson nie należał do ludzi doskonałych, lecz teraz

chętnie skorzystaliby z każdej pomocy.

Kto wie, może dwa, trzy dni później przyjęliby go z powrotem, ale nie mieli już okazji. Trevor dał nogę i odszedł. Na zawsze.

Ten nowy miał dojścia, telefon i przyjaciół. Był odważny i wiedział, co robi. Niewykluczone, że im się przyda, lecz musieli werbować go powoli, bez pośpiechu.

Argrow podrapał się w głowę i zmarszczył czoło, jakby intensywnie myślał.

- Nie, tyle mi wystarczy - mruknął. - Nie chcę wiedzieć nic więcej.

Wrócił do sali konferencyjnej, zamknął za sobą drzwi, przysiadł na brzegu stołu i zaczął telefonować na Karaiby.

Słyszeli, jak dwa razy wybuchnął śmiechem; pewnie żartował ze starym kumplem, który nie oczekiwał telefonu z więzienia. Słyszeli, jak zaklął, choć nie mieli pojęcia z jakiego powodu. Mówił to ciszej, to głośniejsze i chociaż próbowali czytać sprawozdania sądowe, odkurzać książki i analizować stawki zakładów w Las Vegas, nie mogli nie słyszeć dobiegających z sali odgłosów.

Argrow odegrał niezłe przedstawienie i po godzinie bezsensownej paplaniny wrócił do biblioteki.

- Jutro wszystko dopniemy - oznajmił - ale któryś z was musi dać mi pisemne oświadczenie, że jesteście jedynymi właścicielami Boomer Realty.

- Oświadczenie? Dla kogo? - spytał Beech.

- Dla kierownictwa banku na Bahamach. Słyszeli o Carsonie i żądają oficjalnego potwierdzenia własności.

Myśl, że mieliby podpisać jakikolwiek dokument, przyznając tym samym, że są właścicielami brudnych pieniędzy,

- 190 -

napawała ich przerażeniem. Jednakże żądanie było całkiem uzasadnione.

- Jest tu gdzieś faks? - spytał Argrow.

- Nie - odrzekł Beech.

- Jest w gabinecie naczelnika - mruknął Spicer. - Niech pan do niego pójdzie i powie, że musimy przesłać oświadczenie do banku na Bahamach.

Zupełnie niepotrzebny sarkazm. Argrow zerknął na niego i puścił tę uwagę mimo uszu.

- Dobra. W takim razie jak je wyślemy? Poczta?

- Naszym listonoszem był Trevor - odparł Yarber. - Wszystkie pozostałe listy podlegają kontroli.

- Dokładnej?

- Nie, bardzo pobieżnej. Oglądają je, ale nie mają prawa ich otwierać.

Argrow pogrążył się w zadumie i zaczął krążyć po bibliotece. Nagle wszedł między półki, żeby tamci nie mogli go widzieć, wprawnym ruchem otworzył wieczko telefonu, wystukał numer i przytknął aparat do ucha.

- Mówi Wilson Argrow. Zastałem Jacka? Tak, proszę mu powiedzieć, że to ważne...

- Jacka? - rzucił Spicer z drugiego końca sali. - Jakiego znowu Jacka?

- To mój brat - odrzekł Argrow. - Jest prawnikiem, specem od handlu nieruchomościami. Jutro mnie odwiedza... Się masz, Jack, to ja. Wpadniesz jutro? Dobra. Mógłbyś rano? Najlepiej koło dziesiątej. Będę miał dla ciebie list. Dobra. Jak mama? No, to w porządku. Na razie.

Perspektywa wznowienia usług pocztowych bardzo sędziów zaintrygowała. Argrow miał brata prawnika. Miał

telefon, odwagę i łeb na karku.

Schował aparat do kieszeni i wyszedł spomiędzy półek.

- Oświadczenie przekażę bratu - powiedział. - Brat prześle je faksem do banku. Pojutrze pieniądze będą już w Panamie. Piętnastoprocentowe konto i stuprocentowe bezpieczeństwo. Kaszka z mleczkiem.

- Rozumiem, że można mu ufać - rzekł Yarber.

- Mojemu bratu? - spytał urażony Argrow. - Daję za niego głowę. - Ruszył do drzwi. - Na razie. Muszę się przewietrzyć.

- 191 -

ROZDZIAŁ 34

Ze Scranton przyjechała matka Trevora w towarzystwie swojej siostry, a jego ciotki, Heleny. Obie były po siedemdziesiątce i cieszyły się względnie dobrym zdrowiem. Cztery razy zgubiły się w drodze z lotniska i przez godzinę krążyły ulicami Neptune Beach, zanim trafiły do jego domu, w którym matka nie była od sześciu lat. Syna nie widziała od dwóch. Ciotka Helena nie widziała siostrzeńca co najmniej od dziesięciu lat i raczej za nim nie tęskniła.

Matka zaparkowała za garbusem, porządnie się wyplakała, wreszcie wysiadła.

Co za nora! - pomyślała ciotka Helena.

Frontowe drzwi były otwarte. W środku - nikogo. Na długo przed ucieczką głównego lokatora zebrala się w zlewie sterta brudnych naczyń. Z kubła wysypywały się odpadki, odkurzacz stał beczynnie w szafie.

Smród wypłoszył je na dwór. Pierwsza nie wytrzymała ciotka, wkrótce potem dołączyła do niej matka. Nie wiedziały, co robić. Ciało Trevora spoczywało w zatłoczonej kostnicy na Jamajce, a nieuprzejmy młody człowiek z Departamentu Stanu, z którym rozmawiały, powiedział, że przewiezienie zwłok kosztuje sześćset dolarów. Z samolotem nie będzie problemu, ale przedtem musiały załatwić formalności w Kingston.

Po półgodzinie chaotycznej i niebezpiecznej jazdy dotarły do kancelarii. Agenci już czekali. Praktykant Chap był w sekretariacie, udając smutnego i zajętego zarazem. Kierownik Wes czuwał w gabinecie, obserwując i nad słuchując. W dniu kiedy w gazecie opublikowano wiadomość o śmierci Trevora, telefon dzwonił niemal bez przerwy, lecz gdy koledzy z palestry oraz kilku klientów przekazało Chapowi kondolencje, zamilkł ponownie.

Na frontowych drzwiach wisiał tani wieniec ufundowany przez CIA.

- Jakie to wzruszające - powiedziała matka, sunąc powoli chodnikiem.

Kolejna nora, pomyślała ciotka.

Chap powitał je i przedstawił się jako praktykant. Powierzono mu bardzo trudne zadanie zamknięcia kancelarii.

- A gdzie ta dziewczyna? - spytała matka z oczami zaczerwienionymi od płaczu.

- Odeszła jakiś czas temu. Trevor przyłapał ją na kradzieży.

- O Boże...

- Napiją się panie kawy?

- Tak, chętnie.

Spoczęły na wybrzuszonej i zakurzonej sofie, podczas gdy Chap nalał trzy kubki świeżo zaparzonej kawy i usiadł

naprzeciwko nich w chwiejnym wiklinowym fotelu. Matka była oszołomiona i zdezorientowana. Ciotka zaciekawiona -

strzelała wokoło oczami, wypatrując jakichkolwiek oznak zamożności. Nie należały do biednych, lecz obie wiedziały, że w ich wieku bogate już nigdy nie będą.

- Bardzo mi przykro z powodu Trevora - powiedział Chap.

- Tak, to straszne - szepnęła pani Carson. Zadrzała jej dolna warga. Zadrzała jej ręka, w której

trzymała kubek.

Trochę kawy ściekło na sukienkę, lecz nawet tego nie zauważyła.

- Miał dużo klientów? - spytała ciotka Helena.

- Bardzo dużo. Był dobrym, wziętym adwokatem. Jednym z najlepszych, z jakimi kiedykolwiek pracowałem.

- 192 -

- Jest pan jego sekretarzem? - spytała matka.

- Nie, praktykantem. Chodzę do wieczorowej szkoły prawniczej.

- I załatwia pan jego sprawy? - spytała ciotka Helena.

- Niezupełnie. Myślałem, że panie się tym zajmą.

- Och, jesteśmy na to za stare - odrzekła matka.

- Ile pieniędzy zostawił? - wypaliła ciotka.

Chap postanowił dać jej odpór. Ta stara wiedźma przypominała żarłoczną piranię.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Nie załatwiałem spraw finansowych.

- A kto je załatwiał?

- Chyba księgowy.

- To znaczy kto?

- Nie wiem. Trevor był bardzo skryty.

- O tak - szepnęła matka. - Już jako mały chłopiec. - Znowu rozlała kawę, tym razem na sofę.

- Ale to pan płacił rachunki, prawda? - nie ustępowała ciotka.

- Nie, proszę pani, on.

- Posłuchaj, młodzieńcze. Chcą od nas sześćset dolarów za przewiezienie zwłok z Jamajki...

- Co on robił na Jamajce? - wtrąciła matka.

- Był na krótkim urlopie - wyjaśnił Chap.

- ...a ona tyle nie ma - dokończyła ciotka.

- A właśnie że mam.

- Trevor zostawił trochę pieniędzy - odrzekł Chap i usatysfakcjonowana ciotka momentalnie się ożywiła.

- Tak? Ile?

- Ponad dziewięćset dolarów. Lubił mieć pod ręką drobne.

- Proszę mi je dać - zażądała ciotka.

- Myślisz, że możemy? - spytała matka.

- Tak będzie lepiej - wtrącił poważnym głosem Chap. - W przeciwnym razie cała kwota zostanie zaliczona do jego majątku osobistego i zajmie ją urząd skarbowy.

- Co jeszcze zaliczą do majątku? - spytała ciotka.

- To wszystko. - Chap zatoczył ręką szeroki łuk. Podszedł do biurka, wyjął z szuflady wymiętą kopertę z banknotami o różnych nominałach, którą przyniósł z domku naprzeciwko, i podał ją starszym paniom. Ciotka Helena natychmiast zaczęła liczyć pieniądze.

- Dziewięćset dwadzieścia dolarów i trochę drobnych - powiedział Chap.

- W którym banku miał konto? - spytała Helena.

- Nie wiem. Jak już mówiłem, nie wprowadzał mnie w sprawy finansowe. - Tym razem Chap nie skłamał. Trevor przelał dziewięćset tysięcy dolarów z Bahamów na Bermudy i tam ślad się urwał; pieniądze spoczywały w jakimś banku, na koncie, do którego dostęp miał tylko on, mecenas Trevor Carson. Wiedzieli, że pojechał na Kajmany, lecz tamtejsi bankierzy byli znani z uczciwości. Dwa dni intensywnego wypytywania nie przyniosły żadnych rezultatów. Człowiek, który go zastrzelił, zabrał mu portfel i klucze, i podczas gdy policja przeczesywała miejsce zbrodni, on przeszukiwał jego hotelowy pokój. W

- 193 -

szufladzie znalazł osiem tysięcy dolarów w gotówce i nic więcej. Pieniądze przepadły jak kamień w wodę.

W Langley uważano, że nie wiedzieć czemu, Trevor zaczął podejrzewać, iż jest śledzony. Zginęło dziewięćset tysięcy dolarów, choć niewykluczone, że przynajmniej część tej kwoty zdeponował na Bermudach. Pokój wynajął bez uprzedniej rezerwacji. Wszedł do hotelu prosto z ulicy i zapłacił za jedną dobę.

Każdy uciekinier podążający śladem swoich pieniędzy z wyspy na wyspę miałby przy sobie jakieś pokwitowania czy wyciągi bankowe. Każdy oprócz Trevora.

Podczas gdy ciotka Helena ponownie przeliczała pieniądze - nie miała wątpliwości, że jedyne, jakie im wpadną -

Chap błądził myślami po Karaibach.

- Co teraz? - spytała matka.

Chap wzruszył ramionami.

- Trzeba go pochować.

- Pomoże nam pan?

- Przykro mi, ale to wykracza poza...

- Mamy zabrać go do Scranton? - przerwała mu ciotka.

- Decyzja należy do pań.

- Ile by to kosztowało?

- Nie mam zielonego pojęcia. Nigdy się tym nie zajmowałem.

- Ale tu mieszkają jego przyjaciele... - Matka powoli otarła łzę chusteczką.

- Wyjechał ze Scranton dawno temu - dodała ciotka, strzelając oczami na wszystkie strony, jakby za wyjazdem Trevora kryła się jakaś afera; Chap nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Jestem pewna, że jego przyjaciele zechcą zamówić mszę albo zorganizować jakąś uroczystość pożegnalną -

powiedziała pani Carson.

- Już ją zorganizowali - odrzekł Chap.

- Naprawdę? - Matka była zachwycona.

- Tak. Odbędzie się jutro o czwartej.

- Gdzie?

- U Pete'a, kilka ulic stąd.

- U Pete'a? - powtórzyła ciotka Helena.

- To taka restauracja.

- No, a nabożeństwo?

- Trevor nie chodził do kościoła.

- Chodził, kiedy był mały - próbowała bronić go matka.

Dla uczczenia pamięci Trevora właściciel knajpy przedłużył „radosną godzinę”; zamiast o piątej, miała rozpocząć się o czwartej i trwać aż do północy. Zniżka obejmowała tylko piwo po pół dolara od flaszki - ulubiony trunek mecenasa.

- Myśli pan, że powinniśmy tam pójść? - spytała ciotka Helena.

- Chyba nie.

- Dlaczego? - spytała matka.

- Będzie bardzo tłoczno. Przyjdzie mnóstwo ludzi, sami adwokaci, sędziowie... Wie pani, jak to jest.

- Chap

- 194 -

zmarszczył brwi i Helena zamilkła.

Wypytywały go o miejscowe zakłady pogrzebowe, potem o cmentarze i Chap poczuł, że coraz bardziej i bardziej grzęźnie w ich problemach i sprawach osobistych. Trevora zabił agent CIA. Czy wynikało z tego, że CIA powinna go pogrzebać?

Klockner uważał, że nie.

Po wyjściu ciotki i matki Wes i Chap usunęli wszystkie kamery, mikrofony i pluskwy. Dokładnie posprzątały i po raz ostatni zamknęli za sobą drzwi, pozostawiając w kancelarii porządek, jakiego nigdy dotąd tam nie było.

Połowa ludzi Klocknera już wyjechała. Pozostali ubezpieczali Wilsona Argrowa. I czekali.

Kiedy fałszerze z Langley skończyli preparować sądowe akta Argrowa, dokumenty zostały zapakowane do kartonowego pudła i pod nadzorem trzech agentów wysłane samolotem do Jacksonville. Zawierały między innymi pięćdziesięciodostronicowy akt oskarżenia sporządzony przez wielką ławę przysięgłych okręgu Dade, listy od obrońcy i prokuratora, grubą teczkę z wnioskami i postanowieniami wstępnymi, opinie biegłych, listę świadków wraz ze streszczeniem ich zeznań, raport sądowy, analizę sporządzoną przez przysięgłych, wyciąg procesowy, raporty przedprocesowe oraz samą sentencję. Papiery były posortowane, choć nie na tyle starannie, żeby wzbudzić podejrzenia. Kartki lekko przybrudzone, celowo zawieruszono niektóre strony, poluzowano i powyciągano zszywki - wszystko po to, żeby nabrały pozorów autentyczności. Fachowcy z wydziału dokumentów wiedzieli, że Beech i Yarber do większości z nich nie zajrzą, lecz wrażenie robiła już sama ich waga. Postarzano nawet kartonowe pudełko.

Do Trumble dostarczył je Jack Argrow, brat Wilsona, na wpół emerytowany prawnik z Boca Raton na Florydzie.

Odpis jego dyplomu został przesłany faksem do więziennych biurokratów, a jego nazwisko figurowało na oficjalnie zatwierdzonej liście adwokatów.

Rolę Jacka Argrowa odgrywał Roger Lyter, agent z trzynastoletnim stażem i absolwent jednej z teksańskich szkół

prawniczych. Nigdy dotąd nie spotkał Kenny'ego Sandsa, który wcielił się w postać Wilsona Argrowa. Po raz pierwszy uścisnęli sobie ręce na oczach Linka, który spoglądał podejrzliwie na kartonowe pudło.

- Co tam jest? - spytał.

- Moje akta - odparł Wilson.

- Dokumenty - dorzucił Jack.

Link włożył rękę do pudła, pogrzebał w nim, pomacał i wyszedł z sali.

Wilson położył na stole kartkę papieru.

- To oświadczenie. Przelej pieniądze do Panamy i daj mi kwit, żebyśmy mogli im coś pokazać.

- Całość minus dziesięć procent?

- Zgodnie z umową.

Postanowili nie kontaktować się z Geneva Trust w Nassau. Daremny trud, niepotrzebne ryzyko. Nie poszedłby na to żaden bank. Gdyby spróbowali dokonać przelewu na warunkach Argrowa, natychmiast posypałyby się pytania. Do Panamy przelano pieniądze CIA.

- Langley się niecierpliwi - powiedział Jack.

- Niepotrzebnie. I tak jestem do przodu.

- 195 -

Dokumenty wysypano na stół w bibliotece prawniczej. Beech i Yarber zaczęli w nich grzebać, podczas gdy Argrow, ich nowy klient, przyglądał się temu z udawanym zainteresowaniem. Spicer miał do roboty coś ciekawszego - właśnie rozgrywał cotygodniową partyjkę pokera.

- Gdzie jest sentencja? - mruzczał Beech, grzebiąc w papierach.

- I akt oskarżenia - wymamrotał do siebie Yarber.

Znaleźli to, czego szukali, usiedli i pograżyli się w lekturze. Beech spudłował. Yarber trafił w dziesiątkę.

Akt oskarżenia czytało się jak kryminał. Argrow, siedmiu innych bankierów, pięciu księgowych, pięciu maklerów, dwóch adwokatów, jedenastu handlarzy oraz sześciu dżentelmenów z Kolumbii zorganizowało i kierowało dobrze prosperującym przedsiębiorstwem, które zajmowało się praniem pieniędzy z handlu narkotykami. Zanim ich zinfiltrowano, zdążyli wyprać co najmniej czterysta milionów dolarów i wszystko wskazywało na to, że prym wiódł wśród nich Argrow.

Yarber szczerze go podziwiał. Był bardzo inteligentnym, utalentowanym finansistą, nawet gdyby połowa zarzutów miała okazać się nieprawdziwa.

Argrow szybko się znudził i poszedł na spacer. Skończywszy czytać akt oskarżenia, Yarber pokazał go Beechowi.

Ten przejrzał go z nie ukrywanym zadowoleniem.

- Facet musi mieć tęgi szmal - stwierdził.

- Ani chybi - zgodził się z nim Yarber. - Czterysta milionów to tylko wierzchołek góry lodowej. Co z tą apelacją?

- Kiepsko. Sędzia trzymał się przepisów. Nie widzę żadnego błędu.

- Biedaczysko.

- Biedaczysko? Wyjdzie stąd cztery lata wcześniej niż ja.

- Oj, chyba nie, szanowny panie sędzio. Następne Boże Narodzenie spędzimy na wolności.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Oczywiście.

Beech odłożył akt oskarżenia, wstał, przeciągnął się i przeszedł po sali.

- Dlaczego on milczy? - szepnął, chociaż byli sami. - Już po prawyborach.

- Cierpliwości.

- Cały czas siedzi w Waszyngtonie, a nasz list dotarł tam tydzień temu.

- Na pewno go nie zlekceważy. Pewnie myśli, zastanawia się, jak to rozegrać, i tyle.

Najnowsze rozporządzenie Głównego Zarządu Więziennictwa kompletnie zbiło naczelnika z tropu. Kto tam, do diabła, pracował? Ci ludzie gapili się na mapę federalnych zakładów karnych i cały dzień dumali, któremu by tu zaleźć za skórę. Czy oni nie mieli nic lepszego do roboty? Ot, choćby jego brat, sprzedawca używanych samochodów. Wyciągał sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, tymczasem on, naczelnik, zarabiał ledwie siedemdziesiąt pięć, kierując więzieniem i czytając idiotyczne zarządzenia autorstwa głupich, bezproduktywnych urzędników, którzy zgarniali sto tysięcy

rocznie. Emmitt Broon miał tego dość.

Dotyczy: odwiedzin adwokatów w federalnym zakładzie karnym w Trumble.

Niniejszym unieważnia się poprzednie rozporządzenie ograniczające częstotliwość odwiedzin do wtorków, czwartków i sobót w godzinach od piętnastej do osiemnastej.

- 196 -

Od dnia dzisiejszego adwokaci mają prawo bywać w więzieniu codziennie w godzinach od dziewiętej do dziewiętnastej.

- Ciekawe, co wymyślą, kiedy znajdą kolejnego truposza... - wymamrotał do siebie naczelnik.

- 197 -

ROZDZIAŁ 35

Wepchnęli wózek do furgonetki czekającej w podziemnym garażu i zatrzasnęli drzwi. Po jego lewej stronie usiadł

York, po prawej Deville. Obok kierowcy miejsce zajął ochroniarz. Do dyspozycji mieli telewizor, stereo i barek z wodą sodową, lecz Maynard nie chciał niczego oglądać, słuchać ani pić. Przygaszony i spięty, bał się najbliższej godziny. Był

zmęczony - zmęczony pracą, nieustanną walką, odliczaniem upływających dni. Powtarzał sobie jedno: wytrzymaj jeszcze pół

roku, potem zrezygnuj. Niechaj ktoś inny zbawia świat. Zamierzał wyjechać na swoją małą farmę w Wirginii, przesiadywać nad stawem, patrzeć na spadające do wody liście i czekać na koniec. Ten ból. Tak bardzo go męczył.

Czarny samochód z przodu, szary z tyłu - wjechali na obwodnicę i mostem Roosevelta dotarli na Constitution Avenue.

Ponieważ Teddy milczał, milczeli również York i Deville. Dobrze wiedzieli, że szef ma za chwilę zrobić coś, co zawsze go mierziło.

Rozmawiał z prezydentem raz na tydzień, najczęściej w środę. O ile mógł, przez telefon. Ostatni raz widzieli się przed dziewięcioma miesiącami. Teddy leżał wówczas w szpitalu i musiał przekazać mu ważny raport.

Przysługa za przysługę - tak to zwykle szło, lecz Maynard nie znosił być na równej stopie z urzędującymi prezydentami. Wiedział, że postawi na swoim, ale poniżało go samo proszenie.

W ciągu trzydziestu lat przeżył sześciu prezydentów, a jego tajną bronią były właśnie przysługi. Zebrać informacje, zgromadzić ich jak najwięcej, jak najmniej przekazywać prezydentowi, od czasu

do czasu owinąć jedną w sreberko i niczym mały cud dostarczyć do Białego Domu - na tym to polegało.

Prezydent był wciąż odęty po upokarzającej klęsce, jaką poniósł, gdy Teddy udaremnił jego plany podpisania traktatu o zakazie prób z bronią jądrową. Dzień przed zawetowaniem układu przez Senat, CIA dyskretnie ujawniła ściśle tajny raport podważający jego wiarygodność i prezydent przegrał z kretesem. Wkrótce opuszczał urząd, był na wylocie i bardziej obchodziła go jego spuścizna niż palące sprawy kraju.

Prezydent na wylocie - Maynard miał z takimi do czynienia kilkakrotnie i wiedział, że są niemożliwi. Ponieważ nie musieli już zabiegać o głosy wyborców, wypływali na szerokie wody. Lubili podróżować do obcych krajów - z tłumami przyjaciół naturalnie - gdzie przewodniczyli różnym szczytom wraz z innymi prezydentami na wylocie. Martwili się o prezydenckie biblioteki. O prezydenckie portrety. I o swoje biografie, dlatego dużo czasu spędzali z historykami. Im bliżej końca kadencji, tym byli mądrzejsi, tym bardziej lubili filozofować i tym wspanialsze wygłaszali przemówienia. Rozprawiali o przyszłości, o wyzwaniach losu, o tym, jak powinno się rządzić, przemyślnie zapominając, że mieli osiem lat, żeby zrobić to, co było do zrobienia.

Tak, nie ma nic gorszego niż prezydent na wylocie, pomyślał Teddy. Lake też taki będzie, jeśli tylko - i kiedy - będzie miał okazję.

Lake. Powód, dla którego jechał czapkować do Białego Domu.

Wpuszczono ich do zachodniego skrzydła. Tam przeżył pierwsze upokorzenie, gdy agent Secret Service skontrolował jego wózek. Wprowadzono ich do małego pomieszczenia tuż obok gabinetu narad ministerialnych. Zalatana sekretarka poinformowała go bez przeprosin, że prezydent się spóźni. Teddy uśmiechnął się, odprawił ją gestem ręki i

- 198 -

wymamrotał, że prezydent z niczym nie nadaża. Widział już wiele takich sekretarek; była na wylocie, tak samo jak jej szef, i wkrótce miała stąd odejść jak wiele innych przed nią. Zaprowadziła Yorka i Deville'a do jadalni, gdzie przygotowano dla nich lunch.

Teddy czekał. Wiedział, że będzie czekał. Przejrzał grube sprawozdanie, jakby czas nie miał żadnego znaczenia.

Minęło dziesięć minut. Przyniesiono mu kawę. Przed dwoma laty prezydent odwiedził Langley i Teddy kazał mu czekać dwadzieścia jeden minut. Wtedy to on przyjechał prosić go o przysługę, o wyciszenie drobnej afery.

Jedynym plusem kalectwa było to, że Teddy nie musiał podrywać się z miejsca na jego powitanie. Bo prezydent w końcu przyszedł. Wkroczył do pokoju szybkim, dziarskim krokiem, wlokąc za sobą tłum doradców, jakby chciał mu zaimponować. Uścisnęli sobie ręce, a kiedy doradcy wreszcie wyszli, natychmiast wyrósł przed nimi kelner z dwiema małymi porcjami sałatki.

- Miło pana widzieć - rzekł cicho prezydent z ociekającym słodyczą uśmiechem.

Zachowaj go dla telewizji, pomyślał Teddy. Nie potrafił zrewanżować się mu kłamstwem.

- Dobrze pan wygląda. - Powiedział to tylko dlatego, że po części tak w istocie było. Prezydent miał ufarbowane włosy i wyglądał młodziej.

Zapadła cisza. Zjedli sałatkę. Nie chcieli przedłużać lunchu.

- Francuzi znowu sprzedają zabawki Korei Północnej - rzucił mu okruszek Teddy.

- Jakie zabawki? - spytał prezydent. Dobrze wiedział, o co chodzi. A Teddy wiedział, że prezydent o tym wie.

- Nową wersję niewidzialnego radaru. To głupota, bo jeszcze go nie dopracowali. Ale Koreańczycy są jeszcze głupszy, bo im płacą. Kupią od nich wszystko, zwłaszcza jeśli Francuzi to utajnią. Oczywiście Francuzi dobrze o tym wiedzą.

Bawią się z nimi w dziecinne podchody, a Koreańczycy płacą najwyższe stawki.

Prezydent nacisnął guzik i kelner zebrał talerze. Inny kelner podał im kurczaka z makaronem.

- Jak pańskie zdrowie?

- Bez zmian - odrzekł Teddy. - Prawdopodobnie odejdę wraz z panem.

On cieszył się z odejścia prezydenta, prezydent z odejścia Teddy'ego. Z niewiadomego powodu prezydent rozpoczął

długi, jałowy wywód na temat wiceprezydenta i tego, jak cudownie by się sprawdził w Gabinetcie Ovalnym. Spoważniał, zapomniawszy o jedzeniu, podkreślał jego wrodzoną dobroć, błyskotliwość i zdolności przywódcze. Teddy dziobał widelcem kurczaka.

- Co pan sądzi o wyborach?

- Szczerze mówiąc, zupełnie mnie nie obchodzą - skłamał Teddy. - Jak już mówiłem, odejdę wraz z panem. Wrócę na farmę, gdzie nie ma ani telewizji, ani gazet. Będę łowił ryby i odpoczywał. Jestem zmęczony, panie prezydencie.

- Ten Lake mnie przeraża.

Gdybyś tylko znał prawdę... - pomyślał Teddy.

- Dlaczego? - spytał, wkładając do ust kawałek kurczaka. Jedz i pozwól mu gadać.

- Jest monotematyczny. Mówi tylko o wydatkach na zbrojenia. Przyznać Pentagonowi nieograniczony budżet, a wojskowi rozpętają trzecią wojnę światową. No i niepokoją mnie te olbrzymie pieniądze.

Nigdy dotąd cię nie niepokoiły. Akademicka dyskusja polityczna była ostatnią rzeczą, jakiej Teddy pragnął. Tracili tylko czas. Im szybciej załatwi sprawę, tym szybciej wróci do swego azylu w Langley.

- Przyjechałem prosić pana o przysługę - zaczął powoli.

- 199 -

- Wiem. Co mogę dla pana zrobić? - Prezydent żuł i uśmiechał się, delektując się zarówno kurczakiem, jak i tym, że miał nad Teddym przewagę.

- To dość nietypowa sprawa. Chodzi o ułaskawienie trzech więźniów.

Prezydent przestał żuć. Był nie tyle zaszokowany, ile skonfundowany. Akt łaski to przecież drobnostka, chyba że Teddy zamierzał prosić go o darowanie kary jakiemuś szpiegowi, terrorystyce czy skorumpowanemu politykowi.

- Szpiegów?

- Nie, sędziów. Jeden jest z Kalifornii, drugi z Teksasu, trzeci z Missisipi. Odsiadują karę w więzieniu federalnym na Florydzie.

- Trzech sędziów?

- Tak, panie prezydencie.

- Znam ich?

- Wątpię. Ten z Kalifornii był kiedyś prezesem stanowego sądu najwyższego. Odwołano go, a potem miał kłopoty z urzędem skarbowym.

- Tak, chyba pamiętam.

- Oskarżono go za uchylanie się od płacenia podatków i skazano na siedem lat. Dwa lata już odsiedział. Ten z Teksasu dostał nominację od Reagana. Upił się i spowodował wypadek, w którym zginęło dwoje studentów.

- To też pamiętam, ale słabo.

- Nic dziwnego, od tamtego czasu upłynęło kilka lat. Ten z Missisipi był sędzią pokoju. Zdefraudował pieniądze z funduszu dobroczynnego.

- Musiałem to przeoczyć.

Zapadła cisza. Obaj zastanawiali się co dalej. Prezydent był zbity z tropu i nie wiedział, od czego zacząć. Teddy zaś nie wiedział, jak zareaguje prezydent, dlatego dokończyli kurczaka w milczeniu. Deseru nie chcieli.

Prośba była łatwa do spełnienia, przynajmniej dla prezydenta. Sędziowie nie należeli do ludzi znanych, tak samo jak ich ofiary. Ewentualne reperkusje trwałyby krótko i byłyby zupełnie bezbolesne, zwłaszcza dla polityka, który za siedem miesięcy składał urząd. Ułaskawiał już znacznie groźniejszych przestępców. Choćby rosyjskich szpiegów na prośbę Kremla.

Albo dwóch meksykańskich biznesmenów skazanych za przemyt narkotyków i osadzonych w Idaho; ich nazwiska wpływały, ilekroć chcieli zawrzeć z Meksykiem jakiś układ i w końcu musiał darować im karę. Albo ten kanadyjski Żyd skazany na dożywocie. Izraelczycy chcieli ściągnąć go do siebie.

Trzech nikomu nieznanym sędziów? Trzy podpisy i po sprawie. A Teddy będzie winien mu przysługę.

To proste, ale niech się Maynard trochę podenerwuje.

- Rozumiem, że ma pan ku temu dobre powody.

- Oczywiście.

- Czy w grę wchodzi kwestia bezpieczeństwa narodowego?

- Niezupełnie. Chciałbym oddać przysługę starym przyjaciołom.

- Starym przyjaciołom? Zna ich pan?

- Nie, ale znam ich przyjaciół.

Kłamstwo było tak bezczelne, że prezydent omal nie dał się nabrać. Maynard znał przyjaciół trzech sędziów, którzy -

niby przypadkiem - odsiadali razem wyrok? Jakim cudem?

- 200 -

Wiedział, że nic więcej z niego nie wyciągnie, że dalsze pytania tylko go sfrustrują. Poza tym nigdy by tak nisko nie upadł. Motywy, dla których Teddy go o to prosił, spoczną z nim w grobie.

Wzruszył ramionami.

- Zbił mnie pan z tropu.

- Wiem. Dlatego proponuję nie drażnić tematu.

- Jakie będą reperkusje?

- Niewielkie. Rodziny tych studentów mogą podnieść krzyk. Nie byłoby w tym nic dziwnego...

- Kiedy doszło do wypadku?

- Trzy i pół roku temu.

- Prosi mnie pan o ułaskawienie republikańskiego sędziego?

- On nie jest republikaninem, panie prezydencie. Kiedy sędziowie zostają zaprzysiężeni, muszą skończyć z polityką.

A jako skazani, nie mogą nawet głosować. Jestem przekonany, że jeśli go pan ułaskawi, będzie panu dożgonnie wdzięczny.

- Na pewno.

- Żeby ułatwić sprawę, wszyscy trzej zgodzili się wyjechać z kraju na co najmniej dwa lata.

- Dlaczego?

- Gdyby wrócili do domu, źle by to wyglądało. Ludzie dowiedzieliby się, że zostali zwolnieni. Można to załatwić po cichu.

- Czy ten z Kalifornii zapłacił podatki, których próbował uniknąć?

- Tak.

- A ten z Missisipi? Zwrócił skradzione pieniądze?

- Tak.

Pytania były powierzchowne i bez znaczenia. Musiał o coś spytać.

Ostatnia przysługa dotyczyła szpiegostwa. CIA przygotowała raport, w którym dowiedziono, że chińscy szpiedzy zdołali zinfiltrować dosłownie wszystkie szczeble amerykańskiego programu zbrojeń nuklearnych. Prezydent dowiedział się o raporcie na kilka dni przed wizytą w Pekinie, gdzie miał wziąć udział w spotkaniu na szczycie, o które od dawna zabiegał.

Zaprosił Teddy'ego na lunch i przy identycznie przyrządzonym kurczaku z makaronem spytał go, czy CIA nie mogłaby opublikować raportu kilka tygodni później. Teddy się zgodził. Później prezydent chciał raport zmodyfikować i zrzucić winę na poprzednią administrację. Teddy osobiście wprowadził przeróbki. Kiedy w końcu raport ujrzał światło dzienne, prezydent był

czysty jak łąza.

Chińskie szpiegostwo nuklearne kontra trzem nikomu nieznanym sędziom - Teddy wiedział, że dopnie swego.

- Dokąd chcą wyjechać?

- Jeszcze nie wiemy.

Kelner przyniósł kawę. Kiedy wyszedł, prezydent spytał:

- Czy może na tym ucierpieć wiceprezydent?

- Nie. Jakim sposobem? - odparł z kamienną miną Maynard.

- To pan mi powie jakim. Ja nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, co pan robi.

- Nie musi się pan niczym martwić, panie prezydencie. Proszę tylko o małą przysługę. Przy odrobinie szczęścia nikt się o tym nie dowie.

- 201 -

Pili kawę i obaj mieli ochotę wyjść. Po południu prezydenta czekało wiele przyjemniejszych zajęć. Teddy chciałby się zdrzemnąć. Prezydentowi ulżyło, że prośba jest tak niewielka. Teddy myślał: gdybyś tylko znał prawdę...

- Proszę dać mi trochę czasu - rzekł prezydent. - Mam urwanie głowy. Moje dni są policzone i każdy czegoś ode mnie chce.

- Ostatni miesiąc będzie dla pana najszczęśliwszy - odparł Teedy z rzadkim u niego uśmiechem. - Dobrze o tym wiem. Z doświadczenia.

Po czterdziestu minutach rozmowy uścisnęli sobie ręce i umówili się na rozmowę za kilka dni.

W Trumble przebywało pięciu byłych prawników i ten, którego osadzono ledwie przed kilkoma tygodniami, właśnie korzystał z biblioteki, gdy wszedł tam Argrow. Biedny adwokat tkwił po szyję w stercie raportów i notatników, gorączkowo pracując nad apelacją ostatniej szansy.

Spicer układał książki i udawał zajętego. Beech pisał coś w sali konferencyjnej. Yarbera nie było.

Argrow wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i podał sędziemu.

- Przed chwilą widziałem się z adwokatem - szepnął.

- Co to jest? - spytał Spicer.

- Potwierdzenie przelewu. Wasze pieniądze są już w Panamie.

Sędzia zerknął na prawnika, ale ten był całkowicie pochłonięty swoimi papierami.

- Dzięki - szepnął.

Argrow wyszedł, a sędzia zaniósł dokument Beechowi, który dokładnie go przestudiował.

Ich majątek spoczywał bezpiecznie w panamskim First Coast Bank.

- 202 -

ROZDZIAŁ 36

Joe Roy zrzucił jeszcze cztery kilogramy, szedł do dziesięciu papierosów dziennie i robił czterdzieści kilometrów tygodniowo. Właśnie spacerował, sapiąc w popołudniowym upale, gdy podszedł do niego Argrow.

- Panie sędzio, musimy porozmawiać.

- Jeszcze dwa okrążenia - odrzekł Spicer, nie zwalniając kroku.

Argrow patrzył za nim przez kilka sekund, potem ruszył truchtem bieżnią, pięćdziesiąt metrów dalej dogonił go i spytał:

- Mogę się przyłączyć?

- Oczywiście.

Ramię w ramię pokonali zakręt.

- Przed chwilą widziałem się z bratem - powiedział Argrow.

- Znowu? - wydyszał Spicer; poruszał się bardziej ociężale niż o dwadzieścia lat młodszy od niego Argrow.

- Tak. Rozmawiał z Aaronem Lake'em.

Spicer zatrzymał się tak gwałtownie, jakby wpadł na ścianę. Łypnął spode łba na Argrowa, potem spojrział w dal.

- Musimy pogadać.

- Chyba tak - mruknął sędzia.

- Za pół godziny w bibliotece - powiedział Argrow i odszedł.

Spicer patrzył za nim, dopóki ten nie zniknął mu z oczu.

W książce telefonicznej Boca Raton nie było adwokata nazwiskiem Jack Argrow i początkowo trochę się tym zdenerwowali. Finn Yarber wisiał na więziennym telefonie, gorączkowo wydzwaniając do informacji w całej południowej Florydzie. Kiedy poprosił o numer telefonu Jacka Argrowa w Pompano Beach, telefonistka odrzekła:

- Chwileczkę...

Finn uśmiechnął się, zapisał numer i natychmiast tam zadzwonił. Odebrała automatyczna sekretarka: „Tu kancelaria adwokacka Jacka Argrowa. Mecenas Argrow nie przyjmuje klientów nie umówionych. Proszę zostawić swój numer telefonu wraz z krótkim opisem nieruchomości, którą są

państwo zainteresowani. Oddzwonimy”. Yarber odwiesił słuchawkę i wrócił

do biblioteki, gdzie czekali na niego koledzy. Argrow spóźnił się dziesięć minut.

Na chwilę przed jego przybyciem do biblioteki prawniczej wszedł adwokat, ten, który przygotowywał apelację.

Dźwigał gruby tom akt i wszystko wskazywało na to, że zamierza spędzić tam wiele godzin. Nie mogli go wyprosić, bo doszłoby do kłótni i facet zacząłby coś podejrzewać, poza tym nie wyglądał na takiego, co to ma szacunek dla sędziów.

Dlatego jeden po drugim wyszli cicho do sali konferencyjnej. W sali ledwo starczało miejsca dla dwóch. Gdy do Beecha i Yarbera dołączyli Spicer i Argrow, gdy wraz z przybyciem tego ostatniego jeszcze bardziej wzrosło napięcie, w klitce zrobiło się tłoczno jak nigdy dotąd. Usiedli przy okrągłym stoliku tak blisko siebie, że gdyby któryś z nich wyciągnął rękę, dotknąłby trzech pozostałych.

- Wiem tylko to, co mi powiedziano - zaczął Argrow. - Mój brat jest adwokatem. Ma trochę pieniędzy i od lat

- 203 -

współpracuje z republikanami z południowej Florydy. Wczoraj odwiedzili go ludzie Aarona Lake’a. Musieli nabadać sprawę, bo wiedzieli, że jestem jego bratem i siedzę w Trumble razem z panem Spicerem. Gadali, obiecywali, kazali mu przysiąc, że dochowa tajemnicę, a on tę samą przysięgę wymógł na mnie. Tak więc wszystko jest teraz ściśle tajne. Reszty możecie się domyślić.

Spicer nie wziął prysznic. Twarz i koszulę wciąż miał mokrą od potu, lecz oddychał już normalnie. Beech i Yarber milczeli. Nie wydali żadnego odgłosu. Cała trójka była w zbiorowym transie. Dalej, mów dalej, zachęcali wzrokiem.

Argrow popatrzył na nich, wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją na stole. Była to kopia ich ostatniego listu do Ala Konyersa, w którym podpisany z nazwiska Joe Roy Spicer z więzienia federalnego w Trumble domagał się od niego pieniędzy i ułaskawienia. Znali ten list na pamięć, nie musieli go czytać. Natychmiast rozpoznali charakter pisma małego, biednego Ricky’ego i uświadomili sobie, że krąg się zamknął: Bracia nawiązali kontakt z Lake’em, Lake z Jackem Argrowem, Jack Argrow z Wilsonem Argrowem, a ten z nimi -trwało to ledwie trzynaście dni.

Ciszę przerwał Spicer. Zerknął na list i spytał:

- W takim razie chyba wszystko pan wie, prawda?

- Nie mam pojęcia, ile wiem.

- Co powiedział panu brat?

- Że jesteście kanciarzami. Że ogłaszacie się w gejowskich czasopismach, nawiązujecie

korespondencję ze starszymi facetami, że jakimś sposobem zdobywacie ich prawdziwe zamiary, po czym ich szantażujecie.

- Uczciwie powiedziane - mruknął Beech.

- I że Aaron Lake popełnił błąd, odpowiadając na jedno z waszych ogłoszeń. Nie wiem, kiedy to zrobił, i nie wiem, jak odkryliście, że to on. W tej historii widzę dużo luk, przynajmniej ja.

- I lepiej ich nie zapełniamy - wtrącił Yarber.

- Zgoda. Nie prosiłem o tę robotę.

- Co pan będzie z tego miał? - spytał Spicer.

- Wcześniejsze zwolnienie. Zostanę tu jeszcze kilka tygodni, a potem znowu mnie przeniosą. Wyjdę pod koniec roku, a jeśli Lake zostanie prezydentem, daruje mi resztę kary. Całkiem niezły układ. A mój brat? Lake będzie mu winien wielką przysługę.

- A więc jest pan negocjatorem? - spytał Beech.

- Nie, pośrednikiem.

- Zatem... pertraktujmy.

- Pierwszy ruch należy do was.

- Czytał pan list. Chcemy pieniędzy i wcześniejszego zwolnienia.

- Ile?

- Dwa miliony na głowę - wypalił bez namysłu Spicer; było widać, że nieraz o tym rozmawiali.

Wszyscy trzej parzyli na niego, czekając, aż nerwowo drgnie czy zaszokowany zmarszczy czoło. Tymczasem Argrow nie zareagował w ogóle. Spokojnie wytrzymał ich spojrzenie i odrzekł:

- Pamiętajcie, że nie ja o tym decyduję. Nie mam prawa ani odmówić, ani się zgodzić. Mogę tylko przekazać bratu wasze żądania.

- Codziennie czytamy gazetę - powiedział Beech. - Lake nie nadaje z wydawaniem pieniędzy. Sześć milionów to dla

- 204 -

niego kropla w morzu.

- W tej chwili ma w podręcznej kasie siedemdziesiąt osiem milionów - dodał Yarber.

- Wszystko jedno - odrzekł Argrow. - Jestem tylko kurierem, listonoszem, kimś takim jak Trevor.

Na wspomnienie świętej pamięci adwokata Bracia zamarli. Patrzyli na Argrowa, który zajął się swoimi paznokciami, i zastanawiali się, czy wzmianka o Trevorze jest swego rodzaju ostrzeżeniem i czy ich gra nie stała się przypadkiem zbyt niebezpieczna. Na myśl o pieniądzach i wolności kręciło im się w głowie, lecz czy wyjdą z tego cało? Czy nikt nie zagrozi im w przyszłości?

Przecież ani ulaskawienie, ani pieniądze nie odbiorą im pamięci.

- Warunki płatności? - spytał Argrow.

- Są bardzo proste - odrzekł Spicer. - Cała kwota z góry. Przelewem. Na konto w jakimś przytulnym, solidnym banku, najlepiej w Panamie.

- Dobrze... A wasze zwolnienie?

- Nie rozumiem.

- Macie jakieś sugestie?

- Chyba nie. Myśleliśmy, że Lake się tym zajmie. Ma mnóstwo przyjaciół.

- Tak, ale jeszcze nie jest prezydentem. Nie wszystkim może rozkazywać.

- Nie zamierzamy czekać do stycznia - oświadczył Yarber. - Ani nawet do listopada.

- Chcecie wyjść już teraz?

- Natychmiast, jak najszybciej - odparł Spicer.

- Wszystko jedno jakim sposobem?

Pomyśleli chwilę i Beech odrzekł:

- Czysto i oficjalnie. Nie zamierzamy przed nikim uciekać. Ani do końca życia oglądać się przez ramię.

- Chcecie wyjść razem?

- Tak - odparł Yarber. - Mamy swoje plany. Ale najpierw musimy uzgodnić najważniejsze: pieniądze i termin zwolnienia.

- Oczywiście. Ludzie Lake'a żądają w zamian dokumentów. Wszystkich listów, zapisków, notatek i tak dalej. I zapewnienia, że dochowacie tajemnicy.

- Jeżeli Lake spełni nasze żądania - odparł Beech - nie będzie musiał się o nic martwić. Chętnie o wszystkim zapomnimy. Ale musimy pana ostrzec, że jeśli przytrafi nam się coś złego, sprawa wyjdzie na jaw tak czy inaczej.

- Mamy czwartego współnika... - wtrącił Yarber.

- Małą bombę z opóźnionym zapłonem - przejął pałeczkę Spicer. - Przydarzy nam się coś złego, kilka dni później bomba wybuchnie i Lake wyleci z Białego Domu.

- Do niczego takiego nie dojdzie.

- Jest pan tylko pośrednikiem - pouczył go Beech. - Nie może pan tego wiedzieć. Ci ludzie zabili Trevora.

- Nie macie co do tego pewności.

- Nie, ale tak uważamy.

- Panowie, nie kłómy się o coś, czego nie możemy udowodnić. - Argrow wstał. - O dziewiątej rano przyjedzie do mnie brat. Spotkajmy się tu o dziesiątej.

- 205 -

Wyszedł, zostawiając ich w transie. Zamyśleni, liczyli w duchu pieniądze, ale nie śmieli zacząć ich wydawać. Argrow ruszył w stronę bieżni, lecz na widok grupy truchtających więźniów szybko zawrócił. Powłóczył się po okolicy, znalazł

odludne miejsce za kantyną i zadzwonił do Klocknera.

Godzinę później meldunek przekazano Teddy'emu Maynardowi.

- 206 -

ROZDZIAŁ 37

Punktualnie o szóstej rano rozdzwonił się dzwonek. Słysząc go było na korytarzach, na trawnikach, wokół

budynków, a nawet w pobliskim lesie. Dzwonił dokładnie trzydzieści pięć sekund - większość osadzonych wielokrotnie to sprawdzała - i postawił na nogi największych śpiochów. Zerwał ich z pryczy, jakby wydarzyło się coś ważnego, jakby kazano im dokądś biec, tymczasem jedyną palącą sprawą, z jaką musieli się o tej godzinie uporać, było śniadanie.

Dźwięk dzwonka trochę ich wystraszył, lecz bynajmniej nie obudził. Beech, Spicer i Yarber nie spali. Z wiadomych powodów mieli z tym duże trudności. Mieszkali w różnych budynkach, lecz - czemu trudno się dziwić - już dziesięć minut później spotkali się w kolejce po kawę. Z wysokimi kubkami w ręku wyszli bez słowa na boisko do koszykówki i usiedli na ławce tyłem do bieżni. Patrzyli na główny gmach więzienia. Wstawał świt.

Wszyscy trzej zastanawiali się, jak długo jeszcze będą musieli nosić oliwkowe koszule, siadywać w gorącym słońcu Florydy, zarabiać marne centy za nic nierobienie, czekać, marzyć i pić nieskończone

ilości kawy. Miesiąc? Dwa miesiące? A może tylko kilka dni? Niespokojne myśli nie dawały im spać.

- Są dwie możliwości - spekulował Beech; był sędzią federalnym i uważnie go słuchali, choć mówił o rzeczach powszechnie znanych. - Pierwsza to złożyć wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy i złagodzenie wyroku. W pewnych ściśle zdefiniowanych okolicznościach sędzia jest władny zwolnić osadzonego z więzienia. Ale rzadko się to praktykuje.

- A ty? - mruknął Spicer. - Zwolniłeś kogoś?

- Nie.

- Dupek.

- W jakich okolicznościach? - spytał Yarber.

- Jeśli osadzony przedstawi nowe dowody - wyjaśnił Beech. - Jeżeli je przedstawi i pójdzie na współpracę z władzami, mogą mu zmniejszyć wyrok.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco - powiedział Yarber.

- A druga możliwość? - spytał Spicer.

- Wyślą nas do pośredniaka, do miłego, przytulnego domu, gdzie nie musielibyśmy przestrzegać żadnych regulaminów. Prawo do tego ma tylko Główny Zarząd Więziennictwa. Jeśli nasi nowi przyjaciele z Waszyngtonu wywrą na nich odpowiedni nacisk, Zarząd może z niego skorzystać i po prostu o nas zapomnieć.

- Ale mieszkać w takim domu trzeba, co nie? - spytał Spicer.

- W większości trzeba, ale nie we wszystkich. Z niektórych, z tych o zaostrzonym reżimie, nie można wychodzić nocą. Inne dają człowiekowi więcej luzu. Wystarczy, że zadzwonisz tam raz dziennie czy raz na tydzień i się zameldujesz.

Wszystko zależy od tych z Waszyngtonu.

- Ale nadal bylibyśmy skazanymi przestępcami, tak? - spytał Spicer.

- Mnie by to nie przeszkadzało - powiedział Yarber. - I tak nie zamierzam głosować.

- Mam pomysł - rzekł Beech. - Przyszedł mi do głowy wczoraj wieczorem. W naszej umowie trzeba zawrzeć klauzulę, że jeśli Lake zostanie prezydentem, będzie musiał nas ułaskawić.

- Ja też o tym myślałem - burknął Spicer.

- 207 -

- I ja - powiedział Yarber. - Ale co nas obchodzi to, że jesteśmy notowani? Najważniejsze, żebyśmy stąd wyszli.

- Poprosić nie zaszkodzi - odparł Beech.

Zamilkli i przez kilka minut w skupieniu pili kawę.

- Niepokoi mnie ten Argrow - powiedział w końcu Finn.

- Dlaczego?

- Facet wyrasta jak spod ziemi i nagle staje się naszym najlepszym przyjacielem. Macha czarodziejską różdżką i przelewa nasze pieniądze do bezpieczniejszego banku w Panamie. A teraz jest głównym negocjatorem Lake'a. Nie zapominajcie, że ktoś czytał nasze listy. I że tym kimś nie był Aaron Lake.

- Mnie on nie przeszkadza - odrzekł Spicer. - Lake musiał znaleźć kogoś, kto z nami pogada. Poszukał, powęszył, pociągnął za odpowiednie sznurki i dowiedział się, że Argrow ma brata adwokata.

- Nie uważasz, że to trochę podejrzane? - spytał Beech.

- A ty uważasz, he?

- Moim zdaniem Finn ma rację. Wiemy na pewno, że ktoś przechwytywał i czytał nasze listy.

- Ale kto?

- Oto jest pytanie - odparł Yarber. - Dlatego od tygodnia nie śpię. Ktoś ma nas na oku.

- Ale co nas to obchodzi? - odparował Spicer. - Wyjdziemy stąd dzięki Lake'owi - bardzo dobrze. Dzięki komuś innemu - też bardzo dobrze. Co za różnica?

- Nie zapominaj o Trevorze - powiedział Beech. - Oberwał dwie kulki w tył głowy.

- Trumble może być bezpieczniejsze, niż myślimy.

Spicer nie dał się przekonać. Dopił kawę i spytał:

- Czy naprawdę uważacie, że Aaron Lake, człowiek, który ma zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, rozkazałby zabić taką miernotę jak Trevor Carson?

- Nie - odparł Yarber. - To zbyt ryzykowne. Nas też by nie zabił. Ale mógłby to zrobić ten tajemniczy ktoś. Zabójca Trevora i człowiek, który czytał nasze listy, to jedna i ta sama osoba.

- Nie jestem tego pewny.

Byli razem i chyba na niego czekali. Zastał ich tam gdzie zawsze, w bibliotece. Wpadł do środka jak burza, upewnił

się, czy są sami, i oświadczył:

- Rozmawiałem z bratem. Chodźcie.

Weszli pośpiesznie do sali konferencyjnej, zamknęli za sobą drzwi i ponownie stłoczyli się wokół stołu.

- Wszystko pójdzie bardzo szybko - zaczął nerwowo Argrow. - Lake zapłaci. Pieniądze zostaną przelane tam, gdzie zechcecie. Mogę wam pomóc albo załatwić to sami.

Spicer odchrząknął.

- Po dwa miliony na głowę?

- Tyle żądaliście. Nie znam Lake'a, ale widać, że facet działa cholernie szybko. - Argrow spojrział na zegarek i zerknął przez ramię w stronę drzwi. - Czekam na was dwóch ważniaków z Waszyngtonu. - Wyszarpnął z kieszeni jakieś papiery, rozłożył je i każdemu z sędziów podsunął jedną kartkę. - Kopie prezydenckiego aktu ułaskawienia. Z wczorajszą datą.

- 208 -

Z rezerwą nachylili się, sięgnęli po dokumenty i próbowali je przeczytać. Wyglądały bardzo oficjalnie. Wielki nagłówek na górze strony, kilka akapitów napuszonego tekstu, zwarty podpis prezydenta Stanów Zjednoczonych - nie potrafili wykrztusić ani słowa. Byli zbyt wstrząśnięci.

- Zostaliśmy... ułaskawieni? - wychrypiał w końcu Yarber.

- Tak. Przez samego prezydenta.

Nie mogli oderwać wzroku od dokumentów. Nerwowo poprawiali się na krzesłach, zagryzali wargę, zaciskali zęby, robili wszystko, żeby ukryć zaszokowanie.

- Zaraz wezwą was do gabinetu naczelnika - kontynuował Argrow. - Ci z Waszyngtonu przekażą wam dobre nowiny. Udawajcie zaskoczonych, dobra?

- Nie ma sprawy.

- Żadnej.

- Jak pan to skopiował? - spytał Yarber.

- To mój brat. Nie mam pojęcia, skąd to wytrzasnął. Ten cały Lake ma potężnych przyjaciół. Będzie tak: zwolnią was za godzinę. Furgonetką pojedziecie do Jacksonville, do hotelu. Tam spotkacie się z moim bratem. Zaczekacie na potwierdzenie przelewu, a kiedy nadejdzie, przekażecie mu swoje

brudne akta. Żeby nie było wątpliwości: wszystkie akta.

Jasne?

Zgodnie kiwnęli głową. Za sześć milionów dolarów Lake mógł je sobie zabrać.

- Niezwłocznie wyjedziecie z kraju i będziecie mogli wrócić najwcześniej za dwa lata.

- Wyjechać? - spytał Beech. - Niby jak? Nie mamy paszportów, żadnych dokumentów...

- Dokumenty dostaniecie od mojego brata. Paszporty na nowe nazwisko i całą resztę, łącznie z kartami kredytowymi.

Już na was czekają.

- Na dwa lata? - powtórzył Spicer; Yarber spojrzał na niego tak, jakby Joe Roy postradał zmysły.

- Tak - odrzekł Argrow. - Na dwa lata. To jeden z warunków umowy. Zgadza się?

- Bo ja wiem... - odrzekł Spicer drżącym głosem; nigdy dotąd nie wyjeżdżał za granicę.

- Nie bądź głupi - warknął na niego Yarber. - Ułaskawienie i milion dolarów rocznie za dwuletnią emigrację?

Oczywiście, że się zgadzamy.

Pukanie do drzwi zaskoczyło ich i przeraziło. Do sali konferencyjnej zajrzało dwóch strażników. Argrow porwał ze stołu kopie prezydenckich ułaskawień i schował je do kieszeni.

- Rozumiem, że się dogadaliśmy - zreasumował. - Tak?

Ponownie kiwnęli głową i kolejno uścisnęli mu rękę.

- To dobrze. Tylko pamiętajcie, udawajcie zaskoczonych.

Strażnicy zaprowadzili ich do gabinetu naczelnika, gdzie zostali przedstawieni dwóm mężczyznom o poważnych obliczach. Jeden był z Departamentu Sprawiedliwości, drugi z Głównego Zarządu Więziennictwa. Naczelnik zdołał nie pomylić ich nazwisk i dokonawszy prezentacji, wręczył każdemu z Braci sztywną kartkę formatu A-4. Były to oryginały dokumentów, których kopie pokazał im przed chwilą Argrow.

- Panowie - oznajmił z całym dramatyzmem, na jaki było go stać. - Prezydent Stanów Zjednoczonych was ułaskawił.

- I uśmiechnął się ciepło, jakby zostali ułaskawieni przez niego samego.

Sędziowie gapili się bez słowa na dokumenty. Byli wciąż zaszokowani i wciąż huczało im w głowie

od pytań, z

- 209 -

których najważniejsze brzmiało tak: Jakim, u licha, cudem Argrow zdołał uprzedzić naczelnika? Skąd wytrzasnął kopie tych papierów?

- Nie wiem, co powiedzieć... - wymamrotał Spicer. Yarber i Beech wykrztusili coś równie elokwentnego.

- Prezydent - rzekł przedstawiciel Departamentu Sprawiedliwości - przejrzał akta waszych spraw i doszedł do wniosku, że dość się panowie nasiedzieliście. Prezydent jest przekonany, że jako wolni i produktywni obywatele lepiej przysłużycie się krajowi i społeczeństwu.

Patrzyli na niego tępym wzrokiem. Czyżby ten kretyn nie wiedział, że mają przybrać nowe nazwiska i wyjechać z kraju na co najmniej dwa lata? Kto tu był po czyjej stronie?

I dlaczego prezydent ich ułaskawił, skoro dysponowali wystarczającą ilością materiałów, żeby zniszczyć Aarona Lake

'a, który mógł odebrać zwycięstwo wiceprezydentowi? Bo to przecież Lake chciał ich uciszyć, nie prezydent, zgadza się?

W jaki sposób Lake zdołał go namówić, żeby darował im resztę kary?

W jaki sposób zdołał namówić go do czegokolwiek na tym etapie kampanii wyborczej?

Odjęło im mowę. Ściskając w rękę bezcenne dokumenty, siedzieli ze ściągniętymi twarzami, a w ich głowach kłębiły się setki pytań.

- Powinniście być zaszczytzeni - powiedział przedstawiciel Głównego Zarządu Więziennictwa. - Prezydent bardzo rzadko korzysta z tego prawa.

Yarber zdołał kiwnąć głową, mimo to ani przez chwilę nie przestał myśleć o jednym: kto czeka na nich przed więzieniem?

- Jesteśmy wstrząśnięci - powiedział Beech.

Trumble nigdy dotąd nie gościło więźniów na tyle ważnych, żeby prezydent raczył ich ułaskawić. Naczelnik był z nich dumny, choć nie bardzo wiedział, jak tę chwilę upamiętnić.

- Kiedy chcecie panowie wyjść? - spytał, jakby tamci mieli ochotę zostać i trochę się zabawić.

- Niezwłocznie - odrzekł Spicer.

- Znakomicie. Podrzucimy was do Jacksonville.

- Nie, dziękujemy. Zabierzemy się okazją.

- Jak chcecie. Ale przedtem czeka nas trochę papierkowej roboty.

- Byle nie za dużo.

Każdy z nich dostał dużą płócienną torbę na rzeczy. Gdy zbici w gromadkę zwawym krokiem przechodzili przez podwórze ze strażnikiem za plecami, Beech szepnął:

- Kto załatwił to cholerne ułaskawienie?

- Na pewno nie Lake - odrzekł półgłosem Yarber.

- Oczywiście, że nie Lake - warknął Beech. - Prezydent nie kiwnąłby dla niego palcem.

Przyspieszyli kroku.

- A co za różnica? - spytał Joe Roy.

- To nie ma sensu - syknął Yarber.

- No i co zrobisz? - zakpił Spicer, nie odwracając głowy. - Zostaniesz tu kilka dni dłużej, żeby przeanalizować sytuację? A kiedy już odkryjesz, kto za tym stoi, odrzucisz ułaskawienie? Daj spokój, Finn.

- Finn ma rację - wtrącił Beech. - To nie Lake, to ktoś inny...

- 210 -

- No i klawo. Bardzo go za to kocham, ale nie zamierzam siedzieć tu i zastanawiać się, kim ten ktoś jest.

W szaleńczym pośpiechu przetrząsnęli swoje cele. Nie zawracali sobie głowy pożegnaniem, zresztą większość osadzonych była na dworze.

Chcieli - musieli! - wyjść z Trumble, zanim piękny sen pryśnie jak mydlana bańka, zanim prezydent zmieni zdanie.

Wyszli kwadrans po jedenastej, tymi samymi drzwiami, w których przed laty powitano ich w więzieniu. Czekali na gorącym chodniku. Ani razu nie obejrzel się za siebie.

Furgonetkę prowadził Chap, a obok niego siedział Wes, chociaż występowali teraz pod innymi imionami. Mieli ich tak wiele.

Joe Roy Spicer wyciągnął się w fotelu i zasłonił oczy przedramieniem, nie chcąc nic widzieć, dopóki nie odjadą. Miał

ochotę płakać, miał ochotę krzyczeć, lecz był odrętwiały z euforii - z czystej, niczym niezmaconej euforii. Na jego ustach błędził głupkowaty uśmiech. Marzyło mu się piwo, marzyła mu się kobieta, najlepiej jego żona. Niebawem do niej zadzwoni.

Furgonetka ruszyła.

Nagłość i tempo wydarzeń dogłębnie nimi wstrząsnęło. Większość osadzonych liczy dni do końca odsiadki. Są w stanie przewidzieć, kiedy wyjdą. Wiedzą, dokąd pójda i kto na nich czeka.

Natomiast Bracia nie wiedzieli prawie nic. A temu, co wiedzieli, nie dawali wiary. Ułaskawienie było bujda i podpuchą. Pieniądze przynęta. Wiozą ich na rozwałkę, tak samo jak wywieźli biednego Trevora. Furgonetka zaraz stanie, a tych dwóch drabów przeszuka ich torby. Znajdą listy i zamordują ich w przydrożnym rowie.

Możliwe, lecz w tej chwili bynajmniej nie tęsknili za bezpieczeństwem, jakie oferowało im Trumble.

Finn Yarber siedział za kierownicą i patrzył na drogę. W rękę ścisnął akt ułaskawienia, gotów pokazać go każdemu, kto by ich zatrzymał i powiedział, że sen się skończył. Obok niego siedział Hatlee Beech, który właśnie się rozpłakał. Płakał

cichutko, nie panując nad drżeniem ust.

Miał powody do płaczu. Zostałoby mu osiem lat odsiadki, dlatego cenił ułaskawienie bardziej niż Yarber i Spicer razem wzięci.

W czasie jazdy nie zamienili ze sobą ani słowa. Przedmieścia Jacksonville. Szersza droga, pierwsze ulice.

Zaciekawieni rozglądali się na wszystkie strony. Ludzie, samochody. Przelatujące samoloty. Łodzie na rzekach. Życie powoli wracało do normy.

Metr po metrze sunęli zatłoczonym Atlantic Boulevard, szczerze ciesząc się każdą chwilą spędzoną w korku. Było bardzo gorąco. Na ulice wylegli turyści, kobiety o długich opalonych nogach. A te restauracje z frutti di mare, te bary, te szyldy reklamujące zimne piwo i ostrygi. Na końcu ulicy skręcili w stronę plaży i furgonetka zaparkowała przed Żółwiem Morskim. Przeszli za Chapem przez hol; wciąż byli jednakowo ubrani i kilka osób obrzuciło ich zaciekawionym spojrzeniem.

Winda, czwarte piętro.

- To są wasze pokoje - powiedział Chap, wskazując korytarz. - Te trzy. Mecenas Argrow chce się z wami zobaczyć jak najszybciej.

- Gdzie? - spytał Spicer.

Chap ponownie wyciągnął rękę.

- Tam, w tym narożnym apartamencie. Już na was czeka.

- No to chodźmy. - Potrącając się torbami, weszli za nim do apartamentu.

- 211 -

Jack Argrow zupełnie nie przypominał swego brata. O wiele od niego niższy, miał jasne falujące włosy, podczas gdy Wilson był brunetem i zaczynał już łysieć. Bracia zauważyli to zupełnie mimowolnie, lecz nie omieszkali o tym później porozmawiać. Uścisnął im ręce szybko i tylko z grzeczności. Był spięty, mówił bardzo szybko.

- Co słyhać u mego brata?

- Wszystko w porządku - odrzekł Beech.

- Widzieliśmy się z nim rano - dodał Yarber.

- Chcę go wyciągnąć z więzienia - warknął Argrow, jakby to oni go tam wpakowali. - To moje honorarium za załatwienie tej sprawy. Wyciągnę go stamtąd, żeby nie wiem co.

Bracia wymienili spojrzenia. Cóż mogli na to rzec?

- Siadajcie - rzucił adwokat. - Panowie, nie mam pojęcia, jakim cudem się w to wpakowałem. Dlatego jestem bardzo zdenerwowany. Występuję w imieniu Aarona Lake'a, człowieka, który - głęboko w to wierzę - wygra wybory i będzie wspaniałym prezydentem. Mam nadzieję, że uwolni mego brata. Tak czy inaczej, nie znam go osobiście. W zeszłym tygodniu odwiedzili mnie jego ludzie i poprosili o pomoc w tajnej, bardzo delikatnej misji. Dlatego tu jestem. Robię mu przysługę, rozumiecie? Wiem tylko tyle, ile wiem, jasne? - Mówił krótkimi, urwanymi zdaniami. Dużo gestykulował i nie mógł

usiedzieć na miejscu.

Bracia milczeli, a on niczego innego od nich nie oczekiwał.

Dwie ukryte kamery wychwytywały każdy ich ruch i przekazywały obraz bezpośrednio do Langley, na duży ekran, przed którym siedzieli Teddy, York i Deville. Byli sędziowie, a obecnie byli osadzeni, wyglądali jak świeżo uwolnieni jeńcy wojenni: oszołomieni i przygaszeni, w identycznych więziennych koszulach, wciąż nie mogli uwierzyć, że są na wolności.

Siedzieli blisko siebie i oglądali wspaniały występ agenta Lytera.

Próbowali ich przechytryć i wymanewrować od trzech miesięcy, dlatego Teddy był tym widokiem zafascynowany.

Uważnie obserwował ich twarze i, choć niechętnie, musiał przyznać, że są godni podziwu. Ci farciarze byli przebiegli na tyle, żeby usidlić właściwą ofiarę; teraz wyszli na wolność i za chwilę mieli odebrać sositą nagrodę za spryt i przemyślność.

- Dobra - warknął Argrow. - Najpierw pieniądze. Dwa miliony na głowę. Jak chcecie je odebrać?

O tym nie pomyśleli.

- A jakie mamy możliwości? - spytał Spicer.

- Musicie je dokądś przelać - odburknął Argrow.

- Może do Londynu? - wtrącił Yarber.

- Do Londynu?

- Tak - potwierdził Yarber. - Chcemy, żeby całą kwotę, czyli sześć milionów dolarów, przelano na bankowy rachunek w Londynie.

- Jak chcecie. Do którego banku?

- Nie wiemy - odrzekł Yarber. - Mógłby nam pan pomóc?

- Takie otrzymałem polecenie. Muszę wykonać kilka telefonów. Idźcie do swoich pokojów, weźcie prysznic i się przebierzcie. Spotkamy się za kwadrans.

- Nie mamy ubrań - powiedział Beech.

- Są w pokoju.

Na korytarzu Chap wręczył im klucze.

- 212 -

Spicer wyciągnął się na wielkim łóżku i wbił wzrok w sufit. Beech wszedł do swego pokoju, stanął przy oknie i spojrzał na północ, na ciągnącą się kilometrami plażę i błękitne wody oceanu muskające biały piasek. Wokół matek hasały dzieci. Brzegiem morza przechadzały się zakochane pary. Na horyzoncie sunął rybacki kuter. Wolność, pomyślał Beech.

Nareszcie wolność.

Yarber długo stał pod prysznicem. Całkowita prywatność, żadnych ograniczeń czasowych, mnóstwo mydła i grube ręczniki. Toaletka, a na niej kosmetyki: dezodorant, krem i maszynka do golenia, szczoteczka i pasta do zębów, a nawet nić dentystyczna. Bez pośpiechu naciągnął bermudy i biały podkoszulek. Potem włożył sandały. Miał wyjechać jako pierwszy.

Musiał pójść do sklepu i kupić sobie odpowiednie ubranie.

Dwadzieścia minut później wrócili do apartamentu Argrowa z listami ukrytymi w powłoczce na poduszkę.

Adwokat był wciąż podminowany.

- Metropolitan Trust w Londynie - wypalił. - To duży bank. Przelejemy tam pieniądze, a potem zrobicie, co zechcicie.

- Dobrze - odrzekł Yarber. - Rachunek ma być tylko na moje nazwisko.

Argrow popatrzył na Beecha i Spicera, którzy zgodnie kiwnęli głową.

- Wasza sprawa. Rozumiem, że macie jakiś plan.

- Tak - odparł Spicer. - Pan Yarber poleci dzisiaj do Londynu. Pójdzie do banku, zajmie się pieniędzmi i jeśli wszystko będzie w porządku, wkrótce do niego dołączymy.

- Zapewniam, że nie spotka was żadna niespodzianka.

- A my panu wierzymy. Jesteśmy po prostu ostrożni.

Argrow podał Finnowi dwie kartki papieru.

- Musi pan to podpisać, żebym mógł otworzyć konto i przelać pieniądze.

Yarber złożył swój podpis.

- Jedliście lunch? - spytał adwokat.

Od rana nie mieli nic w ustach. Owszem, chętnie by coś zjedli, nie wiedzieli tylko, jak się do tego zabrać.

- Jesteście wolnymi ludźmi. Parę ulic stąd znajdziecie kilka dobrych restauracji. Życzę smacznego. Zajmie mi to godzinę. Spotkajmy się o wpół do trzeciej.

Powłoczkę trzymał Spicer. Machnął nią i powiedział:

- Tu są te listy.

- Dobrze. Niech pan rzuci to na sofę.

ROZDZIAŁ 38

Wyszli z hotelu. Nikt im nie towarzyszył, nie mieli żadnych ograniczeń, mimo to na wszelki wypadek zabrali ze sobą akty ułaskawienia. I chociaż na plaży słońce grzało dużo mocniej, powietrze było jakby lżejsze. A niebo czystsze. Świat znowu był piękny. I pełen nadziei. Śmiali się niemal do wszystkiego. Bez trudu wmieszali się w tłum turystów na Atlantic Boulevard.

Zamówili steki i piwo, i siedząc pod parasolem w restauracyjnym ogródku, obserwowali przechodniów. Jedli i pili.

Mówili niewiele. Chłonęli wzrokiem wszystko, zwłaszcza młode kobiety w szortach i obcisłych topach. Więzienie zrobiło z nich starców. Teraz chcieli się zabawić.

Zwłaszcza Hatlee Beech. Kiedyś miał majątek, pieniądze, ambicje oraz coś, czego nie sposób było stracić -

dożywotnią nominację od prezydenta. Spadł z wysoka, wszystko zaprzepaścił i podczas pierwszych dwóch lat w Trumble nie mógł wyjść z depresji. Pogodził się z tym, że umrze w więzieniu, i poważnie rozmyślał o samobójstwie. Teraz miał pięćdziesiąt sześć lat i cudownym sposobem wychynął z mrocznej otchłani. Zrzucił prawie siedem kilogramów wagi, był ładnie opalony i zdrowy, rozwiódł się z kobietą, która mogła mu zaoferować jedynie pieniądze, i za kilka godzin miał zostać milionerem.

Nieźle jak na faceta w średnim wieku. Tęsknił za dziećmi, choć wiedział, że dzieci poszły tam, gdzie pieniądze, i zdążyły już o nim zapomnieć.

Hatlee Beech pragnął żyć radośnie i pełną piersią.

Podobnie jak Spicer, z tym że Spicer wolałby zabawić się w jakimś kasynie. Jego żona nie miała paszportu, dlatego mogłaby dołączyć do niego dopiero za kilka tygodni. W Londynie czy gdziekolwiek indziej. Czy w Europie są kasyna? Beech twierdził, że tak. Yarber nie wiedział i zupełnie go to nie obchodziło.

Z nich trzech największą rezerwę zachowywał Finn. Pił wodę sodową zamiast piwa i nie zwracał uwagi na roznegliżowane kobiety. Był już w Europie. Wiedział, że zostanie tam do końca życia, już nigdy nie wróci do kraju. Był

zdrowy i sprawny fizycznie. Stuknęła mu sześćdziesiątka, miał dużo pieniędzy i przez najbliższe dziesięć lat zamierzał włóczyć się po Włoszech i Grecji.

W małej księgarni po drugiej stronie ulicy kupili kilka książek podróżniczych. W sklepie z plażowymi ubraniami nabyli przeciwsłoneczne okulary. Potem ruszyli do hotelu, żeby dopiąć układ z Argrowem.

Klockner i spółka uważnie ich obserwowali. Klockner i spółka mieli serdecznie dość Neptune Beach, knajpy U Pete'

a, Żółwia Morskiego i ciasnoty domku naprzeciwko kancelarii Trevora Carsona. Sześciu agentów, w tym Chap i Wes, wciąż było na służbie i każdy z nich z utęsknieniem czekał na kolejne zadanie. Wykryli i skutecznie rozpracowali szwindel Bractwa z Trumble. Wyciągnęli tych ludzi z więzienia, sprowadzili ich na plażę, a teraz pragnęli już tylko, żeby Spicer, Yarber i Beech wyjechali z kraju.

Jack Argrow nie tknął listów, a przynajmniej tak im się zdawało. Wciąż spoczywały na sofie, w powłoczce, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zostawił je Spicer.

- Pieniądze są w drodze - oznajmił adwokat, gdy usiedli.

Teddy Maynard nie odrywał wzroku od wielkiego ekranu. Sędziowie w plażowych strojach. Yarber w czapeczce z piętnastocentymetrowej długości daszkiem. Spicer w słomkowym kapeluszu i żółtym podkoszulku. Republikanin Beech w szortach koloru khaki, pulowerze i w golfowej czapce.

Na stole leżały trzy duże koperty. Argrow wręczył je Braciom.

- Nowe dokumenty - wyjaśnił. - Metryka urodzenia, karty kredytowe, karta ubezpieczenia społecznego.

- A paszporty? - spytał Yarber.

- W sąsiednim pokoju czeka aparat. Do paszportu i prawa jazdy potrzebne jest zdjęcie. Zajmie nam to pół godziny.

W tych mniejszych kopertach macie po pięć tysięcy dolarów na bieżące wydatki.

- Nazywam się Harvey Moss? - wymamrotał Spicer, spoglądając na swoją metrykę.

- 214 -

- Tak. Bo co? Imię się panu nie podoba?

- Nie, nie, już mi się podoba.

- Wiesz? - rzucił Beech. - Nawet do ciebie pasuje.

- A ty? Jak się nazywasz?

- James Nunley.

- Miło mi pana poznać, panie Nunley.

Spięty Argrow nawet się nie uśmiechnął.

- Muszę wiedzieć, dokąd i kiedy zamierzacie lecieć - powiedział. - Ci z Waszyngtonu chcą, żebyście jak najszybciej wyjechali z kraju.

- Nie znam rozkładu lotów do Londynu - odrzekł Yarber.

- Ale ja znam. Za dwie godziny ma pan lot z Jacksonville do Atlanty. O siódmej dziesiąt wieczorem odleciałby pan do Anglii i jutro wczesnym rankiem byłby pan na Heathrow.

- Może pan zarezerwować bilet?

- Już to zrobiłem. Ma pan miejsce w pierwszej klasie.

Finn zamknął z uśmiechem oczy.

- A panowie? - spytał adwokat.

- Mnie się tu podoba - odparł Spicer.

- Przykro mi, ale zawarliśmy umowę.

- Odlecimy tym samym lotem jutro po południu - powiedział Beech. - Oczywiście zakładając, że pana Yarbera nie spotka niemiła przygoda.

- Zarezerwować wam bilety?

- Jeśli łaska.

Do pokoju bezszelestnie wszedł Chap. Wziął z sofy powłoczkę z listami i wyszedł.

- W takim razie chodźmy zrobić zdjęcie - powiedział adwokat.

Finn Yarber, alias William McCoy z San Jose w Kalifornii, odleciał do Atlanty bez żadnych przeszkód. Przez godzinę spacerował po lotnisku i jeździł podziemną kolejką, ciesząc się rozedrganym chaosem i obecnością tysięcy spieszących dokądś ludzi.

Fotel był skórzany i rozkładany. Po dwóch kieliszkach szampana zaciążyły mu powieki i zapadł w sen. Bał się zasnąć, ponieważ bał się obudzić. Był pewien, że otworzy oczy i ujrzy więzienny sufit. Że znowu zaczną odliczać dni.

Joe Roy wszedł do budki, po raz kolejny zadzwonił do żony i wreszcie ją złapał. Początkowo myślała, że to jakiś głupi dowcip, i nie chciała przyjąć rozmowy na koszt abonenta.

- Kto mówi? - spytała.

- To ja, kochanie. Wyszędłem z więzienia.

- Joe Roy?

- Tak, a teraz uważnie posłuchaj. Jestem wolny, rozumiesz? Pytam, czy mnie rozumiesz.

- Chyba... chyba tak. Skąd dzwonicz?

- 215 -

- Mieszkam w hotelu na przedmieściach Jacksonville na Florydzie. Dziś rano mnie zwolniono.

- Zwolniono? Ale...

- O nic nie pytaj. Wszystko wyjaśnię ci później. Jutro odlatuję do Londynu. Chcę, żebyś natychmiast poszła na pocztę i wzięła wniosek paszportowy.

- Do Londynu? Powiedziałaś do Londynu?

- Tak.
 - Do Anglii?
 - Tak, do Anglii. Muszę na jakiś czas wyjechać, to część umowy.
 - Na długo?
 - Na dwa lata. Posłuchaj. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale jestem wolny i parę lat spędzimy razem za granicą.
 - Co to za umowa? Joe Roy, czy ty uciekłeś z więzienia? Mówiłeś, że to łatwe.
 - Nie, zostałem zwolniony.
 - Przecież miałeś wyjść dopiero za dwa lata.
 - Tak, ale wyszedłem już teraz. Weź z poczty wniosek i dokładnie przeczytaj wskazówki.
 - Ale po co mi paszport?
 - Żebyś mogła wyjechać do Europy.
 - Na dwa lata?
 - Na dwa lata.
 - Mama jest chora, nie mogę jej tak zostawić.
- Chętnie powiedziałby jej, co myśli o tej starej zrzędzie, lecz tylko zacisnął zęby. Wziął głęboki oddech i spojrzał na ulicę.
- Ja wyjeżdżam. Nie mam wyboru.
 - Lepiej wróć do domu, Joe Roy.
 - Nie mogę. Później wszystko ci wyjaśnię.
 - Dobrze by było.
 - Zadzwonię jutro.

Beech i Spicer zjedli kolację w rybnej restauracji pełnej ludzi znacznie od nich młodszych. Potem poszli na spacer i w końcu trafili do knajpy U Pete'a, gdzie rozkoszując się gwarem i rozgardiaszem, obejrzeli mecz w telewizji.

Finn był gdzieś nad Atlantykiem. Podążał śladem pieniędzy. Angielski celnik ledwo zerknął na podniszczony, mistrzowsko sfalszowany paszport, który towarzyszył Williamowi McCoyowi podczas

licznych podróży po całym świecie.

Tak, Aaron Lake miał naprawdę potężnych przyjaciół.

Finn pojechał taksówką do hotelu Basil Street w Knightsbridge i zapłacił gotówką za najmniejszy z dostępnych pokoi. Wybrali ten hotel na chybił trafił, z przewodnika. Staromodny, pełen antyków, zakamarków i długich, łamiących się korytarzy, na piętrze miał małą restaurację. Yarber zjadł tam śniadanie - jajka z kiełbaskami, do tego kawa. Potem poszedł

na spacer. O dziesiątej pojechał taksówką do Metropolitan Trust. Recepcjonistka nie zważała na jego ubranie - był w dzinsach i pulowerze - a kiedy zdała sobie sprawę, że jest Amerykaninem, obojętnie wzruszyła ramionami.

Kazali mu czekać godzinę. Finn nie miał nic przeciwko temu. Był zdenerwowany, lecz starał się tego nie okazywać.

Sześć milionów dolarów - na tyle pieniędzy chętnie czekałby cały dzień, tydzień, a nawet miesiąc. Umiał być cierpliwy. W

- 216 -

końcu wyszedł do niego MacGregor, urzędnik odpowiedzialny za transfery. Pieniądze właśnie wpłynęły na konto, przepraszamy za zwłokę. Sześć milionów dolarów bezpiecznie pokonało Atlantyk i spoczęło na angielskiej ziemi.

Ale nie na długo.

- Chciałbym przelać całą kwotę do Szwajcarii - oznajmił Finn z odpowiednią dozą pewności siebie i doświadczenia.

Po południu tego samego dnia Beech i Spicer odlecieli do Atlanty. Tak samo jak Yarber długo krążyli po lotnisku, czekając na lot do Londynu i ciesząc się niczym nieskrępowaną wolnością. Potem weszli na pokład, zajęli miejsca w pierwszej klasie i przez kilka godzin jedli, pili, oglądali filmy i próbowali spać.

Ku ich zaskoczeniu, w sali przylotów czekał Yarber. Przekazał im cudowną nowinę, że pieniądze przyfrunęły i odfrunęły: do szwajcarskiego banku. Zaskoczył ich jeszcze bardziej, sugerując, żeby niezwłocznie wyjechali.

- Oni wiedzą, że tu jesteśmy - tłumaczył przy kawie na lotnisku. - Trzeba ich zgubić.

- Myślisz, że nas śledzą? - spytał Beech.

- Załóżmy, że tak.

- Ale dlaczego?

Rozmawiali o tym pół godziny, a potem spojrzeli na rozkład lotów. Ich uwagę przykuł lot Alitalia do Rzymu. Klasa?

Pierwsza, jakżeby inaczej?

- Czy w Rzymie mówią po angielsku? - spytał Spicer, kiedy wchodzili na pokład.

- Nie, po włosku - odrzekł Yarber.

- Myślisz, że przyjmie nas papież?

- Wątpię. Jest bardzo zajęty.

ROZDZIAŁ 39

Buster jechał zygzakiem na zachód, by wreszcie wysiąść na ostatnim przystanku w San Diego. Ocean go zahipnotyzował - od wielu miesięcy nie widział ani jeziora, ani morza. Jakiś czas krążył po porcie, szukając pracy i gawędząc z miejscowymi. Kapitan łodzi czarterowej zatrudnił go jako gońca. Gdy zacumowali w Los Cabos w Meksyku, Buster zszedł

na ląd. W tamtejszym porcie stało mnóstwo luksusowych jachtów i kutrów, o wiele ładniejszych niż te, które sprzedawali kiedyś z ojcem. Porozmawiał z kilkoma kapitanami i jeden zaangażował go jako chłopca pokładowego. Ich klientami byli zamożni Amerykanie z Teksasu i Kalifornii, którzy więcej pili, niż łowili. Buster nie dostawał pensji. Pracował za napiwki, a te były tym wyższe, im więcej popłynęło whisky. Kiepskiego dnia zarabiał dwieście dolarów. Dobrego pięćset. Mieszkał w tanim motelu i już po kilku dniach przestał niespokojnie zerkać przez ramię. Znalazł sobie nowy dom.

Wilson Argrow został nagle przeniesiony do pośredniaka w Milwaukee, gdzie spędził jedną noc, by nazajutrz rano wyjść na wolność. Ponieważ nie istniał, nie można go było wytropić. Na lotnisku spotkał Jacka i razem polecili do Waszyngtonu. Dwa dni po wyjeździe z Florydy bracia Argrow, czyli Kenny Sands i Roger Lyter, zameldowali się w Langley.

Czekało ich nowe zadanie.

- 217 -

Trzy dni przed odlotem na konwencję w Denver Aaron Lake przyjechał do Langley na lunch z dyrektorem CIA. Miał

oto radosną sposobność, żeby jeszcze raz podziękować za wszystko geniuszowi, który nakłonił go do wzięcia udziału w wyborach. Przemówienie nominacyjne było gotowe już od miesiąca, ale Teddy chciał przedyskutować z nim kilka poprawek.

Czekał na niego w gabinecie. Jak zawsze siedział w wózku i jak zawsze nogi miał przykryte narzutą. Był blady i zmęczony. Asystenci wyszli, drzwi się zamknęły i dopiero wówczas Lake zauważył, że nie przygotowano dla nich stołu.

Usiedli przed biurkiem. Blisko siebie. Twarzą w twarz.

Maynard uznał, że przemówienie jest bardzo dobre i miał tylko kilka drobnych uwag.

- Pańskie mowy wyborcze są coraz dłuższe - zaczął cicho.

Lake miał ostatnio tak dużo do powiedzenia...

- Wciąż je redagujemy - odrzekł.

- Wygra pan - szepnął Maynard słabym głosem.

- Czuję się nieźle, ale będę musiał stoczyć ciężki bój.

- Wygra pan piętnastoma punktami.

Lake przestał się uśmiechać i wyteżył słuch.

- To raczej... nieprawdopodobne - odrzekł.

- Ma pan niewielką przewagę. W przyszłym miesiącu przewagę zdobędzie wiceprezydent. Będziecie się tak wozili aż do października. W październiku świat przeżyje kryzys nuklearny. A pan zostanie okrzyknięty nowym mesjaszem.

Ta perspektywa przeraziła nawet mesjasza.

- Wojna? - spytał cicho.

- Nie. Będą ofiary, ale nie wśród Amerykanów. Wina spadnie na Czenkowa, a nasi wyborcy gromadnie popędzą do urn. Niewykluczone, że wygra pan nawet dwudziestoma punktami.

Lake oddychał głośno i głęboko. Chciał wypytać go o szczegóły, może nawet zaprotestować przeciwko rozlewowi krwi. Lecz wypytywanie niczego by nie zmieniło. Przygotowania do październikowej masakry już trwały. Nie powstrzymałyby ich ani słowa, ani czyny.

- Niech pan bije w ten sam bęben - mówił Teddy. - Niech pan rozgrywa tę samą kartę. Świat zwariuje, a my musimy być silni, żeby bronić naszego stylu życia.

- Taktyka zastraszania jak dotąd skutkuje.

- Pański zdesperowany przeciwnik pójdzie na całość. Będzie atakował pana za monotematyczność, będzie lamentował i wytykał panu olbrzymie koszty kampanii. Zacznie wygrywać, zdobędzie kilka punktów przewagi. Ale niech pan nie wpada w panikę. Proszę mi zaufać: w październiku świat stanie na głowie.

- Ufam panu.

- Mamy wygraną w kieszeni. Niech pan tylko głosi to, co głosił pan dotąd.

- Taki mam zamiar.

- To dobrze. - Teddy zamknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć. Nagle otworzył je i powiedział: - Zmieńmy temat.

Ciekawią mnie pańskie plany jako gospodarza Białego Domu.

Lake był zaskoczony i nie potrafił tego ukryć.

- Potrzebuje pan partnerki - kontynuował Maynard, wciągając go w pułapkę. - Pierwszej Damy Ameryki. Kobiety, która uświetni i ozdobi to miejsce swoją obecnością. Kobiety pięknej, układnej, wyrobionej towarzysko i młodej na tyle,

- 218 -

żeby urodzić panu dzieci. W Białym Domu od dawna nie było dzieci...

Lake był zaszokowany.

- Pan żartuje.

- Bardzo podoba mi się ta Jayne Cordell, pańska asystentka. Ma trzydzieści osiem lat, jest wygadana, inteligentna i całkiem ładna, chociaż powinna zrzucić z sześć, siedem kilo. Rozwiodła się przed dwunastu laty i już nikt o tym nie pamięta.

Moim zdaniem byłaby znakomitą kandydatką.

Lake wpadł w złość. Przekrzywił głowę. Miał ochotę go zwymyślać, lecz zabrakło mu słów.

- Czy pan oszalał? - Zdołał wykrztusić tylko tyle.

- Wiemy o Rickym - powiedział zimno Teddy, świdrując go oczami.

Lake poczuł się tak, jakby Maynard przyłożył mu w brzuch. Gwałtownie wypuścił powietrze.

- Boże... - szepnął. Zwiesił głowę, zastygł bez ruchu i wbił wzrok w czubki butów.

Żeby go dobić, Teddy podał mu pojedynczą kartkę papieru. Lake zerknął na nią i natychmiast rozpoznał kopię swego ostatniego listu do Ricky'ego.

Drogi Ricky,

Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przerwiemy naszą korespondencję. Życzę Ci, żebyś jak najszybciej wrócił

do zdrowia.

Al

Już otwierał usta, żeby się wytłumaczyć, żeby zapewnić, że to nie tak, że jest zupełnie inaczej. Ale zaraz je zamknął i postanowił milczeć, przynajmniej na razie. W głowie kołatały mu się dziesiątki pytań: Ile oni wiedzą? Jakim, u diabła, sposobem przechwytywali jego listy? Czy wie o tym ktoś jeszcze?

Teddy pozwolił mu cierpieć w martwej ciszy. Nie było pośpiechu.

Kiedy Lake pozbierał myśli, górę wziął w nim polityk. Maynard proponował mu wyjście. Mówił: „Tańcz, jak ci zagram, i wszystko będzie dobrze. Rób to, co ci każe”.

Przyszły prezydent głośno przełknął ślinę i powiedział:

- Cóż, Jayne... Jayne nawet mi się podoba.

- Ależ oczywiście. I znakomicie się nada.

- Tak, jest bardzo lojalna.

- Sypia pan z nią?

- Nie. Jeszcze nie.

- Najwyższa pora. Podczas konwencji trzymajcie się za ręce. Niech ludzie złączą plotkować, niech to wygląda naturalnie. Na Boże Narodzenie weźmiecie ślub. Ogłosi pan to na tydzień przed wyborami.

- Wystawny czy skromny?

- Ślub? Królewski. To będzie wydarzenie towarzyskie roku.

- Świetnie.

- Jayne powinna szybko zająć w ciążę. Tuż przed inauguracją ogłosi pan, że Pierwsza Dama spodziewa się dziecka.

- 219 -

Cudowna historia. W Białym Domu ponownie zamieszkają dzieci. To miłe...

Lake uśmiechnął się, jakby podzielał jego zdanie, lecz nagle zmarszczył czoło.

- A Ricky? - spytał - Czy ktoś się o nim dowie?

- Nie. Ricky został unieszkodliwiony.

- Unieszkodliwiony?

- Już nigdy nie napisze żadnego listu. A pan będzie tak zajęty zabawą ze swoimi maluchami, że nie starczy panu czasu na myślenie o ludziach takich jak Ricky.

- Jaki Ricky?

- Zuch. Tak trzymać, Lake. Tak trzymać.

- Jest mi przykro. I bardzo pana przepraszam, panie dyrektorze. To się już nie powtórzy.

- Oczywiście, że nie. Akta, Lake. Mamy akta. Proszę o tym nie zapominać. - Teddy ruszył do drzwi, dając mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- To była tylko chwila słabości. Jeszcze raz przepraszam.

- Nie szkodzi. Niech pan zajmie się Jayne. Proszę zadbać o jej garderobę. Ta dziewczyna za dużo pracuje, widać, że jest zmęczona. Niech pan nią tak nie orze. Zobacz pan, będzie wspaniałą Pierwszą Damą.

- Na pewno.

Teddy zatrzymał wózek.

- I żadnych niespodzianek - rzucił.

- Nie, panie dyrektorze.

Maynard zniknął za drzwiami.

Pod koniec listopada zatrzymali się na dłużej w Monte Carlo, głównie ze względu na urodę miasta i piękną pogodę, ale i dlatego, że tak dużo ludzi mówiło tu po angielsku. No i ze względu na Spicera i jego kasyna. Ani Beech, ani Yarber nie wiedzieli, czy Joe Roy wygrywa czy przegrywa, lecz nie ulegało wątpliwości, że świetnie się bawi. Jego żona wciąż doglądała matki, która za nic nie chciała umrzeć. Atmosfera była bardzo napięta, ponieważ Spicer nie zamierzał wracać do Stanów, a ona nie zamierzała wyjeżdżać z Missisipi.

Mieszkali w małym, lecz eleganckim hotelu na skraju miasta. Dwa razy tygodniowo jadali razem śniadanie, a potem się rozchodzili. Przywykli do nowego życia i w miarę upływu czasu widywali się coraz rzadziej. Mieli inne zainteresowania.

Spicer lubił hazard, alkohol i towarzystwo kobiet. Beech wolał wypływać w morze i łowić ryby. Yarber dużo podróżował, poznając historię południowej Francji i północnych Włoch.

Jednakże każdy z nich zawsze wiedział, gdzie jest dwóch pozostałych. Nigdy nie wyjeżdżali bez uprzedzenia.

O ułaskawieniu nie znaleźli w prasie ani słowa, chociaż zaraz po wyjeździe Beech i Yarber spędzili wiele godzin w rzymskich bibliotekach, przeglądając amerykańskie gazety. Nic, ani jednej wzmianki. Z domem się nie kontaktowali. Żona Spicera twierdziła, że nikomu nic nie powiedziała. Była święcie przekonana, że uciekł.

W Święto Dziękczynienia Yarber pił małą czarną w kawiarnianym ogródku w centrum miasta. Było ciepło, bardzo słonecznie i Finn prawie zapomniał, że jego rodacy zza oceanu obchodzą ważne święto. Zresztą nic go to nie obchodziło, ponieważ nie zamierzał wracać do kraju. Beech spał w motelu. Spicer grał w kasynie trzy ulice dalej.

Jak spod ziemi wyrosła przed nim znajoma postać. Sekundę później mężczyzna siedział już naprzeciwko niego.

- 220 -

- Witaj, Finn. Pamięta pan mnie?

Yarber spokojnie wypił łyk kawy i przyjrzał się jego twarzy. Ostatni raz widział tego człowieka w Trumble.

- Wilson Argrow, kumpel z więzienia - podpowiedział mu tamten.

Yarber odstawił filiżankę, żeby jej nie upuścić.

- Dzień dobry, panie Argrow - powiedział powoli i zamilkł, choć chciał powiedzieć dużo więcej.

- Widzę, że jest pan zaskoczony.

- Szczerze mówiąc, tak, jestem.

- Słyszał pan o przytłaczającym zwycięstwie Aarona Lake'a? Czyż to nie ekscytujące?

- Owszem. Czym mogę panu służyć?

- Niczym. Chciałem tylko powiedzieć panu, że zawsze jesteśmy w pobliżu. Ot, tak, na wypadek, gdybyście nas potrzebowali.

Finn zachichotał.

- To mało prawdopodobne.

Od ich uwolnienia upłynęło pięć miesięcy. Jeździli z kraju do kraju, z Grecji do Szwajcarii, z Polski do Portugalii, powoli przemieszczając się na południe, żeby uciec przed jesiennymi chłodami. Jak, u licha, ten Argrow ich wytropił?

Nie, to po prostu niemożliwe.

Argrow wyjął z kieszeni jakieś czasopismo.

- Kupiłem to w zeszłym tygodniu. - Położył czasopismo tylną okładką do góry. Jedno z zamieszczonych na niej ogłoszeń było obwiedzione czerwonym kółkiem.

Biały dwudziestolatek nawiąże korespondencję

Z miłym, dyskretnym Amerykaninem

w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu lat.

Yarber musiał je już widzieć, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Wygląda znajomo, prawda? - spytał Argrow.

- Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo. - Rzucił czasopismo na stolik. „My i Wy”. Europejskie wydanie.

- Namierzyliśmy ten adres i trafiliśmy tutaj, do Monte Carlo - kontynuował Argrow. - Niedawno wynajęta skrytka pocztowa, fałszywe nazwisko. Cóż za dziwny zbieg okoliczności.

- Niech pan posłucha - odrzekł Yarber. - Nie wiem, dla kogo pan pracuje, ale mam silne przeczucie, że Monte Carlo nie podlega waszej jurysdykcji. Ani razu nie złamaliśmy prawa. Odczepcie się od nas, dobrze?

- Oczywiście, Finn, ale czy dwa miliony dolarów na łebka to za mało?

Yarber uśmiechnął się i rozejrzał po uroczym ogródku. Upił łyk kawy i odparł:

- Trzeba się czymś zająć.

- Do zobaczenia. - Argrow szybko wstał i zniknął.

Finn dopił kawę, jakby nic się nie wydarzyło. Przez chwilę obserwował uliczny ruch, a potem poszedł skrzyknąć kolegów.